

**MARIO PUZO**

# **CIEMNA ARENA**

**(The Dark Arena)**

Przełożyła: Jadwiga Piątkowska

Wydanie oryginalne: 1955

Wydanie polskie: 1992

*Dla Eriki*

Ojcowie i nauczyciele: „Czym jest piekło?”. I sądzę tak:  
„To cierpienie, że nie można już bardziej kochać”.

O, są i w piekle tacy, którzy zacięli się w pysze i okrucieństwie swoim, mimo wiedzy niewątpliwej i oglądania prawdy - ci są straszni, oddani bez reszty służkowie szatana i pysznego ducha jego. Ci mają piekło dobrowolne i nienasycone; ci są męczennikami z własnej woli. Albowiem sami siebie przeklęli, przekląwszy Boga i życie. Żywią się złą pychą swoją, jako głodny na pustyni, który krew z siebie wysysać począł. Ale nienasyчени są na wieki wieków i przebaczenie odrzucają, Boga, który ich wzywa, przeklinają, Boga żywego bez nienawiści oglądać nie mogą i żądają, żeby nie było Boga życia, aby zniszczył Bóg Siebie i całe stworzenie Swoje. I będą gorzeć w ogniu gniewu własnego wiecznie, łaknąc śmierci i niebytu. Lecz nie zaznają śmierci...

*Bracia Karamazow*  
(Tłum. Aleksander Wat)

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Walter Mosca odczuwał podniecenie i ostatni wszechogarniający przyływ samotności przed powrotem do domu. Rozpoznał nieliczne ruiny pod Paryżem i charakterystyczne punkty orientacyjne, a teraz, na ostatnim etapie podróży, nie mógł się doczekać przyjazdu na miejsce, do samego serca zniszczonej Europy, do miasta, którego nie spodziewał się ponownie zobaczyć. Lepiej znał punkty orientacyjne na granicy Niemiec niż drogi wiodące do własnego kraju, do własnego miasta.

Pociąg kołysał się od szybkiego biegu. Był to pociąg wojskowy wiozący uzupełnienia dla garnizonu we Frankfurcie, lecz połowę wagonu zajmowali cywile zwerbowani w Stanach. Mosca dotknął jedwabnego krawata i uśmiechnął się. Nie przywykł do tego. Czułby się znacznie lepiej z żołnierzami w drugim końcu wagonu i przypuszczał, że podobnie lepiej by się tam czuła większość z dwudziestki cywilów.

Pały się dwa przyćmione światła, po jednym w każdym krańcu wagonu. Okna zabito deskami, jakby dla uniemożliwienia pasażerom oglądania rozległych ruin, pośród których mieli podróżować. Za siedzenia służyły długie drewniane ławki, które pozostawiały jedynie wąskie przejście z jednej strony wagonu.

Mosca wyciągnął się na ławce i podłożył sobie pod głowę niebieski sportowy worek jako poduszkę. W mdłym świetle ledwie rozróżniał pozostałych cywilów.

Przyłączyli się do niego tym samym wojskowym statkiem i wszyscy, podobnie jak on, wydawali się podnieceni i niecierpliwie oczekiwali przyjazdu do Frankfurtu. Rozmawiali głośno, by przekrzyczeć stukot pociągu, zaś Mosca słyszał górujący nad innymi głos pana Geralda. Pan Gerald był najwyższym rangą cywilem w tym kontyngencie. Miał ze sobą komplet kijów golfowych, a na pokładzie statku uświadomił wszystkim, iż jego stopień cywilny był równy rangą pułkownikowi. Pan Gerald był szczęśliwy i pogodny, a Mosca wyobraził go sobie, jak gra w ruinach miasta, długie zagranie ponad zrównanymi z ziemią ulicami, lot ku okrągłej kupce gruzu i dokładne lądowanie na wierzchołku rozkładającej się czaszki.

Pociąg zwolnił wjeżdżając na opuszczoną stacyjkę. Na zewnątrz była noc, toteż w zaciemnionym wagonie panowała ciemność. Mosca drzemał, głosy innych docierały do niego niewyraźnie. Kiedy jednak pociąg nabrał szybkości po wyjeździe ze stacji, rozbudził się zupełnie.

Cywile rozmawiali teraz ciszej, więc Mosca usiadł i przyglądał się żołnierzom w drugim krańcu wagonu. Niektórzy spali na długich ławkach. Trzy kręgi światła otaczały trzy grupki grających w karty, co nadawało tej części wagonu ciepłą poświatę. Ogarnęła go nostalgia za życiem, jakie wiódł tak długo i porzucił dopiero przed paroma miesiącami. Widział przy blasku świec, jak popijają z manierek, na pewno nie wodę, i otwierają paczki z żelaznymi racjami, by podjadać czekoladę.

Żołnierz jest zawsze gotów, pomyślał Mosca uśmiechając się.

Koc na grzbiecie, świece w plecaku, woda lub coś lepszego w manierce i gumka zawsze w portfelu. Gotów na dobre i na złe.

Mosca wyciągnął się ponownie na ławce i usiłował zasnąć, lecz jego ciało było sztywne i nie poddawało się, podobnie jak twarde drewno pod spodem. Pociąg nabrał szybkości i pędził. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ, a do Frankfurtu było jeszcze dobrych osiem godzin jazdy. Usiadł, wyciągnął butelkę z niedużego niebieskiego worka i oparłszy głowę o zabite deskami okno pił, póki jego ciało nie rozluźniło się. Musiał zasnąć, bo kiedy znowu spojrzął w żołnierski kraniec wagonu, ujrzał tylko jeden krąg światła; jednakże z ciemności poza nim nadal dobiegały głosy pana Geralda i paru innych cywili. Wyglądało na to, że popili, głos pana Geralda brzmiał bowiem protekcyjnie i z wyższością przechwalał się swą przyszłą władzą, tym, jak sprawnie zorganizuje swoje papierowe królestwo.

Dwie świece oderwały się od kręgu w przeciwnym końcu wagonu, a ich płomienie chygotały się nierówno w przejściu. Gdy go mijaly, Mosca ocknął się z drzemki. Twarz żołnierza trzymającego świece wyrażała tępą i złowrogą nienawiść. Jasny, żółty blask świec zabarwiał odcieniem ciemnej czerwieni jego twarz zarumienioną od alkoholu i nadawał ponurym oczom niebezpieczny i bezsensowny wyraz.

- Hej, żołnierzu - rozległ się głos pana Geralda - może byś nam dał światło?

Świeca zatrzymała się posłusznie obok pana Geralda i grupy cywilów, których głosy zabrzmiały donośniej, jak gdyby ośmieliło ich migotliwe światło. Próbowali wciągnąć żołnierza do rozmowy, lecz ten - umieściwszy świece na ławce i skrywszy twarz w cieniu - nie odpowiadał. Wkrótce zapomnieli o nim i rozmawiali o czymś innym; raz tylko pan Gerald, nachylając się w krąg światła, jak gdyby dla zyskania zaufania, odezwał się do żołnierza z wyższością, choć bardzo życzliwie:

- My wszyscy też służyliśmy w wojsku. - Po czym zwrócił się ze śmiechem do pozostałych: - Chwała Bogu, teraz z tym koniec.

Jeden z cywilów odezwał się:

- To nie takie pewne, są jeszcze Rosjanie.

Znowu zapomnieli o żołnierzu. Nagle, przekrzykując ich głosy i hałas pociągu mknącego ślepo przez kontynent, milczący dotąd żołnierz zawołał głośno, z wyniosłością pijaka, lecz jakby przerażony:

- Zamknijcie się, zamknijcie się, nie gadajcie tyle, zamknijcie wasze cholerne mordy.

Nastąpiła chwila ciszy, pełnej zdziwienia i zakłopotania, po czym pan Gerald ponownie pochylił głowę w krąg światła i powiedział do niego spokojnie:

- Przejdź lepiej w swój koniec wagonu, synu.

Żołnierz nie odpowiedział, a pan Gerald mówił dalej, podjąwszy temat w tym miejscu, gdzie przerwał.

Nagle wyprostował się, stojąc w blasku płonących świec, i zamilkł. Potem powiedział spokojnie, bez strachu, ale z niedowierzaniem:

- Mój Boże, zraniono mnie. Ten żołnierz coś mi zrobił.

Mosca usiadł wyprostowany, inne postaci podniosły się z ławek, jedna z nich zgasiła świecę strąciwszy ją na podłogę. Pan Gerald, nadal stojący, lecz już nie tak jasno oświetlony, powiedział spokojnym, zdumionym głosem:

- Ten żołnierz ugodził mnie nożem - po czym wypadając z kręgu światła pograżył się w ciemność ławki.

Dwóch mężczyzn nadbiegło przejściem z żołnierskiego krańca wagonu. W świetle trzymany przez nich świec Mosca dostrzegł błysk oficerskich naszywek.

Pan Gerald powtarzał ciągle:

- Pchnęli mnie nożem, ten żołnierz pchnął mnie nożem. - W jego głosie nie było już przerażenia, tylko zdziwienie i niedowierzanie.

Mosca ujrzał, że siedzi wyprostowany na ławce, a potem, w świetle trzech świec, zobaczył rozcięcie w nogawce, wysoko na udzie, i ciemną plamę wokół niego.

Porucznik pochylił się, przysunawszy świecę, i wydał rozkaz żołnierzowi. Żołnierz pobiegł w drugi koniec wagonu, po koce i apteczkę. Na rozłożonych na podłodze kocach

położyli pana Geralda. Żołnierz zaczął rozcinać nogawkę, lecz pan Gerald powiedział:

- Nie, podwiń ją, dam do naprawy.

Porucznik przyjrzał się ranie.

- To nic wielkiego - orzekł porucznik. - Zawiń go w koc. - W jego młodej, obojętnej twarzy i w głosie nie było współczucia, a jedynie zdawkowa uprzejmość. - Na wszelki wypadek wezwiemy karetkę we Frankfurcie. Wyślę telegram na najbliższej stacji. - Następnie zwrócił się do pozostałych z pytaniem: - A gdzie on jest?

Pijany szeregowy zniknął; patrząc w ciemność Mosca dostrzegł skuloną postać w rogu najbliższej ławki. Nie odezwał się.

Porucznik poszedł w drugi koniec wagonu i powrócił w zapiętym pasie z kaburą. Przeszukiwał wagon światłem latarki, póki nie dostrzegł skulonej postaci. Smagnął ją promieniem latarki, wyciągając jednocześnie pistolet i chowając go za plecami. Żołnierz się nie poruszył.

Porucznik szturchnął go brutalnie.

- Wstawaj, Mulrooney.

Żołnierz otworzył oczy. Napotkawszy tępe, ponure, zwierzęce spojrzenie, Mosca poczuł przyływ współczucia.

Porucznik mierzył promieniem latarki prosto w oczy żołnierza oślepiając go. Zmusił Mulrooneya do powstania. Ujrawszy, że ma puste ręce, wsunął pistolet do kabury. Potem szarpnąwszy żołnierza odwrócił go i obszukał. Nie znalazł niczego, więc skierował światło latarki na ławkę. Mosca zobaczył zakrwawiony nóż. Porucznik podniósł go i popychając szeregowego przed sobą poszedł w drugi koniec wagonu.

Pociąg zaczął zwalniać i powoli się zatrzymał. Mosca przeszedł na koniec wagonu, otworzył drzwi i wyjrzał. Ujrzał porucznika, który szedł na stację zatelegrafować po karetkę; poza tym nie było nikogo. Francuskie miasto za stacją było ciemne i ciche.

Mosca powrócił na swą ławkę. Przyjaciele pana Geralda pochylali się nad nim pocieszając go, a on mówił niecierpliwie:

- Wiem, że to tylko zadrapanie, ale dlaczego to zrobił, dlaczego zrobił coś tak głupiego? - A kiedy porucznik wrócił do wagonu i powiedział, że karetką będzie czekać we Frankfurcie, pan Gerald odezwał się do niego: - Niech mi pan wierzy, poruczniku, wcale go nie sprowokowałem. Niech pan zapyta któregokolwiek z moich przyjaciół. Nie

zrobiłem niczego, żeby mógł się do tego posunąć.

- Jest po prostu szalony - powiedział porucznik. Po czym dodał: - Ma pan szczęście. O ile znam Mulrooneya, celował w pańskie jaja.

To ich rozweseliło, jak gdyby poważny zamiar sprawił, iż całe wydarzenie nabrało znaczenia, a zadrapanie na udzie pana Geralda okazało się istotne. Porucznik przyniósł swoją pałatkę i położył na niej poszkodowanego.

- W pewnym sensie wyświadczył mi pan przysługę. Próbowałem pozbyć się Mulrooneya od pierwszego dnia, gdy przyszedł do plutonu. Teraz będzie bezpieczny przez parę lat.

Mosca nie mógł zasnąć. Pociąg ruszył, więc znów podszedł do drzwi i oparłszy się o nie patrzył na przesuwający się ciemny, niewyraźny krajobraz. Pamiętał ten sam, lub prawie ten sam krajobraz uciekający za ciężarówką, za czołg, przesuwający się powoli w marszu, w czołganiu się po ziemi. Nie przypuszczał wtedy, że go jeszcze kiedyś zobaczy. Nie wiedział, dlaczego wszystko potoczyło się tak źle. Tak długo marzył o powrocie do domu, a teraz znowu wyjechał. W zaciemnionym pociągu przypomniał sobie swój pierwszy wieczór w domu.

Na dużej kwadratowej naklejce na drzwiach widniał napis: „Witaj w domu, Walterze”. Mosca zauważył podobne naklejki z innymi imionami na drzwiach pozostałych dwu mieszkań. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał po wejściu do mieszkania, była jego fotografia zrobiona tuż przed wyjazdem. Potem matka i Gloria rzuciły się na niego, a Alf ścisnął mu rękę.

Odsunęli się od siebie i przez chwilę milczeli zakłopotani.

- Postarzałeś się - powiedziała matka i wszyscy się roześmiali. - To znaczy, postarzałeś się więcej niż o trzy lata.

- Nie zmienił się - odezwała się Gloria. - Nie zmienił się ani trochę.

- Powraca zwycięski bohater - zauważył Alf. - Spójrzcie na te kokardki. Czy dokonałeś czegoś dzielnego, Walterze?

- Normalka - odrzekł Mosca - prawie wszystkie z oddziałów kobiecych dostały to samo.

Ściągnął bluzę, którą wzięła od niego matka. Alf poszedł do kuchni i powrócił



niosąc tacę z drinkami.

- Boże - zdumiał się Mosca - myślałem, że straciłeś nogę. - Całkiem zapomniał, że matka pisała mu o Alfie.

Brat najwyraźniej czekał na tę chwilę. Podciągnął nogawkę.

- Bardzo ładna - rzekł Mosca. - Co za pech, Alf.

- Do diabła - powiedział Alf - chciałbym mieć dwie takie. Ani grzybicy, ani wrastających paznokci.

- Racja - powiedział Mosca. Dotknął ramienia brata i uśmiechnął się.

- Założył ją specjalnie dla ciebie, Walterze - odezwała się matka. - Zwykle nie nosi jej w domu, choć wie, że bardzo nie lubię, gdy jej nie ma.

Alf podniósł szklankę.

- Za zwycięskiego bohatera - powiedział, po czym zwrócił się z uśmiechem do Glorii: - Za dziewczynę, która na niego czekała.

- Za naszą rodzinę - powiedziała Gloria.

- Za wszystkie moje dzieci - dodała czule matka. Objęła wzrokiem również Glorię.

Wszyscy spoglądali na Moskę z oczekiwaniem.

- Wypiję za to, a potem wymyślę coś innego.

Roześmiali się wszyscy i wypili.

- A teraz kolacja - powiedziała matka. - Pomóż mi nakryć do stołu, Alf.

Wyszli oboje do kuchni.

Mosca usiadł w jednym z foteli.

- Długa, długa wyprawa - powiedział.

Gloria podeszła do kominka i wzięła fotografię Moski. Obrócona do niego tyłem powiedziała:

- Co tydzień przychodziłam tutaj patrzeć na to zdjęcie. Pomagałam matce przygotować kolację, jadłyśmy ją razem, a potem siadałyśmy w tym pokoju, patrzyłyśmy na to zdjęcie i rozmawiałyśmy o tobie. Co tydzień, przez trzy lata, jak ludzie odwiedzający cmentarz, a teraz, kiedy wróciłeś, wcale nie jest do ciebie podobna.

Mosca wstał i podszedł do Glorii. Położywszy jej rękę na ramieniu spojrział na zdjęcie, zastanawiając się, dlaczego tak go ono drażni.

Śmiał się na nim, z odchyloną głową, tak ustawiony, by widać było wyraźnie białe

ukośne naszywki jego dywizji. Twarz miał młodzieńczą i niewinnie dobroduszną. Mundur był schludnie dopasowany. Upozowany w upalnym południowym słońcu, stanowił typowy przykład żołnierza, który robi sobie zdjęcie dla uwielbiającej go rodziny.

- Szczerzę się jak frajer - powiedział Mosca.

- Nie żartuj sobie. Tylko to miałyśmy przez tyle czasu. - Milczała przez chwilę. - Ach, Walterze - odezwała się - ile się nad nim czasem napłakałyśmy, kiedy nie pisałeś, ilekroć opowiadano o zatonięciu jakiegoś statku z żołnierzami albo o jakiejś bitwie. W dniu inwazji nie poszłyśmy do kościoła. Twoja matka siedziała na tapczanie, a ja obok radia. Siedziałyśmy tak przez cały dzień. Nie poszłam do pracy. Nastawiałam radio na różne stacje. Gdy tylko skończyły się jedne wiadomości, próbowałam złapać inną stację, chociaż podawała dokładnie to samo. Twoja matka siedziała z chusteczką w ręku, ale nie płakała. Spałam tutaj tej nocy, w twoim pokoju, w twoim łóżku, i wzięłam ze sobą to zdjęcie. Postawiłam je na komodzie i powiedziałam mu dobranoc, a potem śniło mi się, że cię nigdy nie zobaczę. A teraz jesteś tu, Walterze Mosca, we własnej osobie, zupełnie niepodobny do fotografii.

Próbowała się roześmiać, ale się rozplakała.

Mosca poczuł zażenowanie. Delikatnie pocałował Glorię.

- Trzy lata to bardzo długo - powiedział. I pomyślał: w dniu inwazji upijałem się w angielskim miasteczku. Fundowałem małej blondynce jej pierwszą whisky, tak przynajmniej twierdziła, i pierwszy raz ją wzięłem do łóżka. Świątowałem inwazję, ale bardziej świątowałem fakt, że nie brałem w niej udziału. Poczuję wielką ochotę, by powiedzieć Glorii prawdę, że nie myślał wtedy o nich ani o tym, o czym oni myśleli, ale rzekł tylko: - Nie podoba mi się to zdjęcie... Poza tym, kiedy wszedłem, powiedziałaś, że nic się nie zmieniłem.

- Czy to nie zabawne - powiedziała Gloria - kiedy stanąłeś w drzwiach, wyglądałeś dokładnie jak na zdjęciu. Ale teraz, kiedy ci się przyjrzałam, wydaje mi się, że zmieniła ci się twarz.

Matka zawołała z kuchni:

- Gotowe - więc przeszli do jadalni.

Na stole znalazły się jego ulubione potrawy: na pół surowa pieczeń wołowa z pieczonymi ziemniaczkami, zielona sałata i kawałek żółtego sera. Obrus był śnieżnobiały,

a kiedy skończył, zauważył nietkniętą serwetkę obok swego talerza. Było to dobre, ale nie tak dobre, jak sobie wymarzył.

- Ach - odezwał się Alf - całkiem inne niż żołnierskie żarcie, co, Walterze?

- No - powiedział Mosca. Z kieszeni koszuli wyjął krótkie, grube, ciemne cygaro i miał je już zapalić, gdy zauważył, że wszyscy patrzą na niego zdumieni, Alf, Gloria i matka.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Duży już ze mnie chłopiec - po czym zapalił cygaro, przesadnie akcentując przyjemność, jaką mu to sprawiało.

Wówczas wszyscy czworo wybuchnęli śmiechem. Wydawało się, że zniknęły resztki zakłopotania i poczucie obcości wywołane jego powrotem w zmienionej postaci i zachowującego się inaczej. Ich zaskoczenie, a potem rozbawienie z tego zaskoczenia, gdy wyjął cygaro, przełamało barierę pomiędzy nimi.

Przeszli do bawialni, kobiety obejmowały go ramionami, Alf niósł tacę z whisky i piwem imbirowym. Kobiety usiadły obok Moski na sofie, zaś Alf rozdał im drinki, po czym usiadł naprzeciwko w jednym z miękkich foteli. Lampa na podłodze oświetlała pokój delikatnym żółtym blaskiem. Alf odezwał się łagodnym, półzartobliwym tonem, którego używał przez cały wieczór:

- Nastąpi teraz opowieść o Walterze Mosce.

Mosca wypił.

- Najpierw prezenty - powiedział.

Podszedł do niebieskiego sportowego worka, który nadal leżał przy drzwiach, wyjął trzy małe paczuszki zawinięte w brązowy papier i wręczył każdemu po jednej. Gdy zajęci byli ich rozwijaniem, nalał sobie po raz drugi.

- O Boże - powiedział Alf - co to jest u diabła? - Uniósł w górę cztery wielkie srebrne cylindry.

Mosca roześmiał się.

- Cztery cygara z najlepszych na świecie. Wyprodukowane specjalnie dla Hermana Göringa.

Gloria otworzyła swoją paczuszkę i wstrzymała oddech. W czarnym aksamitnym pudełku widniał pierścionek. Kwadratowy, ciemnozielony szmaragd otaczały diamenciki.

Wstała, objęła Moskę ramionami, a potem odwróciła się, by pokazać pierścionek matce.

Jednakże matkę zafascynowały zwoje ciemnoczerwonego zwiniętego jedwabiu, które wielkimi fałdami opadały na podłogę. Uniosła je w górę.

Była to ogromna kwadratowa flaga, pośrodku której na białym okrągłym tle spoczywała niczym pająk czarna swastyka. Zamilkli wszyscy. W tym zacisznym pokoju zobaczyli po raz pierwszy symbol wroga.

- Do diabła - przerwał ciszę Mosca - to miał być tylko żart. Dla ciebie miało być to.  
- Podniósł leżące na podłodze pudełeczko.

Matka otworzyła je, a ujrzawszy białoniebieskie diamenty, spojrzała na niego dziękując. Złożyła wielką flagę w ciasno zwinięty kwadrat, potem wstała i podniosła niebieski sportowy worek mówiąc:

- Rozpakuję to.

- Śliczne prezenty - odezwała się Gloria - gdzie je dostałeś?

Mosca uśmiechnął się i powiedział:

- Zdobywcze - podkreślając komicznie to słowo, aby ich rozśmieszyć.

Matka wróciła do pokoju niosąc duży plik fotografii.

- Były w twoim worku, Walterze. Dlaczego ich nam nie pokażesz?

Usiadła na kanapie i zaczęła oglądać fotografie po kolei. Podawała je potem Glorii i Alfowi. Mosca nalał sobie jeszcze jednego drinka, podczas gdy oni wykrzykiwali przeglądając zdjęcia i zadawali pytania o miejsca, w których je zrobiono. Zauważył nagle, że matka zbladła przyglądając się pilnie jednej fotografii. Przez chwilę Mosca odczuwał przerażenie, niepewny, czy sprośne zdjęcia, które nabył, nadal się tam nie znajdują. Był jednak przekonany, że sprzedał wszystkie na statku. Ujrzał, że matka podaje fotografie Alfowi, więc zły był na siebie, że się przestraszył.

- No, no - powiedział Alf - a cóż to takiego?

Gloria podeszła i spojrzała na zdjęcie. Trzy pary oczu zwróciły się ku niemu z oczekiwaniem.

Mosca pochylił się w stronę Alfa i poczuł ulgę, gdy zobaczył, co to było. Przypomniał sobie. Jechał z tyłu czołgu, gdy się to wydarzyło.

Na zdjęciu widać było skuloną postać niemieckiego strzelca działa przeciwczołgowego, zgniecioną na śniegu; od jego ciała do brzegu zdjęcia biegła ciemna

smuga. Nad ciałem stał on, Mosca, patrząc prosto w obiektyw z automatem przerzuconym przez ramię. Wyglądał dziwnie niezgrabnie w zimowym mundurze polowym. Koc, w którym wyciął dziury na głowę i ramiona, zwisał niczym koszula spod bluzy munduru. Stał niczym szczęśliwy myśliwy, który zabierze do domu upolowaną zwierzynę.

Poza zdjęciem znajdowały się płonące czołgi na pokrytej śniegiem równinie. Poza zdjęciem znajdowały się zwęglone zwłoki, rozsypane na białym polu jak śmieci. Niemiec był bardzo dobrym strzelcem.

- Mój kumpel zrobił to zdjęcie leiką tego szkopa. - Mosca powrócił do swego drinka, a odwróciwszy się spostrzegł, że nadal trwali w oczekiwaniu.

- Mój pierwszy zabity - wyjaśnił starając się, by zabrzmiało to jak żart. Jednakże efekt był taki, jakby powiedział, że stoi na tle wieży Eiffla lub na tle piramid.

Matka oglądała inne fotografie.

- Gdzie to było zrobione? - zapytała.

Mosca usiadł obok niej i odparł:

- W Paryżu, na pierwszej przepustce. - Objął matkę ramieniem.

- A to? - zapytała matka.

- To było w Vitry.

- A to?

- To było w Aachen.

A to? A to? Wymieniał nazwy miast i opowiadał zabawne historyjki. Alkohol wprawił go w dobry humor, lecz myślał przy tym: To było w Nancy, gdzie czekałem dwie godziny w kolejce do pieprzenia, to było w Dombasle, gdzie znalazłem martwego nagiego Niemca z jajami spuchniętymi jak melony. Na drzwiach był napis: „Martwy Niemiec w środku”. I napis nie kłamał. Dziwił się nawet, komu się to chciało napisać, choćby dla żartu. A to było w Hamm, gdzie miał pierwszą dziewczynę od trzech miesięcy i gdzie złapał pierwszą francję. A to i to i to - to niezliczone miasta, gdzie Niemcy, mężczyźni, kobiety i dzieci spoczywają w grobach pod ruinami, wydzielając przytłaczający fetor.

Na wszystkich tych zdjęciach wyglądał niczym człowiek sfotografowany na pustyni. On, zwycięzca, stał na zrównanych z ziemią i startych na proch resztkach fabryk, domów, ludzkich kości - na ruinach ciągnących się w dal jak rozległe piaskowe wzgórza.

Mosca rozsiadł się wygodnie na kanapie. Pociągnął cygaro.

- Może napilibyśmy się kawy? - zapytał. - Ja zaparzę.

Poszedł do kuchni, Gloria za nim, razem wyciągnęli filiżanki i pokroili ciasto z bitą śmietaną, które wyjęła z lodówki. Gdy kawa gotowała się na kuchence, przytuliła się do niego i powiedziała:

- Kocham cię, najdroższy, kocham cię.

Przynieśli kawę do bawialni, po czym oni z kolei zaczęli opowiadać. Jak to Gloria ani razu nie umówiła się na randkę przez te trzy lata, jak Alf stracił nogę w katastrofie ciężarówki w obozie wojskowym na południu, jak matka znowu poszła do pracy jako urzędniczka w dużym domu towarowym. Wszyscy mieli swoje przygody, ale dzięki Bogu wojna się skończyła, cała rodzina przetrwała ją w dobrej formie, wprawdzie jeden z nich stracił nogę, ale - jak powiedział Alf - przy obecnej komunikacji cóż znaczą nogi; tak więc byli tu razem, wszyscy zdrowi w tym pokoiku.

Wróg, który był daleko, całkowicie zdruzgotany, już ich nie przerażał. Został otoczony i podbity, głodował, wyniszczały go choroby, nie miał ani fizycznej, ani moralnej siły, by im ponownie zagrozić. A kiedy Mosca zasnął w fotelu, ci, którzy go kochali, przyglądali się mu przez jakiś czas odczuwając spokojną i niemal rzewną radość, prawie nie śmiejąc wierzyć, że odbył tak długą podróż w czasie i przestrzeni, a jednak jakimś cudem powrócił, cały i zdrowy odnalazł drogę do bezpiecznej przystani.

Dopiero trzeciego wieczora Mosca miał Glorię tylko dla siebie. Drugiego dnia złożyli wizytę w jej domu, gdzie matka i Alf omawiali szczegóły wesela z siostrą i ojcem Glorii, nie dlatego, że lubili wtrącać się w cudze sprawy, lecz z radości, że w końcu wszystko dobrze się ułożyło. Ustalili, że pobiorą się jak najszybciej, ale dopiero wtedy, kiedy Walter dostanie stałą pracę. Mosca chętnie się na to zgodził. Alf go zadziwił. Potulny Alf wyrósł na pewnego siebie, zdecydowanego i rozsądnego mężczyznę, który świetnie grał rolę głowy rodziny.

Trzeciego wieczoru matka i Alf wychodzili. Alf na progu uśmiechnął się i powiedział:

- Wrócimy dopiero o jedenastej.

Matka wypchnęła go za drzwi i powiedziała:

- Jeśli wyjdziecie z Glorią, nie zapomnijcie zamknąć drzwi.

Mosca zdziwił się dosłyszawszy nutę wątpliwości w jej głosie, jak gdyby myśl o zostawieniu go samego z Glorią była dla niej nie do przyjęcia. O Boże, pomyślał, wyciągając się na sofie.

Starał się rozluźnić, ale zbyt był spięty, musiał więc wstać i nalać sobie drinka. Stanął przy oknie uśmiechając się i myślał, jak to teraz będzie. Przez parę tygodni przed wyjazdem spędzali z Glorią wieczory w pokoiku hotelowym, lecz prawie tego nie pamiętał. Włączył radio, a potem poszedł do kuchni spojrzeć na zegar. Dochodziła ósma trzydzieści. Ta dziwka spóźniła się już pół godziny. Znow podszedł do okna, lecz nic nie widział, było zbyt ciemno. Gdy się odwrócił, usłyszał pukanie do drzwi i Gloria weszła do mieszkania.

- Cześć, Walterze - powiedziała, a Mosca zauważył, że głos jej drżał lekko. Zdjęła płaszcz. Miała na sobie bluzkę z kilkoma dużymi guzikami i szeroką plisowaną spódnicę.

- Nareszcie sami - powiedział z uśmiechem i wyciągnął się znowu na sofie. - Zrób drinki. - Gloria usiadła obok i pochyliła się, by go pocałować.

Położył jej dłonie na piersiach i długo się całowali.

- Już idą drinki - powiedziała i odsunęła się od niego.

Wypili. Radio grało cicho, a lampa na podłodze oświetlała pokój delikatnym złotym blaskiem. Zapalił dwa papierosy i podał jej jednego. Palili przez pewien czas. Kiedy Mosca zgasił swojego papierosa, ona nadal zaciągała się swoim. Zabrał go jej i starannie rozgniół w popielniczkę.

Mosca przyciągnął do siebie Glorię, która leżała teraz na nim. Rozpiął jej bluzkę, wsunął rękę do jej stanika i zaczął ją całować. Potem sięgnął ręką pod spódnicę.

Gloria usiadła odpychając go od siebie. Mosca zdziwił się i natychmiast zaniepokoił.

- Nie chcę posuwać się za daleko - powiedziała Gloria.

Ten dziecinny zwrot rozdrażnił go, więc sięgnął znowu. Wstała i odsunęła się.

- Nie, naprawdę nie chcę - powiedziała.

- Co u diabła - powiedział Mosca. - Było dobrze przez te dwa tygodnie przed moim wyjazdem. O co teraz chodzi?

- Rozumiem - Gloria uśmiechnęła się czule do niego, on zaś poczuł przypływ gniewu. - Ale wtedy było inaczej. Odjeżdżałeś, a ja cię kochałam. Gdybym to teraz

zrobiła, przestałbyś mnie szanować. Nie złość się, Walterze, ale rozmawialiśmy o tym z Emmy. Taki byłeś inny, kiedy wróciłeś, że musiałam z kimś porozmawiać. I obie postanowiłyśmy, że tak będzie lepiej.

Mosca zapalił papierosa.

- Twoja siostra jest głupia.

- Nie mów tak, Walterze. Nie zrobię tego, co chcesz, bo naprawdę cię kocham.

Mosca zakrztusił się drinkiem i powstrzymał śmiech.

- Posłuchaj - powiedział - gdybyśmy nie spali ze sobą przez te ostatnie dwa tygodnie, to ani bym nie pamiętał o tobie, ani bym nie pisał. Nic byś dla mnie nie znaczyła.

Spostrzegł, że zaczerwieniła się. Podeszła do fotela naprzeciwko i usiadła.

- Kochałam cię przed tym - powiedziała.

Zobaczył, że drżą jej usta, więc rzucił jej pudełko papierosów, po czym zaczął popijać drinka usiłując wszystko przemyśleć na nowo.

Jego podniecenie minęło i właściwie odczuwał pewną ulgę. Nie wiedział dlaczego. Nie miał wątpliwości, że mógłby nakłonić lub zmusić Glorię do uległości. Wiedział, że jeśli powie: - Tak ma być, bo inaczej... - na pewno uległaby. Wiedział, że postąpił zbyt obcesowo i że przy odrobinie cierpliwości i delikatności wieczór zakończyłby się bardzo przyjemnie. Przekonał się jednak ze zdziwieniem, że nie warto się było tak wysilać. Zupełnie nie odczuwał pożądania.

- W porządku. Chodź tu do mnie.

Przyszła posłusznie.

- Nie gniewasz się? - zapytała cicho.

Pocałował ją i uśmiechnął się.

- Nie, to nie ma znaczenia - powiedział, i była to prawda.

Gloria oparła mu głowę na ramieniu.

- Zostańmy tu dzisiaj i porozmawiajmy. Właściwie nie mieliśmy okazji porozmawiać od twojego powrotu.

Mosca odsunął się i poszedł przynieść jej płaszcz.

- Idziemy do kina - powiedział.

- Chcę tu zostać.

Mosca odezwał się z rozmyślną, brutalną obojętnością:



- Albo idziemy do kina, albo do łóżka.

Wstała i spojrzała na niego uważnie.

- A tobie to wszystko jedno.

- Właśnie.

Przypuszczał, że włoży płaszcz i wyjdzie. Jednak czekała pokornie, aż on zaczesze włosy i zawiąże krawat. Potem poszli do kina.

Miesiąc później, wracając około południa do domu, Mosca zastał Alfa, matkę i siostrę Glorii, Emmy, przy kawie w kuchni.

- Napijesz się kawy? - zapytała matka.

- Tak, tylko się trochę umyję. - Mosca poszedł do łazienki. Uśmiechnął się ponuro wycierając twarz przed powrotem do kuchni.

Przez chwilę popijali kawę, a potem Emmy przypuściła atak.

- Źle traktujesz Glorię. Czekala na ciebie trzy lata, nigdy się z nikim nie umówila i straciła mnóstwo okazji.

- Mnóstwo okazji na co? - zapytał Mosca. Po chwili się roześmiał. - Wszystko w porządku, potrzebujemy trochę czasu.

Emmy powiedziała:

- Umówiłeś się z nią wczoraj wieczór i nie przyszedłeś. Dopiero teraz wracasz do domu. Nie postępujesz właściwie.

Matka zauważyła, że ogarnia go gniew, więc powiedziała pojednawczo:

- Gloria czekała tu na ciebie do drugiej w nocy. Powinieneś być zatelefonować.

- Wszyscy wiemy, co robisz - powiedziała Emmy. - Zostawiasz dziewczynę, która czekała na ciebie trzy lata, i chodzisz ze zdziwą z sąsiedztwa, dziewczyną, która miała trzy skrobaki i nie wiadomo co jeszcze.

Mosca wzruszył ramionami.

- Nie mogę się widywać z twoją siostrą co wieczór.

- Oczywiście, jesteś na to zbyt ważny.

Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że ona naprawdę go nienawidzi.

- Ktoś miał taki pomysł, żebyśmy zaczekali, póki nie znaję stałej pracy - przypomniał jej Mosca.

- Nie przypuszczałam, że okażesz się takim draniem. Jeśli nie chcesz się żenić, powiedz to Glorii. Nie bój się, znajdzie sobie kogoś innego.

Odezwał się Alf.

- To niemądre. Oczywiście, że Walter chce się żenić. Bądźmy rozsądni. Jest trochę zagubiony, ale mu to przejdzie. Powinniśmy mu w tym pomóc.

Emmy powiedziała z sarkazmem:

- Gdyby Gloria z nim spała, wszystko byłoby w porządku. Wtedy byś się przystosował, co?

- To już naprawdę głupoty - powiedział Alf. - Przejdźmy do rzeczy zasadniczych. Złościsz się, bo Walter ma romans i nie stara się tego ukrywać, na co mógłby się zdobyć. W porządku. Gloria zbyt za nim szaleje, żeby puścić go kantem. Myślę, że najlepiej będzie ustalić datę ślubu.

- A moja siostra ma pracować i patrzeć, jak on biega za kurewkami, jak to robił w Niemczech?

Mosca spojrzał chłodno na matkę, która odwróciła wzrok. Zapadło milczenie.

- Tak - powiedziała spokojnie Emmy - twoja matka powiedziała Glorii o listach, które dostajesz od tej dziewczyny z Niemiec. Powinieneś się wstydzić, Walterze, naprawdę powinieneś.

- Te listy nie mają żadnego znaczenia - powiedział Mosca. Poznał po ich twarzach, że uwierzyli mu z uczuciem ulgi.

- Dostanie pracę - powiedziała matka - i będą mogli tu mieszkać, zanim nie znajdą mieszkania.

Mosca powoli popijał kawę. Na chwilę ogarnął go gniew, ale teraz chciał już tylko opuścić ten pokój, być od nich daleko. Dość miał już tych bzdur.

- Ale musi przestać zadawać się z tymi dzirami - powiedziała Emmy.

Mosca wtrącił spokojnie.

- Tylko jeden cholerny szczegół nie pasuje. Nie mam zamiaru ustalić daty.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Chyba nie mam ochoty na ślub - dodał uśmiechając się.

- Co? - wrzasnęła Emmy jak szalona. - Co? - Była tak wściekła, że nic więcej nie mogła powiedzieć.

- I nie opowiadaj mi tych bzdur o trzech latach. Jakie ma to do diabła znaczenie, że nie pieprzyła się przez trzy lata? Myślisz, że przez to nie spałem po nocach? Do diabła, ozłociła się jej przez nieużywanie? Miałem inne zmartwienia.

- Przestań, Walterze - powiedziała matka.

- Cholera - powiedział Mosca.

Matka wstała od stołu i poszła do kuchni. Wiedział, że płacze. Nagle wszyscy zerwali się, zaś Alf, wsparty o stół, krzyczał ze złością:

- Teraz ty z kolei przesadzasz!

- A ja myślę, że za bardzo się z tobą cackali od powrotu - powiedziała z pogardą Emmy.

Po tym wszystkim mógł tylko powiedzieć im dokładnie to, co czuł.

- Pocałuj mnie w dupę - odezwał się, a choć mówił do Emmy, wzrokiem ogarnął wszystkich.

Podniósł się zamierzając wyjść, lecz Alf, trzymając się stołu, zastąpił mu drogę i krzyknął z wściekłością:

- Do licha, trochę tego za wiele. Przepróż, słyszysz, przepróż!

Mosca odepchnął go i zbyt późno zauważył, że brat nie miał sztucznej nogi. Alf przewrócił się uderzając głową o podłogę. Obie kobiety krzyknęły. Mosca pochylił się szybko, by podnieść Alfa.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Alf skinął głową, lecz siedział na podłodze zakrywając twarz dłońmi. Mosca wyszedł z mieszkania. Na zawsze zapamiętał stojącą przy kuchni matkę, która płakała załamując ręce.

Kiedy Mosca przyszedł po raz ostatni do mieszkania, matka czekała na niego - w ogóle nie wychodziła tego dnia z domu.

- Gloria dzwoniła do ciebie - powiedziała.

Mosca skinął głową przyjmując to do wiadomości.

- Teraz się spakujesz? - spytała nieśmiało matka.

- Tak - odpowiedział Mosca.

- Chcesz, żebym ci pomogła?

- Nie.

Poszedł do swojej sypialni i wyciągnął dwie nowe, kupione niedawno walizki. Włożył papierosa w usta, przetrząsnął kieszenie poszukując zapalek, po czym poszedł po nie do kuchni.

Matka nadal siedziała na krześle. Twarz miała zakrytą chusteczką i cicho płakała.

Wziął zapalki i skierował się do drzwi.

- Dlaczego mnie tak traktujesz? - zapytała matka. - Co ja zrobiłam?

Nie czuł litości, łyżę go nie wzruszały, lecz nie chciał hysterii. Usiłował mówić spokojnie, bez rozdrażnienia.

- Nic nie zrobiłaś, po prostu wyjeżdżam, to nie ma z tobą nic wspólnego.

- Dlaczego tak ze mną zawsze rozmawiasz, jakbym była kimś obcym?

Te słowa dotknęły go, lecz nie mógł się zdobyć na żaden czuły gest.

- Jestem tylko zdenerwowany - powiedział. - Jeśli nie wychodzisz, pomóż mi się spakować.

Poszła z nim do sypialni i starannie złożyła jego ubrania, które potem włożył do walizek.

- Potrzebujesz papierosów? - zapytała matka.

- Nie, kupię na statku.

- Zbiegnę na dół i kupię, nigdy nic nie wiadomo.

- Na statku kosztują tylko pięć centów - powiedział. Nie chciał od niej niczego.

- Zawsze ci się przydadzą - powiedziała matka i wyszła z mieszkania.

Mosca usiadł na łóżku i patrzył na zdjęcie Glorii wiszące na ścianie. Nic nie czuł. Nie udało się, pomyślał. Trudno. Zdziwiła go ich cierpliwość, gdyż uświadamiał sobie, jak bardzo się starali i jak on niewiele się wysilił. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć matce, aby ją przekonać, że nic nie mogła zrobić, że jego postępowanie spowodowane było przyczynami, na które ani on, ani ona nie mogli mieć wpływu.

W bawialni zadzwonił telefon, więc poszedł go odebrać. Odezwał się głos Glorii, opanowany lecz przyjazny.

- Słyszałam, że jutro wyjeżdżasz. Czy mam przyjść dziś wieczór się pożegnać, czy mam to zrobić teraz przez telefon?

- Jak chcesz - powiedział Mosca - ale muszę wyjść około dziewiątej.

- Wobec tego przyjdę wcześniej - powiedziała. - Nie bój się, tylko się pożegnam.

Wiedział, że to prawda, że już jej na nim nie zależy, że już go nie kocha, że chce pożegnać się przyjaźnie i że po prostu przyjdzie z ciekawości.

Gdy matka wróciła, podjął decyzję.

- Mamo - powiedział - zaraz wyjeżdżam. Dzwoniła Gloria. Przychodzi dziś wieczór, a ja nie chcę się z nią widzieć.

- Mówisz, że zaraz. To znaczy już teraz?

- Tak - powiedział Mosca.

- Mógłbyś chociaż ostatni wieczór spędzić w domu - powiedziała. - Zaraz wróci Alf, mógłbyś chociaż poczekać i pożegnać się z bratem.

- Do widzenia, mamo - powiedział. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Zaczekaj - powiedziała matka - zapomniałeś swojego sportowego worka.

I jak to robiła wielokrotnie, gdy wychodził z domu grać w koszykówkę i wtedy, gdy poszedł do wojska, wzięła mały, niebieski sportowy worek i zaczęła pakować najpotrzebniejsze rzeczy. Tylko teraz znowu, zamiast aksamitnych spodenek, skórzanych ochraniaczy i tenisówek, spakowała przybory do golenia, zmianę bielizny, mydło i ręcznik. Potem wyjęła kawałek sznurka z szuflady biurka i przywiązała worek do uchwyty walizki.

- Ach - powiedziała - nie wiem, co ludzie powiedzą. Pomyślą, że to moja wina, że źle się u mnie czułeś. A po tym, jak postąpiłeś z Glorią, mógłbyś przynajmniej się z nią dziś spotkać i pożegnać, i być miły, żeby jej nie było tak przykro.

- Ciężko się nam wszystkim żyje na tym świecie - powiedział Mosca. Pocałował ją znowu, a ona przywarła do niego, zanim zdążył wyjść.

- Czy wracasz do Niemiec z powodu tej dziewczyny?

Mosca zrozumiał, że jeśli przytaknie, zaspokoi próżność matki, która będzie wówczas przekonana, że to nie z jej winy wyjechał. Nie mógł jednak skłamać.

- Chyba nie - powiedział. - Zresztą ma już pewnie teraz innego żołnierza. - I powiedziawszy to głośno, całkiem szczerze, zdziwił się, że zabrzmiało to tak fałszywie, jak gdyby prawda była kłamstwem wypowiedzianym po to, by zranić matkę.

Pocałowała go i puściła. Na ulicy spojrzał w górę i zobaczył ją w zamkniętym oknie, z białą plamą chusteczki przy twarzy. Postawił walizki na ziemi i pomachał do niej. Zobaczył, że odeszła od okna. Przestraszył się, że zejdzie na dół i urządzi scenę na ulicy,

więc podniósł walizki i odszedł szybko w kierunku głównej ulicy, gdzie mógł złapać taksówkę.

Matka siedziała jednak na kanapie, płacząc ze wstydu, smutku i upokorzenia. W głębi serca wiedziała, że gdyby syn poległ na nieznannej ziemi, gdyby go pochowano w obcym kraju, pod białym krzyżem takim jak tysiące innych obok, odczuwałaby zapewne większy smutek. Nie czułaby wszakże wstydu, a z czasem pogodziłaby się z tym i w pewnej mierze byłaby dumna.

Nie byłoby tego palącego żalu, tej świadomości, że odszedł na zawsze, że jeśli umrze, nigdy nie zapłacze nad jego ciałem, nie pochowa go i nigdy nie przyniesie kwiatów na jego grób.

W pociągu, który wiozł go z powrotem do kraju wroga, drzemiący Mosca kiwał się wraz z ruchem wagonu. Na pół śpiąc powrócił na ławkę i wyciągnął się na niej. Leżąc usłyszał jęki ranionego mężczyzny i szcęknięcie zębami, bo śpiące ciało dopiero teraz reagowało na szaloną wściekłość świata. Mosca wstał i przeszedł do żołnierskiej połowy wagonu. Większość mężczyzn spała, widać było tylko jeden mały krąg światła, trzy płonące, obok siebie ustawione świece. Mulrooney chrapał, skulony na ławce, a dwóch żołnierzy, z karabinami leżącymi obok, grało w remika i popijało z niedużej butelki.

Mosca zapytał cicho:

- Może któryś z was, chłopcy, pożycz mi koc, tamtemu facetowi jest zimno.

Jeden z żołnierzy rzucił mu koc.

- Dzięki - powiedział Mosca.

Tamten wzruszył ramionami.

- I tak nie mogę spać, bo muszę pilnować tego gościa.

Mosca spojrział na śpiącego Mulrooneya. Jego twarz nie wyrażała niczego. Powoli otworzył oczy, popatrzył jak nieme zwierzę, i w tej właśnie chwili, zanim zamknął oczy, Mosca odniósł wrażenie, że go poznaje.

Pomyślał:

- Ty biedny głupcze.

Wrócił na miejsce, przykrył kocem pana Geralda i z powrotem wyciągnął się na ławce. Tym razem zasnął szybko. Spał bez snów, póki pociąg nie dotarł do Frankfurtu i

ktoś go nie obudził.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Poranne czerwcowe słońce oświetlało cały pozbawiony dachu dworzec przemieniając go w ogromny otwarty stadion. Wsiadłszy z pociągu Mosca wciągnął głęboko w płuca wiosenne powietrze, w którym czuć było drobny gryzący pył wzbijający się z gruzów i rumowisk miasta. Wzdłuż całego pociągu zobaczył grupki żołnierzy w oliwkowych mundurach, którzy formowali się w plutony. Wraz z innymi cywilami podążył za przewodnikiem do czekającego przed dworcem autobusu.

Poruszali się w tłumie jak zwycięzcy, tak jak dawniej bogaci pośród biedaków, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, wiedząc, że się inni przed nimi rozstąpią. Zwycięzeni, w wytartych ubraniach, wychudli i wymizerowani, wyglądali jak tłum mężczyzn i kobiet nawykłych do mieszkania w domach noclegowych i żywienia się w garkuchniach. Ustępowali z drogi ponuro, posłusznie, spoglądając zawistnie na dobrze ubranych i dobrze odżywionych Amerykanów.

Wyszli ze stacji na duży plac. Naprzeciwko znajdował się Klub Czerwonego Krzyża, na którego schodach już się rozsiedli żołnierze w oliwkowych mundurach. Plac otaczały odbudowane hotele mieszczące wojska okupacyjne i administrację. Mijały się tramwaje, a wojskowe autobusy i taksówki zapępiały szerokie ulice. Pomimo wczesnej pory na ławkach wokół stacji siedzieli żołnierze, a przy każdym *Fräulein* z nieodłączną walizką. Wszystko jest takie same, pomyślał Mosca, nic się nie zmieniło. Żołnierze wychodzili do pociągów, tak jak żony z podmiejskich miejscowości wychodzą na spotkanie dojeżdżającym do pracy mężom, wybierali sobie ładną dziewczynę i składali propozycje wyrażone w sposób mniej lub więcej brutalny. Można było spędzić noc na zimnej i brudnej stacji, śpiąc na ławce w oczekiwaniu na poranny pociąg; albo też dobry obiad, alkohol, papierosy, ciepłe łóżko. Mogła oczekiwać sporo przyjemności; w najgorszym wypadku, przy odrobinie ostrożności, paru przykrych chwil w ciągu nocy. Zazwyczaj dokonywały rozsądnego wyboru.

Na ulicach wokół placu roiło się od oszustów, szmuglerów, dzieci zastawiających sidła na ostrożnych żołnierzy, wychodzących ze sklepów wojskowych z kartonami cukierków, papierosów i mydła, z czujnymi oczyma, niczym starzy poszukiwacze złota dźwigający wory złotego piasku.

Czekając na wejście do autobusu, Mosca poczuł dłoń na ramieniu. Odwróciwszy



się ujrzał ciemną, kościstą twarz pod czapką Wehrmachtu, typowym męskim nakryciem głowy noszonym przez Niemców.

Młody człowiek odezwał się cichym, natarczywym głosem:

- Masz amerykańskie dolary? - Mosca potrząsnął głową, odwrócił się i znowu poczuł dłoń na ramieniu.

- Papierosy?

Mosca właśnie wsiadał do autobusu. Ręka chwyciła go za ramię bardziej natarczywie.

- Masz coś do sprzedania?

Mosca powiedział szorstko po niemiecku:

- Natychmiast zabierz łapy.

Mężczyzna cofnął się zaskoczony, a w jego oczach pojawiła się dumna pogarda i nienawiść. Mosca wszedł do autobusu i usiadł. Zobaczył, że mężczyzna patrzy na niego przez okno, na jego szare gabardynowe ubranie, biały przepych koszuli, pasmo barwy, które było krawatem. Czując na sobie ten pełen pogardy wzrok pomyślał nagle, że wolalby znowu nosić oliwkowy mundur.

Autobus powoli wyruszył sprzed stacji kolejowej i skierował się w jedną z wielu ulic wychodzących z placu. Przeniósł ich w inny świat. Poza głównym placem, stojącym niczym twierdza na pustyni, ruiny ciągnęły się jak okiem sięgnąć, pokryte jedynie florą resztek mieszkalnych, takich jak nadal stojąca ściana, drzwi prowadzące w pustkę, stalowy szkielet strzelający w niebo, z kawałkami cegły, zaprawy i szkła przyklejonymi doń jak kawałki rozdartego ciała.

Autobus wysadził większość cywilów na obrzeżach Frankfurtu, po czym jechał dalej z Moską i paroma oficerami do lotniska w Wiesbaden. Mosca był, obok pana Geralda, jedynym cywilem, który dostał stały przydział w Stanach. Inni musieli czekać we Frankfurcie na szczegółowe rozkazy.

Kiedy wreszcie sprawdzono jego dokumenty na lotnisku, okazało się, że na samolot do Bremy musiał czekać do popołudnia.

Gdy samolot opuścił lotnisko, nie czuł wcale wzlotu ponad ziemię, nie miał poczucia, że samolot może wylecieć poza krańce lądu, ani nawet że możliwa jest katastrofa. Obserwował przechyloną, nachylającą się ku niemu ziemię, która zdawała się

przybliżyć niczym zielono-brązowa ściana, a gdy samolot zatoczył łuk, ląd wydał się bezkresną i płaską doliną. Potem cała tajemniczość znikła, samolot bowiem osiągnął pułap, oni zaś patrzyli w dół jak z balkonu na płaskie pola kraciaste jak obrus.

Teraz, gdy był już tak blisko miejsca przeznaczenia, gdy powrót już się niemal dokonał, pomyślał o tych kilku miesiącach w domu z przykrym poczuciem pewnej winy wobec cierpliwości okazywanej mu przez rodzinę. Nie pragnął jednak nikogo z nich znów zobaczyć, natomiast, czując wzbierającą niecierpliwość z powodu powolności samolotu, jakby zawieszzonego na bezgranicznym, wiosennie czystym niebie, zdał sobie nagle sprawę, że prawda, którą powiedział matce, była kłamstwem, że przyczyną jego powrotu była ta niemiecka dziewczyna, jak mówiła matka, choć wracał nie licząc na jej odnalezienie, bez nadziei na ponowne zejście się ze sobą po tych miesiącach rozłąki - wracał, bo musiał wrócić do tego kraju. Nie spodziewał się, że będzie na niego czekała - było to mniej prawdopodobne, niż gdyby zostawił ją w głębi dżungli, kaleką, bez żywności, bezbronną wobec dzikich zwierząt. Poczł mdłości, jak gdyby trucizna wstydu i żalu wlewała mu się do krwi i ust. Ujrzał wyraźnie jej ciało, jej twarz, kolor jej włosów, wyobraził ją sobie wyraziście i świadomie po raz pierwszy, odkąd ją porzucił, i wreszcie, wyraźnie i konkretnie pomyślał jej imię, jak gdyby wypowiedział je na głos.

Twierdza policyjna wyleciała w powietrze tuż przed południem owego gorącego letniego ranka niemal rok temu i Mosca, siedząc w swoim jeepie w Hoch Allee poczuł, że ziemia się trzęsie. Oficer, na którego czekał, młody porucznik prosto ze Stanów, wyszedł kilka minut później i pojechali do kwatery głównej żandarmerii wojskowej na Skarpie. Ktoś im krzyknął wiadomość, więc pojechali do budynku policji. Policja wojskowa już zagroziła teren, jeepy i białe hełmy blokowały ulice prowadzące na plac. Porucznik pokazał kartę identyfikacyjną i przejechali.

Masywny, ciemnozielony budynek stał na niewielkim wzniesieniu na szczycie Am Wald Strasse. Był duży i kwadratowy, z wewnętrznym dziedzińcem do parkowania pojazdów. Niemieccy cywile tłumnie wychodzili główną bramą, z twarzami i ubraniami pokrytymi pyłem. Niektóre kobiety w szoku płakały histerycznie. Tłum odpychano od budynku, jednak sam budynek wydawał się cichy i nietknięty.

Mosca podążył za porucznikiem do jednego z małych bocznych wejść. Była to

brama zawalona gruzem niemal pod strop. Przepisnęli się na wewnętrzny dziedziniec.

Ogromny kwadratowy plac wypełniała góra gruzu. Widać było dachy samochodów: jeepów i ciężarówek, sterczące tu i ówdzie jak maszty zatopionych statków na mieliźnie. Eksplozja zniosła ściany powyżej trzeciego piętra, obnażając biurka, krzesła i zegary w pokojach biurowych na górnych piętrach.

Mosca usłyszał dźwięk, jakiego nie słyszał nigdy przedtem, dźwięk całkiem zwyczajny w dużych miastach tej części świata. Przez chwilę wydawało się, że napływa ze wszystkich stron naraz, niski, jednostajny, monotony zwierzęcy krzyk, niepodobny do ludzkiego. Umieścił go i pól idąc, pól przeciskając się między gruzem, przedostał się na prawą stronę placu; ujrzał tam gruby, czerwony kark objęty zielonym kołnierzem niemieckiego policyjnego munduru. Kark i głowa były sztywne i martwe, krzyk dobiegał spod ciała. Mosca i porucznik próbowali usunąć cegły, lecz gruz wciąż osuwał się na trupa. Porucznik przepisnął się z powrotem przez bramę, aby sprowadzić pomoc.

Teraz ratownicy zaczęli wypełniać dziedziniec, przedostając się przez liczne wejścia i schodząc po resztkach ścian. Lekarze wojskowi ze szpitali sztabowych w galowych mundurach, żołnierze, niemieccy noszowi i robotnicy, wszyscy zabrali się do odkopywania ciał. Mosca przepisnął się z powrotem przez bramę.

Na ulicy powietrze było czyste. Karetki ustawiły się długim rzędem, a naprzeciwko niemiecka straż pożarna stała w pogotowiu. Robotnicy już oczyszczali wejścia prowadzące na dziedziniec, ładując gruz na czekające ciężarówki. Na chodniku naprzeciw budynku ustawiono stolik służący za punkt dowodzenia. Ujrzał tam swojego pułkownika, czekającego cierpliwie, otoczonego grupką młodszych oficerów. Mosca zauważył z rozbawieniem, że wszyscy nosili stalowe hełmy. Jeden z oficerów skinął na niego.

- Idź i pilnuj naszego biura wywiadu - powiedział. Wręczył Mosce pas z pistoletem.  
- Jeśli będzie jeszcze jeden wybuch, uciekaj stamtąd jak najprędzej.

Mosca wszedł do budynku głównym wejściem. Schody były stertą ruin, więc wspinał się powoli, ostrożnie. Posuwał się korytarzem zerkając na strop i unikając tych miejsc, gdzie się załamywał.

Biuro wywiadu znajdowało się w połowie korytarza. Otworzywszy drzwi ujrzał, że została z niego tylko połowa pokoju, podczas gdy druga leżała w gruzach na dziedzińcu. Nie było tu już nic do pilnowania, poza jedną zamkniętą szafą z dokumentami. Ale miał

teraz piękny widok na dramat rozgrywający się na dole.

Usadowił się wygodnie na krześle, wyciągnął z kieszeni cygaro i zapalił. Jego stopa uderzyła w coś na podłodze, a spojrzawszy w dół ujrzał ze zdziwieniem dwie butelki piwa. Podniósł jedną: pokrywała ją skorupa tynku i kawałki cegły. Mosca otworzył butelkę o zamek w drzwiach i ponownie usadowił się na krześle.

Scena na dole, na dziedzińcu, była statyczna i w pełnym kurzu powietrzu wydawała się niemal jak ze snu. Obok ciała, które znalazł, niemieccy robotnicy ostrożnie, powolnymi ruchami usuwali cegły. Nad nimi tkwił cierpliwie i nieruchomo amerykański oficer, którego różowe spodnie i zieloną bluzę stopniowo pokrywał biały pył. Obok niego stał sierżant trzymając okrągły pojemnik z osoczem krwi. Ta sama scena powtarzała się na dziedzińcu, jak gdyby powielona ze sztancy. Nad wszystkim unosił się w słonecznym powietrzu pył ze sproszkowanego betonu, opadając łagodnie i barwiąc na biało ich włosy i ubrania.

Mosca popijał piwo i palił cygaro. Usłyszał, że ktoś idzie potykając się korytarzem, więc wyszedł z pokoju.

Długim korytarzem, który kończył się w miejscu, gdzie podłoga i sufit niemal się ze sobą stykały, nadciągała grupka Niemców i Niemek, wychodzących z ciemnych zakamarków budynku. Przeszli obok nie dostrzegając go, oślepli i słabi, zszokowani i przerażeni. Ostatnia szła drobna dziewczyna w narciarskich spodniach koloru khaki i w wełnianej bluzce. Potknęła się i upadła, a gdy nikt nie pospieszył jej na pomoc, Mosca wyszedł z pokoju i podniósł ją. Poszłaby dalej, lecz Mosca wyciągnął rękę z butelką piwa i zatrzymał ją.

Podniosła głowę, a Mosca ujrzał, że jej twarz i szyja są trupio blade, a oczy szeroko otwarte ze strachu.

- Proszę dać mi stąd wyjść - powiedziała ze łzami, po niemiecku.

Mosca opuścił ramię, więc poszła dalej korytarzem. Uszła jednak tylko kilka kroków, po czym zatoczyła się na ścianę i osunęła na ziemię.

Mosca pochylił się nad nią i ujrzał, że oczy ma otwarte. Nie wiedząc co robić, przytknął jej do ust butelkę piwa, lecz odsunęła ją.

- Nie - powiedziała po niemiecku - po prostu nie mogę iść, tak się boję.

Ledwo rozumiejąc, dosłyszał w tym nutę wstydu. Zapalił papierosa i włożył jej do

ust, potem podniósł chude ciało i zaniósł ją na krzesło w pokoju.

Mosca otworzył drugą butelkę piwa i tym razem trochę wypił. Scena na dole nabrała szybszego tempa. Lekarze nachylali się nad rannymi, ludzie trzymający pojemniki z osoczem klęczeli na gruzie. Noszowi powoli przedzierali się wśród ruin; trupy, spłaszczone, pokryte kurzem ciała wynoszono przez bramy.

Dziewczyna wstała z krzesła.

- Mogę już iść. - Ruszyła ku wyjściu, lecz Mosca stanął w drzwiach.

Swoją łamaną niemczyzną powiedział:

- Zaczekaj na mnie na zewnątrz.

Potrząsnęła głową.

- Musisz się napić - powiedział - sznapsa, prawdziwego, ciepłego sznapsa.

Znowu potrząsnęła głową.

- Żadne małe figle - powiedział po angielsku - uczciwie, słowo daję. Kpiąco przycisnął butelkę piwa do piersi.

Uśmiechnęła się i wyminęła go. Przyglądał się jej chudej postaci idącej powoli lecz pewnie korytarzem ku zasypanym gruzem schodom.

Tak się to właśnie zaczęło; trupy, zarówno zwycięzców, jak i wrogów, które wynoszono na dole, ceglany kurz osiadający na powiekach, i on, Mosca, poruszony do głębi i rozczulony widokiem jej kruchej postaci i chudej twarzy. Wieczorem w jego pokoju słuchali małego radjka, opróżnili butelkę likieru miętowego, a kiedy próbowała wyjść, zatrzymał ją pod byle pretekstem, póki nie nadeszła godzina policyjna i musiała zostać. Przez cały wieczór nie pozwoliła mu się pocałować.

Rozebrała się pod kołdrą, zaś on, dopaliwszy ostatniego papierosa i dopiwszy resztkę likieru, wreszcie położył się koło niej. Przyłgnęła do niego z namiętnością, która go zaskoczyła i zachwyciła. Wiele miesięcy później powiedziała mu, że nie była z mężczyzną prawie od roku, a kiedy się roześmiał, odezwała się ze smutnym uśmiechem:

- Jeśli to mówi mężczyzna, wszyscy go żałują; z kobiety się śmieją.

On jednak zrozumiał tę ich pierwszą noc i zrozumiał też znacznie więcej. Że się go bała, jako wroga lecz że łagodna muzyka radiowa, ciepły likier, cenne i uspokajające papierosy, grube kanapki, które kupił od sierżanta z kasyna... luksusy, których nie zaznała od tak dawna, wszystko to połączyło się z cielesnym pożądaniem, więc prowadzili grę na

czas aż do momentu, gdy wiedzieli, że już jest za późno, by mogła wyjść. Było to wszystko bezosobowe, lecz świadomość tego niczego nie zepsuła, być może dlatego, iż fizycznie do siebie pasowali; noc stała się długim ciągiem zmysłowej rozkoszy, a nad ranem, tuż przed świtem, gdy ona spała, a on palił, Mosca pomyślał:

- Muszę ją zatrzymać. - I pomyślał ze współczuciem, czułością i niejakim wstydem o tym, jak ukarał jej kruche ciało i jak napotkał w nim nieoczekiwaną, sprężystą siłę.

Kiedy Hella obudziła się później, wystraszona, przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Potem odczuła wstyd, iż poddała się tak łatwo, tak lekko, i w dodatku wrogowi. Wszakże jej nogi splecione z jego nogami w wąskim łóżku dostarczały jej ciała ciepłych doznań zmysłowych. Podniosła się na łokciu, by spojrzeć na jego twarz, uświadomiwszy sobie ze wstydem, że właściwie go nie pamiętała, że nie wiedziała, jak naprawdę wygląda.

Usta wroga były wąskie i niemal ascetyczne, twarz pociągła i wyrazista, nie odprężona nawet we śnie. Spał sztywno, z ciałem wyciągniętym na wąskim łóżku, spał tak cicho, niemal nie oddychając, iż zastanawiała się, czy nie udaje i czy nie przygląda się, jak ona go obserwuje.

Hella wstała z łóżka jak najciszej i ubrała się. Była głodna, więc ujrzawszy na stole papierosy Moski, wzięła jednego i zapaliła. Smakował wspaniale. Wyjrzała przez okno, a nie słysząc żadnego odgłosu z ulicy w dole uświadomiła sobie, że jest jeszcze bardzo wcześnie. Miała zamiar wyjść, lecz spodziewała się, że Mosca ma w pokoju jakąś konserwę i poczęstuje ją, gdy się obudzi. Pomyślała, że smutnym poczuciem wstydu, ale też przyjemności, że z pewnością na to zarobiła.

Spojrzała na łóżko. Zaskoczyło ją, że Amerykanin miał oczy otwarte i spokojnie ją obserwował. Wstała, odczuwając śmieszne zawstydzenie, i wyciągnęła rękę, by się pożegnać. Roześmiał się, wyciągnął ramię i pociągnął ją na łóżko. Powiedział drwiąco po angielsku:

- Jesteśmy zbyt dobrymi przyjaciółmi.

Nie zrozumiała, lecz wiedziała, że żartuje z niej, więc się rozgniewała. Powiedziała po niemiecku:

- Muszę iść.

On jednak nie puścił jej ręki.

- Papierosa - powiedział.

Zapaliła dla niego. Gdy usiadł na łóżku, żeby zapalić, prześcieradła osunęły się z jego ciała, ona zaś ujrzała białą chropowatą bliznę biegnącą od pachwiny po sutkę piersi.

Zapytała po niemiecku:

- Wojna?

Roześmiał się, wskazał na nią i powiedział:

- Wy.

Hella miała przez chwilę wrażenie, że oskarża ją osobiście, więc odwróciła głowę, aby nie widzieć.

Spróbował swej łamanej niemczyzny.

- Jesteś głodna? - zapytał.

Skinęła głową. Wyskoczył nago z łóżka. Gdy się ubierał, odwróciła wzrok, ze skromnością, która Mosce wydała się bardzo zabawna.

Gdy był gotów do wyjścia, pocałował ją delikatnie i powiedział po niemiecku:

- Wracaj do łóżka.

Nie okazała w żaden sposób, że zrozumiała, lecz widział, że tak, ale z jakiegoś powodu nie dała tego poznać. Wzruszył ramionami i wyszedł. Zbiegł po schodach i pobiegł na parking. Pojechał do kasyna, wziął menażkę kawy i kanapki ze smażonymi jajkami. Gdy wrócił do pokoju, zastał ją siedzącą przy oknie, ubraną. Dał jej jedzenie, potem oboje wypili z menażki. Podała mu kanapkę, lecz potrząsnęła głową. Ubawiło go, zawahała się, ale nie zaoferowała jej ponownie.

- Przyjdiesz dziś wieczór? - zapytał po niemiecku.

Potrząsnęła głową. Spojrzeli na siebie: na jego twarzy nie było śladu uczucia. Wiedziała, że nie poprosi jej po raz drugi, że był gotów wymazać ją z pamięci, pozbawić całkowicie znaczenia tę noc, którą spędzili ze sobą. Ponieważ podrażniło to jej próżność i ponieważ okazał się czułym kochankiem, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jutro. - Wypiła ostatni łyk kawy, pochyliła się, by go pocałować, i wyszła.

Powiedziała mu to wszystko w jakiś czas potem. Trzy miesiące później, cztery miesiące? Długi okres zadowolenia, swobody, rozkoszy fizycznej i przyjemności. Zaś pewnego dnia, wróciwszy do pokoju, zastał ją w klasycznej małżeńskiej pozie, cerującą

wielką splątana stertę skarpetek.

- Ach - powiedział po niemiecku - jaka dobra *Hausfrau*.

Hella uśmiechnęła się nieśmiało i spojrzała na niego, jak gdyby chciała zgłębić jego myśli, sprawdzić, jakie wrażenie zrobiła na nim ta scena. To był początek jej akcji zmierzającej do tego, by jej nie porzucił, by został z nią w kraju wroga, z nią, która także była wrogiem. Rozumiał to, lecz nie miał jej tego za złe.

A potem wypróbowane natarcie frontalne, śmiercionośna broń: ciąża. Nie odczuwał jednak ani pogardy, ani współczucia, a jedynie rozdrażnienie.

- Pozbądź się tego - powiedział. - Pójdziemy do dobrego lekarza.

Hella potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała - chcę je mieć.

Mosca wzruszył ramionami.

- Wracam do domu, nic mnie nie może powstrzymać.

- W porządku - powiedziała.

Nie błagała go. Oddała mu się całkowicie, aż pewnego dnia powiedział jej, choć wiedział, że kłamie:

- Ja wrócę.

Przyjrzała mu się uważnie, zrozumiała, że kłamie, a on zrozumiał, że ona wie. I na tym polegał jego błąd. Ponieważ potem powtarzał to kłamstwo, czasem z pijackim zapalem, póki oboje w nie nie uwierzyli, ona z wrodzoną, upartą wiarą, gdyż w wielu sprawach okazywała upór.

Gdy ostatniego dnia wrócił do swego pokoju, stwierdził, że spakowała jego sukienki worek. Stał pionowo przy oknie, jak wypchany zielony manekin. Było popołudnie i pokój wypełniało chłodne, cytrynowe, październikowe słońce. Ciężarówka do portu miała odjechać po kolacji.

Odczuwał lęk, że będzie musiał tyle czasu z nią spędzić, więc powiedział:

- Chodźmy się przejść.

Potrząsnęła głową.

Przywołała go skinieniem. Rozebrali się oboje. Dostrzegł niewielką wypukłość tam, gdzie było dziecko. Nie odczuwał pożądania, lecz zmusił się, aż pożądanie przyszło, a wówczas jej gwałtowna namiętność zawstydzila go. Gdy nadeszła pora kolacji, ubrał się i



pomógł jej się ubrać.

- Chcę, żebyś teraz odeszła - powiedział. - Nie chcę, żebyś czekała na ciężarówkę.

- Dobrze - powiedziała pokornie, zgarnęła swoje ubrania i włożyła do swojej walizeczki.

Nim wyszła, oddał jej wszystkie papierosy i wszystkie niemieckie pieniądze, po czym razem wyszli z budynku. Na ulicy powiedział:

- Do widzenia - i pocałował ją.

Zauważył, że nie może mówić, że łzy spływają jej po twarzy, lecz poszła prosto przed siebie ulicą, wzdłuż Skarpy do Am Wald Strasse, niczego nie widząc, nie odwróciwszy się.

Patrzył za nią, póki nie zniknęła mu z oczu, sądząc, że widzi ją po raz ostatni, czując pewną ulgę, że już po wszystkim, i tak łatwo, bez żadnych scen. Potem przypomniał sobie, co mu powiedziała kilka dni wcześniej, a nie mógł wątpić w jej szczerłość.

- Nie martw się o mnie ani o dziecko - powiedziała. - Nie czuj się winny z tego powodu. Jeśli nie wrócisz, dziecko da mi szczęście, będzie mi przypominać o tym, jacy byliśmy ze sobą szczęśliwi. I nie wracaj do mnie, jeśli nie będziesz chciał.

Rozzłościła go jej, jak sądził, fałszywa szlachetność, lecz ona mówiła dalej:

- Będę na ciebie czekała przynajmniej rok, może dwa. Ale jeśli nie wrócisz, będę szczęśliwa. Znajdę sobie innego mężczyznę i ułożę sobie życie, tak to już jest. I nie boję się, nie boję się urodzić dziecka ani sama je wychować. Czy rozumiesz, że się nie boję?

To zrozumiał. Że nie bała się żadnego bólu czy smutku, jaki mógł jej sprawić, ani okrucieństwa i braku czułości, jakie go teraz cechowały. Najbardziej jednak zazdrościł jej, czego nie rozumiała, że nie bała się swej wewnętrznej istoty, że przyjmowała okrucieństwo i wściekłość otaczającego świata, że zachowała wiarę w dawanie miłości i że bardziej współczuła jemu niż sobie.

Brazowo-zielona ściana przechyliła się, zasłaniając mu widok, a jakby na równi z nim leżały na boku grupy budynków i prostokąci, które były ludźmi. Samolot wyrównał i Mosca zobaczył schludny zarys lotniska, małe zgrupowania budynków, które były hangarami, i długi, niski, lśniący bielą w słońcu budynek administracji. W oddali dostrzegł nierówne zarysy kilku wysokich, nie zniszczonych budynków w Bremie. Poczuł, że koła

osiadają na ziemi, ostrożnie i nieufnie. Ogarnęło go niecierpliwe pragnienie, by opuścić samolot i czekać przed drzwiami na Hellę. W tej chwili, gdy szykował się do opuszczenia samolotu, był pewien, że będzie na niego czekała.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Mosca dał swe walizki niemieckiemu bagażowemu, który je wyniósł z samolotu. Dostrzegł Eddiego Cassina, idącego mu na spotkanie po pochylni lotniska. Podali sobie ręce, a Eddie Cassin powiedział spokojnym, starannie modulowanym głosem, który brzmiał szczerze i którego zawsze używał, gdy czuł się nieswojo:

- Dobrze, że znowu tu jesteś, Walterze.

- Dzięki za załatwienie pracy i za potrzebne papiery - powiedział Mosca.

- To głupstwo - powiedział Eddie Cassin. - Warto mieć znowu kogoś ze starej paczki. Świetnie się bawiliśmy, Walterze. - Podniósł jedną z jego walizek; Mosca wziął drugą i niebieski sukienny worek, po czym razem odeszli pochylnią z pola startowego.

- Pójdziemy do mojego biura, napijemy się i poznasz paru chłopców - powiedział Eddie Cassin. Wolnym ramieniem objął na chwilę Moskę i odezwał się swym naturalnym głosem: - Ty stary draniu, wiesz, naprawdę się cieszę, że cię znów widzę. - I Mosca miał poczucie, czego nie odczuwał przy poprzednim powrocie do domu, że przyjechał naprawdę, że dotarł na miejsce przeznaczenia.

Wzdłuż drucianej siatki doszli do niewielkiego budynku z cegły, stojącego w pewnej odległości od pozostałych urządzeń bazy.

- Jestem tu panem i władcą - powiedział Eddie. - Wydział Personelu Cywilnego, a ja jestem asystentem kierownika, który cały czas lata w powietrzu. Pięciuset szkopów uważa mnie za boga, a sto pięćdziesiąt z nich to kobiety. No i jak ci się to podoba, Walterze?

Budynek był parterowy. Znajdował się tam duży pokój biurowy pełen uwijających się niemieckich urzędników, cierpliwego tłumu innych Niemców, którzy czekali na rozmowę w sprawie pracy dla mechaników w garażach, podkuchennych w kasynach, sprzedawców w kantynach wojskowych. Byli tam gburowaci mężczyźni, stare kobiety, młodzi mężczyźni i mnóstwo młodych dziewcząt, niektóre bardzo ładne. Wszyscy śledzili wzrokiem Eddiego.

Eddie otworzył drzwi do drugiego biura. Znajdowały się tu dwa złączone biurka, tak że pracujące przy nich osoby mogły nawzajem na siebie patrzeć. Jedno biurko było całkowicie puste, z wyjątkiem zielono-białej tabliczki z napisem: „Por. A. Forte, kier. WPC” oraz schludnego pliku dokumentów do podpisu. Na drugim biurku znajdowały się

dwa podwójne pojemniki zawałone papierami. Ledwo widoczna spod porozrzucanych na biurku innych papierów mała tabliczka nosiła napis: „P. Eddie Cassin, asyst., WPC”. W kącie pokoju znajdowało się biurko, przy którym pisała na maszynie wysoka i bardzo brzydka dziewczyna. Przerwała pracę tylko po to, by powiedzieć:

- Dzwonił pułkownik, chce, żeby pan do niego zadzwonił.

Eddie mrugnął na Moskę i podniósł telefon. Gdy rozmawiał, Mosca zapalił papierosa i próbował się odprężyć. Starał się nie myśleć o Helli, toteż przyjrzał się Eddiemu. Eddie się nie zmienił, pomyślał. Siwe, kręcone włosy okalały delikatne choć zdecydowane rysy. Usta miał wrażliwe jak u dziewczyny, lecz nos długi i władczy oraz stanowczy zarys szczęki. Oczy kryły się pod ciężkimi powiekami, co nadawało mu wygląd zmysłowy. Wydawało się, że jego skóra zabarwiła się od siwych, obfitych włosów. Sprawiał jednak młodzieńcze wrażenie, miał w sobie szczerą, niemal naiwną serdeczność. Mosca wiedział jednak, że gdy Eddie Cassin jest pijany, jego wrażliwe i delikatnie wykrojone usta wykrzywają się brzydko, twarz szarzeje, starzeje się i zieleje złością. A ponieważ za tą złością nie stoi siła i ponieważ mężczyźni często się z niej śmieją, tak jak Mosca często się śmiał, to złość wyładowuje się, słownie i fizycznie, na kobiecie, która jest wówczas jego towarzyszką czy kochanką. Miał ustaloną opinię co do Eddiego Cassina; sfiksowany drań wobec kobiet i wstrętny pijak, ale poza tym miły facet, który wszystko zrobi dla przyjaciela. Eddie był na tyle mądry, że nigdy nie dobierał się do Helli. Miał ochotę zapytać go, czy widział Hellę lub czy wie, co się z nią stało, lecz nie mógł się na to zdobyć.

Eddie Cassin odłożył telefon i otworzył szufladę biurka, wyjął butelkę ginu i puszkę soku grejpfrutowego. Zwrócił się do maszynistki mówiąc:

- Ingeborg, idź umyć szklanki.

Wzięła parę szklanek, puste opakowania po serze topionym i wyszła z pokoju. Eddie Cassin podszedł do drzwi wiodących do jeszcze mniejszego pokoju z tyłu.

- Chodź, Walterze, chcę, żebyś poznał paru moich przyjaciół.

W następnym pokoju niski, tęgi mężczyzna o ziemistej twarzy, w takim samym oliwkowym mundurze jak ten, który nosił Eddie, stał obok biurka, z nogą na poprzeczce krzesła, tak pochylony, że jego brzuch wspierał się o udo. W rękę trzymał *Fragebogen*, czyli kwestionariusz, i uważnie go studiował. Przed nim, wyprostowany na baczność, stał

niski, przysadzisty Niemiec, z nieodłączną szaro-zieloną czapką Wehrmachtu pod pachą. Przy oknie siedział wysoki Amerykanin, cywil, z długą szczęką i małymi kwadratowymi ustami ogorzałego amerykańskiego farmera, z którego promieniowała egocentryczna siła.

- Wolf - odezwał się Eddie do grubasa - to jest mój stary kumpel, Walter Mosca. Walterze, to nasz facet ze służb bezpieczeństwa. Sprawdza szkopów, zanim się ich zatrudni w bazie.

Gdy uścisnęli sobie ręce, Eddie ciągnął dalej:

- Ten facet pod oknem to Gordon Middleton. Nie ma pracy, więc przydzielono go nam do pomocy. Pułkownik stara się go pozbyć i dlatego właśnie nie dostał niczego konkretnego do roboty.

Middleton nie wstał z krzesła, by mu podać rękę, więc Mosca skinął głową, zaś tamten w odpowiedzi zamachał długim jak u stracha na wróble ramieniem.

Wolf pokazał palcem na drzwi i kazał Niemcowi, nadal stojącemu na baczność, poczekać na zewnątrz. Niemiec strzelił obcasami, uklonił się i pospiesznie wyszedł. Wolf roześmiał się i z pogardliwym gestem cisnął *Fragebogen* na biurko.

- Nigdy nie był w partii, nigdy nie był w SA, nigdy w Hitlerjugend. Boże, cóż dałbym za spotkanie z nazistą.

Wszyscy się roześmiali. Eddie ze zrozumieniem skinął głową.

- Oni wszyscy mówią to samo. Słuchaj, Wolf, Walter to facet, który ci przypadnie do serca. Dawał wycisk szkopom, gdy byliśmy razem w żandarmerii.

- Naprawdę? - Wolf uniósł płową brew. - To jedyny sposób.

- Mieliśmy duży problem w żandarmerii - powiedział Eddie. - Szkopy dostarczały węgiel wszystkim niemieckim instytucjom, ale gdy trzeba było dostarczyć go do żydowskich obozów przesiedleńczych w Grohn w sobotę, to albo się psuły ciężarówki, albo szkop, który zarządzał węglem, powiadał, że go zabrakło. Ten chłopak rozwiązał ten problem.

- Chciałbym usłyszeć, w jaki sposób - powiedział Wolf. Mówił gładko i przymilnie, niemal służalczo, i miał zwyczaj kiwania głową dla zapewnienia rozmówcy, że wszystko rozumie.

Ingeborg przyniosła szklanki, butelkę i sok owocowy. Eddie nalał cztery drinki, jeden bez ginu. Podał go Gordonowi Middletonowi.

- Jedyne człowiek w siłach okupacyjnych, który nie uprawia hazardu, nie pije i nie uganiania się za kobietami. Dlatego też pułkownik pragnie się go pozbyć. Robi złe wrażenie na szkopach.

- Posłuchajmy tej historii - powiedział Gordon. W jego niskim, powolnym głosie brzmiał wyrzut, acz łagodny i wyrozumiały.

- No więc - zaczął Eddie - Mosca musiał jeździć w każdą sobotę cholernie daleko do obozu, żeby węgiel tam na pewno dotarł. Jednej soboty grał w kości i ciężarówka pojechały same. Nie dowieźli węgla. Zbesztano go solidnie. Nigdy tego nie zapomnę. Zawiozłem go do miejsca, gdzie zepsuły się ciężarówka, a on palnął mówkę do kierowców.

Mosca oparł się o biurko, zapalił cygaro i pykał nerwowo. Pamiętał to zdarzenie i wiedział, jaką opowieść zrobi z tego Eddie. Stworzy z niego twardziela, a to wcale tak nie było. Powiedział kierowcom, że jeśli nie chcą jechać, dopilnuje, żeby ich zwolniono. Ale jeśli chcą zatrzymać pracę, to muszą dostarczyć węgiel do obozu przesiedleńców, choćby go mieli dźwigać na własnych plecach. Jeden kierowca odszedł, Mosca zapisał jego nazwisko i poczęstował resztę papierosami. Eddie przedstawiał to, jak gdyby dał wszystkim straszliwy wycisk.

- Potem poszedł do domu kierownika od węgla i porozmawiał sobie z nim po angielsku. Gdy skończył, szkop miał pełne portki. Potem rznął w kości w każdą sobotę, a węgiel docierał do obozu. To się nazywa administrator. - Eddie z uznaniem pokiwał głową.

Wolf kiwał głową ze zrozumieniem i aprobatą.

- Właśnie czegoś takiego nam tutaj potrzeba - powiedział. - Te szkopy robią, co chcą.

- Teraz nie mógłbyś tak postąpić, Walterze - powiedział Eddie.

- Tak, dochodzimy do szkopskiej demokracji - powiedział Wolf tak kwaśno, że Mosca i Eddie roześmiali się, i nawet Middleton się uśmiechnął.

Przez chwilę popijali drinki, po czym Eddie wstał, by popatrzeć przez okno na kobietę przechodzącą tamtędy ku bramie wyjściowej.

- Ale ładna dziurka - powiedział. - Chcielibyście spróbować?

- Oto pytanie do *Fragebogen* - powiedział Wolf, a gdy miał zamiar coś jeszcze dodać, drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się gwałtownie, a do pokoju wepchnięto wysokiego, jasnowłosego chłopca. Miał skute ręce i płakał. Za nim weszło dwóch niskich

mężczyzn w ciemnych luźnych ubraniach. Jeden z nich wysunął się do przodu.

- Herr Dolman - powiedział - złapaliśmy osobę, która kradła mydło.

Wolf wybuchnął śmiechem.

- Mydlany bandyta - wyjaśnił Eddiemu i Mosce. - Ginęło nam mnóstwo mydeł z Czerwonego Krzyża, które mieliśmy dawać niemieckim dzieciom. Ci ludzie to detektywi z miasta.

Jeden z mężczyzn zaczął otwierać kajdanki. Podsunął palec wskazujący chłopcu pod nos, niemal ojcowskim gestem i powiedział:

- Tylko bez głupich żartów, co?

Chłopiec skinął głową.

- Zostaw je - powiedział ostro Wolf. Detektyw cofnął się.

Wolf podszedł do chłopca i szarpnął w górę jasną głowę.

- Wiedziałeś, że to mydło było przeznaczone dla niemieckich dzieci?

Chłopiec opuścił głowę i nie odpowiedział.

- Pracowałeś tutaj, ufano ci. Już nigdy nie będziesz pracował dla Amerykanów. Jeśli jednak podpiszesz przyznanie się do winy, nie wniesiemy sprawy. Zgadzasz się?

Chłopiec skinął głową.

- Ingeborg - zawołał Wolf. Weszła niemiecka maszynistka. Wolf zwrócił się do dwóch mężczyzn. - Zabierzcie go do drugiego pokoju, dziewczyna wie, co robić. - Zwrócił się do Eddiego i Moski. - To zbyt łatwe - uśmiechnął się przyjaźnie. - Ale oszczędza wszystkim kłopotu, a dzieciak dostanie swoich sześć miesięcy.

Mosca, któremu właściwie nie zależało, powiedział:

- Cholera, obiecałeś go wypuścić.

Wolf wzruszył ramionami.

- Dobra, wypuszczam go, ale dostaną go niemieckie gliny za działalność czarnorynkową. Współpracuję z szefem policji w Bremie, to mój stary przyjaciel.

- Tak działa sprawiedliwość - mruknął Eddie. - Co z tego, że dzieciak ukradł trochę mydła - wypuść go.

Wolf uciął szybko:

- Nie mogę, rozkradliby nas ze szczętem. - Włożył czapkę. - No, mam przed sobą pracowity wieczór. Muszę dokładnie zrewidować personel kuchni, zanim opuszczą bazę. -

Uśmiechnął się szeroko. - Przyjeżdża policjantka z Bremy z parą dużych gumowych rękawiczek i z kostką wojskowego mydła, żeby zrewidować personel kobiecy. Powinnicie zobaczyć, gdzie te kobiety ukrywają porcję masła. Tfu. - Splunął. - Mam nadzieję, że nigdy aż tak nie zgłodnieję.

Po wyjściu Wolfa Gordon Middleton wstał i powiedział lakonicznie swym głębokim głosem:

- Pułkownik go lubi. - Uśmiechnął się do Moski łagodnie, jak gdyby to go bawiło i nie oburzało. Przed wyjściem z biura powiedział do Eddiego: - Chyba złapię wczesny autobus do domu, a do Moski, po prostu i przyjaźnie: - Do zobaczenia, Walterze.

Skończył się dzień pracy. Mosca ujrzał przez okno niemieckich robotników, którzy gromadzili się przy bramie, czekając na zrewidowanie i sprawdzenie przez policję wojskową, zanim będą mogli opuścić teren bazy lotniczej. Eddie podszedł do okna i stanął obok.

- Myślę, że chcesz iść do miasta i poszukać swojej dziewczyny - odezwał się Eddie i uśmiechnął uśmiechem niemal kobiecym, pełnym słodyczy i wahania na delikatnie wykrojonych wargach. - Dlatego postarałem się znaleźć ci tu pracę, gdy napisałeś. Domyśliłem się, że to musi być ta dziewczyna. Prawda?

- Nie wiem - odpowiedział Mosca. - Częściowo chyba tak.

- Czy chcesz najpierw załatwić kwaterę w mieście, a potem wpaść do niej? Czy pojechać do niej teraz?

- Załatwmy najpierw kwaterę - powiedział Mosca.

Eddie roześmiał się.

- Jeśli pojedziesz teraz, zastaniesz ją w domu. Zanim załatwimy kwaterę, nie zdążysz do niej przed ósmą. Może jej już nie być w domu. - Mówiąc to uważnie obserwował Moscę.

- To mój pech - powiedział Mosca.

Każdy wziął walizkę i wyszli z budynku do zaparkowanego przez Eddiego jeepa. Przed uruchomieniem silnika Eddie zwrócił się do Moski i powiedział:

- Ty się o to nie spytasz, ale i tak ci powiem. Nigdy jej nie widziałem w żadnych oficerskich czy żołnierskich klubach, ani z żadnym żołnierzem. W ogóle nigdy jej nie widziałem. - Po chwili dodał chytrze: - I chyba nie życzyłbyś sobie, żeby do niej wpaść.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy jechali przez Neustadt, a potem przez most do właściwej Bremy, Mosca ujrział pierwszy z zapamiętanych charakterystycznych budynków. Była to wieża kościelna, mury niczym twarz zżarta chorobą, smukłe pasmo kamienia i tynku - dźwigające iglicę ku niebu. Następnie minęli masywną twierdzę policyjną, której ciemnozielone ściany nadal nosiły białe blizny po wybuchu. Jechali przez Schwachhauser Heer Strasse na drugi koniec Bremy, gdzie kiedyś znajdowały się modne podmiejskie dzielnice i gdzie teraz w domach niemal nietkniętych przez wojnę urządzono kwatery i mieszkania dla wojsk okupacyjnych.

Mosca myślał o mężczyźnie siedzącym obok. Eddie Cassin nie był romantycznym facetem. Z tego, co o nim wiedział, było wręcz przeciwnie. W czasie służby w wojsku, Eddie znalazł w mieście młodziutką, dobrze rozwiniętą Belgijkę, śliczną jak dreźnieńska laleczka. Umieścił ją w pokoiku bez okna na swej kwaterze i urządził przyjęcie. Dziewczyna obsługiwała trzydziestu paru żołnierzy w kwaterze, nie opuszczając pokoju przez trzy dni. Mężczyźni grali w karty w przedpokoju i kuchni, czekając na swoją kolejkę. Dziewczyna była tak śliczna i tak życzliwa, że rozpieszczali ją tak, jak mężowie rozpieszczają ciężarne żony. Podwędzali skądś jajka, bekon i szynkę i na zmianę przyrządzali jej śniadanie. Przynosili paczki z żywnością z kasyna na obiad i kolację. Śmiała się i żartowała, siedząc nago w łóżku i jedząc z tacy. O każdej porze był ktoś w jej pokoju, a ona wszystkim okazywała uczucie. Upierała się tylko przy jednym. Eddie Cassin musiał ją odwiedzać codziennie przynajmniej przez godzinę. Nazywała go Tata.

- Była zbyt śliczna, bym mógł ją zatrzymać dla siebie - powiedział kiedyś Eddie. Mosca jednak pamiętał nutę nikczemnego zadowolenia w jego głosie.

Skręcili z Kurfürsten Allee w Metzger Strasse i jechali w popołudniowym cieniu rzucanym przez długie rzędy rozłożystych liściastych drzew. Eddie zaparkował przed trzypiętrowym, nowym budynkiem z cegły, z niewielkim trawnikiem.

- To - powiedział - najlepsza w całej Bremie kwatera dla nieżonatych Amerykanów.

Letnie słońce nadawało cegle barwę ciemnej czerwieni, a ulica pogrążała się w cieniu. Mosca wziął dwie walizki i sportowy worek, a Eddie Cassin poszedł przed nim alejką. Przy drzwiach spotkali niemiecką gospodynię.

- To Frau Meyer - powiedział Eddie Cassin i objął ją w pasie.

Frau Meyer była kobietą około czterdziestki, niemal platynową blondynką ze wspaniałą figurą ukształtowaną przez lata pracy w charakterze instruktorki pływania w *Bunddeutscher Mädel*. Jej twarz miała przyjazny choć rozwiązły wyraz, podkreślony przez duże, białe końskie zęby.

Mosca skinął głową, ona zaś powiedziała:

- Miło mi pana poznać, panie Mosca. Eddie tyle mi o panu opowiadał.

Weszli po schodach na drugie piętro, Frau Meyer otworzyła drzwi do jednego z pokoi i oddała klucz Mosce. Pokój był bardzo duży. W jednym kącie znajdowało się wąskie łóżko, a w drugim ogromna, biała, malowana szafa. Dwa duże okna wpuszczały do wnętrza gasnące słońce i wzbierający długi letni zmierzch. Reszta pokoju była pusta.

Mosca postawił obie walizki na podłodze, a Eddie usiadł na łóżku. Odezwał się do Frau Meyer:

- Zawołaj Jergena.

Frau Meyer powiedziała:

- Przyniosę też pościel i koce.

Usłyszeli, jak idzie na górę po schodach.

- Nie wygląda to najlepiej - odezwał się Mosca.

Eddie Cassin uśmiechnął się.

- W tym domu mamy czarodzieja. To ten facet Jergen. On wszystko załatwi.

Gdy czekali, Eddie opowiedział Mosce o kwaterze. Frau Meyer była dobrą gospodynią, pilnowała, żeby zawsze była ciepła woda, żeby osiem pokojówek dokładnie sprzątało oraz (na podstawie specjalnego porozumienia z Frau Meyer) żeby pranie było porządnie zrobione. Ona sama mieszkała w dwóch dobrze umeblowanych pokojach na poddaszu.

- Spędza tam większość czasu - ciągnął Eddie - ale chyba dupczy się z Jergenem na boku. Mój pokój jest piętro niżej, więc dzięki Bogu nie będziemy mogli się nawzajem kontrolować.

Mosca, coraz bardziej zniecierpliwiony w miarę gęstniejącego mroku, słuchał, jak Eddie rozprawia o kwaterze niczym jej właściciel. Mówił, że Jergen jest niezbędny Amerykanom zakwaterowanym przy Metzer Strasse. Potrafi tak naprawić pompę wodną, że nawet na najwyższym piętrze można brać kąpiel. Robił skrzynki na porcelanę, którą

Amerykanie posyłali do domu, i pakował ją tak zręcznie, że wdzięczni krewni w Ameryce nigdy nie skarżyli się, iż się potłukła. Jergen i Frau Meyer tworzyli zgrany zespół. Tylko Eddie wiedział, że w dzień ostrożnie okradali pokoje. Z jednego parę gatek, z innego parę skarpet, a z jeszcze innego kilka ręczników lub chusteczek. Amerykanie byli niedbali i nie liczyli skrupulatnie swego dobytku. Z pokoju tych najbardziej niedbałych ginęła paczka lub pół paczki papierosów. Wszystko to odbywało się dyskretnie. Pokojówki, które sprzątały pokoje, zmuszano do uczciwości surową dyscypliną.

- Na litość boską - powiedział Mosca - wiesz, że mi się spieszy. Pogoń tych szkopów.

Eddie podszedł do drzwi i wrzasnął:

- Hej, Meyer, rusz się. - Po czym zwrócił się do Moski: - Przypuszczalnie odstawiła szybki numer z Jergenem. Uwielbia to. - Usłyszeli, jak schodzi po schodach.

Weszła z naręczem pościeli, a za nią Jergen. W ręce miał młotek, a w ustach parę gwoździ. Był to niski, szczupły i krzepki Niemiec w średnim wieku, ubrany w spodnie robocze i amerykańską wojskową koszulę koloru khaki. Emanował fachowością i godnością, co wzbudzałoby ufność i zaufanie, gdyby nie obwisła i pomarszczona skóra pod oczyma, nadająca mu wyraz sprytniej przebiegłości.

Uścisnął rękę Eddiego Cassina, po czym wyciągnął ją ku Mosce. Ten uścisnął ją z uprzejmości.

Okupacja staje się naprawdę przyjazna - pomyślał.

- Jestem tu „chłopcem do wszystkiego” - powiedział Jergen. Wypowiedział ten zwrot z namiętnym upodobaniem. - Jeśli pan chce coś załatwić, proszę mnie po prostu wezwać.

- Potrzebuję większego łóżka - powiedział Mosca - trochę mebli, radio i jeszcze jakichś rzeczy, o których później pomyślę.

Jergen odpiął guzik przy koszuli khaki i wyciągnął ołówek.

- Oczywiście - powiedział żwawo - bardzo marnie meblują te pokoje. Przepisy. Ale pomogłem pańskim kolegom. Duże czy małe radio?

- Ile? - zapytał Mosca.

- Pięć do dziesięciu kartonów.

- W pieniądzech - powiedział Mosca. - Nie mam papierosów.

- Dolary amerykańskie czy okupacyjne?

- Przekazy pieniężne.

- Policzmy - powiedział powoli Jergen - sądzę, że potrzebne panu radio, parę lamp stołowych, cztery lub pięć krzeseł, kanapa i duże łóżko. Zdobędę je dla pana, o cenie porozmawiamy później. Jeśli nie ma pan teraz papierosów, mogę poczekać. Jestem człowiekiem interesu, wiem, kiedy udzielić kredytu. Poza tym, jest pan przyjacielem pana Cassina.

- Świetnie - powiedział Mosca. Rozebrał się do pasa i otworzył niebieski sportowy worek, by wyjąć mydło i ręcznik.

- I jeśli pan chce kogoś do prania, proszę mi dać znać. Wydam polecenie pokojówce. - Frau Meyer uśmiechnęła się do niego.

Podobał się jej jego długi tors z dekoracyjną blizną, która, jak się domyśliła, biegła aż do pachwiny.

- Ile to kosztuje? - zapytał Mosca. Otworzył walizkę i wyciągnął zmianę ubrania.

- Och, żadnych pieniędzy. Proszę mi dać kilka tabliczek czekolady na tydzień, a dopilnuję, żeby pokojówki były zadowolone.

- Dobra, dobra - powiedział Mosca niecierpliwie. Potem zwrócił się do Jergena: - Spróbuj sprowadzić te rzeczy jutro.

Gdy dwójka Niemców wyszła, Eddie Cassin smutno potrząsnął głową z udanym wyrzutem.

- Czasy się zmieniły, Walterze - powiedział. - Okupacja wkroczyła w nową fazę. Takich ludzi jak Frau Meyer i Jergen traktujemy z szacunkiem, ściskamy im ręce i zawsze, zawsze częstujemy papierosem, gdy omawiamy z nimi interesy. Mogą nam wyświadczyć przysługi, Walterze.

- Pieprzę ich - powiedział Mosca. - Gdzie łazienka?

Eddie Cassin poprowadził go korytarzem. Łazienka była ogromna, z trzema umywalkami, z największą wanną, jaką Mosca kiedykolwiek widział, i z sedesem, obok którego stał stolik zaścielony magazynami i amerykańskimi gazetami.

- Ale klasa - powiedział Mosca.

Zaczął się myć, a Eddie usiadł na misce klozetowej dla towarzystwa.

- Sprowadzisz tu swoją dziewczynę? - zapytał Eddie.

- Jeśli ją odnajdę, a ona zechce wrócić - powiedział Mosca.

- Odwiedzisz ją dzisiaj?

Mosca wytarł się i włożył żyletkę do maszynki.

- Aha - powiedział i spojrział na uchylone okno. Gasły resztki wieczornego światła.

- Spróbuję dziś wieczór.

Eddie wstał i zbliżył się do drzwi.

- Jeśli ci nie wyjdzie, przyjdź do mieszkania Frau Meyer, jak wrócisz, żeby się napić. - Poklepał go. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zobaczymy się jutro rano w bazie. - I zszedł do hallu.

Zostawszy sam, Mosca zapragnął przerwać golenie, powrócić do pokoju i położyć się do łóżka, albo pójść na górę do Frau Meyer i spędzić wieczór na picu z Eddiem. Czuł dziwną niechęć do opuszczenia tego budynku i pójścia na poszukiwanie Helli (o którego imieniu pomyślał znowu świadomie), lecz zmusił się do skończenia golenia, po czym zaczesał włosy. Podeszedł do okna łazienki i otworzył je szeroko; boczna ulica była niemal pusta. W dole pośród ruin dostrzegł kobietę w czerni, ciemną bryłę w gasnącym świetle, która wrywała trawę porastającą rumowisko. Miała jej duże naręcze. Bliżej, niemal pod oknem, ujrzał czteroosobową rodzinę, mężczyznę, jego żonę i dwóch małych chłopców, którzy wznosili mur wysoki na razie na jakieś trzydzieści centymetrów. Chłopcy przynosili z małego wózka połamane cegły, wygrzebane w zrujnowanym mieście, zaś mężczyzna i kobieta łupali i skrobali je, póki nie dopasowali ich do muru. Otaczający ich szkielet domu wrył się na zawsze wraz z nimi w pamięć Moski. Resztki światła dziennego zgasły, zaś cała ulica i ludzie stali się ciemnymi bryłami przesuwanymi się w jeszcze głębszej i większej ciemności. Mosca wrócił do swego pokoju.

Wyciągnął z walizki butelkę i napił się. Ubierał się starannie, myśląc:

- Po raz pierwszy zobaczy mnie nie w mundurze.

Włożył jasnoszare ubranie i białą koszulę z otwartym kołnierzykiem. Zostawił wszystko w pokoju tak, jak było - walizki otwarte lecz nie wypakowane, brudne ubranie na podłodze, przybory do golenia rzucone niedbale na łóżko. Napił się jeszcze, po czym zbiegł na dół i wyszedł w ciepłą i ciężką letnią noc.

Złapał tramwaj, a konduktor poprosił go o papierosa, gdyż natychmiast rozpoznał w nim Amerykanina. Mosca dał go, a potem uważnie śledził każdy tramwaj jadący w

przeciwnym kierunku, myślał bowiem, że mogła wyjść z domu, by spędzić gdzieś wieczór. Co chwilę ogarniało go napięcie i zdenerwowanie, gdyż wydawało mu się, że ją zobaczył, że widział jej plecy czy profil, ale nigdy nie był całkiem pewien.

Wysiadłszy z tramwaju poszedł zapamiętaną ulicą, ale nie był pewien domu, musiał więc sprawdzać listę lokatorów umieszczoną na drzwiach każdego domu. Pomylił się tylko raz, gdyż już na drugiej liście odczytał jej nazwisko. Zapukał, odczekał parę minut, po czym zapukał znowu.

Drzwi się otworzyły; w mdłym świetle z korytarza rozpoznał starszą kobietę, właścicielkę domu. Siwe włosy starannie upięte wokół głowy, stara czarna sukienka, wytarty szal nadawały jej wyraz smutku cechującego wszędzie stare kobiety.

- Tak - zapytała - o co chodzi?

- Czy Fraülein Hella jest w domu? - Mosca zdziwił się, że jego niemiecki zabrzmiał tak łatwo i płynnie.

Staruszka nie poznała go ani nie zorientowała się, że nie jest Niemcem.

- Proszę wejść - powiedziała, on zaś podążył za nią słabo oświetlonym korytarzem do pokoju. Staruszka zapukała, mówiąc: - Fraülein Hella, ma pani gościa, mężczyznę.

Usłyszał wreszcie jej głos, spokojny, lecz z nutką zdziwienia.

- Mężczyzna? - A potem: - Proszę chwilę poczekać.

Mosca otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Siedziała tyłem do niego, pospiesznie wpinając spinki w świeżo umyte włosy. Na stole obok leżał szary bochenek chleba. Pod ścianą stało wąskie łóżko, obok nocna szafka.

Gdy się jej przyglądał, Hella skończyła upinać włosy na głowie i chwyciła bochenek i kromkę chleba, by je schować w szafie. Potem się odwróciła; jej oczy ujrzały Moskę stojącego przy drzwiach.

Mosca zobaczył jej bladą, kościstą, niemal wychudłą twarz i ciało bardziej kruche, niż je zapamiętał. Szary chleb wypadł jej z rąk na drewnianą, spaczoną podłogę. Nie była zdziwiona, więc przez chwilę pomyślał, że okazuje irytację i niejaki niezadowolony. Potem jej twarz przybrała wyraz smutku i żalu. Podeszedł do niej, a jej twarz zdawała się marszczyć i ściągać, zaś łzy spływały licznymi zmarszczkami ku spiczastemu podbródkowi spoczywającemu w jego dłoni. Pochyliła głowę i przytuliła mu ją do ramienia.

- Niech cię zobaczę - powiedział Mosca - niech na ciebie popatrzę. - Próbował unieść jej głowę, lecz przyciskała ją do niego. - Już dobrze - powiedział - chciałem ci zrobić niespodziankę. - Łkała, zaś on próbował to przeczekać, rozglądając się po pokoju; wąskie łóżko, staromodna szafa, a na komodzie powiększone i oprawione fotografie, które jej podarował.

Światło rzucane przez jedyną lampę stołową było słabe, ponuro żółte i mdłe, zaś ściany i sufit wybrzuszały się do wnętrza pokoju pod ciężarem znajdujących się nad nimi ruin.

Hella pół śmiejąc się, pół płacząc podniosła twarz.

- Ach, ty, ty - powiedziała. - Dlaczego nie pisałeś? Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś?

- Chciałem ci zrobić niespodziankę - powtórzył.

Pocałował ją delikatnie, a ona, przytulona do niego, powiedziała cichym, niewyraźnym głosem:

- Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam, że nie żyjesz albo że śnię, lub że oszalałam, nie wiem, i wyglądam tak strasznie, właśnie umyłam włosy. - Spojrzała na swą niezgrabną, wypłowiałą sukienkę do noszenia w domu, po czym znowu podniosła twarz.

Ujrzał teraz ciemne sińce pod oczami, jak gdyby ściekł tam cały kolor z twarzy, zabarwiając skórę niemal na czarno. Włosy pod jego dłonią były bez życia, jeszcze mokre, a ciało wydawało się twarde i kanciaste.

Uśmiechnęła się, on zaś dostrzegł szczerbę w zębach z boku. Poglądził jej policzek i zapytał:

- A to?

Hella zmieszala się.

- Dziecko - powiedziała - straciłam dwa zęby. - Uśmiechnęła się do niego i zapytała dziecinnie: - Czy bardzo brzydko wyglądam?

Mosca powoli potrząsnął głową.

- Nie - powiedział nie. - A potem dodał przypomniawszy sobie: - A co z dzieckiem, czy się go pozbyłaś?

- Nie - powiedziała Hella - urodziło się za wcześnie, żyło tylko kilka godzin. Wyszłam ze szpitala miesiąc temu.

Potem wiedząc, że jej nie dowierza, podeszła do komody i wyciągnęła plik papierów przewiązanych starym sznurkiem. Przejrzała je i podała mu cztery urzędowe dokumenty.

- Przeczytaj - powiedziała, bez złości czy urazy, wiedząc, że w tym świecie i w tym czasie, w jakim żyją, nie ma pełnego zaufania, że musi dostarczyć dowodów.

Oficjalne pieczętki i pieczęcie różnych biur rozwiały jego wątpliwości. Z pewnym zalem przyjął do wiadomości fakt, iż nie kłamała.

Hella podeszła do szafy i wyciągnęła stos ubranek. Podnosiła je po kolei, małe koszulki, bluzeczki, spodenki. Niektóre materiały i kolory wydały się Mosce znajome. Potem zrozumiał, że ponieważ nie miała niczego innego, pocięła swe sukienki, a nawet bieliznę, i uszyła z nich ubranka dla dziecka.

- Wiedziałam, że to będzie chłopiec - powiedziała.

Mosca nagle się rozzłościł. Złościło go, że utraciła kolor twarzy, ciało z bioder i ramion, zęby, ubrania tak sprytnie skrojone i zszyte, a nie dostała nic w zamian. Wiedział też, że wrócił sprowadzony nie jej potrzebą, lecz własną.

- To było niemądre - powiedział - to było cholernie niemądre.

Mosca usiadł na łóżku, a Hella obok niego. Przez chwilę odczuwali zakłopotanie i patrzyli na pusty stół, wgłębione ściany i zapadły sufit; potem powoli, jakby uczestnicząc w starożytnym rytuale plemiennym, niczym poganie pieczętujący swój związek z nieuchwytnym i straszliwym bóstwem, którzy nie wiedzą, czy obrządek przyniesie im nieszczęście czy pomyślność, położyli się na wąskim łóżku i złączyli się, on z namiętnością roznieconą przez alkohol, poczucie winy i wyrzuty sumienia, ona z miłością, czułością i całkowitą wiarą, że to spełnienie jest dobre, że przyniesie im obojgu szczęście. Przyjęła ból zadany jej jeszcze nie wyleczonemu ciału, brutalność jego namiętności i jego brak wiary w nią i w siebie samego, świadoma tej ostatecznej prawdy, że ze wszystkich znanych mu istot ludzkich potrzebował właśnie jej, jej wiary, jej ciała, jej zaufania i miłości.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

To drugie lato pokoju minęło szybko dla Moski. Praca w bazie lotniczej była tak lekka, iż wydawało się, że przebywał tam tylko dla dotrzymania towarzystwa Eddiemu Cassinowi, słuchania jego opowieści i osłaniania go, gdy zbyt był pijany, aby przyjść do pracy. Eddie Cassin nie miał wiele do roboty. Porucznik Forte przychodził co dzień rano na kilka minut podpisać dokumenty, a potem szedł do Wydziału Operacyjnego, gdzie wyczekiwał na lot i spędzał czas na rozmowach z innymi pilotami. Po pracy Mosca jadł kolację z Wolfem i Eddiem, a czasem też z Gordonem, w Ratskeller, oficjalnym kasynie dla amerykańskich oficerów i cywilów w Bremie.

Wieczory spędzali z Hellą w pokoju, leżąc razem na sofie i czytając, podczas gdy radio nastawione na niemiecką radiostację grało łagodną muzykę. Gdy gasły resztki ciepłego letniego zmierzchu, spoglądali na siebie z uśmiechem i szli do łóżka. Do późna zostawiali włączone radio.

Piętro, na którym mieszkali, było spokojne, lecz na niższych piętrach co noc odbywały się juble. W letnie wieczory dźwięki radioodbiorników rozbrzmiewały na Metzer Strasse, a jeepy wypełnione Amerykanami w oliwkowych cywilnych mundurach, z ładnymi Niemkami na kolanach, zatrzymywały się przed budynkiem przy akompaniamencie pisku opon i pisków dziewczyn. Śmiech i brzęk szkła docierały do przechodniów, którzy mijając dom przyglądali mu się z ciekawością i uwagą. Później słyszeli czasem, jak pijany Eddie Cassin przeklina, szarpiąc się przed budynkiem z jedną ze swych przyjaciółek. Czasem zabawa kończyła się wcześniej, a wtedy powiew letniej nocy, którego świeżość przesiąkła wonią rumowiska, szeleścił w liściach i gałęziach drzew rosnących przy ulicy.

W niedzielę Hella i Frau Meyer gotowały obiad w mieszkaniu Meyer na poddaszu, zwykle królika lub kaczkę, po które Eddie i Mosca jeździli na pobliską farmę, z dodatkiem warzyw z tej samej farmy. Potem szary niemiecki chleb z kawą z paczki i lody. Po obiedzie Hella i Mosca zostawiali Eddiego i Frau Meyer przy kieliszku, a sami szli na długi spacer po mieście i dalej, w płaską i zieloną okolicę.

Mosca palił cygaro, a Hella miała na sobie jedną z jego wykrochmalonych białych koszul z rękawami porządnie podwiniętymi do łokcia. Mijali budynek policji, na którego potężnym zielonkawym betonie widniały szare blizny wyrwane przez wybuch, a potem,

niedaleko, mijali budynek Glocke, gdzie teraz mieścił się Klub Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Na placu przed nim czekały dzieci, żebrząc o papierosy i czekoladę. Nieogoleni mężczyźni w czapkach Wehrmachtu i w podartych przefarbowanych kurtkach wojskowych podnosili niedopałki, skoro tylko wyrzucił je któryś z opartych o dom żołnierzy w oliwkowych mundurach. Żołnierze włączyli się rozglądając za kobietami, wybierając Fraüleiny, które przechadzały się powoli, jakby w kieracie, i które za chwilę, okrążywszy budynek, przechodziły znowu, i jeszcze wielokrotnie, aż wydawało się, że patrzy się na karuzelę, ta sama twarz pojawiała się regularnie przed oczyma czujnych, wyczekujących i rozbawionych widzów. W ciepłe letnie popołudnia plac stawał się wesołym, kipiącym życiem rynkiem, co sprawiało, iż dzień nie wydawał się niedzielą, znikła bowiem niedzielna atmosfera powolnego i wyważonego ruchu.

Ogromne, oliwkowe, wojskowe autobusy i ubłocone ciężarówki wtaczały się na plac co kilka minut, przywożąc wojska okupacyjne z wiosek położonych w okolicach Bremy, a czasem nawet z Bremerhaven. Żołnierze prezentowali się gracko w odprasowanych oliwkowych mundurach, nogawki spodni wsunęli zgrabnie w wypastowane brązowe buty. Były tam oddziały angielskie, które pociły się w grubych wełnianych mundurach i beretach. Marynarze z amerykańskiej floty handlowej, o dzikim wyglądzie, w poszarpanych portkach i w brudnych swetrach, czasem z bujnymi brodami, wyczekiwali ponuro, aż żandarmeria wojskowa sprawdzi im dokumenty przed wejściem do budynku.

Czasem niemiecka policja w przefarbowanych wojskowych mundurach oczyszczała plac, przeganiając żebrzące dzieci w boczne ulice, spychając wynędzniałych łowców petów w odległy róg placu i pozwalając im spocząć na schodach niemieckiego Zarządu Łączności. Fraüleiny podkreślały nieco tempo swych kursów na karuzeli, ale nigdy się ich nie czepiano.

Mosca kupował kanapki w Klubie Czerwonego Krzyża, po czym szli dalej, miesząc się z tłumem podążającym do miejskiego parku.

W niedzielę wróg nadal uprawiał tradycyjne popołudniowe spacerowanie. Niemcy kroczyli z godnością głów rodzin, niektórzy z nie zapaloną fajką w zębach. Ich żony popychały wózki dziecięce, a przed nimi podskakiwały dzieci, statecznie i z niejakim znużeniem. Letnie słońce podkreślało pył wzbijany przez popołudniowy wietrzyk wiejący

pośród ruin, zatrzymywało i oświetlało go, stąd nad całym miastem unosiła się niemal niewidoczna zasłona złotego pyłu.

Gdy wreszcie minęli ogromną, czerwonawą prerię ruin, zrównanych z ziemią domów, glebą z potłuczonej cegły, pyłu i żelaza, wydostawali się poza miasto i szli przed siebie, aż zmęczeni zatrzymywali się na odpoczynek na jakimś zielonym, zarośniętym polu. Odpoczywali, zasypiali, jedli przyniesione kanapki, a jeśli miejsce było ustronne, kochali się spokojnie w tym otaczającym ich pustym świecie.

Gdy słońce zniżało się na niebie, wracali do miasta. Zmierzch zapadał nad prerią ruin. Doszedłszy do placu widzieli żołnierzy wychodzących z Domu Czerwonego Krzyża. Zwycięzcy nasycili się kanapkami, lodami, coca-colą, ping-pongiem oraz zawodową i sterylną uprzejmością kelnerek. Żołnierze wystawiali na ulicy tak samo, jak u siebie w domu na rogach ulic. Szeregi przechadzających się Fraülein przeredzały się, zwycięzcy i zwyciężone znikali razem w zasypanych gruzem bocznych uliczkach podążając do na wpół zniszczonych izb w zrujnowanych budynkach lub, gdy im się bardzo spieszyło, do podobnych do pieczar piwnic. Na ciemnym i niemal pustym placu pozostawało jedynie paru żebraków, jakieś dziecko, zmęczone i już nie spacerujące dziewczyny. Niczym pod koniec karnawału z budynku dobiegała niewyraźna muzyka, spowijająca milczące postaci na ciemnym placu i przenikająca poprzez ruiny aż do Wezery, jak gdyby podążała za nimi do cichej rzeki. Idąc wzdłuż brzegu Mosca i Hella uwalniali się od tej muzyki i patrzyli poprzez wodę na skąpany w świetle księżyca szkielet miasta po drugiej stronie.

Przy Metzger Strasse Frau Meyer i Eddie Cassin czekali na nich z herbatą i ciasteczkami. Czasem Eddie leżał na kanapie odurzony alkoholem, lecz przychodził do siebie, gdy słyszał ich głosy. Pili razem herbatę i rozmawiali spokojnie, świadomi nadejścia nowego, świeżego spokoju cieplej letniej nocy i powolnego wzbierania senności, zapowiedzi bezpiecznego snu bez żadnych marzeń sennych.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pokój przylegający do pokoju Moski na kwaterze zajmował niski, zwałyści cywil noszący zwykły oliwkowy mundur. Miał na nim jednak biało-niebieską naszywkę z wyszytymi literami AKR. Widywali go rzadko i nikt na kwaterze go nie znał, lecz późno w nocy słyszeli, jak się poruszał po pokoju, a radio grało cicho. Pewnego wieczoru podwiózł Moskę swoim jeepem. Jechali obaj na kolację do Ratskeller. Nazywał się Leo, pracował w Amerykańskim Komitecie Rozdzielczym, żydowskiej organizacji opiekuńczej. Jej inicjały widniały też na jeepie, wymalowane dużymi białymi literami.

Gdy jechali ulicami, Leo zapytał Moskę wysokim głosem z angielskim akcentem:

- Chyba się gdzieś spotkaliśmy, twoja twarz wydaje mi się znajoma.

- Byłem w żandarmerii wojskowej tuż po wojnie - powiedział Mosca. Był pewien, że się nigdy nie spotkali.

- Ach - powiedział Leo - przyjeżdżałeś do Grohn z ciężarówkami z węglem, co?

- Zgadza się - odparł Mosca ze zdziwieniem.

- Byłem w tym obozie, jako dipis - uśmiechnął się Leo. - Nie sprawialiście się najlepiej. Często nie mieliśmy ciepłej wody podczas weekendu.

- Mieliśmy przez jakiś czas kłopoty - powiedział Mosca. - Potem się to wyprostowało.

- Tak, wiem - uśmiechnął się Leo. - Metodą faszystowską, ale zapewne konieczną.

Zjedli razem kolację. W normalnych okolicznościach Leo byłby gruby. Miał kościstą twarz z jastrzębim nosem, z nerwowym tikiem po lewej stronie. Poruszał się szybko i nerwowo, lecz niezdarnie i z brakiem koordynacji właściwym u kogoś, kto nigdy nie uprawiał sportu. W ogóle nie miał pojęcia o sporcie.

Przy kawie Mosca zapytał:

- Co wy właściwie robicie?

- To działalność UNRRY - powiedział Leo. - Rozdzielamy paczki Żydom, którzy oczekują w obozach na wyjazd z Niemiec. Ja sam byłem osiem lat w Buchenwaldzie.

Mosca pomyślał, że dawno temu, w czasie, który już nie był rzeczywisty, zaciągnął się do wojska głównie dlatego, żeby walczyć przeciwko obozom koncentracyjnym, ale to nie był on, tylko ten facet na fotografii, ten, o którego tak bardzo się niepokoili Gloria, matka i Alf. Wspomnienie to wywołało w nim dziwne uczucie zażenowania i wstydu, bo

nic go to już teraz nie obchodziło.

- Tak - powiedział Leo. - Zamknęli mnie, gdy miałem trzynaście lat. - Podwinął rękaw i pokazał na ramieniu wypisany fioletowym atramentem sześciocyfrowy numer poprzedzony zamazaną literą. - Mój ojciec był tam ze mną. Zmarł kilka lat przed wyzwoleniem obozu.

- Całkiem dobrze mówisz po angielsku - powiedział Mosca. - Nikt by nie pomyślał, że jesteś Niemcem.

Leo spojrzał na niego z uśmiechem i powiedział szybko nerwowym głosem:

- Nie, nie, nie jestem Niemcem. Jestem Żydem. - Milczał przez chwilę. - Oczywiście byłem Niemcem, ale Żydzi nie mogą już być Niemcami.

- Dlaczego nie wyjechałeś? - zapytał Mosca.

- Mam tu bardzo dobrą pracę. Mam wszystkie uprawnienia przysługujące Amerykanom i dobrze zarabiam. Potem będę musiał zdecydować, czy pojechać do Palestyny, czy do Stanów Zjednoczonych. To bardzo trudna decyzja.

Rozmawiali długo. Mosca pił whisky, Leo kawę. W pewnym momencie Mosca usiłował objaśnić mu, na czym polegają rozmaite sporty, próbował mu o tym opowiedzieć, jak to jest, ponieważ tamten spędził dzieciństwo i młodość w obozie koncentracyjnym i został tego pozbawiony, stracił to bezpowrotnie.

Mosca usiłował wyjaśnić, jak to jest, gdy się wyskakuje do rzutu w koszykówce, jaka to radość, gdy się kiwnie obrońcę i wzbije do góry, by wrzucić piłkę do kosza, gdy się szybko kozłuje i biega po ciepłej drewnianej podłodze sali, co to jest zlanie potem i zmęczenie, a także natychmiastowe odzycie po ciepłym natrysku. A potem idziesz ulicą, odprężony, niosąc niebieski sportowy worek, a dziewczęta czekają już w lodziarni. A potem wspaniały sen dający spokojne i całkowite zapomnienie.

W drodze powrotnej na kwaterę Leo powiedział:

- Ciągle jestem na drogach, moja praca wymaga podróży. Ale z nadejściem chłódów więcej czasu będę spędzał w Bremie. Poznamy się lepiej, co?

- Nauczę cię grać w koszykówkę - powiedział Mosca uśmiechając się. - To cię przygotowuje do Ameryki. I nie mów „na drogach”. To nie po angielsku. Mów „w drodze” albo „w podróży”.

Przychodził potem czasem do ich pokoju wieczorem na kawę czy herbatę, a Mosca uczył go gry w karty - w pokera, kasyno i remika. Leo nigdy nie mówił o latach spędzonych w obozie i nie wydawał się przygnębiony, lecz nie miał dość cierpliwości, by pozostawać dłużej w jednym miejscu, a spokojne życie go nie pociągało. Leo i Hella bardzo się zaprzyjaźnili. Twierdził, że jest jedyną dziewczyną, której udało się nauczyć go tańczyć.

Gdy nadeszła jesień i drzewa zrzuciły liście na ścieżki dla rowerzystów i zasłały cieniste ulice pstrym brązowo-zielonym kobiercem, odświeżone powietrze pobudziło krew w Mosce i wyrwało go z letniego letargu. Ogarnął go niepokój, częściej jadał w Ratskeller i pił w Klubie Oficerskim - w tych miejscach, gdzie dla Helli wstęp był wzbroniony, ponieważ była wrogiem. Gdy wracał późno, nieco pijany, zjadał gęstą zupę z puszki, którą mu Hella podgrzewała na elektrycznej kuchence, a potem spał niespokojnie w nocy. Często budził się rankiem i patrzył na szare chmury, które przeganiał po niebie październikowy wiatr. Obserwował niemieckich robotników, którzy rażno podążali na róg, gdzie mogli złapać *Strassenbahn* do centrum miasta.

Pewnego ranka, gdy stał przy oknie, Hella wstała i podeszła do niego. Miała na sobie podkoszulek, którego używała zamiast koszuli nocnej. Objęła go ramieniem i razem patrzyli w dół na ulicę.

- Nie możesz spać? - wyszeptała sennie. - Zawsze tak wcześnie wstajesz.

- Chyba będziemy musieli trochę więcej wychodzić z domu. Życie domowe staje się dla mnie nieznośne.

Mosca patrzył na rdzawy pled liści zgarniany z Metzer Strasse i pokrywający zwirowaną ścieżkę dla rowerzystów biegnącą pod drzewami.

Hella przylgnęła do niego.

- Potrzebne nam dziecko, cudowne dziecko - powiedziała cicho.

- O Boże - powiedział Mosca - *Führer* naprawdę wbił wam te brednie do głowy.

- Dzieci kochano już przedtem. - Rozzłościła się, że śmieje się z tego, czego ona tak bardzo pragnęła. - Wiem, że posiadanie dzieci uważa się za głupie. W obronie przeciwniczej berlińskie dziewczęta śmiały się z nas, wieśniaczek, bo lubiliśmy dzieci i rozmawialiśmy o nich. - Odsunęła się od niego. - Dobrze, idź do pracy.

Mosca próbował jej tłumaczyć.

- Wiesz, że nie możemy się pobrać, dopóki nie zniosą zakazu. Wszystko, co robimy, jest niezgodne z prawem, zwłaszcza to, że mieszkasz ze mną na kwaterze. Jeśli będziemy mieli dziecko, trzeba będzie się wyprowadzić do dzielnicy niemieckiej, a tego mi robić nie wolno. Jest mnóstwo rzeczy, za które mogliby mnie odesłać do Stanów, a nie ma sposobu, żebyś mogła ze mną pojechać.

Uśmiechnęła się do niego bez żalu.

- Wiem, że mnie nie zostawisz po raz drugi.

Mosca był zaskoczony i zdumiony, że o tym wiedziała. Postanowił bowiem, że zadekuje się na fałszywych papierach, jeśli będą jakieś kłopoty.

- Ach, Walterze - odezwała się - nie chcę żyć jak ci ludzie na dole: pić, tańczyć w klubie, iść do łóżka, nie mieć nigdy niczego wspólnego poza nami samymi. Takie życie mi nie wystarcza.

Stała w podkoszulku, który sięgał jej tylko do bioder i pępka, nie miała w sobie ani godności, ani wstydu. Chciało mu się śmiać.

- To na nic się nie zda - powiedział.

- Posłuchaj. Gdy odszedłeś, byłam szczęśliwa, że będę mieć dziecko. Myślałam, że mam szczęście. Bo nawet gdybyś nie wrócił, miałabym kogoś na świecie, kogo mogłabym kochać. Rozumiesz to? Z całej mojej rodziny została mi tylko siostra, która mieszka daleko. Potem zjawileś się ty, a potem odszedłeś i nie miałam nikogo. Na całym świecie nie było nikogo, komu mogłabym sprawić przyjemność, nikt nie był częścią mojego życia. Nie ma nic straszniejszego.

Kilku Amerykanów wyszło z budynku na chłodną ulicę, zdjęło łańcuchy zabezpieczające jeepy i zapuściło silniki, których nierówny warkot dobiegał niewyraźnie poprzez zamknięte okna.

Mosca objął ją ramieniem.

- Jeszcze nie wyzdrowiałaś. - Spojrzał na jej nagie, chude ciało. - Nie chcę, żeby ci się coś przydarzyło.

Gdy to powiedział, ogarnął go strach, że ona odejdzie i że w szare zimowe poranki będzie stał sam w oknie, w pustym pokoju, i że to będzie jego wina. Zwrócił się ku niej nagle i powiedział łagodnie:

- Nie gniewaj się na mnie. Poczekaj trochę.

Przyłgnęła do niego, a po chwili odezwała się cicho:

- Tak naprawdę boisz się samego siebie. Chyba to wiesz. Obserwuję cię, jaki jesteś wobec innych osób i jaki jesteś ze mną. Wszyscy myślą, że jesteś taki oschły, taki - szukała słowa, które by go nie rozzłościło - taki szorstki. Wiem, że naprawdę nie jesteś taki. Nie mogłabym znaleźć lepszego mężczyzny. Kiedy czasem mówię o tobie coś miłego, Frau Meyer i Jergen spoglądają po sobie. Och, wiem, co sobie myślą. - W jej głosie brzmiała gorycz, gorycz kobiet broniących się przed światem, który nie pojmuje przyczyn ich miłości. - Oni niczego nie rozumieją.

Wziął ją na ręce, zaniósł na łóżko i przykrył kocem.

- Przeziębisz się - powiedział. Pochylił się, żeby ją pocałować przed pójściem do pracy. - Będiesz miała, co tylko zechcesz - dodał i uśmiechnął się. - Zwłaszcza, jeśli to takie łatwe. I nie martw się, że mnie odeślą.

- Nie będę się martwić - odpowiedziała śmiejąc się. - Będę na ciebie czekała dziś wieczór.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Orkiestra grała szybką muzykę taneczną, gdy weszli do niemieckiego nocnego klubu. Była to długa, prostokątna sala pozbawiona ozdób i nieprzyjemnie oświetlona białym, ostrym światłem. Ściany z grubsza pobielono, a wysokie kopulaste sklepienie sprawiało, iż wyglądała jak duża katedra. Była to kiedyś aula szkolna. Teraz reszta budynku leżała w gruzach.

Krzeseła były twarde, składane, stoły proste i surowe. Żadnych ozdób. Sala była pełna, ludzie tak stłoczeni, iż kelnerzy często nie mogli obsłużyć stolika i musieli prosić siedzące bliżej pary o podanie szklanek. Wolfa tu znano, więc podążyli za jego korpulentną postacią do stolika pod ścianą.

Wolf poczęstował siedzących obok papierosami i powiedział do kelnera:

- Sześć wódek. - Jednocześnie wsunął mu do ręki resztkę papierosów z paczki. - Pierwsza klasa.

Kelner uklonił się i odszedł pospiesznie.

Frau Meyer odwróciła jasną głowę, by przyjrzeć się sali.

- Nie jest tu zbyt przyjemnie - powiedziała.

Eddie poklepał ją po ręce.

- To dla tych, którzy przegrali wojnę, dziecińco.

Mosca uśmiechnął się do Helli.

- Nieźle, co?

Potrząsnęła głową.

- To pewna odmiana - powiedziała. - Powinnam zobaczyć, jak bawią się Niemcy, moi rodacy.

Mosca nie zauważył poczucia winy w jej głosie, ale zauważył to Eddie, a jego delikatne usta skrzywiły się w uśmiechu.

- A więc mam broń - pomyślał z nagłym przyływem podniecenia i namiętności.

- Opowiem wam niezłą historię o tym miejscu - powiedział Wolf. - Musieli przekupić oficera od oświaty w Zarządzie Wojskowym, żeby poświadczył, że nie nadaje się do celów oświatowych, a potem oficera od kultury, że jest w porządku dla celów rozrywkowych. Nikt nie wie czy jest naprawdę bezpieczne. - Potem dodał: - To i tak nie ma znaczenia, bo zamkną je za parę dni.

- Ale dlaczego? - zapytała Hella.

- Zobaczysz - powiedział Wolf uśmiechając się jak ktoś dobrze poinformowany.

Leo odezwał się z właściwym mu humorem:

- Spójrzcie na nich - wskazał gestem salę. - Nigdy w życiu nie widziałem smutniejszych ludzi. I oni płacą, żeby się tak źle bawić?

Wszyscy się roześmiali. Kelner przyniósł zamówioną wódkę.

Eddie podniósł kieliszek. Jego przystojna twarz przybrała wyraz udanej powagi.

- Zdrowie naszych dwojga przyjaciół, idealnie dobranej pary. Spójrzcie na nich. Ona, księżniczka słodka i piękna. On, ponury brutal. Będzie mu cerowała skarpetki i podawała wieczorem pantofle, a w nagrodę otrzyma starannie dobrane szorstkie słowa i szturchańca. Przyjaciele, to małżeństwo będzie idealne. Przetrwa sto lat, o ile on pierwiej jej nie zabije.

Wypili, a Mosca i Hella uśmiechali się do siebie, jak gdyby znali odpowiedź, jakiś sekret, którego nikt przy stoliku się nie domyślał.

Obie pary poszły tańczyć na małym parkiecie przed sceną na podwyższeniu w drugim końcu sali. Wolf i Leo zostali sami. Wolf rozejrzał się dokoła okiem znawcy.

Dym papierosowy unosił się nad tłumem ludzi ku wysokiemu sklepieniu. Klientela była dziwną zbieraniną: stare małżeństwa, które zapewne sprzedały jakiś niezły mebel i postanowiły się raz zabawić, aby przerwać nudną monotonię swego życia; młodzi ludzie handlujący na czarnym rynku, zaprzyjaźnieni z amerykańskimi sierżantami z kasyn oficerskich i pracownikami kantyn, siedzieli przy stolikach z młodymi dziewczętami, które nosiły nylonowe pończochy i pachniały perfumami; starsi mężczyźni, handlujący diamentami i futrami, samochodami i kosztownościami, siedzieli z dziewczętami niezbyt dobrze ubranymi, statecznymi kochankami, z którymi od dawna utrzymywali płatne stosunki.

W szczelnie wypełnionej sali nie hałasowano, rozmowy nie były głośne. Napoje zamawiano z rzadka, nie było niczego do jedzenia. Orkiestra starała się grać amerykańskie melodie w stylu jazzowym, a kanciasta głowa perkusisty kiwała się z boku na bok, w wymuszony i powściągliwy sposób naśladując muzyków amerykańskich poddających się wewnętrznemu rytmowi.

Wolf pozdrowił skinieniem niektóre osoby siedzące przy innych stolikach, znane

mu z czarnego rynku, gdzie robił z nimi interesy na papierosach. Zorientował się, że rozpoznano ich jako Amerykanów, skoro tylko weszli, i co dziwne, głównie z powodu krawatów. Inni ludzie byli równie dobrze ubrani, lecz nie wiadomo dlaczego czarny rynek nie dostarczał krawatów, toteż zamiast nich nosili brzydkie szmatki. Wolf zanotował to w pamięci. Jeszcze jeden sposób na łatwy zarobek.

Muzyka ucichła i wszyscy wrócili do stolików. Eddie, rozgrzany tańcem i bliskością ciała Frau Meyer, przyglądał się uważnie Helli, która usiadła i przechyliła się ku krzesłu Moski, opierając mu rękę na ramieniu. W wyobraźni widział jej prężne białe ciało na brązowym wojskowym kocu, rozwierające się, i swoją twarz tuż przy jej małej, bezwolnej głowie. Przez chwilę był pewien, że mu się uda - choć nie wiedział, jak się to stanie - zaraz potem jednak obraz prysnął, bowiem z różowego kręgu światła, w którym grała orkiestra i który był jedyną sympatyczną barwą w całej sali, rozległy się trzy krótkie, władcze dźwięki trąbki.

Gwar ucichł, białe, jaskrawe światła przygasły, sala pogrążyła się w mroku, a wysoka kopuła sklepienia zniknęła w ciemności.

Na scenę wyszły szeregiem dziewczęta tańczące tak źle, że po ich wyjściu nie odezwały się nawet uprzejme brawa. Po nich wystąpił zongler, a potem akrobaci. Następnie śpiewaczka o krzepkiej figurze i wysokim, słabym głosie.

- O Boże - odezwał się Mosca - wynośmy się stąd do cholery.

Wolf potrząsnął głową.

- Zaczekaj chwilę.

Publiczność nadal była uprzejma, nadal oczekiwała. Trąbka zabrzmiała raz jeszcze, a światła przygasły niemal zupełnie; kwadratową scenę w końcu sali załało żółte światło, w które wkroczył, wyszedłszy niedbale zza ciemnych kulis, niski, wytworny mężczyzna; jego pełna, okrągła, jakby zrobiona z gumy twarz była twarzą urodzonego komika. Powitał go huragan braw.

Zaczął prowadzić rozmowę z publicznością, jak gdyby nie istniały pomiędzy nimi żadne bariery.

- Zmuszony jestem przeprosić państwa za to, iż nie mogę dzisiaj odegrać mojego słynnego skeczu w całości. Nie można odnaleźć mojego psa, Fryderyka. - Urwał, zrobił smutną minę, a następnie udał gniew: - To hańba, wstyd i hańba. Wyszkoliłem dziesięć

psów, a one zawsze znikają. W Berlinie - zniknął. W Düsseldorfie - zniknął, a teraz tutaj. Zawsze to samo. - Na scenę wbiegła dziewczyna. Szepnęła mu coś do ucha. Komik skinął głową i zwrócił się żywo do widowni. - Przyjaciele, dyrekcja prosi o podanie do wiadomości, iż tuż po przedstawieniu będzie można kupić kanapki z mięsem. - Zrobił oko do publiczności. - Niepotrzebne kartki żywnościowe, ale ceny oczywiście wygórowane, jak już mówiłem... - Urwał. Wyraz jego twarzy był tak komiczny, pełen najpierw zdziwienia, potem przerażenia i wreszcie zrozumienia, iż widownia wybuchnęła śmiechem. - Fryderyk, mój Fryderyk - krzyknął i zbiegł ze sceny. Wszedł z powrotem w krąg światła żując kanapkę. Gdy śmiech ucichł, odezwał się ze smutkiem: - Za późno. Ale do końca pozostał dobrym przyjacielem. Naprawdę smaczna kanapka. - I jednym potężnym kęsem spałaszował ją niemal całą.

Czekając aż brawa umilkną, wytarł usta, po czym wyjął z kieszeni kawałek papieru.

Podniósł rękę, prosząc o ciszę, i zaczął:

- Dzisiaj każdy martwi się o kalorie. Tutaj pisze, że potrzebujemy 1300 kalorii, żeby przeżyć, i że przydziały ustanowione przez Zarząd Wojskowy dostarczają nam 1550 kalorii. Nie mam zamiaru krytykować władz, lecz chciałbym dziś wykazać, jak ostrożnie musimy się obchodzić z tymi dodatkowymi dwustoma kaloriami. A zatem kilka prostych wskazówek.

Opowiadał wszystkie stare dowcipy o kaloriach, lecz tak wyśmienie, że wybuchy śmiechu następowały jeden po drugim. Przerwała mu skąpo ubrana dziewczyna, która weszła na scenę tańcząc i wirując wokół niego. Wodził za nią pożądlivym i taksującym spojrzeniem, po czym wyciągnął z kieszeni marchewkę, małą główkę sałaty i garść zielonej fasoli. Policzył na palcach i potrząsnął głową. Potem wzruszył ramionami i powiedział:

- Zabierze mi co najmniej tysiąc kalorii.

Dziewczyna napierała na niego. Gestami wyjaśnił jej, w czym problem. Sięgnęła za biust i pomiędzy piersi wyjęła grono winogron. Gestami powiedział: za mało. Zaczęła sięgać do spodenek, lecz on, z wyrazem szlachetnej rezygnacji, odezwał się głośno:

- Niestety, nie mogę. - Gdy dziewczyna zesza smutna ze sceny, wyciągnął przed siebie ramię i powiedział: - Och, gdybym tylko mógł zjeść dobry befsztyk. - Śmiech wzbil się pod wysokie sklepienie sali.

Gumowa twarz komika na scenie promieniała zadowoleniem, panował bowiem całkowicie nad publicznością. Zaprodukował serię szybkich naśladownictw: Rudolf Hess, śliniący się, bredzący w szale, uciekający samolotem do Anglii; Goebbels tłumaczący się przed żoną z jakiegoś nocnego wypadu przy pomocy śmiesznych i bezczelnych kłamstw; Göring obiecujący, że żadna bomba nie spadnie na Berlin, a zarazem kryjący się pod stołem przed spadającym gruzem. Gdy komik zszedł ze sceny, wybuchnęły oszalamiające brawa. Trwały tak długo, póki nie pojawił się znowu. Publiczność zamilkła i wstrzymała oddech.

Włosy miał szesane na oczy, a nad górną wargą smugę, która mogła być krótkim wąsikiem. Jego twarz z gumy wykrzywiła się zdumiewająco w maskę przypominającą Hitlera. Stał tuż przy kulisie, z wyrazem twarzy na pół parodystycznym, na pół poważnym. Emanowały z niego siła i magnetyzm. Przygwoździł widownię spojrzeniem, po czym zapytał głosem, który zadźwięczał aż pod wysokie sklepienie:

- Czy chcecie, żebym wrócił?

Nastąpił moment pełnej zdumienia ciszy. Następnie na jego upudrowanej twarzy pojawił się nieludzki uśmiech zadowolonego antychrysta. Widownia zrozumiała.

Sala oszalała. Niektórzy mężczyźni powskakiwali na krzesła i stoliki krzycząc:

- *Ja, ja.*

Kobiety klaskały zawzięcie. Jedne tupwały, inne waliły pięściami w stoliki. Hałas wypełnił salę, odbił się od ścian i poszybował ku sklepieniu.

Wolf zerwał się na nogi i spoglądał poprzez tłum na scenę z ponurym uśmiechem na twarzy. Mosca zrozumiał i przechylił się na oparcie krzesła popijając wódkę. Frau Meyer spoglądała na stolik usiłując powstrzymać uśmiech zadowolenia. Eddie pytał ją:

- Co się dzieje, co się u diabła dzieje?

Frau Meyer odpowiedziała:

- Nic, nic.

Hella spojrzała poprzez stół na Leo. Twarz miał niewzruszoną, lecz nie był w stanie kontrolować tiku po jej lewej stronie. Zarumieniła się i nieświadomie potrząsnęła głową, jakby odrzucając wszelką odpowiedzialność, wszelki udział w tym, co miało miejsce. Leo odwrócił od niej wzrok i znowu patrzył na scenę.

Gumowa twarz komika była znowu normalna, a kłaniając się przeczesał włosy.

Iluzja znikła, przyjmował aplauz jakby mu się należał za to, iż jego sztuka dostarczyła tak wiele przyjemności.

Orkiestra zaczęła grać. Wolf usiadł kiwając głową, jakby wiele rozumiał. Ludzie zaczęli wychodzić na parkiet do tańca. Wiele osób patrzyło na ich stolik. Dwóch młodych mężczyzn siedzących obok doprowadziło towarzyszące im dziewczęta niemal do hysterii szepcząc im do ucha dowcipy.

Leo patrzył na stolik czując, że drga mu twarz. Był zły, urażony i bezsilny. Miał nadzieję, że ktoś zaproponuje opuszczenie lokalu.

Mosca, który go obserwował, zrozumiał, co się z nim dzieje, i powiedział Wolfowi i reszcie:

- Chodźmy stąd.

Podniósłszy się ujrzał, iż jeden z młodych mężczyzn odwrócił krzesło w stronę ich stolika i przyglądał się Leo z uśmiechem rozbawienia. Miał dużą łysinę, obwisłą twarz, grube i zdecydowane rysy.

Mosca odezwał się do Wolfa skinąwszy głową:

- Weźmy tego faceta.

Wolf przyjrzał mu się, jak gdyby dojrzał coś, czego się domyślał i spodziewał.

- W porządku. Użyję mojej legitymacji z wywiadu, żeby go wyprowadzić. Masz broń, tak na wszelki wypadek?

- Takie węgierskie maleństwo - powiedział Mosca.

Leo uniósł głowę.

- Nie, nie chcę niczego takiego. Wyjdźmy po prostu.

Hella ujęła Moskę za ramię.

- Tak, wyjdźmy - powiedziała.

Inni podnieśli się. Wolf kiwał głową, jak gdyby coś zrozumiał. Spojrzał na Leo z wyrazem litości i pogardy. Dostrzegł, iż Mosca zmarszczył brwi, więc wzruszył ramionami i skierował się ku wyjściu. Przechodząc obok tamtego stolika pochylił się, przysunął twarz do twarzy młodego Niemca i spojrzał mu w oczy.

- Głośny śmiech bywa bardzo niezdrowy, rozumiesz mnie? - Mignął mu przed oczyma legitymacją wywiadu, wiedząc, że Niemiec zdoła ją odczytać. Uśmiechnął się podążając za innymi, lecz wyjściu ich nie towarzyszył śmiech.

Pojechali do pokoju Moski, żeby się napić. Hella zaczęła przygotowywać kanapki z boczkiem na maszynie elektrycznej stojącej na niskiej szafce. Usiedli wszyscy wokół dużego, kwadratowego stołu, z wyjątkiem Eddie'ego, który wyciągnął się na wyściełanym krześle w kącie pokoju. Mosca otworzył kluczem białą malowaną szafę i wyciągnął alkohol i papierosy.

Eddie zapytał z krzesła:

- Jak się to tym draniom udaje?

- Nie udaje się - powiedział Wolf. - Wycinał różne nieprzyzwoite kawałki, ale dzisiaj posunął się za daleko. A jak się wam podobało to przyjęcie, jakie mu zgotowali? - Wolf pokiwał głową, ociężałą twarzą z pełnym rozbawienia zdumieniem. - Te szkopy nigdy się niczego nie nauczą. Pomyślałbyś, że jeśli się przespacerują po ulicy, to im się odechce walki na przyszłość. Ale aż się palą do tego. Mają to we krwi.

Mosca powiedział pół żartem do Leo:

- Wygląda na to, że musisz się szybko zdecydować, gdzie pojechać, do Palestyny czy do Stanów.

Leo wzruszył ramionami i popijał kawę.

Wolf zapytał:

- Możesz pojechać do Stanów?

- O, tak - powiedział Leo. - Mogę tam pojechać.

- A więc jedź. - Wolf przyglądał mu się. - Jeśli sędzić po dzisiejszym wieczorze, zbyt jesteś miękki na te pionierskie warunki.

Leo przyłożył dłoń do lewego policzka.

- Przestań - powiedział Mosca.

- Nie. Nie zrozum mnie źle, Leo, ale cały kłopot z twoją rasą polega na tym, że nigdy nie stajecie do walki. Niektórzy uważają was za tchórze. Myślę, że to sprawa waszej wysokiej cywilizacji. Nie wierzycie w użycie siły. Na przykład dziś wieczór. Gdybyśmy wyprowadzili tego faceta i go przetrzepali, to by nam trochę ulżyło. Jeśli kiedyś będziecie mieli własne państwo, to tylko dzięki waszym organizacjom terrorystycznym. Terror i przemoc to potężna broń. Stosują ją organizacje we wszystkich krajach i bardzo ją cenią. Dziwi mnie, że jeszcze tego nie wiecie, po tym wszystkim, coście przeszli.

Leo powiedział powoli:

- Nie boję się jechać do Palestyny i wiem, że to w pewnym sensie mój obowiązek. Ale myślę, że będzie mi tam bardzo trudno. A ja chcę teraz przyjemności. Tak uważam. Choć wstydzę się, że tak uważam. Ale na pewno wyjadę.

- Nie odkładaj tego zbyt długo - powiedział Wolf. - Szkopy nigdy się nie zmieniają. Mają to we krwi. Widać to na każdym kroku.

Leo mówił dalej, jak gdyby go nie słyszał:

- Jeśli chodzi o terror i przemoc, nie wierzę w to. Mój ojciec był ze mną w obozie. Nawiasem mówiąc, był Niemcem, Żydówką była moja matka. Ojciec był więźniem politycznym, wsadzili go przede mną.

Tik na jego twarzy odezwał się znowu, więc przyłożył dłoń do policzka, by go uspokoić.

- Umarł tam, ale uczył mnie, zanim umarł. Powiedział mi, że pewnego dnia będę wolny, a wtedy najgorsze, co mi się może przydarzyć, to upodobnienie się do ludzi, którzy nas więzili. Nadal mu wierzę. Jest mi trochę trudno, ale nadal mu wierzę.

Wolf potrząsnął głową.

- Wiem. Znam ludzi takich, jak twój ojciec. - Jego głos pozbawiony był wszelkiego wyrazu.

Hella i Frau Meyer podały gorące kanapki z boczkiem. Leo nie chciał jeść.

- Idę spać - powiedział.

Wyszedł, a wkrótce usłyszeli ruch w pokoju obok i z radia nastawionego na niemiecką stację, płynęła cicha muzyka smyczkowa.

Frau Meyer podeszła do Eddie'ego i trąciła go swawolnie.

- Przestań marzyć - powiedziała.

Eddie uśmiechnął się, a jego przystojna, delikatna twarz wyrażała senną czułość. Przyglądał się znad szklanki Helli, która uklękła obok kuchenki elektrycznej, i pomyślał:

- To stanie się w tym pokoju.

Widział wyraźnie każdy mebel, jak gdyby ludzi w ogóle nie było. Miał taki zwyczaj, że wymyślał sceny z kobietami, do których się nawet nie zbliżył.

Wolf zjadł kanapkę z boczkiem.

- Śmieszne, co ludzie sobie wyobrażają. - Zniżył głos. - Ci ludzie, którzy kierowali obozem, w którym był Leo, to pewnie tacy sami faceci jak ty i ja. Po prostu wykonywali



rozkazy. Podczas wojny, kiedy byłem w kontrwywiadzie, braliśmy czasem więźniów, a major spoglądał na zegarek i mówił: Do drugiej chcę mieć taką a taką informację. I miał ją.

- Wolf pykał cygaro, którym poczęstował go Mosca. - Pojechałem do Stanów na urlop, zanim zacząłem tu pracować, i widziałem trochę filmów wojennych. Wiesz, bohatera torturują, a on umiera z bólu, ale nie załamuje się i nic nie mówi. - Wolf wymachiwał cygarem rozdrażniony tym wspomnieniem. - Oczywiście, nie mogli nawet napomknąć o tym, co się naprawdę robi. - Urwał i spojrzał uważnie na Moskę. - Wstydzą się do tego przyznać. A człowiek nie jest w stanie panować nad sobą, gdy się do niego odpowiednio zabiorą. Nikt, do licha.

Mosca napełnił szklanki; wszystkim chciało się spać, tylko Wolfowi nie. Frau Meyer siedziała skulona na kolanach Eddiego, a Hella wyciągnęła się na kanapie stojącej pod ścianą naprzeciw łóżka.

Wolf uśmiechnął się.

- Miałem specjalną technikę. Nigdy nie zadawałem pytania, póki ich trochę nie skarciłem. To tak jak w tym starym dowcipie o młodym małżeństwie. Gdy tylko zostają sami on rąbie ją w pysk i powiada: „To za nic, a teraz uważaj, co robisz”. Ten sam pomysł.

- Uśmiechnął się rozbrajająco, a jego śmiertelnie blada twarz wyrażała dobroduszne rozbawienie. - Wiem, co myślisz, że ze mnie parszywy skurwysyn. Ale zawsze ktoś musi wykonywać taką robotę. Bez niej nie można wygrywać wojen. Wierz mi, że nie odczuwam takiej sadystycznej przyjemności, jak to pokazują w filmach. Ale to konieczne. Cholera, dostałem nawet za to order. - I dodał spiesznie i poważnie: - Oczywiście, nigdy nie byliśmy tak brutalni jak Niemcy.

Eddie ziewnął.

- To bardzo ciekawe, ale chyba już pójdę do siebie.

Wolf zaśmiał się wymijająco.

- Rzeczywiście chyba zbyt późno na wykład. - Zaczekał, aż Eddie i Frau Meyer wyszli. Dokończył drinka i powiedział do Moski: - Zejdź na dół, chcę z tobą porozmawiać.

Zeszli na dół na ulicę i usiedli w jeepie Wolfa.

- Eddie to tylko myśli o cipi - odezwał się Wolf ze złością i pogardą w głosie.

- Po prostu chciało mu się spać - powiedział Mosca.

- Dlaczego nosisz broń? - zapytał Wolf.

Mosca wzruszył ramionami.

- Chyba się przyzwyczailem. A wojna nie tak dawno się skończyła.

Wolf skinął głową.

- Ja też nie lubię wychodzić wieczorem bez broni.

Znowu zapadła cisza, a Mosca poruszył się niecierpliwie.

Wolf pyknął z cygara.

- Chciałem pogadać z tobą na osobności, bo mam pomysł, jak zarobić kupę szmalu.

Myślę, że każdy w siłach okupacyjnych dorabia sobie trochę na boku. Ja mam mnóstwo kontaktów, diamenty za papierosy i tym podobne. Mogę cię wprowadzić.

- Cholera - powiedział Mosca niecierpliwie - nie potrafię zdobyć tyle papierosów.

Wolf zawahał się, a po chwili ciągnął.

- Wiesz, któregoś dnia możesz potrzebować forsy. Na przykład, jeśli przyłapią Hellę w twoim pokoju, wezmą cię za dupę i odeślą do Stanów. - Uniósł dłoń w górę. - Wiem, że się będziesz ukrywał, wielu chłopców tak robi. Ale będziesz potrzebował pieniędzy. Albo może się zdarzyć, że będziesz ją musiał wywieźć z Niemiec. Możesz zdobyć lewe papiery, ale kosztują majątek. A gdziekolwiek pojedziesz, do Skandynawii, Francji, czy gdzie indziej, życie jest drogie. Myślałeś kiedyś o tym?

- Nie, nie myślałem - odparł powoli Mosca.

- No, więc mam pomysł. Potrzebuję pomocy i dlatego cię pytam. Nie jestem filantropem. Interesuje cię to?

- Wal dalej - powiedział Mosca.

Wolf przerwał znowu i pyknął z cygara.

- Znasz te nasze pieniądze, wojskowe papiery? Cinkciarze na czarnym rynku stają na głowie, żeby je zdobyć. Potem odsprzedają je żołnierzom za przekazy pieniężne. Ale muszą to robić bardzo powoli. My możemy wymienić na przekazy pieniężne wszystkie wojskowe papiery, jakie zdobędziemy, czego nie mogliśmy robić z dawnymi okupacyjnymi markami.

- No i co? - zapytał Mosca.

- Otóż rzecz na tym polega. Przez parę ostatnich tygodni niemieccy cinkciarze mają cholernie dużo tych wojskowych papierów. Robią niezłą forszę zamieniając je im na przekazy. Nawiasem mówiąc, wprowadzę cię do tej gry. I tu jest ten hak. Zainteresowałem

się, zacząłem węszyć i dowiedziałem się o niesamowitej historii. Gdy te papiery wysłano ze Stanów, statek zacumował w Bremerhaven. I choć to było ściśle tajne, coś przeciekło i paka z papierami, przeszło milion dorców, ulotniła się. Wojsko siedzi cicho, bo wyszli na tym cholernie głupio. Jak ci się to podoba? - Wolf podniecił się opowiadając tę historię. - Milion dorców - powtórzył.

Mosca uśmiechnął się słysząc pożądanie w głosie Wolfa.

- Mnóstwo pieniędzy - powiedział.

- Mam taki pomysł. Forsa przypuszczalnie rozpierzchła się po całym kraju, ale jakiś gang tutaj musi mieć jej spory kawał. Rzecz w tym, żeby ich znaleźć. Małe szanse.

Mosca odezwał się:

- Jak ją znajdziemy i jak ją weźmiemy?

- Znalezienie forsy to moja sprawa - powiedział Wolf - ale ty pomożesz. To nie takie trudne, jakby się zdawało, a poza tym ja jestem fachowiec. Mam mnóstwo kontaktów. Wezmę cię i przedstawię jako ważnego faceta z kantyny wojskowej, który chce upłynnić papierosy po trzy lub cztery dolce za karton. Rzucają się na taką ofertę. W ten sposób spuścimy dwadzieścia lub trzydzieści kartonów. Zdobędę te fajki. Wieść się rozejdzie. Potem powiemy, że musimy spuścić pięć tysięcy kartonów za jednym razem. Duży interes. Wymyślimy całą historię. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, ktoś się do nas zgłosi i ubijemy interes, zjawią się z papierami wartymi dwadzieścia tysięcy dorców. Zabierzemy je. Nie będą mogli zgłosić tego policji, ani swojej, ani naszej. Będą załatwieni na amen. - Wolf przerwał, po raz ostatni zaciągnął się nerwowo cygarem i wyrzucił je na ulicę. Potem powiedział spokojnie: - To będzie ciężka robota, włóczenie się po mieście przez parę nocy w tygodniu. A końcowa rozgrywka wymaga odwagi.

- Prawdziwi policjanci i złodzieje - powiedział Mosca, a Wolf się uśmiechnął. Mosca spojrział na ciemną ulicę i poza pas ruin. W oddali, jak gdyby poza jeziorem lub prerią, dostrzegł samotny tramwaj, którego żółte światelko przesuwawało się powoli poprzez czerń miasta.

Wolf odezwał się powoli i poważnie:

- Musimy zabezpieczyć sobie przyszłość. Czasem wydaje mi się, że moje dawniejsze życie było tylko snem, nie miało znaczenia - może czujesz podobnie. Teraz musimy się przygotować do prawdziwego życia, a to będzie trudne, naprawdę trudne. To

jest nasza ostatnia szansa, żeby się urządzić.

- Dobra - powiedział Mosca - ale wygląda to cholernie skomplikowanie.

Wolf potrząsnął głową.

- Może nie wyjść. Tymczasem podrzucę ci trochę tej wymiany. Tak czy owak, zarobisz parę stów. Jeśli będziemy mieć fart, podzielimy między siebie piętnaście czy dwadzieścia tysięcy. A może więcej.

Gdy Wolf zapuścił silnik, Mosca wysiadł z jeepa, po czym patrzył, jak tamten odjeżdża. Spojrzawszy w górę zobaczył ciemną głowę Helli w prostokącie światła, oknie swego pokoju. Pomachał do niej, wszedł do budynku i wbiegł na górę po schodach.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Mosca skulił się w zaparkowanym jeepie, usiłując schronić się przed zimnym przedwieczornym październikowym wiatrem. Lodowaty chłód idący od metalowej podłogi przenikał jego całe ciało.

Nieco dalej znajdowało się ważne skrzyżowanie, tramwaje skręcały w prawo i w lewo, a pojazdy wojskowe zatrzymywały się na chwilę, by kierowcy mogli odczytać długi rząd białych tabliczek wskazujących drogę do rozmaitych komend w mieście. We wszystkie cztery strony rozciągały się ruiny niczym górzyste pastwisko, a za skrzyżowaniem, gdzie zaczynały się niewielkie domki, otwarło podwoje małe niemieckie kino i długa kolejka wsuwała się powoli do środka.

Mosca był głodny i niecierpliwił się. Przyglądał się trzem przykrytym plandeką ciężarówkom z niemieckimi jeńcami, które minęły go i zatrzymały się przy skrzyżowaniu. Pomyślał, że to pewnie zbrodniarze wojenni. Za nimi jechał przykładowie jeep z dwoma uzbrojonymi strażnikami. Leo pojawił się w drzwiach sklepu krawca, więc Mosca wyprostował się na siedzeniu.

Obaj spostrzegli kobietę po drugiej stronie ulicy, która najpierw zaczęła biec, a potem krzyczeć. Wbiegła na jezdnię i pędziła niezdarnie i na oślep ku skrzyżowaniu. Wymachiwała szaleńczo ręką i wykrzykiwała w zapamiętaniu imię, którego nie można było zrozumieć. Jakaś postać z ostatniej ciężarówki odpowiedziała jej machaniem. Ciężarówka nabrała szybkości, a jeep podążył za nią jak Cerber. Kobieta zorientowała się, że nie ma nadziei i zatrzymała się. Padła na kolana, a potem runęła na ulicę blokując ruch.

Leo wszedł do jepea. Warkot i drgania silnika dały im złudzenie ciepła. Poczekali, aż kobietę przeniesiono na chodnik, po czym Leo ruszył. Nie powiedzieli ani słowa o tym, co widzieli. To nie była ich sprawa, lecz w pamięci Moski pojawił się niewyraźny choć znajomy obraz, który powoli nabierał kształtu.

Tuż przed końcem wojny, gdy był w Paryżu, znalazł się w ogromnym tłumie. Wydostanie się z niego było niemożliwe, więc wbrew swej woli znalazł się w samym środku, w najważniejszym punkcie. Wśród tłumu, który wypełniał ulice, chodniki i kawiarnie, przesuwał się z trudem powoli sznur otwartych ciężarówek z Francuzami: oswobodzonymi jeńcami wojennymi, więźniami, ludźmi uznanymi za zmarłych. Wiwaty i krzyki tłumu zagłuszały radosne okrzyki mężczyzn na ciężarówkach. Podskakiwali i

wychylali się z samochodów, by przyjmować pocałunki i białe kwiaty, które im podawano lub rzucano. Nagle jeden z mężczyzn rzucił się z ciężarówki, ześliznął po głowach ludzi i upadł na ziemię. Przedarła się do niego kobieta i chwyciła go gwałtownie i zaborczo w ramiona. Ktoś rzucił z ciężarówki kule i wykrzyknął sprośne życzenia, które normalnie wprawiłyby kobietę w zakłopotanie. Ale ona śmiała się wraz z tłumem.

Mosca odczuł teraz ten sam ból, ten sam szok, tę samą winę.

Wysiadł, gdy Leo zatrzymał jeepa przed Ratskeller.

- Nie mam ochoty na jedzenie - powiedział. - Zobaczymy się potem w domu.

Leo, zajęty zakładaniem kłódki na łańcuch zabezpieczający jeepa, uniósł zdziwiony głowę.

- Co jest? - zapytał.

- Po prostu ból głowy, przejdę się trochę.

Było mu zimno, więc zapalił cygaro; gęsty dym tytoniowy ogrzał mu twarz. Wybierał spokojne boczne uliczki, nieprzejezdne dla samochodów ze względu na rumowiska, które zasypały ruiny i chodniki, i omijał luźne kamienie i cegły, uważając, by nie upaść w gęstniejącym zmroku.

Gdy znalazł się w swym pokoju, poczuł się naprawdę chory, twarz miał gorącą i rozpaloną. Rozebrał się nie zapalając światła, cisnął ubranie na kanapę i położył się do łóżka. Było mu nadal zimno pod przykryciem i czuł stęchlą woń niedopałka cygara zostawionego na brzegu stołu. Skulił się i zwinął, by się zagrzać, lecz wciąż trząsał się z zimna. Miał sucho w ustach, a pulsowanie w głowie przeszło w powolny, jednostajny rytm i prawie go już nie bolało.

Usłyszał klucz w drzwiach i Hella weszła do pokoju. Zapaliło się światło. Podeszła do łóżka i usiadła.

- Źle się czujesz? - zapytała z niepokojem. Doznała wstrząsu widząc jego stan.

- To tylko przeziębienie - powiedział Mosca. - Daj mi aspirynę i wyrzuć to cygaro.

Poszła do łazienki po szklankę wody, a podając mu ją przesunęła ręką po jego czole i szepnęła:

- To zabawne, że jesteś chory. Czy mam spać na kanapie?

- Nie - powiedział Mosca. - Jest mi cholernie zimno. Połóż się tu ze mną.

Zgasiła światło i podeszła do łóżka, by się rozebrać. W ciemnym pokoju dostrzegł

niewyraźnie, jak wiesz ubranie na oparciu krzesła. Czuł, jak ciało mu płonie z gorączki i pożądania, a kiedy położyła się do łóżka, przycisnął ją do siebie. Jej piersi, uda i usta były chłodne, jej policzki zimne, więc trzymał ją w mocnym uścisku.

Gdy osunął się znowu na poduszkę, poczuł pot spływający mu pomiędzy udami i po plecach. Ból głowy przeszedł, ale bolały go wszystkie kości. Sięgnął ponad jej ciałem na szafkę nocną po wodę.

Hella przesunęła ręką po jego rozpalonej twarzy.

- Kochanie, mam nadzieję, że ci to nie zaszkodziło.

- Nie, czuję się lepiej - powiedział Mosca.

- Czy mam teraz pójść spać na kanapę?

- Nie, zostań.

Sięgnął po papierosa, ale zaciągnął się tylko parę razy, zgasił go o ścianę i patrzył jak kaskada iskier spada na koc.

- Spróbuj zasnąć - powiedziała.

- Nie mogę spać. Czy zdarzyło się dziś coś szczególnego?

- Nie. Zjadłam tylko kolację z Frau Meyer, Jergen widział, jak wchodziłeś i przyszedł mi powiedzieć. Powiedział, że źle wyglądasz i że lepiej będzie, jeśli zaraz zejdziesz do ciebie. To bardzo życzliwy człowiek.

- Widziałem dzisiaj coś zabawnego - powiedział Mosca i opowiedział jej o kobiecie.

W ciemnym pokoju wyczuł ciszę. Hella myślała: gdybym to ja była w tym jeepie, na pewno bym ją zabrała i pojechała za ciężarówką, żeby się uspokoiła i upewniła. Mężczyźni są twardsi - pomyślała - mniej w nich współczucia.

Ale nic nie powiedziała. Powoli, jak podczas innych ciemnych nocy, przesunęła końcami palców po jego ciele, po bliźnie przecinającej cały tułów. Przesunęła palcami po nierównym szwie, jak dziecko, które przesuwa zabawkę tam i z powrotem przez krawędź chodnika, zafascynowane jej lekkim wznoszeniem się i opadaniem.

Mosca usiadł opierając barki o drewniane wezglowie łóżka. Założył ręce za głowę jak poduszkę i powiedział cicho:

- Miałem szczęście, że dostałem tam, gdzie nikt tego nie widzi.

- Ja to widzę - powiedziała Hella.

- Wiesz, o co mi chodzi. Byłaby różnica, gdybym to miał na twarzy.

Nadal przesuwała palcami po bliźnie.

- Nie dla mnie - powiedziała.

Gorączka sprawiała, że Mosca czuł się nieswojo. Palce przesuwały się po nim kojąco, więc wiedział, że ona zaakceptuje to, co zrobił.

- Nic zasypiaj - poprosił. - Od dawna chciałem ci coś powiedzieć, ale nigdy nie wydawało mi się to dość ważne. - Dla żartu przyjął śpiewny ton kogoś, kto zamierza opowiedzieć dziecku bajkę. - Opowiem ci pewną historyjkę - powiedział. Po omacku sięgnął na szafkę nocną po papierosa.

Skład amunicji ciągnął się na wiele mil, a pociski ułożono w stosy niczym czarne drwa na opał. On, Mosca, siedział w szoferce ciężarówki o kształcie pocisku i obserwował więźniów, którzy ładowali pojazdy stojące przed nim. Więźniowie ubrani byli w zielone drelichowe ubrania, a na głowie mieli miękkie czapki z tego samego materiału. Łatwo zlewaliby się z otaczającym ich lasem, gdyby nie duże białe litery P wymalowane wyraźnie na plecach i każdej nogawce.

Gdzieś z lasu rozległy się trzy gwizdy zarządzając powrót. Mosca wyskoczył z szoferki i wrzasnął:

- Hej, Fryc, cho no tu!

Podszedł do niego więzień, którego zrobił słomianym szefem nad trzema ciężarówkami robotników.

- Mamy czas skończyć ten załadunek przed odjazdem?

Niemiec, mały, czterdziestoletni mężczyzna z dziwnie pomarszczoną staro-młodą twarzą, który stał przed Moską bez służalczości, wrzucił ramionami i powiedział łamaną angielszczyzną:

- My spóźnić się na żarcie.

Uśmiechnął się do siebie. Każdy inny więzień zapewniłby Moskę, że można dokończyć załadunku, ażeby mu się przypodobać.

- Dobra, złóżcie, co tam macie - powiedział Mosca. - Niech sobie sukinsyny poskrzeczają. - Dał Niemcowi papierosa, a ten schował go do kieszeni zielonej drelichowej kurtki. Palenie na terenie składu było zabronione, choć oczywiście Mosca i inni strażnicy



palili.

- Załaduj resztę Fryców i zdaj mi rachunek. - Niemiec odszedł, a więźniowie zaczęli wsiadać do ciężarówek.

Posuwali się powoli połą drogą przez las. Na skrzyżowaniach z innymi drogami dalsze pojazdy dołączały do kolumny, aż wreszcie długi rząd otwartych ciężarówek wynurzył się z cienia lasu i wjechał na otwartą przestrzeń, w cytrynowe słońce wczesnej wiosny. Zarówno dla strażników, jak i dla więźniów wojna toczyła się gdzieś bardzo daleko. Byli bezpieczni; spór pomiędzy nimi dobiegł końca. Spokojni i raczej zadowoleni jechali ze składu amunicji do otoczonych kolczastym drutem baraków.

Strażnicy, ludzie, którzy odnieśli zbyt ciężkie rany, by powrócić do służby na froncie, mieli już dość wojny. Więźniowie odczuwali boleśnie swój los tylko wieczorem, gdy widzieli, jak strażnicy ładują się do jeepów, by pojechać do pobliskiego miasta. Twarze więźniów za drutem kolczastym wyrażały smutek i zazdrość dzieci, które obserwują rodziców szykujących się do wyjścia wieczorem z domu.

Potem, w świetle wczesnego poranka, wyjeżdżali razem do lasu. Podczas rannych przerw więźniowie rozsiadali się na trawie żując zaoszczędzone ze śniadania kawałki chleba. Mosca dał swym ludziom więcej czasu niż to było w zwyczaju. Fryc siadł z nim na sterce pocisków.

- Niezłe życie, co, Fryc? - spytał Mosca.

- Mogło być gorzej - odparł Niemiec - spokojnie tu.

Mosca przytaknął ruchem głowy. Lubił tego Niemca, choć nigdy nie zadał sobie trudu, by zapamiętać jego prawdziwe imię. Stosunki pomiędzy nimi były przyjazne, choć nie można było zapomnieć o relacji zwycięzca-zwyciężony. Nawet teraz Mosca trzymał karabin jako symbol. W komorze nigdy nie było naboju, a czasem zapominał wstawić magazynek.

Niemiec był przygnębiony. Nagle zaczął wygłaszać szybko mowę w ojczystym języku, którą Mosca niezbyt dokładnie rozumiał.

- Czy to nie dziwne, że stoicie tutaj i pilnujecie, żebyśmy nie chodzili tam, gdzie chcemy? Co za obowiązek dla istot ludzkich. A jak się zabijamy i ranimy nawzajem. I po co? Powiedz, czy gdyby Niemcy utrzymały Afrykę i Francję, zarobiłbym dzięki temu choć grosz więcej? Czy ja sam będę się miał lepiej, jeśli Niemcy podbiją świat? Nawet jeśli

wygramy, to ja wygram tylko mundur do końca życia. Gdy byliśmy dziećmi, podniecaliśmy się czytając o złotym wieku w naszym kraju, jak to Francja, albo Niemcy, albo Hiszpania rządziły Europą i światem. Wznoszą pomniki ludziom, którzy zadają śmierć milionom bliźnich. Jak to jest? Nienawidzimy się nawzajem, zabijamy się. Mógłbym to zrozumieć, gdybyśmy coś zyskali. Gdyby potem powiedzieli: „Oto kawałek ziemi, który zabraliśmy Francuzom, każdy dostaje po kawałeczku”. A wy już wiecie, że jesteście zwycięzcami. I myślisz, że ty coś na tym wygrasz?

Inni więźniowie wylegiwali się w ciepłym słońcu, spali w chłodnej trawie. Mosca słuchał, na pół rozumiejąc, nieco zdegustowany, obojętny. Niemiec mówił jak jeden z pokonanych, pozbawiony władzy. Kiedyś przechadzał się dumnie i radośnie po ulicach Paryża i Pragi, miast skandynawskich; opamiętanie przyszło dopiero za drutem kolczastym.

Po raz pierwszy Niemiec położył dłoń na ramieniu Moski.

- Przyjacielu - powiedział - ludzie tacy jak ty i ja spotykają się twarzą w twarz i zabijają się nawzajem. Nasi wrogowie znajdują się za naszymi plecami. - Cofnął dłoń. - Nasi wrogowie znajdują się poza naszymi plecami - powtórzył z goryczą - i popełniają zbrodnie, za które my umieramy.

Przeważnie jednak Niemiec bywał pogodny. Pokazał Mosce zdjęcie żony i dwojga dzieci oraz swoje zdjęcie z kolegami zrobione przed fabryką, w której pracowali. Chętnie też rozmawiał o kobietach.

- Ach - mawiał Niemiec z tęsknym zapalem. - Gdy byłem we Włoszech... - albo - gdy byłem we Francji, kobiety, te były wspaniałe. Muszę przyznać, że wolę je od Niemek, niech tam *Führer* mówi, co chce. Kobiety nigdy nie mieszają polityki z ważniejszymi sprawami. Tak było od wieków. - Niebieskie oczy lśniły w jego pomarszczonej, staro-młodej twarzy. - Żałuję, że nie doszliśmy do Ameryki. Te piękne dziewczyny z długimi nogami, koloru marcepanu. Nieprawdopodobne. Pamiętam je z kina i gazet. Tak, szkoda.

A Mosca, kontynuując grę, odpowiadał:

- Nawet by nie spojrzały na was, szkopy.

Niemiec potrząsał głową powoli lecz zdecydowanie.

- Kobiety trzeźwo myślą - powiadał. - Może uważasz, że przymierają głodem, bo nie powinny oddawać się nieprzyjacielowi. W takich sprawach kobiety mają jasność.

Trzymają się bardziej podstawowych wartości. O tak, służba w wojsku okupacyjnym w Nowym Jorku byłaby wspaniała.

Mosca i Niemiec uśmiechali się do siebie, po czym Mosca mówił:

- Zagoń resztę Fryców do roboty.

Ostatniego wieczora, gdy rozległ się gwizdek wzywający do powrotu, więźniowie szybko przydreptali z polany, na której pracowali, i w parę minut załadowali się na ciężarówkę. Kierowcy zapuścili silniki.

Mosca omal się nie dał nabrać. Automatycznie poszukał wzrokiem Fryca. Jeszcze niczego nie podejrzewając, podszedł do najbliższego z trzech pojazdów i wówczas, spostrzegłszy pełen napięcia wyraz twarzy niektórych więźniów, natychmiast zorientował się, co się stało.

Pobiegł ku polnej drodze i dał znak kierowcom, by wysiedli z szoferek. Biegąc szarpnął zamek karabinu i wprowadził nabój do komory. Potem, wyjąwszy z kieszeni gwizdek, którego nigdy nie używał, zagwizdał krótko sześć razy. Począł chwilę i zagwizdał jeszcze sześć razy.

Czekając nakazał wszystkim więźniom wysiąść z ciężarówek i usiąść ciasnym kręgiem na trawie. Stał w pewnej odległości obserwując ich, choć wiedział, że nikt nie spróbuje uciekać.

Jeep ochrony nadjechał przez las. Zanim znalazł się na polanie, słychać było, jak przebijają się przez poszycie. Jadący w nim sierżant miał długie, podwijane do góry wąsy w angielskim stylu i był bardzo duży i zwalisty. Ujrawszy spokojną scenę, wysiadł powoli z jeepa i podszedł do Moski. Dwóch pozostałych żołnierzy skierowało się niespiesznie w przeciwną stronę polany. Kierowca wyjął pistolet maszynowy ze schowka w jeepie i siedział za kierownicą, z jedną nogą zwisającą z samochodu i dotykającą ziemi.

Sierżant stał przed Moską i czekał. Mosca powiedział:

- Brakuje jednego faceta, którego znam. Mojego słomianego szefa. Nie liczyłem ich.

Sierżant miał na sobie schludny mundur, a na szerokiej talii pistolet i tekstylny pas na amunicję. Wszedł w grupę więźniów i kazał im ustawić się dziesiątkami. Było pięć dziesiątek i dwóch ludzi w niepełnej szóstce.

- Co z tego wychodzi? - zapytał sierżant.

- Brakuje w sumie czterech - powiedział Mosca.

Sierżant spojrzał na niego surowo.

- Ładny numer wyciął twój zasrany kumpel. - Po raz pierwszy odkąd odkrył ucieczkę, Mosca odczuł wstyd i trochę się przestraszył. Jednakże wcale nie odczuwał gniewu.

Sierżant westchnął.

- No, dobra była zabawa do czasu. Teraz będzie cholerne przetasowanie, kurze łajno pofrunie na wszystkie strony. - Powiedział łagodniej: - Wiesz, że zabierzesz tyłek z powrotem na front? - Stali obaj myśląc o wygodnym życiu tutaj, bez pobudki, bez musztry, bez inspekcji, bez strachu - niemal jak w cywilu.

Sierżant wyprostował się ze złością.

- Zobaczymy, co się da zrobić z tymi sukinsynami. *Achtung* - zawołał i zaczął przechadzać się przed frontem Niemców stojących sztywno na baczność. Nic nie powiedział przez kilka minut, po czym zaczął przemawiać do nich spokojnie po angielsku.

- Dobra. Wiemy, na czym stoimy. Miesiąc miodowy się skończył. Byliście dobrze traktowani. Dostawaliście dobre jedzenie, dobre miejsce do spania. Czy kazaliśmy wam ciężko pracować? Źle się czuliście, to pozwalaliśmy wam zostać w barakach. Ktoś chce się poskarżyć? Niech wystąpi. - Sierżant przerwał, jak gdyby ktoś mógł istotnie wystąpić, po czym podjął znowu. - OK, zobaczymy, czy to doceniacie. Niektórzy z was wiedzą, kiedy ci ludzie uciekli i gdzie poszli. Powiedzcie. Zapamiętamy to. Docenimy to. - Sierżant przestał się przechadzać i zwrócił się ku nim. Czekał, gdy szeptali między sobą, gdyż niektórzy objaśniali innym, co powiedział. Lecz później umilkli; nikt z więźniów w zielonych drelichach nie wystąpił z szeregu.

Sierżant odezwał się innym tonem:

- W porządku, sukinsyny. - Odwrócił się w kierunku jeepa i powiedział do kierowcy: - Wracaj do koszar i pobierz dwadzieścia kilofów i dwadzieścia łopat. Weź czterech ludzi i jeepa. Jeśli nie dowie się o tym żaden oficer, może się nam uda. A jeśli ten frajer sierżant od zaopatrzenia zacznie się wydzierać o te łopaty, powiedzcie mu, że przyjdę i rozwalę mu ten cholerny łeb. - Skinął na kierowcę, żeby jechał.

Potem dał znak więźniom by usiedli na trawie.

Gdy wróciły jeepy z dodatkowymi ludźmi i wyładowaną narzędziami przyczepą,

sierżant ustawił więźniów w dwa szeregi naprzeciwko siebie. Wydał im narzędzia, a ponieważ nie starczyło dla wszystkich, kazał tym bez narzędzi przejść na drugi kraniec polany i położyć się twarzą na trawie.

Nikt się nie odzywał. Więźniowie pracowali sumiennie kopiąc długi rów. Szereg z kilofami uderzał w ziemię, po czym odpoczywał. Ludzie z łopatami usuwali wykopaną ziemię. Pracowali bardzo powoli. Strażnicy rozlokowani wokół polany opierali się o drzewa, wydawali się obojętni i niezbyt czujni.

Sierżant mrugnął na Moskę i powiedział cicho:

- Jak się postraszy, zawsze działa. Przypatrz się.

Dał im jeszcze trochę pokopać, po czym zarządził przerwę.

- Czy ktoś chciałby coś powiedzieć? - Uśmiechnął się do nich ponuro.

Nikt nie odpowiedział.

- OK. - Sierżant machnął ręką. - Kopcie dalej.

Jeden z Niemców upuścił łopatę. Był młody i rumiany.

- Chciałbym panu coś powiedzieć - odezwał się. Wystąpił z szeregu więźniów na otwartą przestrzeń oddzielającą go od strażników.

- No, gadaj - powiedział sierżant.

Niemiec stał bez słowa. Obejrzał się niespokojnie w stronę więźniów. Sierżant zrozumiał. Wziął Niemca za ramię i odprowadził w kierunku jeepa. Stali tam rozmawiając cicho i z powagą, obserwowani zarówno przez więźniów, jak i sierżantów. Sierżant słuchał uważnie pochyliwszy głowę, zgarbiwszy ogromne ciało, jedną ręką obejmując poufale ramiona więźnia. Potem skinął głową. Ruchem ręki nakazał więźniowi wsiąść do jeepa.

Więźniów załadowano na trzy ciężarówki i kolumna ruszyła przez pusty teraz las, gdyż drogi krzyżujące się z ich drogą już opustoszały. W jeepie zamykającym pochód jechał sierżant, którego długie wąsy powiewały na wietrze. Wyjechali z lasu, a gdy wynurzyli się na otwartą przestrzeń, zdumiał ich widok znajomego krajobrazu skapanego w innym świetle, w soczystym, czerwonym słońcu późnego popołudnia.

Odwróciwszy na chwilę głowę sierżant odezwał się do Moski:

- Twój kumpel planował to od dłuższego czasu. Ale ma pecha.

- Gdzie jest? - zapytał Mosca.

- W mieście. Wiem, w którym domu.

Kolumna wjechała do obozu, po czym dwa jeepy oderwały się od ciężarówek zataczając szeroki łuk i popędziły do miasta. Tuż przy sobie, jak gdyby połączone, przejechały główną ulicą i skręciły w prawo na rogu, gdzie stał kościół. Zatrzymały się przy kamiennym domku. Mosca i sierżant podeszli do drzwi frontowych. Dwóch ludzi z drugiego jeepa ruszyło powoli na tyły domu. Reszta została w jeepach.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyli zapukać. Stał przed nimi Fryc. Miał na sobie stare, pogniecione, niebieskie sukienne spodnie, białą koszulę bez kołnierzyka i ciemną marynarkę. Uśmiechnął się do nich niepewnie.

- Pozostali są na górze - powiedział. - Boją się zejść.

- Zawołaj ich - powiedział sierżant. - Idź na górę i powiedz im, że nic im nie będzie.

Fryc podszedł do podnóża schodów i zawołał po niemiecku.

- Wszystko w porządku. Zejdźcie. Nie bójcie się.

Usłyszeli, że drzwi na górze się otwały, i trzech pozostałych więźniów powoli zeszło po schodach. Mieli na sobie wystrzępione cywilne ubrania. Ich twarze wyrażały bojaźń, niemal poczucie winy.

- Idźcie do jeepów - powiedział sierżant. Potem zapytał Fryca: - Czyj to dom?

Niemiec podniósł wzrok. Po raz pierwszy spojrzął na Moskę.

- Kobiety, którą kiedyś znałem. Dajcie jej spokój, zrobiła to - wiecie - była samotna. To nie ma żadnego związku z wojną.

- Wychodź - powiedział sierżant.

Wszyscy wyszli. Sierżant gwizdnął na dwóch żołnierzy na tyłach domu. Gdy jeepy odjeżdżały, ulicą nadeszła kobieta niosąca duży pakunek zawinięty w brązowy papier. Ujrzała więźniów w jeepie, zawróciła i oddaliła się w tym samym kierunku, skąd przyszła. Sierżant uśmiechnął się kwaśno do Moski.

- Cholerne baby - powiedział.

Na pustym odcinku szosy, niemal w połowie drogi do obozu, jadący przodem jeep sierżanta zjechał na pobocze i stanął. Drugi jeep zatrzymał się tuż za nim. Po jednej stronie drogi znajdowało się wyboiste, kamieniste pastwisko ciągnące się ku ciemnej linii lasu odległej o jakieś dwieście metrów.

- Wysadźcie ich z jeepów - powiedział sierżant.

Wysiedli wszyscy i stali niezdarnie, czując się nieswojo na opustoszałej drodze. Sierżant stał przez chwilę, zamyślony. Dotknął wąsów i powiedział:

- Chłopcy, dwóch może odwieźć tych szkopów do obozu. Wyładujcie narzędzia z przyczepy i przywieźcie ją z powrotem. - Wskazał ręką Fryca. - Ty zostajesz.

- Ja wracam - powiedział szybko Mosca.

Sierżant zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, powoli, z wyniosłą pogardą.

- Słuchaj, skurwysynu, ty zostajesz. Gdyby nie ja, zabrałbyś tyłek na front. Jezu, nie mam zamiaru ganiać za szkopami po całym kraju, kiedy ich tylko tyłek zaswędzi. Ty zostajesz.

Dwóch strażników oddaliło się cicho z trzema więźniami. Wsiedli do jeepa i odjechali. Fryc odwrócił głowę i patrzył za nimi.

Czterech mężczyzn w oliwkowych mundurach stało naprzeciw samotnego Niemca i rozciągającego się poza nim kamienistego pastwiska. Sierżant gładził wąsy. Twarz Niemca była szara, lecz stał sztywno, niczym na baczność.

- Ruszaj biegiem - powiedział sierżant. Wskazał poprzez pastwisko ku lasowi.

Niemiec nie poruszył się. Sierżant pchnął go.

- Biegnij - powiedział - dam ci fory. - Popchnął Niemca na trawę, obróciwszy go twarzą w kierunku lasu. Słońce zaszło, ziemia straciła barwy, poza szarością zapadającego zmierzchu. Las był długą, ciemną ścianą, daleko.

Niemiec odwrócił się ku nim. Ręką sięgnął ku koszuli bez kołnierzyka, jak gdyby w poszukiwaniu godności. Spojrzał na Moskę, potem na pozostałych. Postąpił krok ku nim, schodząc z trawy i kamieni. Nogi mu drżały i zachwiał się, lecz głos jego brzmiał spokojnie. Odezwał się:

- *Herr Mosca, Ich hab' eine Frau und Kinder.*

Twarz sierżanta wyrażała wściekłość i nienawiść.

- Biegnij, sukinsynu, biegnij. - Podbiegł do Niemca i uderzył go w twarz. Gdy ten się zachwiał, podtrzymał go i popchnął w kierunku pastwiska. - Biegnij, ty szkopski sukinsynu. - Krzyknął to trzy lub cztery razy.

Niemiec upadł, wstał i odwrócił się ku nim znowu i powtórzył, nie prosząc tym razem, lecz jakby wyjaśniając:

- *Ich hab' eine Frau und Kinder.*

Jeden ze strażników podszedł szybko i uderzył go kolbą karabinu w pachwinę, a potem, kołysząc broń w jednej ręce, drugą trzasnął go w twarz.

Bruzdy w pomarszczonej twarzy nabiegły krwią. Potem, zanim ruszył kamienistym pastwiskiem ku ciemnej ścianie lasu, spojrzął na nich po raz ostatni. W spojrzeniu tym nie było już żadnej nadziei i coś więcej jeszcze niż strach przed śmiercią. Było w nim przerażenie, jak gdyby ujrzał coś tak strasznego i haniebnego, w co nigdy by przedtem nie uwierzył.

Patrzyli za nim, jak szedł powoli przez pastwisko. Czekali, aż zacznie biec, lecz on szedł bardzo powoli. Co kilka kroków odwracał się patrząc na nich, jak gdyby to była jakaś zabawa budząca dzieciinne niedowierzanie. Widzieli biel jego koszuli bez kołnierzyka.

Mosca spostrzegł, że gdy Niemiec odwracał się, by patrzeć na nich, a potem odwracał się znowu, zawsze zbaczał nieco na prawo. Dojrzał niewielkie, skaliste wzniesienie biegnące ku lasowi. Podstęp był oczywisty. Żołnierze uklękli na polnej drodze i unieśli karabiny na wysokość ramion. Mosca opuścił swój karabin lufą do ziemi.

Sierżant wystrzelił w momencie, gdy Niemiec rzucił się nagle w kierunku rowu, a jego ciało zaczęło się osuwać, gdy zabrzmiały dalsze strzały. Ciało spadło poza krawędź, lecz nogi pozostały widoczne.

W ciszy, która nastąpiła po ostrych, rozproszonych wystrzałach, pod szarymi smużkami dymu wzbijającego się nad ich głowami, żywi ludzie zastygli w pozycjach strzeleckich. Gryzący zapach prochu wbił się w wieczorne powietrze.

- Jedźcie - powiedział Mosca. - Ja poczekam na przyczepę. Jedźcie, chłopcy. - Nikt nie zauważył, że nie strzelał. Odwrócił się i odszedł parę kroków.

Słyszał warkot odjeżdżającego jeepa. Oparł się o drzewo, spoglądając poprzez kamieniste pastwisko, poprzez zwisające nogi, ku czarnej, nieprzeniknionej ścianie lasu. W nadciągającym mroku wydawała się bardzo bliska. Zapalił papierosa. Nie odczuwał nic, poza lekkimi mdłościami i ściskaniem w dołku. Czekał, mając nadzieję, że przyczepa przyjedzie zanim, zupełnie się ściemni.

W pograżonym w głębokiej ciemności pokoju Mosca sięgnął poprzez ciało Helli po szklankę wody stojącą na nocnym stoliku. Wypił, po czym osunął się na poduszkę.



Chciał być szczery do końca.

- Nie mam wyrzutów sumienia - powiedział. - Tylko kiedy zobaczę coś takiego jak dzisiaj, jak ta kobieta biegnąca za ciężarówką. Pamiętam, co powiedział - powiedział to dwukrotnie. „Mam żonę i dzieci”. Wtedy nic to dla mnie nie znaczyło. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tak samo wydawaliśmy wszystkie pieniądze na byle co, bo oszczędzanie nic nie znaczyło. - Przerwał czekając, aż Hella się odezwie.

Podjął znowu.

- Próbowałem to jakoś potem wytłumaczyć. Bałem się wracać na front i chyba bałem się tego sierżanta. Poza tym tamten był Niemcem, a Niemcy byli znacznie gorsi. Ale najważniejsze, że nie czułem żadnego współczucia, gdy go bili, gdy błagał, gdy go zabili. Potem czułem zdumienie i wstyd, ale nigdy współczucie, i wiem, że to źle.

Mosca dotknął twarzy Helli i przesuwając dłonią po policzku poczuł wilgoć w zagłębieniach pod oczami. Przez chwilę odczuwał mdłości, lecz wkrótce wypaliła je gorączka. Chciał jej o tym powiedzieć, jakie to było niezwykle, jak sen, jak czary, ten strach wokół. W obcych, opustoszałych miastach leżeli zmarli, walczone dalej na ich grobach pod gruzami, czarne kwiaty dymu wyrastały z domów podobnych do czaszek, a potem wszędzie leżała biała taśma. Wokół spalonego nieprzyjacielskiego czołgu, na znak, że go nie rozminowano, przed drzwiami domów, jak w dziecięcej grze znak kredą, którego nie wolno przekroczyć, a potem coraz więcej taśmy, niczym urok rzucony przez wiedźmę, biała taśma wokół kościoła, wokół zwłok na placu, wokół beczek w wieśniaczej stodole, a potem na polach znak czaszki z puszczelami w miejscach, gdzie leżały martwe zwierzęta, krowy, silne konie pociągowe, rozszarpane przez miny, z brzuchami rozdartymi ku słońcu. A pewnego ranka nowe, obce miasto było tak ciche, tak spokojne, że zaczął się bać, mimo że walki toczyły się w odległości paru kilometrów. Nagle, z oddali, rozległ się dźwięk kościelnych dzwonów i ujrzeli, że plac wypełnił się ludźmi - zrozumiał, że to niedziela. Tego samego dnia, gdy strach minął, w miejscu, gdzie nie widniała czaszka z puszczelami, gdzie dziecko zapomniało narysować biały znak kredą, gdzie z powodu ludzkiej pomyłki zabrakło czarodziejskiej białej taśmy, choć być tam powinna, doświadczył pierwszego gwałtu na ciele i poznał znaczenie i przerażenie unicestwienia.

Nic nie powiedział. Poczuł, że Hella odwraca się na brzuch i chowa twarz w poduszkę. Szturchnął ją szorstko i powiedział:

- Idź spać na kanapę. - Przysunął się do ściany, której chłód wyciągał gorączkę z ciała. Przywarł do niej mocno.

We śnie ciężarówki jechały przez różne kraje. Niezliczone kobiety wyskakiwały z ziemi, wspinały się na palce na ulicach, szukały spragnionym wzrokiem. Wynędziali mężczyźni tańczyli z radości jak strachy na wróble, a gdy kobiety zaczęły płakać, pochylali się, by ich całowały. Otaczała ich biała taśma, ciężarówki, mężczyźni, kobiety i cały świat. Wszystko przenikało mdłe przerażenie zrodzone z winy. Białe kwiaty więdły i umierały.

Mosca obudził się. Pokój przecinały cienie, ostatnie duchy nocy, więc mógł dostrzec niewyraźny zarys szafy. Powietrze było chłodne, lecz jego ciała nie dręczyła już gorączka ani zimno. Odczuwał lekkie zmęczenie, co było dość przyjemne. Był bardzo głodny, toteż przez chwilę pomyślał, że śniadanie będzie mu rano smakować. Wyciągnął rękę i dotknął ciała śpiącej Helli. Zrozumiał, że go nie opuściła, przycisnął policzek do jej ciepłego ciała i zasnął.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gordon Middleton obserwował dzieci, które maszerowały ulicą przed jego domem sprawną dwójkową kolumną. Kołysały papierowymi lampionami w takt powolnej pieśni dobiegającej niewyraźnie do uszu poprzez zamknięte okno. Potem dwa szeregi zawróciły i zwały się w grupę, a zapalone żółto-czerwone latarnie wydawały się rojem światełek w zimnym i bladym październikowym zmierzchu. Gordon zatęsknił nagle za zamierającą wioską w New Hampshire, z której wyjechał tak dawno temu, za pięknem chłodnego i nagiego krajobrazu, za nocnym powietrzem rozświetlonym tylko przez światełki, gdzie, podobnie jak tutaj, wszystko zdawało się zamierać z nadejściem zimy.

Nie odwracając głowy Gordon zapytał profesora:

- Co one śpiewają, te dzieci z latarniami?

Profesor siedział przy szachownicy, przyglądając się z zadowoleniem kłęsce, jaką zadał przeciwnikowi. W skórzanej teczce obok znajdowały się dwie kanapki, które zabierze do domu, i dwie paczki papierosów, tygodniowa zapłata za lekcje niemieckiego udzielane Gordonowi Middletonowi. Papierosy zachowa dla syna, gdy go będzie mógł odwiedzić w Norymberdze. Musi znowu poprosić o pozwolenie na odwiedziny. W końcu, jeśli wielcy mogą przyjmować gości, czemu nie jego syn?

- Śpiewają pieśń na październikowe *Fest* - powiedział z roztargnieniem profesor. - Powiada ona, że noce stają się dłuższe.

- A lampiony? - spytał Gordon Middleton.

- Właściwie nie wiem, to jakiś stary zwyczaj. Dla oświetlenia drogi. - Profesor stłumił rozdrażnienie. Chciał ściągnąć Amerykanina z powrotem do gry i dokończyć rzezi. Mimo że Amerykanin nie wykorzystywał swej pozycji zwycięzcy, profesor nigdy nie zapominał o swym miejscu pokonanego ani o głęboko skrywanym wstydzie z powodu syna.

Gordon Middleton otworzył okno, przez które napływały śpiewne dziecięce głosy, wzbijając się z ulicy sponad lampionów i wypełniając pokój krystalicznym dźwiękiem, podobnym do październikowego powietrza. Słuchał uważnie, sprawdzając świeżo nabytą znajomość niemieckiego. Proste słowa, czysto śpiewane przez dzieci, można było z łatwością zrozumieć. Dzieci śpiewały:

*Brenne auf mein Licht  
Brenne auf mein Licht  
Aber nur meine Laterne nicht.*

- Ich rodzice mają chyba ważniejsze sprawy na głowie niż robienie lampionów. -  
Gordon czekał, słuchając pieśni.

*Da oben leuchten die Sterne  
Hier unten leuchten wir.*

Potem długa fraza, wyzbyta smutku, lecz smutno brzmiąca w zapadającym zmroku.

*Mein Licht ist aus, wir geh' nach Haus  
Und kommen Morgen wieder.*

Gordon Middleton ujrzał Moskę, który przechodził Kurfürsten Allee i przecinał gromadkę lampionów i śpiewających dzieci, rozpraszając światło.

- Idzie mój przyjaciel - powiedział Gordon do profesora. Podeszedł do szachownicy i palcem wskazującym przewrócił swego króla.

Profesor uśmiechnął się do niego i powiedział z uprzejmości:

- Jeszcze mógł pan wygrać. - Profesor bał się wszystkich młodych mężczyzn - twardych, ponurych Niemców mających za sobą lata wojny i klęski - ale jeszcze bardziej tych młodych, pijanych Amerykanów, którzy biją lub zabijają bez żadnego powodu, a jedynie z pijackiej złośliwości, dobrze wiedząc, że są bezkarni. Jednakże przyjaciel Middletona z pewnością nie będzie niebezpieczny, Herr Middleton zapewnił go o tym, a Herr Middleton budził zaufanie. On sam był niemal karykaturą purytańskiego Jankesa, wysoki, niezgrabny, nieforemny, z wydatnym jabłkiem Adama, długim kościstym nosem i prostokątnymi ustami. A w swym miasteczku w Nowej Anglii był nauczycielem. Profesor uśmiechnął się myśląc o tym, jak w przeszłości tacy nauczyciele ze szkół podstawowych płaszczyli się przed Herr Profesorem i o tym, że w obecnym ich stosunku jego wiedza i tytuł nic nie znaczą. To on zabiegał o względy.

Zadzwieczał dzwonek, a Gordon poszedł otworzyć. Profesor wstał i nerwowo

wygładził marynarkę i wystrzępiony krawat. Wyprostował niskie ciało z wydatnym brzuchem i zwrócił się ku drzwiom.

Profesor ujrzał wysokiego, ciemnego chłopca, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia cztery lata i z pewnością nie był starszy od jego syna. Ten chłopiec miał jednak bystre brązowe oczy i poważną, niemal ponurą twarz, prawie graniczącą z brzydotą. Miał na sobie schludny zielony mundur oficerski z biało-niebieskimi naszywkami na kołnierzyku i lewym rękawie, które oznaczały, że jest cywilem. Poruszał się ze sportową niedbałością, która byłaby pogardliwa, gdyby nie tak bezosobowa.

Gdy Gordon ich przedstawił, profesor powiedział:

- Miło mi pana poznać - i wyciągnął rękę. Próbował zachować godność, lecz zdał sobie sprawę, że wypowiedział to uniżenie, więc uśmiechnął się zdradzając zdenerwowanie. Spozrzegł, że wzrok chłopca staje się surowy i zauważył, że szybko cofnął rękę. Świadomość, że obraził tego młodzieńca, wprawiła profesora w drżenie, więc usiadł, by ustawić pionki na szachownicy.

- Miałby pan ochotę zagrać? - zapytał Moskę, próbując powstrzymać pokorny uśmiech.

Gordon wskazał stół i powiedział:

- Spróbuj, Walterze, on jest zbyt dobry dla mnie.

Mosca usiadł na krześle naprzeciw profesora.

- Niech pan nie oczekuje zbyt wiele - Gordon nauczył mnie tej gry miesiąc temu.

Profesor skinął głową i szepnął:

- Proszę zagrać białymi.

Mosca zrobił pierwszy ruch.

Profesor wciągnął się w grę i pozbył nerwowości. Ci wszyscy Amerykanie stosowali proste otwarcie, lecz gdy nauczyciel grał ostrożnie, rozsądnie lecz banalnie, ten grał z zapalczywością młodości. Nie pozbawiony talentu, pomyślał profesor, kilkoma wytrawnymi ruchami przełamując frontalny atak. Potem zręcznie i bezlitośnie natarł na niebronione wieże i gońca i wziął pionki, wysunięte do przodu bez żadnej osłony.

- Jest pan zbyt dobry dla mnie, profesorze - powiedział młodzieniec, a profesor zauważył z ulgą, że w jego głosie nie było urazy.

Potem, bez żadnego wstępu, Mosca odezwał się szorstko:

- Chciałbym, żeby pan dawał lekcje angielskiego mojej narzeczonej dwa razy w tygodniu. Ile to kosztuje?

Profesor zaczerwienił się. Takie prostackie ubijanie interesu było poniżające, jak gdyby był sklepikarzem.

- Jak pan sobie życzy - powiedział sztywno - lecz mówi pan całkiem dobrze po niemiecku, dlaczego więc sam pan jej nie uczy?

- Uczyłem - powiedział Mosca - ale ona chce się nauczyć budowy języka, gramatyki i tak dalej. Paczka papierosów za dwie lekcje, dobrze?

Profesor skinął głową.

Mosca pożyczył ołówek od Gordona i napisał parę słów na kawałku papieru. Dał go profesorowi mówiąc:

- To notka na wypadek, gdyby ktoś na kwaterze pytał pana. Adres też tam jest.

- Dziękuję - profesor niemal się uklonił. - Czy jutro wieczór odpowiada panu?

- Oczywiście - powiedział Mosca.

Przed domem rozległ się przeciągły klakson jeepa.

- To na pewno Leo - powiedział Mosca. - Wybieramy się do klubu oficerskiego. Masz ochotę, Gordon?

- Nie - powiedział Gordon. - Czy to ten chłopiec, który był w Buchenwaldzie? - A gdy Mosca skinął głową dodał: - Poproś go na chwilę - chciałbym go poznać.

Mosca podszedł do okna i otworzył je, a wówczas klakson przestał trąbić.

- Wejdz na górę - zawołał Mosca.

Było bardzo ciemno, gdyż dzieci z lampionami zniknęły.

Leo wszedł, uścisnął dłoń Gordonowi i powiedział sztywno do profesora:

- *Angenehm.*

Profesor uklonił się, wziął teczkę i powiedział do Gordona:

- Muszę już iść.

Gordon odprowadził go do drzwi wyjściowych, gdzie podali sobie ręce na pożegnanie. Potem Gordon poszedł do kuchni w tylnej części domu.

Jego żona siedziała przy stole z Jergenem, targując się o cenę jakichś czarnorynkowych towarów. Jergen był uprzejmy, pełen godności i nieustępliwy; oboje wiedzieli, że to ona robi dobry interes. Jergen wierzył w jakość. Na krześle obok stołu leżał

gruby zwój kosztownego, rdzawego, wełnianego materiału.

- Czyż nie jest piękny, Gordonie? - zapytała Ann Middleton z zadowoleniem w głosie. Była pulchną kobietą, twarz miała miłą i życzliwą, pomimo zdecydowanego podbródka i przebiegłych oczu.

Gordon powoli i powściągliwie przytaknął, po czym powiedział:

- Jeśli skończyłaś, chciałbym, żebyś przyszła poznać moich przyjaciół.

Jergen przełknął pospiesznie filiżankę kawy i zaczął wypełniać skórzaną teczkę stojącymi na stole okrągłymi puszkami z tłuszczem i mięsem.

- Muszę już iść - powiedział.

- Nie zapomni pan o materiale na płaszcz dla męża w przyszłym tygodniu? - przypomniała Ann Middleton.

Jergen zaprzeczył gestem.

- Nie, droga pani. Najpóźniej w przyszłym tygodniu.

Zamknawszy tylne drzwi za Jergenem, Ann Middleton otworzyła kredens i wyjęła butelkę whisky oraz kilka butelek coca-coli.

- Robienie interesów z Jergenem to przyjemność, nigdy nie zawraca głowy żadną tandetą - powiedziała.

Poszli razem do saloniku.

Przedstawivszy ich sobie Gordon usiadł w fotelu, nie słuchając paplaniny żony. Źle znosił obcą atmosferę zarekwirowanego domu, mieszkanie wśród sprzętów, z którymi nie wiązały się żadne wspomnienia ni skojarzenia, brak wiedzy o tym, kto wybrał obrazy na ścianach, rozmieścił meble w pokojach, kto grał na pianinie stojącym przy przeciwległej ścianie. Podobne uczucia, które kłóciły się z intelektem, nie były mu obce. Czuł to najsilniej podczas wizyty w domu u rodziców przed wstąpieniem do wojska. W tamtym domu, w otoczeniu mebli należących do dawno zmarłych przodków, całując suche policzki ojca i matki, policzki wysuszone przez ostry północny klimat, miał świadomość, że nigdy tam nie powróci, podobnie jak nie powrócą inni młodzi ludzie, którzy poszli na wojnę lub do fabryk; że ta ziemia, lodowata w swym nagim zimowym pięknie, będzie mieszkaniem tylko dla starych ludzi o włosach tak białych jak śnieg pokrywający ostre wzgórza. W jego sypialni znajdował się duży portret Marksa, który matka uważała za byle jakie malowidło. Jakże dumny był ze swej przebiegłości i jak jej nieświadomość budziła w

nim niemal pogardę. Przypuszczalnie nadal tam wisi.

Żona zrobiła drinki, słabe, bo whisky była na kartki i używała jej czasem do robienia zakupów na czarnym rynku.

Gordon zadał Leo pytanie:

- Czy to w waszym obozie więźniowie zginęli podczas nalotu aliantów?

- Tak - odparł Leo - pamiętam. - Ale proszę mi wierzyć, nie mieliśmy im tego za złe.

- Czytałem, że Thalman, przywódca komunistów, zginął podczas tego nalotu. Czy pan go znał? - Po raz pierwszy głos Gordona nie brzmiał spokojnie. Wyraźnie zdradzał zainteresowanie.

- To była dziwna sprawa - powiedział Leo. - Thalmana przywieziono do obozu w dwa dni po nalocie, w którym miał rzekomo zginąć. Zaraz potem go zabrano. Słyszeliśmy obwieszczenie o jego śmierci; drwiliśmy sobie z tego oczywiście.

Gordon odetchnął głęboko.

- Spotkał go pan.

- Nie - powiedział Leo. - Pamiętam dobrze, bo wielu kapo, zaufanych więźniów, było komunistami. Ich pierwszych wysłano do obozów, więc naturalnie mieli dobre funkcje. No więc słyszałem, że udało im się zdobyć różne przysmaki, a nawet alkohol, i że planowali powitać Thalmana potajemną ucztą. Ale nic z tego nie wyszło. Cały czas go pilnowali.

Gordon pokiwał głową z wyrazem powagi i smętnej dumy. Odezwał się do żony z powściąganym gniewem:

- Widzisz teraz, kto był prawdziwym wrogiem faszyzmu.

Leo powiedział z rozdrażnieniem:

- Komuniści nie byli tacy wspaniali. Taki jeden, kapo, z upodobaniem katował starców na śmierć. Robił jeszcze wiele innych rzeczy, o których nie mogę mówić w obecności pańskiej żony.

Gordona ogarnął taki gniew, iż uwidocznił się na jego zwykle opanowanej twarzy. Jego żona zwróciła się do Moski:

- Może wpadłbyś kiedyś ze swą dziewczyną do nas na kolację. I Leo też. - Zaczęli omawiać szczegóły, dając Gordonowi czas na ochłonięcie.



Nagle Gordon odezwał się do Leo:

- Nie wierzę, że ten człowiek był komunistą. Może kiedyś nim był. Ale to był albo renegat, albo oszust.

Na to Ann i Leo wybuchnęli śmiechem, lecz Mosca zwrócił swą bystrą, ciemną twarz ku Gordonowi i powiedział:

- Ten facet był długo w obozie. Na litość boską, czy nie rozumiesz, co to znaczy?

Zaś Leo dodał uspokajająco:

- Tak, był jednym z najstarszym więźniów.

W pokoju na gorze zaczęło płakać dziecko, więc Gordon poszedł tam i przyniósł dużego, zdrowego chłopca, który był wyrośnięty jak na swoje sześć miesięcy. Gordon zmienił mu pieluszkę, z dumą demonstrując swą biegłość.

- Robi to lepiej ode mnie - powiedziała Ann Middleton - i poza tym lubi to, czego nie mogę o sobie powiedzieć.

- Może byście spędzili z nami wieczór zamiast iść do klubu? - zapytał Gordon.

- Zostańcie, proszę - powiedziała Ann.

- Możemy zostać chwilę - powiedział Mosca - ale mamy się spotkać w klubie z Eddiem Cassinem około dziesiątej. Wybrał się do opery.

Ann Middleton prychnęła pogardliwie:

- Oczywiście, jest w operze.

- A poza tym - powiedział Mosca - to kawalerski wieczór w klubie i przedstawienie będzie znakomite. Leo nigdy nie widział przedstawienia dla panów. Koniecznie je musi zobaczyć.

Odprowadzając ich do drzwi Gordon powiedział do Moski:

- Nigdy nie wykorzystujemy naszych przydziałów kartkowych. Jeśli potrzeba ci będzie żywności, daj mi znać.

Gordon zamknął drzwi i wrócił do saloniku. Ann odezwała się:

- To naprawdę wstyd - byłeś niegrzeczny wobec Leo.

Gordon, który wiedział, iż była to surowa nagana, odparł bez przekory lecz zdecydowanie:

- Nadal uważam, że ten człowiek był oszustem.

Tym razem żona się nie uśmiechnęła.

Przyćmione różowe światła zgasły. Eddie Cassin pochylił się do przodu na krześle i wraz z innymi bił brawo, gdy stary, siwowłosy dyrygent wszedł do pomieszczenia dla orkiestry i mocno uderzył pałeczką w pulpit. Kurtyna poszła w górę.

Gdy muzyka zabrzmiała powoli, lecz z uczuciem, Eddie Cassin zapomniał o szkolnej auli, w której się znajdował, o Niemcach wokół niego i o dwóch ogromnych rosyjskich oficerach, którzy mu zasłaniali widok. Znajome postaci na scenie stanowiły teraz całe jego życie, toteż zacisnął dłonie na podbródku i ustach, by zapanować nad wyrazem swej twarzy.

Na scenie mężczyzna i kobieta, którzy na początku śpiewali o swej miłości, teraz śpiewali o nienawiści. Mężczyzna w kostiumie wieśniaka wykrzykiwał swą złość silnymi, pięknymi dźwiękami, wznoszącymi się i opadającymi, orkiestra grała nieco ciszej, wznosząc się i opadając wraz z głosem, jak fala i cichła zupełnie, gdzie należało. Głos kobiety, ostry, przecinał jego głos, mieszał się z nim, orkiestra krążyła wokół ich słów. Mężczyzna odepchnął kobietę tak silnie, że obracając się upadła na ziemię, naprawdę runęła na deski sceny. Natychmiast zerwała się na nogi, wykrzykując melodyjnie swe wymówki, a potem mężczyzna groził jej, zaś ona zaprzeczyła jego oskarżeniom, i wtedy nagle głos mężczyzny, głosy chóru i orkiestra umilkły, i brzmiał tylko głos kobiety, wyznał winę, rzucił wyzwanie i zniżając się do słodszych tonów śpiewał o śmierci, smutku i cielesnej miłości powodującej mężczyznami i kobietami. Na oczach Eddiego Cassina mężczyzna chwycił kobietę za włosy i przeszył jej ciało sztyletem. Głośną i czystą nutą wezwała pomocy, a potem kochanek skonał wraz z nią. Rogi i skrzypce wezbrały wysoką, wznoszącą się falą, a głos mężczyzny zabrzmiał po raz ostatni, długim, czystym tonem zemsty, namiętności i nieutulonego żalu. Kurtyna opadła.

Rosyjscy oficerowie w zielono-złoty mundurach klaskali z entuzjazmem, najwyraźniej przewodząc aplauzowi widowni. Eddie Cassin przecisnął się ku wyjściu i wydostał na świeże powietrze nocy. Oparł się o jeepa, zmęczony, lecz zadowolony. Począł, aż wszyscy wyszli, począł, aż wyszła kobieta, która skonała na scenie. Zobaczył, że była nieładna, o ciężkich, niemieckich rysach, w czarnym, luźnym ubraniu, niezgrabna, jak pięćdziesięcioletnia gospodyni domowa. Począł, póki nie zniknęła mu z oczu, po czym wsiadł do jeepa i pojechał przez most do Altstadt, do Bremy właściwej. Jak

zwykle, napotkane ruiny wydały mu się bliskie. Mieszały się z tym uczuciem wspomnienie opery oraz świadomość dużego podobieństwa rzeczywistego świata - ze względu na ten sam element śmieszności - do nierzeczywistego świata wewnątrz, który oglądał na scenie. Uwolniony się od uroku muzyki, wstydział się teraz łez, które uronił, łez wywołanych przez tragedię tak zwykłą i prostą, dziecinną opowieść o niewinnych i nieszczęsnych zwierzętach doprowadzonych do katastrofy, swych dziecinnych łez, których nigdy nie zrozumie.

Klub oficerski był kiedyś jednym z najpiękniejszych prywatnych domów w Bremie. Miejsce trawnika zajął parking dla jeepów i samochodów wojskowych. Ogród za domem dostarczał kwiatów do mieszkań wyższych oficerów.

Gdy Eddie wszedł do klubu, parkiet taneczny był jeszcze pusty, lecz otaczał go tłum oficerów siedzących w trzech rzędach na podłodze lub wspartych o ściany. Inni w barze stali na krzesłach, aby widzieć ponad tłumem.

Ktoś przemknął obok Eddiego idąc na parkiet. Była to dziewczyna, obnosząca swą nagość na malutkich, srebrnych platformkach baletek. Włosy łonowe miała zgolone w kształt trójkąta, odbijającego ciemną czerwień od jej ciała niczym tarcza. Nastrożyła je tak, iż wydawały się gęste i puszyste. Tańczyła niezdarnie, zbliżając się do siedzących na podłodze oficerów i niemal ocierając się trójkątem włosów o ich twarze, tak że niektórzy młodzi oficerowie wzdragali się mimowolnie i odwracali krótko ostrzyżone głowy. Śmiała się z tego, śmiała i tańczyła, aż jeden ze starszych oficerów półżartem chwycił ją za trójkąt. W ruchu tym nie było nic z seksu, nic z pożądania. Ktoś cisnął grzebień na parkiet, a dziewczyna tańczyła dalej, niczym koń pociągowy próbujący galopu. Oficerowie zaczęli wykrzykiwać żarty, których nie rozumiała, zaś upokorzenie nadało jej twarzy i tańcowi wyraz jeszcze bardziej wymuszony i śmieszny, aż wreszcie wszyscy się śmiali, rzucali grzebień, chusteczki, noże, oliwki z drinków, precle. Jeden z oficerów zawołał: „Schowaj to”, a inni podjęli okrzyk. Inny oficer wyszedł na parkiet z ogromnymi nożycami w ręku, szcękając nimi znacząco. Dziewczyna uciekła z parkietu i przemknęła obok Eddiego do garderoby. Eddie poszedł do baru. Ujrzał w kącie Moskę i Wolfa, więc zbliżył się do nich.

- Czyżby Leo nie oglądał przedstawienia? - powiedział Eddie. - Walterze, przyrzekłeś mi, że je zobaczy.

- Już się uczeplił jednej z tancerek - powiedział Mosca. - Jest tutaj.

Eddie uśmiechnął się i zwrócił do Wolfa.

- Odkryłeś kopalnię złota? - Wiedział, że Wolf i Mosca wychodzą wieczorami i handlują na czarnym rynku.

- Interesy idą ciężko - powiedział Wolf, smętnie potrząsając śmiertelnie bladą twarzą.

- Nie bujaj - powiedział Eddie Cassin. - Słyszałem, że twoja Fraülein nosi diamenty do piżamy.

Wolf oburzył się.

- A skąd wytrzasnęłaby piżamę?

Wszyscy się roześmiali.

Gdy podszedł kelner, Eddie zamówił podwójną whisky. Wolf skinął głową w stronę parkietu i powiedział:

- Sądziłem, że będziesz dziś w pierwszym rzędzie.

- O, nie - powiedział Eddie Cassin. - Ja jestem kulturalny, poszedłem na operę. Przynajmniej baby są tam ładniejsze.

Oficerowie napłynęli do baru z drugiej sali; przedstawienie się skończyło. Zrobiło się tłoczno. Mosca wstał i powiedział:

- Chodźmy pograć w kości.

Przy stole do gry w kości był prawie komplet. Stół był prymitywny, cztery nie malowane belki służyły za nogi, a drewniany blat przykryty był zielonym suknem. Kilkunastocentymetrowej szerokości deski tworzyły prostokąt zabezpieczający kości.

Sam pułkownik, niski, pulchny mężczyzna z jasnym wąsikiem, bardzo elegancki, niezgrabnie potrząsał kośćmi, które wysypywały się niezdarnie z zaciśniętej dłoni. Wszyscy gracze byli oficerami, przeważnie lotnikami. Po prawej stronie pułkownika stał jego adiutant, czujny, nie biorący udziału w grze, gdy grał pułkownik.

Adiutant, młody kapitan, miał wygląd prostoliniowego człowieka, o łagodnej twarzy i uśmiechu, który był ujmujący - wówczas, gdy nie oznaczał pogróżki. Szczycił się swym stanowiskiem adiutanta i pewnym zakresem władzy, pozwalającym mu wybierać oficerów do pełnienia co przykrzejszych obowiązków w bazie, szczególnie w weekendy. Pułkownik na nim polegał, zaś adiutant nie zapominał zniewag. Był wszakże sprawiedliwy, a mściwość okazywał jedynie wówczas, gdy znieważono jego stanowisko, nie zaś jego

osobiście. Surowość wojskowego życia i procedury wojskowej była dla niego rzeczą świętą, toteż każde jej naruszenie traktował jako czyn świętokradczy i bluźnierczy. Jeśli ktoś próbował załatwić coś poza właściwymi kanałami - prostymi i wąskimi ścieżkami ściśle określonymi w przepisach wojskowych - dostawał nagle dużo do roboty, i choćby starał się bardzo, miał dużo pracy przynajmniej przez parę miesięcy. Adiutant praktykował swą religię z fanatyzmem młodości; był w tym samym wieku co Mosca.

Kelner w białej marynarce stał za niewielkim barem w kącie sali. Gdy gracze wołali o drinki, przyrządzał je, a oni przychodzili po szklanki i wracali z nimi do gry, stawiając je na parapecie utworzonym przez otaczające blat deski.

Wolf, który nie grał, usiadł w fotelu, natomiast Eddie Cassin i Mosca wcisnęli się na miejsca przy stole. Gdy przyszła kolejka Eddiego, Mosca postawił na niego. Eddie, gracz ostrożny, niemal z żalem wyciągnął banknot dolarowy spod klamerki w portfelu. Rzucił dobrze i miał pięć rzutów, zanim wypadł. Mosca wygrał jeszcze więcej pieniędzy niż on.

Stali tuż obok siebie, więc przyszła teraz kolej na Moskę, kości krążyły bowiem zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Grając z powodzeniem i pewnością siebie, Mosca położył na zielonym suknie papierowe pieniądze wartości dwudziestu dolarów. Czterech oficerów postawiło po pięć dolarów. Mosca wyrzucił silnie duże sześcienne kostki. Trafił siódmkę.

- Przebijcie - powiedział.

Miał teraz całkowitą pewność, był rozweselony. Ci sami czterej oficerowie postawili czterdzieści dolarów. Eddie Cassin powiedział:

- I dziesiątka na niego.

Pułkownik odezwał się:

- Przyjmuję.

Położyli pieniądze na stole.

Mosca cisnął kości silnie na obrzeże stołu. Kostki odbiły się od deski, potoczyły po zielonym suknie i zakręciły jak dwa czerwone bąki; potem ich krawędzie zahaczyły o sukno i kostki zatrzymały się nagle. Następna siódmka.

- Przebijcie osiemdziesiąt dolców - powiedział Mosca.

- I dwudziestka na niego. - Eddie Cassin położył pieniądze na stole. Pułkownik

położył swoje.

Tym razem Mosca wypuścił kości delikatnie, jak gdyby wypuszczał zwierzę domowe, tak że odbiły się od ścianki i potoczyły kilkanaście centymetrów, po czym zatrzymały się, wielkie i czerwone, pośrodku zielonego sukna. Była to znowu siódemka, a jeden z oficerów powiedział.

- Potrząśnij tymi kośćmi. - Powiedział to bez złośliwości, jedynie jako przesądne zaklęcie przeciwko szczęściu Moski.

Ten uśmiechnął się do oficera i powiedział:

- Stawiam sto sześćdziesiąt.

Adiutant stał nieruchomo z drinkiem w ręku, przyglądając się Mosce i kościom.

Eddie Cassin powiedział ostrożnie:

- Stawiam dziesięć na niego. - Wziął trzydzieści dolarów, które wygrał.

Pułkownik odezwał się:

- Stawiam dwadzieścia przeciw tobie. - Eddie niechętnie położył jeszcze jeden dziesięciodolarowy banknot i wrzucił ramionami, napotkawszy wzrok Moski.

Mosca podniósł kości, dmuchnął na nie i cisnął je silnie na przeciwległe obrzeże stołu. Czerwone kości z białymi kropkami pokazały czwórkę.

Jeden z oficerów powiedział:

- Stawiam dziesięć do pięciu, że mu się nie uda.

Mosca przyjął ten zakład i jeszcze kilka innych. Nie podjął kości ze stołu, lecz nieświadomie wyzywający i pewny powodzenia, trzymał w dłoni plik banknotów, gotów przyjąć inne zakłady. Był szczęśliwy, lubił napięcie gry, a rzadko grywał ze szczęściem.

- Przyjmę sto do pięćdziesięciu - powiedział, a gdy nie było odpowiedzi, podniósł kości.

Zanim je wyrzucił, odezwał się pułkownik:

- Stawiam dwadzieścia, że ci się nie uda.

Mosca rzucił banknot dziesięciodolarowy i powiedział:

- Przyjmuję.

- Położyłeś tylko dziesięć dolarów - powiedział pułkownik.

Mosca przestał potrząsać kośćmi i pochylił się nad stołem. Nie mógł uwierzyć, że pułkownik, stary żołnierz, nie zna stawki w grze w kości.

- Musi pan postawić dwa do jednego przeciwko czwórce, pułkowniku - powiedział, starając się stłumić gniew.

Pułkownik zwrócił się do jednego z otaczających go oficerów i zapytał:

- Czy to prawda, poruczniku?

- Tak jest, panie pułkowniku - odpowiedział oficer z zakłopotaniem.

Pułkownik rzucił dwadzieścia dolarów.

- Dobra, strzelaj.

Czerwone sześciiany uderzyły we wszystkie cztery brzegi stołu, przemknęły szybko po zielonym suknie i zatrzymały się zdumiewająco nagle, na każdym zaś czerwonym kwadraciku widniały dwie małe białe kropki. Mosca przyjrzał im się przez chwilę, nim podjął pieniądze, i głośno powiedział, co myśli:

- To najpiękniejszy widok, jaki w życiu oglądałem.

Dalsze kuszenie losu nie ma sensu - pomyślał. Cisnął parę banknotów na stół i po kilku rzutach stracił kolejkę. Grał dalej z nieszczególnym szczęściem. Gdy pułkownik wziął kości do ręki, Mosca postawił przeciwko niemu. Pułkownik wyrzucił jeden punkt i stracił kolejkę po drugim rzucie. Mosca podjął pieniądze. Pułkownik powiedział bez urazy:

- Masz za dużo szczęścia.

Uśmiechnął się, opuścił pokój i słychać było, jak schodzi ze schodów. Mosca uświadomił sobie, że się mylił, że pułkownik naprawdę nie znał zasad gry i że nie próbował wykorzystać swej szarzy.

Atmosfera przy stole nieco się rozluźniła, a rozmowa oficerów zabrzmiała bardziej naturalnie. Kelner uwijał się chcąc sprostać wielu wykrzykiwanym zamówieniom. Adiutant podszedł do baru, usiadł na stołku, a gdy mu napełniono szklanę, skosztował, po czym zawołał:

- Mosca, chodź no tu na chwilę.

Mosca obejrzał się przez ramię. Eddie Cassin właśnie miał kości, a potem była jego kolej.

- Po moim rzucie - powiedział.

Eddie rzucał dobrze, ale Mosca szybko stracił kolejkę i podszedł do adiutanta, który cierpliwie czekał.

Adiutant spojrział mu prosto w oczy spokojnie i rzeczowo i powiedział:

- Co ci przyszło do głowy, żeby powiedzieć pułkownikowi, jak się stawia?

Mosca zdziwił się i lekko zmieszał.

- Cholera - powiedział - facet chciał postawić. Nikt by mu nie dał równej stawki na czwórkę.

Adiutant powiedział spokojnie, jak gdyby zwracał się do głupiego dziecka:

- Przy stole było co najmniej dziesięciu oficerów. Nie powiedzieli mu, jaka jest stawka, a gdyby nawet, zrobiliby to znacznie uprzejmiej. Jak myślisz, dlaczego mu nie powiedzieli?

Mosca czuł, że krew napływa mu do twarzy. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie słychać było odgłosu kości, gdyż mężczyźni przy stole przysłuchiwali się. Doświadczał skrepowania, znanego mu z pierwszych miesięcy w wojsku. Wzruszył ramionami.

- Myślałem, że nie wie, więc mu powiedziałem.

Adiutant wstał.

- Myślisz, że ponieważ jesteś cywilem, coś takiego może ci ująć bezkarnie. Dałeś wyraźnie poznać, że pułkownik próbował posłużyć się swą szarżą, by okpić cię na dziesięć dolarów. Zapamiętaj sobie jedno: jeśli zechcemy, możemy cię bardzo szybko odesłać do Stanów, a jak rozumiem, masz powody, by tego nie pragnąć. A więc uważaj. Jeśli pułkownik czegoś nie wie, jego oficerowie mogą mu to powiedzieć. Obraziłeś dowódcę i wszystkich oficerów znajdujących się tutaj. Żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

Mosca bezwiednie zwiesił głowę w przypiływie wstydu i gniewu. Dostrzegł, że Eddie Cassin przypatruje mu się z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Poprzez mgłę gniewu usłyszał, że adiutant mówi z pogardą w głosie:

- Gdyby to ode mnie zależało, nie wpuściłbym was cywilów do klubu oficerskiego. Nie wiecie, co to wojsko.

Bez zastanowienia Mosca podniósł głowę. Ujrzał twarz adiutanta wyraźnie: szare szczere oczy, uprzejmą, poważną twarz, która teraz była surowa.

- Ile gwiazdek zdobył pan w bitwie, panie kapitanie? - zapytał Mosca. - W ilu lądowaniach brał pan udział?

Adiutant usiadł ponownie na stołku popijając drinka. Mosca niemal uniósł ramię, gdy tamten przemówił.

- Nie to miałem na myśli. Niektórzy z tych oficerów to więksi bohaterowie od



ciebie, jak sędzę, a jednak nie postąpili tak jak ty. Zachowali się inaczej. - Głos adiutanta, bardzo spokojny, pełen zimnego rozsądku, nie brzmiał pojednawczo.

Mosca porzucił gniew i przejął chłodny spokój tamtego, jak gdyby upodabniając się do niego, tak jak podobni byli wiekiem, wzrostem i postawą.

- W porządku powiedział - nie miałem racji mówiąc to pułkownikowi, przepraszam. Ale niech mi pan nie wciska tych kawałków o cywilach.

Adiutant uśmiechnął się, gdyż zniewaga osobista nie mogła go dotknąć, był bowiem kapłanem znoszącym cierpienia dla swej religii.

- Jeśli tylko rozumiesz, o co chodzi w tamtej sprawie - powiedział.

Mosca powiedział:

- W porządku, rozumiem.

Mimo wszystko słowa te oznaczały poddanie się, toteż gdy wrócił do stołu do gry w kości, czuł, że twarz pali go ze wstydu. Spostrzegł, że Eddie tłumi uśmiezek, jednocześnie mrugając do niego dla dodania mu otuchy. Oficer, który rzucał kości, niefrasobliwy facet z Południa, odezwał się cicho, zaciągając, lecz na tyle głośno, by adiutant słyszał:

- Dobrze, że nie wygrałeś następnych dziesięciu dolców, bo musielibyśmy cię wyprowadzić i rozstrzelać.

Otoczający stół oficerowie roześmiali się, lecz Mosca się nie śmiał. Słyszał, jak za jego plecami adiutant rozmawia swobodnie, śmieje się od czasu do czasu i pije z przyjaciółmi, jak gdyby nic się nie stało.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mosca i Gordon Middleton przerwali pracę, by podsłuchiwać; spoza lekko uchylonych drzwi biura Eddiego dobiegał głos młodej dziewczyny.

- Eddie, chciałam się z tobą zobaczyć na chwilę, to bardzo ważne. - Jej głos drżał nieco.

Głos Eddiego, zimny i urzędowo uprzejmy, odparł:

- Jasne, mów.

Dziewczyna powiedziała z wahaniem:

- Wiem, że zabroniłeś mi przychodzenia do biura, ale już mnie nie odwiedzasz.

Gordon i Mosca uśmiechnęli się do siebie. Gordon pokiwał głową. Słuchali dalej.

Dziewczyna powiedziała:

- Potrzebuję karton papierosów.

Zapadła cisza. Potem Eddie zapytał z chłodnym sarkazmem:

- Jakiej marki?

Dziewczyna nie zrozumiała jednak modulacji głosu oznaczającej odmowę.

- Och, to nie ma znaczenia - powiedziała. - Potrzebuję ich dla lekarza. Taka jest jego cena.

Głos Eddiego zabrzmiał uprzejmie i bezosobowo:

- Jesteś chora?

Dziewczyna roześmiała się nieśmiało.

- Och, Eddie, przecież wiesz. Będę miała dziecko. Za karton papierosów mój lekarz pomoże mi się go pozbyć. - Po chwili zapewniła, jak gdyby troska o jej zdrowie mogła go skłonić do odmowy: - Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Mosca i Gordon kiwali głowami śmiejąc się bezgłośnie, nie z dziewczyny, lecz z Eddiego, z jego, jak sądzili, zakłopotania i z tego, iż ten związek będzie go kosztować karton papierosów. Jednakże słowa Eddiego sprawiły, że przestali się uśmiechać.

Głos jego był nadal zimny i uprzejmy, lecz brzmiała w nim nuta okrutnej zadowolonej nienawiści.

- Niech ci twój niemiecki przyjaciel pomoże. Ode mnie nie dostaniesz żadnych papierosów. A jeśli jeszcze raz przyjdiesz do biura, przestaniesz pracować w bazie. Teraz wracaj do roboty.

Dziewczyna płakała. Wreszcie zaprotestowała słabo:

- Nie mam żadnego przyjaciela. To twoje dziecko. To już trzy miesiące, Eddie.
- To wszystko - powiedział Eddie Cassin.

Dziewczyna odzyskała odwagę, a jego pogarda wzbudziła w niej gniew.

- Nie przychodziłeś do mnie przez cały miesiąc. Nie wiedziałam, czy znowu przyjdiesz. Ten człowiek tylko zabierał mnie na tańce. Przysięgam. Wiesz, że to byłeś ty. Cóż dla ciebie znaczy karton papierosów?

Gordon i Mosca usłyszeli, że Eddie podniósł słuchawkę i poprosił telefonistę o połączenie z komendantem żandarmerii. Potem dziewczyna powiedziała z nutą przerażenia w głosie:

- Niech mi pan pomoże, panie Cassin, proszę, niech mi pan pomoże.

Potem usłyszeli, jak drzwi na korytarz otwierają się i zamykają z trzaskiem, a Eddie mówi do telefonisty:

- Nie szkodzi.

Gdy Eddie Cassin wszedł do ich pokoju, na jego delikatnej, bladoszarej twarzy widniał uśmiech zadowolenia:

- Podobała się wam nasza scenka? - zapytał.

Mosca odchylił się do tyłu na krześle i powiedział z pogardą:

- Ale kutas z ciebie, Eddie.

Gordon Middleton powiedział:

- Dam ci te papierosy dla niej, Eddie. - Powiedział to bez pogardy, jaką okazał Mosca, po prostu jako stwierdzenie faktu, jak gdyby jedyną przyczyną odmowy Eddiego była strata finansowa.

Eddie spojrzał na nich z drwiącym uśmiechem.

- Ale miłe chłopaki. Gotowe pomóc biednej dziecinie. Posłuchajcie. Ta zdzira cały czas miała chłopaka na boku. Palił papierosy, które jej dawałem, żarł czekoladę i jedzenie przeznaczone dla niej. - Roześmiał się, najwyraźniej w dobrym humorze. - Poza tym, już mam za sobą coś takiego i wiem, że czarnorynkowa cena za skrobankę to tylko pół kartonu.

Otworzyły się drzwi pokoju i wszedł Wolf. Powiedział:

- Cześć, chłopcy. - Położył teczkę na biurku i usiadł wzdychając ciężko. - Gromada

wesołych próżniaków. - Uśmiechnął się do nich, a jego ziemistoblada twarz rozpromieniła się prawdziwym szczęściem. - Przyłapałem dwóch szkopów na kradzieży kawy. Pamiętacie tę zupeę, którą kierownik kasyna pozwala im zabierać do domu w kubkach? Otóż kładą zmieloną kawę na spód, na nią piasek, a na to zupeę. Nie mam pojęcia, jak się potem pozbywają piasku.

Wiadomość ta wprawiła Eddiego w zły humor. Powiedział ponuro:

- Wolf Tracy zawsze dopadnie, kogo trzeba. Powiedz nam, jak ty to robisz, Wolf.

Wolf uśmiechnął się.

- Cholera, a któż to może widzieć? Kapuś, jak zawsze.

Middleton wstał.

- Chyba pójde wcześniej do domu. Dobrze, Eddie?

- Oczywiście - odparł Eddie.

Wolf uniósł dłoń.

- Chwileczkę, Gordon. - Gordon zatrzymał się przy otwartych drzwiach. - Nie mów, że ci powiedziałem, i wy chłopcy też ani pary z gęby. Za jakiś tydzień otrzymasz rozkaz powrotu do Stanów. Rozumiesz?

Gordon pochylił głowę i patrzył w podłogę. Wolf powiedział życzliwie:

- Cholera, chyba się tego spodziewałeś?

Gordon uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Chyba tak - powiedział. - Dziękuję, Wolf. - I wyszedł z pokoju.

Eddie odezwał się spokojnie do Wolfa:

- Sprawdzili go w Stanach?

- Tak - powiedział Wolf.

Eddie Cassin zaczął porządkować biurko. Zmierzch czernił się za oknami wydziału personalnego. Eddie otworzył teczkę i włożył do niej dwie butelki ginu, dużą puszkę soku grejpfrutowego i kilka tabliczek czekolady, które wyjął z szuflady biurka.

Wolf powiedział:

- Dlaczego nie dasz mi twoich papierosów i alkoholu, Eddie? Miałbyś wtedy pieniądze w banku, a tak będziesz miał trypra.

Eddie wziął teczkę pod pachę i skierował się ku drzwiom.

- Ja żyję - powiedział. - Powodzenia, szakale. Idę oswoić goryla.

Podczas kolacji Wolf powiedział do Moski:

- Wiesz, chyba pierwszy poznałem się na Gordonie. Pewnego dnia podwoziłem go do miasta, kiedy kazał mi stanąć. Wysiadł z jeepa i wrócił się drogą. Podnosi wystrzępiony kawałek metalu, na który omal nie wpadłem kołem. Ciska go w krzaki i powiada z tym swoim miłym, spokojnym uśmiechem, trochę zakłopotany: „To oszczędzi komuś gumi”. Można powiedzieć, że to miło z jego strony, a Gordon z pewnością jest miłym facetem. Ale to chyba trochę za wiele. Zadaje sobie zbyt wiele trudu. Toteż kiedy mój szef mi powiedział, że musi mieć oko na Gordona, bo jest członkiem partii, wcale nie byłem zdziwiony. Oni chwytają takich facetów. Biedny głupiec.

Mosca zapalił cygaro i pociągnął łyk kawy.

- Facet z jajami - powiedział.

Wolf przełknął jedzenie.

- Nie masz racji. Rusz głową. Ile razy dziennie zgłaszają się Niemcy, którzy chcą służyć w naszej armii? Chcą walczyć z Rosjanami. Ile razy krążyły pogłoski, że rosyjskie wojska wtargnęły do sektora brytyjskiego i amerykańskiego? Oglądam tajne raporty. To już nie potrwa długo - myślę, że pięknie za dwa lata. Dlatego takich facetów jak Gordon trzeba wyciąć. O, tak. - Ruchem ręki wskazał na gardło. - Ja wracam do Stanów. Nie chcę być jeńcem na Syberii.

Mosca powiedział powoli:

- Mam nadzieję, że wydostanę się stąd zanim to nastąpi.

Wolf otarł usta i przechylił się do tyłu, by kelner mógł nalać kawę.

- Nie martw się - powiedział. - Mam poufną wiadomość, że mają znieść zakaz zawierania małżeństw, żebyśmy mogli przemienić nasze Fraüleiny w uczciwe damy. Kościoły w kraju mocno na to naciskają. Nie chcą, żebyśmy je pieprzyli, gdy one nie mogą nas złapać na męża.

Wyszli z kasyna i udali się do jeepa Wolfa. Za siatką otaczającą bazę lotniczą skreśli na drogę wiodącą w kierunku przeciwnym do centrum miasta, na odległy kraniec Neustadt. Jechali niedaleko i Wolf zatrzymał się wkrótce przed samotnie stojącym domem, niezwykle wąskim, jak gdyby składał się z jednego rzędu pokoi ciągnących się w głąb od frontu. Parkowały przed nim trzy inne jeepy i kilka niemieckich opli z silnikami na drewno

i z blaszanymi kominami. Parę rowerów przymocowano łańcuchami do żelaznej sztaby w cementowanej w kamienne schody.

Wolf zadzwonił, a gdy drzwi się otworzyły, Mosca doznał wstrząsu. Stał przed nimi najwyższy i największy Niemiec, jakiego kiedykolwiek widział.

- Jesteśmy umówieni z Frau Vlavern - powiedział Wolf.

Olbrzym usunął się, by mogli przejść.

Pokój był wypełniony ludźmi. Dwóch żołnierzy siedziało obok siebie, a pomiędzy nimi znajdowała się wypchana zielona torba sukienna. Było tam trzech oficerów, każdy z pękatą teczką z błyszczącej świńskiej skóry. Było pięciu Niemców z pustymi, sflaczałymi teczkami z czarnej skóry. Wszyscy czekali cierpliwie; wszyscy wchodzili po kolei, zarówno Niemcy, jak i Amerykanie. Tutaj nie było zwycięzców.

Olbrzym wprowadzał ich pojedynczo do drugiego pokoju i otwierał drzwi, w miarę jak przybywali następni oficerowie, żołnierze i Niemcy. Mosca rozpoznał niektórych: personel bazy, dowódcy załóg, sierżant z kasyna, oficer z wojskowej kantyny. Wszyscy, skinąwszy głową na powitanie, zachowywali się, jak gdyby się nie znali.

Okna miały grube okiennice, lecz w pokoju słychać było odgłosy silników jeepów startujących i zatrzymujących się. Osoby wychodzące z olbrzymem nigdy nie wracały. Z tyłu domu znajdowało się drugie wyjście.

Gdy nadeszła ich kolej, olbrzym zaprowadził ich do drugiego pokoju. Dał im znak, że mają czekać. Pokój był niemal pusty, były w nim tylko dwa drewniane krzesła i stolik z popielniczką. Gdy zostali sami, Mosca odezwał się:

- Duży facet.

- Jej ochrona - powiedział Wolf - ale jeśli ona ma papiery, to go nie potrzebuje. Ten olbrzym to prawie kretyn. Trzyma go jednak, żeby straszyć ludzi, pijanych żołnierzy i szkopów. Ale tak naprawdę, to on niewiele może. - Uśmiechnął się do Moski.

Po chwili olbrzym powrócił. Odezwał się po niemiecku, ochryłym, cichym głosem, nie pasującym do jego ciała:

- Czy zechcieliby panowie zobaczyć, co mam osobiście do sprzedania? - Wyciągnął złotą obrączkę z dużym diamentem. Podał ją Mosce. - Tylko dziesięć kartonów.

Mosca przekazał ją Wolfowi mówiąc:

- Wygląda na dobry interes. Co najmniej karat.

Wolf odwrócił ją i uśmiechnął się

- Nic nie warta - powiedział. - Spójrz, płaska. Mówiłem ci, że ten facet to kretyn.

Rzucił pierścionek olbrzymowi, który próbował go złapać, lecz upuścił i musiał pochylić ogromne ciało, by go podnieść z podłogi. Potem z determinacją wręczył go znowu Mosce.

- Dziesięć kartonów, dobry interes, ale nie mówcie starej Frau. - Jak dziecko położył ogromny palec na wargach.

Mosca usiłował mu oddać pierścionek, lecz olbrzym nie chciał go wziąć.

- Dziesięć kartonów, niech pan zatrzyma za dziesięć kartonów - powtarzał.

Mosca położył pierścionek na stole. Olbrzym wziął go powoli, ze smutkiem.

Potem dał im znak, by za nim poszli i otworzył drzwi do następnego pokoju. Stał przy drzwiach i przepuścił ich, najpierw Moskę, potem Wolfa. Jednakże gdy Wolf go mijał, pchnął go złośliwie tak, że tamten poleciał na środek pokoju. Następnie olbrzym zamknął drzwi i stanął przy nich.

Nieduża, tęga, siwowłosa kobieta siedziała w szerokim trzciniowym krześle, przy biurku, na którym leżała otwarta księga. Pod jedną ścianą leżały stosy towarów z wojskowej kantyny, setki kartonów papierosów, żółte pudła z tabliczkami czekolady, mydła i inne artykuły toaletowe w kolorowych opakowaniach. Mały Niemiec układał te towary w schludne stosy. Kieszenie jego czarnej niedopasowanej marynarki wypchane były niemieckimi pieniędzmi, a gdy się odwrócił, by na nich spojrzeć, zwitek pieniędzy wypadł mu na podłogę.

Pierwsza odezwała się kobieta, po angielsku.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. - Czasami Johann czuje do kogoś niechęć i tak się zachowuje. Nic na to nie można poradzić.

Wolf był zupełnie zaskoczony i przez chwilę stał oszołomiony. Teraz jego ociężała, śmiertelnie blada twarz zrobiła się purpurowa. Jeszcze bardziej rozgniewał go bezczelny ton w głosie kobiety. Spostrzegł, że Mosca uśmiecha się do niego i że stanął przy ścianie, skąd, gdyby wyciągnął broń, mógłby kontrolować wszystkich w pokoju. Wolf potrząsnął głową, potem odwrócił się do starej kobiety i dostrzegł błysk rozbawienia w jej przebiegłych oczach.

- To głupstwo - powiedział spokojnie Wolf. - Wie pani, po co przyszedłem. Czy może pani coś dla nas zrobić?

Kobieta obrzuciła go wzrokiem od stóp do głów i powiedziała po angielsku:

- Drogi panie, pańska historyjka śmierdzi. Nic nie wiem o tym milionie dolarów w papierach. A gdybym wiedziała, byłabym bardzo ostrożna zadając się z panem i pańskim przyjacielem. To obraza dla mojego rozumu.

Wolf nadal się uśmiechał. Najpierw interes, potem przyjemność - pomyślał. Odezwał się:

- Jeśli nawiąże pani kontakt i przekaże go mnie, może pani zarobić niezłą sumę. Za takie głupstwo.

W głosie kobiety brzmiała pogarda, a jej obwisłe, tłuste policzki wyrażały lekceważenie.

- Jestem kobietą interesu i nie wezmę udziału w czymś takim. I oczywiście ostrzeżę przed panem moich przyjaciół. - Prychnęła śmiechem. - I to pan ma pięć tysięcy kartonów.

Wolf wciąż się uśmiechał. Zapytał:

- Czy któryś z tych mężczyzn rozumie po angielsku? To ważne.

Kobieta, zaskoczona niespodziewanym pytaniem, odpowiedziała.

- Nie, nie rozumieją.

Uśmiech zniknął z twarzy Wolfa, a w jego miejsce pojawił się, niczym maska, którą zawsze miał w zanadrzu, wyraz siły i pewnej siebie, spokojnej surowości.

Położył teczkę na stole i pochylił się, by spojrzeć kobiecie prosto w podkrążone oczy.

- Jest pani zbyt przebiegła i zbyt dumna - powiedział cedząc szorstkie słowa. - Myśli pani, że ma pani władzę, że jest pani bezpieczna, że chronią panią jej wiek i jej ludzie. Nie lubię bezczelnych Niemców. Nie rozumiecie Amerykanów, ani pani, ani ten olbrzym.

Kobieta stała się czujna, jej oczy połyskiwały czarno jak paciorki. Mały Niemiec w wypchanej marynarce był wyraźnie przestraszony. Olbrzym ruszył spod drzwi w kierunku Wolfa. Mosca wyciągnął z teczki węgierski pistolet i odbezpieczył. Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

Nie wycelował broni, trzymał ją zwróconą w dół ku podłodze. Powiedział do



olbrzyma po niemiecku.

- Odwróć się.

Olbrzym skierował się ku niemu. Mosca postąpił krok do przodu, a stara kobieta, widząc jego twarz, krzyknęła ostro na olbrzyma. Spojrzał na nią zdezorientowany, a potem cofnął się pod ścianę i odwrócił.

Wolf ponownie pochylił się ku kobiecie.

- Podoba się pani mój przyjaciel? - zapytał.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na Moskę. Mały Niemiec bez żadnego rozkazu stanął przy olbrzymie pod ścianą. Wolf ciągnął:

- Mój przyjaciel to dumny i drażliwy człowiek. Gdyby ten olbrzym popchnął jego zamiast mnie, nie byłoby żadnych mów, bardzo bylibyście smutni. Nie usłyszelibyście słów, którymi tak spokojnie przemawiam. Niech pani posłucha. Jestem rozsądny. Nie mam żalu o ten incydent. Ale jeśli się dowiem, że przekazała pani o mnie informacje, ujrzy pani moje drugie oblicze.

Zamilkł i spojrzał w oczy kobiety. Nie było w nich strachu. Patrzyła na niego spokojnie, bez uległości. Ale to było jego poletko, praca jego życia, wyzwanie dla zdolności, które posiadał. Rozumiał jej spojrzenie jak nikt inny. Wiedział, że dla ludzkiej woli słowa nic nie znaczyły, groźby i perswazje nie skutkowały. Uśmiechnął się, ponieważ znał odpowiedź. Podeszedł do olbrzyma, popchnął go i odwrócił.

- Ty niezdaro, zdejmij pas i stań przed swoją panią - powiedział.

Olbrzym tak zrobił. Wolf cofnął się. Wyjął z teczki pistolet, głównie dla zrobienia wrażenia i powiedział do kobiety:

- Powiedz mu, żeby ci wymierzył trzy mocne uderzenia w plecy. - Jego głos zabrzmiał zjadliwie. - Jeśli krzykniesz, zabiję wszystkich troje. No, powiedz mu, trzy uderzenia.

Kobieta zachowała spokój.

- Pan nie rozumie - powiedziała. - Jeśli mu każę, potraktuje to poważnie i straszliwie mnie zrani. Uderzy z całej siły.

Wolf powiedział dobrodusznie:

- Rozumiem doskonale.

Jej tłuste policzki zmarszczyły się w wątlym, niepewnym uśmiechu.

- Przekonał mnie pan - nie ma potrzeby posuwać się za daleko. Nic nie powiem, przyrzekam. Proszę, ludzie na mnie czekają.

Wolf wyczekał chwilę, a potem powiedział z wyrachowanie okrutnym uśmiechem:

- Jedno uderzenie. Dla przypiecztowania interesu.

Po raz pierwszy kobieta okazała przestach. Jej twarz się wykrzywiła, jej głos drżał.

- Będę wzywać pomocy - powiedziała.

Wolf nie odpowiedział. Odezwał się do Moski, powoli, aby kobieta na pewno zrozumiała.

- Kiedy kobieta upadnie, zabij tego dużego.

Wymierzył broń w twarz kobiety. Odwróciła głowę. Powiedziała do olbrzyma po niemiecku.

- Johann, uderz mnie raz mocno w plecy.

Usiadła na krześle z głową opartą na stole, skuliwszy okrągłe, tłuste ramiona w oczekiwaniu ciosu. Olbrzym machnął pasem, a gdy uderzył, usłyszeli okropny trzask pękającej skóry i mięsa pod ubraniem. Kobieta podniosła głowę. Krew odpłynęła jej z twarzy z bólu, strachu i szoku. Wolf spojrział na nią zimno i obojętnie.

- Teraz pani rozumie - powiedział. Potem dodał, przedrzeźniając jej bezczelny głos i zachowanie: - Nic na to nie można poradzić. - Podeszedł do drzwi i powiedział: - Chodź, Walterze.

Przeszli przez pokoje, przez które ich wprowadzono i wyszli przez drzwi frontowe.

Wracając do miasta jeepem Wolf roześmiał się i powiedział do Moski:

- Zastrzełiłbyś tego dużego faceta, gdybym ci powiedział?

Mosca zapalił papierosa. Był nadal spięty.

- Cholera, wiedziałem, że odstawisz numer. Muszę przyznać, Wolf, że dałeś cholernie dobre przedstawienie.

Wolf powiedział z zadowoleniem w głosie:

- Doświadczenie, chłopcze. Niektórzy nasi oficerowie mieli pietra przed użyciem siły w stosunku do więźniów. Wobec tego musieliśmy stosować technikę zastraszenia. A ty przy tej ścianie wyglądałeś naprawdę groźnie.

- Byłem zaskoczony - powiedział Mosca. - Kiedy ten duży facet cię pchnął, a

starsza pani tak się złościła, pomyślałem, że to pułapka. Potem się wściekłem. Jezu, czy oni nie wiedzą, że ci żołnierze posiekaliby całe to towarzystwo za taki numer?

Wolf odezwał się powoli:

- Powiem ci, Walterze, jacy są ludzie. Ta starsza pani myśli, że jest sprytna. Ma tego olbrzyma i wszyscy oficerowie i żołnierze traktują ją z szacunkiem, bo dzięki niej mogą zrobić pieniądze. Zrozum to: ona zapomina. Zapomina, co to znaczy się bać. To jedno uderzenie było najważniejsze. Zapamiętaj to sobie. Bez tego uderzenia nigdy by się nie bała. Ludzie już tacy są.

Przejechali przez most do centrum Bremy. W parę minut znaleźli się przed kwaterą.

W zaparkowanym jeepie zapalili razem papierosa.

Wolf odezwał się:

- Za jakiś tydzień nawiążemy najważniejsze kontakty. Będziemy musieli być na mieście przez prawie całą noc. Zatem bądź gotów w każdej chwili. OK? - Klepnął Moscę w plecy.

Mosca wysiadł z jeepa, zaciągnął się po raz ostatni papierosem.

- Myślisz, że pozali się przed przyjaciółmi?

Wolf potrząsnął głową.

- To jedyna rzecz, jakiej jestem pewien. Nigdy nie piśnie nikomu ani słowa. - Uśmiechnął się do Moski. - Nigdy nie zapomni tej pręgi, którą nosi na plecach.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Walter Mosca, ubrany po cywilnemu, patrzył przez okno Wydziału Personelu Cywilnego. Obserwował przechodzących ludzi zatrudnionych w bazie, mechaników samolotowych w zielonych kombinezonach i podbitych futrem skórzanych kurtkach, zgrabnych pilotów w ciemnozielonych mundurach i fioletowych płaszczach, niemieckich robotników w starych ubraniach; wszyscy kulili się w ostrym listopadowym wietrze. Z tyłu odezwał się Eddie Cassin:

- Walter.

Mosca odwrócił się.

Eddie Cassin oparł się wygodnie na krześle.

- Mam dla ciebie robotę. Mam pewien pomysł, a porucznik uważa, że jest dobry. Prowadzimy teraz kampanię na rzecz oszczędzania żywności w całej strefie europejskiej, wiesz, takie nakłanianie żarłoków, żeby się nie objadali. Nie żeby się głodzili, ale żeby nie kładli za dużo na tacę, a potem zostawiali mnóstwo jedzenia, które trzeba wyrzucać. Więc mam taki pomysł. Chcemy dać zdjęcie żołnierza z wyładowaną tacą jedzenia i napis: „Skończ z tym”. Obok zdjęcie dwóch niemieckich dzieciaków szukających niedopałków na ulicy i napis: „A skończysz z tym”. Jak to brzmi?

- Dla mnie brzmi to jak ogromne gówno - powiedział Mosca.

Eddie uśmiechnął się.

- Zgadza się. Ale sprytne jak cholera. Dobry materiał prasowy. Dowództwo to połknie. Może wydrukują to w „Stars and Stripes”. Kto wie? Może być z tego duża rzecz.

- Na litość boską - powiedział Mosca.

- OK - powiedział nieco poirytowany Eddie Cassin. - Zrób tylko zdjęcie dzieciaków szukających niedopałków. Jeep czeka przed domem, a fotografa, kaprała, zabierz z laboratorium.

- OK - odparł Mosca.

Wyszedł i obserwował popołudniowy samolot z Wiesbaden, który schodził do lądowania, jak gdyby pojawił się w magiczny sposób prosto z powietrza. Następnie wsiadł do jeepa.

Było późne popołudnie, gdy jechał jeepem przez most do Bremy właściwej. Kaprał

obijał się gdzieś po hangarach, więc Mosca musiał poświęcić godzinę na odnalezienie go.

Ulice miasta pełne były spieszących w różne strony Niemców, a obwieszone pasażerami uczeponymi stopni tramwaje dzwoniąc przeciskały się przez gęsty ruch uliczny. Mosca zaparkował jeepa przed Glocke.

W szare powszednie popołudnie panował tu spokój. Przed Klubem Czerwonego Krzyża nie było żebraków, prostytutek ani dzieci; ruch zaczął się dopiero po kolacji. Dwie niemieckie policjantki przechadzały się powoli chodnikiem, powoli, jak gdyby odurzone melodyjnym dźwiękiem tramwajowych dzwonek.

Mosca i kapral czekali w jeepie, aż pojawią się jakieś żebrzące dzieci i palili papierosy. Nie rozmawiali. Wreszcie kapral się odezwał:

- Co za cholerne szczęście. Po raz pierwszy nie widzę tu pałających się szkopskich dzieciaków.

Mosca wysiadł z jeepa.

- Rozejrzę się - powiedział.

Było bardzo zimno, toteż podniósł kołnierz kurtki. Poszedł na róg ulicy, a ponieważ dzieci nie było widać, szedł dalej, póki nie dotarł na tyły budynku Glocke.

Na ogromnym usypisku gruzów siedzieli spokojnie dwaj mali chłopcy, patrząc w dół na połowę wielkiego zrujnowanego miasta. Otuleni byli w płaszcze sięgające im do pięt, a na głowach mieli czapki, które niemal zakrywały im uszy. Gołymi rękami wybierali i przesyrywali pył rumowiska, a następnie ciskali kamyki i kawałki cegieł na prerię i dolinę gruzów w dole; nie rzucali na nic określonego i nie na tyle silnie, by stracić równowagę na szczycie usypiska.

- Hej - zawołał Mosca po niemiecku - chcecie zarobić czekoladę?

Dzieci spojrzały na niego poważnie, oceniając go, pomimo cywilnego ubrania rozpoznały w nim nieprzyjaciela, a potem zsunęły się z usypiska, nie okazując strachu. Poszły za nim, zostawiając ogromny, cichy i pusty plac zabaw, a gdy weszły na ruchliwy plac przed Glocke, wzięły się za ręce.

Kapral wysiadł z jeepa i czekał na nich. Wsunął kliszę do aparatu i nastawił odległość. Gdy był gotów, powiedział do Moski:

- OK, powiedz im, co mają robić. - Kapral nie mówił po niemiecku.

- Podnieście te niedopałki - powiedział chłopcom Mosca. - I patrzcie do góry, żeby

ten pan zrobił wam zdjęcie. - Pochylili się posłusznie, lecz duże czapki z daszkami rzucały cień na ich twarze.

- Odsuń im czapki z czoła - powiedział kapral.

Mosca odłonił dwie wyszczerzone w uśmiechu karzełkowate twarze.

- Te niedopałki są za małe - powiedział kapral. - Nie będzie ich widać. Mosca wyjął parę całych papierosów i rzucił je do rynsztoka.

Kapral zrobił parę zdjęć, ale nie był zadowolony. Przygotowywał się do następnego, gdy Mosca poczuł na ramieniu czyjaś dłoń, która go odwróciła.

Stały przed nim dwie policjantki, a ta, która go odwróciła i nadal trzymała dłoń na jego ramieniu, była niemal jego wzrostu. Odpychając ją gwałtownie, wyczuł pod szorstką, niebieską wełną munduru jej miękką pierś. Zatoczyła się, puszczając jego ramię, po czym powiedziała wyjaśniająco:

- Tego tu robić nie wolno. - Zwróciła się do chłopców i powiedziała ostrzegawczym tonem: - Zabierajcie się stąd natychmiast.

Mosca pochwycił dzieci za płaszcze.

- Zostańcie - powiedział.

Zwrócił się do kobiet, a jego pociągła, ciemna twarz zbrzydła ziejąc złością.

- Widzicie ten mundur? - wskazał na kaprała. Wyciągnął rękę. - Wasze karty identyfikacyjne.

Kobiety zaczęły mamrotać wyjaśnienia, że do nich należy pilnować dzieci, pilnować, żeby nie żebrały. Jakiś przechodzący Niemiec zatrzymał się obok, a chłopcy zaczęli wycofywać się z miejsca kłótni; mężczyzna powiedział coś do nich rozniewanym, karcącym tonem, co ich przestraszyło tak, że zaczęli uciekać. Na ostrzegawczy okrzyk kaprała Mosca rzucił się w pogoń i znowu ich złapał. Mężczyzna zaczął się szybko oddalać w kierunku tłumu rodaków czekających na rogu na tramwaj. Mosca pobiegł za nim. Usłyszawszy łomot kroków, Niemiec odwrócił się mrużąc oczy ze strachu.

- Kazałeś tym dzieciom odejść? - zawołał do niego Mosca.

Niemiec powiedział spokojnie, przepaszająco:

- Nie rozumiem. Myślałem, że żebrzą.

- Daj mi przepustkę - powiedział Mosca. Wyciągnął rękę.

Niemiec, trzęsąc się ze zdenerwowania i strachu, sięgnął do kieszeni marynarki i

wyciągnął ogromny portfel pełen papierów. Szukał nie widząc, usiłując jednocześnie obserwować Moskę, aż wreszcie Mosca wyjął mu z dłoni papiery i sam odnalazł niebieski dowód.

Mosca oddał mu portfel.

- Przyjdź jutro rano na komendę policji po przepustkę - powiedział i odwrócił się, by pójść do jeepa.

W zapadającym listopadowym zmierzchu ujrzał po drugiej stronie ulicy, na przeciwnym krańcu placu, obserwujący go ciemny, milczący tłum Niemców; wysoki, olbrzymi, czarny jak sylwetka lasu. Przez chwilę odczuwał strach i przerażenie, jak gdyby mogli czytać w jego sercu i umyśle, a potem ponownie ogarnął go gniew. Powoli, spokojnie podszedł do jeepa. Chłopcy nadal tam byli, natomiast policjantki zniknęły.

- Jedźmy - powiedział do kaprała.

Pojechał na Metzger Strasse i wysiadł. Powiedział do kaprała:

- Odstaw jeepa do bazy.

Kapral skinął głową i powiedział spokojnie:

- Chyba te zdjęcia się nadadzą.

Wówczas Mosca zdał sobie sprawę, że zapomniał o zrobieniu dalszych fotografii i że zostawił dzieci przed Glocke, nie dawszy im obiecanej czekolady.

Gdy Mosca wszedł do pokoju, Hella odgrzewała zupę na maszynie elektrycznej, a na stole stała pusta, otwarta konserwa z czerwoną naklejką. Patelnia, pełna bekonu, czekała na swoją kolejkę. Leo siedział na kanapie czytając.

Pokój był ciepły od woni jedzenia, wygodny, obszerny i dobrze umeblowany. Łóżko i szafka nocna w jednym kącie, na szafce lampa i małe radio; obszerna biała szafa w kącie przy drzwiach, a na środku duży okrągły stół z trzcinowymi krzesłami. Przy ścianie ogromna, pusta serwantka dawała wrażenie przytulności - ale nie zatłoczonej, przestronnej. Cholernie duży pokój - myślał często Mosca.

Hella podniosła wzrok znad kuchenki.

- O, wcześniej wróciłeś - powiedziała i podeszła, by go pocałować.

Jej twarz zawsze się zmieniała na jego widok; dostrzegł w niej szczęście, co napełniało go poczuciem winy i lęku, ponieważ związała z nim całe swe życie. Jak gdyby

nie wiedziała, ile niebezpieczeństw czyhało w otaczającym ich świecie.

- Miałem coś do roboty w mieście i nie wróciłem do bazy - powiedział Mosca.

Leo podniósł głowę i skinął mu, po czym powrócił do czytania. Mosca sięgnął do kieszeni po papierosy i natrafił palcami na dowód osobisty Niemca.

- Mógłbyś mnie podrzucić na komendę policji po kolacji? - zwrócił się z pytaniem do Leo. Rzucił dowód na stół.

Leo skinął głową i zapytał:

- Co tu masz?

Mosca powiedział im o zdarzeniu. Zauważył, że Leo przygląda mu się z dziwnym uśmiechem rozbawienia. Hella nic nie mówiąc rozlała zupę do filiżanek. Następnie postawiła bekon na kuchence.

Pili zupę ostrożnie, maczając w niej sucharki. Hella wzięła ze stołu niebieski dowód osobisty. Trzymając w jednej ręce filiżankę, drugą otworzyła dowód.

- Jest żonaty - powiedziała. - Ma niebieskie oczy i ciemne włosy i pracuje jako drukarz. To dobra praca. - Przyjrzała się fotografii. - Nie wygląda na złego człowieka, ciekawe, czy ma dzieci.

- Nie ma tego w dowodzie? - zapytał Mosca.

- Nie - powiedziała Hella. - Ma bliznę na palcu. - Upuściła dowód na stół.

Leo odchylił głowę do tyłu i wypił ostatni łyk zupy, potem pochylił się nad stołem, a tik na jego twarzy zaznaczył się lekko.

- Powiedz - odezwał się - dlaczego nie poszedłeś z tym człowiekiem od razu na komendę policji? Miałeś blisko.

Mosca uśmiechnął się.

- Chciałem tylko nastraszyć faceta - nie mam zamiaru nic z tym zrobić. Chyba tylko chciałem nastraszyć sukinsyna.

- Będzie miał straszną noc - powiedziała Hella.

- Zasłużył na to - powiedział Mosca ze złością, usprawiedliwiając się. - Co sobie ten drań myśli wtrącając swoje trzy grosze.

Hella podniosła na niego blade, szare oczy.

- Wstydzil się - powiedziała - chyba czuł, że to jego wina, że te dzieci żebrzą i zbierają niedopałki na ulicach.



- Cholera, niech się poci - powiedział Mosca. - A może byśmy zjedli ten bekon, zanim go spalisz na węgiel?

Hella postawiła na stole bekon i bochenek szarego niemieckiego chleba. Zjadłszy ociekające tłuszczem kanapki, Leo i Mosca wstali, a Leo zaczął szukać na kufrze kluczyków od jeepa. Hella podniosła dowód osobisty i spojrzała na adres.

- Posłuchajcie - powiedziała skwapliwie - on mieszka na Rubsam Strasse. To bliżej niż komenda policji.

Mosca powiedział krótko:

- Nie czekaj na mnie. Później idziemy do klubu.

Uśmiechnął się do niej, gdy przechyliła głowę czekając na pocałunek; jej rzadkie, krótko przystrzyżone ciemnoblonde włosy wyglądały jak hełm. Ten sentymentalny odruch zawsze go rozczulał, choć uśmiechał się wówczas i nigdy sam nie zrobił pierwszego kroku.

- Czy mam przynieść lody?

Skinęła głową. Gdy wychodził, zawołała za nim:

- To po drodze do klubu.

W jeepie Leo zapytał go:

- Gdzie jedziemy?

- OK, na litość boską, zawieź mnie do mieszkania tego faceta. - Mosca potrząsnęła głową. - Ty i ona zawsze zwracacie mi dupę.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział Leo - ale to po drodze do klubu. A poza tym ja wiem, co to znaczy „się pocić”, jak to ująłeś. To bardzo odpowiednie słowo. - Zwrócił ku Mosce kościstą twarz i uśmiechnął się z nutką smutku.

Mosca wzruszył ramionami.

- Nawet nie chcę widzieć tego drania. Może ty, Leo, poszedłbyś do niego do domu?

- O, nie - powiedział Leo z uśmiechem. - Ty mu zabrałaś? Ty mu oddaj.

Bez trudu znaleźli dom, nieduży dwurodzinny dom, podzielony na mieszkania, by zapewnić więcej pomieszczeń dla potrzebującej ludności. Na drzwiach wejściowych znajdowała się lista lokatorów, podająca nazwiska wszystkich członków rodziny i numer mieszkania. Mosca spojrzał w dowód i porównał nazwiska. Następnie poszedł na drugie piętro. Zapukał ostro, a drzwi otworzyły się natychmiast. Uświadomił sobie, że zobaczyli

go z okna i czekali na niego. Człowiek przy drzwiach miał tę samą podłużną głowę i poważny wygląd, lecz teraz jego twarz była nienaturalną maską, złagodzoną nieco przez łysinę. Niemiec się cofnął i Mosca wszedł.

Przerwał im kolację. Na stole w dużym pokoju stały cztery talerze z ciemnym sosem, w którym pływały brunatne, pokrojone jarzyny i duże, lepkie, białe ziemniaki. W jednym kącie znajdowało się łóżko; dalej przy ścianie krzywo zawieszony zlew, nad nim duży obraz w ramach, w barwach ciemnej zieleni i brązu. Kobieta o jasnych, gładko zaczesanych włosach usiłowała wyprowadzić dwóch małych chłopców do drugiego pokoju. Gdy się odwróciła, by spojrzeć na Moskę, dzieci się jej wymknęły. Wszyscy troje patrzyli wyczekująco na Amerykanina.

Podał Niemcowi niebieski dowód osobisty. Ten wziął go i powiedział niepewnie:

- Tak?

Mosca oznajmił: - Nie musi pan iść na policję. Zapomnijmy o tym.

Szczera, poważna twarz zbladła śmiertelnie. Ulga po strachu, wydarzenia dnia, zgrzyt jeepa hamującego przed domem - wszystko to razem powaliło go. Trząśnięcie wyraźnie, toteż żona pośpieszyła mu z pomocą i podprowadziła do jednego z czterech pustych drewnianych krzeseł przy stole. Przestraszony Mosca odezwał się do kobiety:

- O co chodzi, co mu jest?

- Nic - powiedziała kobieta głuchym głosem, całkiem wyzbytym uczucia i życia. - Myśleliśmy, że przyszedł pan po niego. - Jej głos zdrzął lekko.

Jedno z dzieci zaczęło płakać ze strachu, jak gdyby zawaliła się wytrzymałość i ściany jego świata. Chcąc go uspokoić, Mosca podszedł parę kroków i wyciągnął tabliczkę czekolady. Dziecko przestraszyło się i zaczęło krzyczeć histerycznie, wydając wysokie, ledwie dosłyszalne dźwięki. Mosca zatrzymał się i spojrzał bezradnie na kobietę. Niosła mężowi kieliszek sznapsa. Gdy wypił, podbiegła do dziecka, uderzyła je w usta i wzięła w ramiona. Dziecko uspokoiło się. Ojciec, nadal bardzo poruszony, powiedział:

- Proszę poczekać - i niemal pobiegł do kredensu po butelkę sznapsa i szklaneczkę.

Nalał kieliszek i wcisnął w rękę Moski.

- To wszystko była pomyłka, widzi pan, pomyłka. Myślałem, że dzieci się panu naprzykrzają. Nie miałem zamiaru przeszkadzać.

Mosca przypomniał sobie gniew w głosie mężczyzny, gdy beształ chłopców przed

Glocke, gniewny wstyd i poczucie winy, jak gdyby on sam był przyczynią upodlenia dzieci.

- W porządku - powiedział Mosca. Usiłował postawić kieliszek na stole, lecz Niemiec trzymał go za ramię i nie pozwalał na to.

Zapominając o żonie i dzieciach, które przyglądały mu się, ojciec mówił gorączkowo, jak gdyby błagał o życie:

- Nigdy nie byłem nazistą. Wstąpiłem do partii, żeby zachować pracę, wszyscy drukarze musieli wstąpić. Ale tylko wykonywałem obowiązki. Nic więcej. Nigdy nie byłem nazistą. Niech pan wypije. To dobry trunek. Niech pan wypije. Trzymam go na wypadek choroby.

Mosca wypił i ruszył ku drzwiom, lecz Niemiec dopadł go i złapał za rękę potrząsając nią.

- Jestem bardzo wdzięczny za pańską uprzejmość. Mówię z serca. Nigdy tego nie zapomnę. Zawsze mówiłem, że Amerykanie są dobrzy. Są życzliwi - my, Niemcy, mamy szczęście. - Uścisnął dłoń Moski po raz ostatni, potrząsając głową nerwowo i z ulgą.

W tej chwili Mosca miał nieodpartą ochotę, by go uderzyć, by skaleczyć do krwi tę łysą czaszkę i drgającą twarz, toteż odwrócił głowę, by ukryć wstręt i pogardę.

W drugim pokoju Mosca ujrzał twarz żony, obramowaną brązową framugą drzwi. Ciało przylegało ściśle do wyrazistych kości. Skóra była śmiertelnie blada, głowa lekko pochylona, a ramiona zgarbione pod ciężarem trzymanego dziecka. Szare oczy, teraz niemal czarne, były jak ciemne sadzawki nieprzejednanej nienawiści. Jej włosy też wydawały się ciemne przy złotych włosach dziecka; nie cofnęła wzroku, gdy napotkała wzrok Moski. Ani jeden mięsień jej twarzy nie drgnął.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Mosca usłyszał jej głos, spokojny lecz ostry, którym mówiła do męża. Z ulicy, w snopie światła padającym z pokoju dostrzegł, że spogląda na niego z góry, nadal trzymając dziecko w ramionach.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wolf jadł zimną kolację tak jak niemieccy chłopci: wziął długą, krwistą *Wurst* i odciął scyzorykiem gruby, lepki kawałek. Potem ukroił pajdę ciemnego chleba z leżącego przed nim ogromnego bochenka. Niemka, z którą mieszkał, Urszula, i jej ojciec brali po kolei chleb i *Wurst*. Każde z nich miało obok talerza puszkę amerykańskiego piwa, którym napełniali w miarę potrzeby kieliszki do wina.

- Kiedy musisz iść? - zapytała Urszula.

Była to nieduża, ciemna dziewczyna o niepokohamowanym temperamentem. Wolf bawił się poskramianiem jej. Złożył już prośbę o zezwolenie na małżeństwo i dlatego pozwolono mu sprowadzić się do domu jej ojca i zamieszkać nią. W grę wchodziły także inne względy.

- Muszę spotkać się z Moską w Ratskeller mniej więcej za godzinę - powiedział Wolf, spoglądając na zegarek, który zabrał polskiemu uchodźcy po wojnie. Martwy Polak - pomyślał Wolf.

- Nie lubię tego człowieka - powiedziała Urszula. - Jest niewychowany. Nie wiem, co ta dziewczyna w nim widzi.

Wolf ukroił sobie jeszcze jeden kawałek *Wurst* i powiedział żartobliwie:

- To samo, co ty we mnie.

Jak przewidział, Urszula wybuchnęła gniewem.

- Wy cholerni Amerykanie myślicie, że zrobimy wszystko za wasze towary. Tylko spróbuj mnie traktować tak, jak twoi przyjaciele traktują swoje dziewczyny. Zobaczysz, czy cię zechcę. Natychmiast wynocha z domu.

Ojciec, żując twardy chleb, odezwał się uspokajająco:

- Urszula, Urszula. - Mówił tak jednak z przyzwyczajenia, myśląc o czymś innym.

Skończywszy kolację, Wolf poszedł do sypialni i załadował do dużej, brązowej skórzanej teczki papierosy, czekoladę i kilka cygar. Wziął to z zamkniętej szafy, od której klucz posiadał tylko on. Gdy zabierał się do wyjścia, wszedł ojciec Urszuli.

- Wolfgang, zanim wyjdiesz, chciałbym słówko.

Ojciec był zawsze uprzejmy i pełen szacunku, zawsze pamiętał o tym, że kochanek jego córki jest Amerykaninem. Wolfowi się to podobało.

Ojciec zaprowadził Wolfa do zimnej szafki na tyłach mieszkania w suterenie.

Otworzył drzwi i dramatycznym tonem powiedział:

- Spójrz.

Z drewnianych belek zwisały gołe kości szynek z pasemkami ciemnego mięsa, końcówki kielbas salami i biały ser cienki jak księżyc w nowiu.

- Musimy coś zrobić, Wolfgang - powiedział ojciec - nasze zapasy wyczerpują się. Bardzo się wyczerpały.

Wolf westchnął. Zastanawiał się, co stary drań z tym wszystkim zrobił. Obaj wiedzieli dobrze, że tego nie zjedli. Cały pułk nie mógłby dokonać takiego spustoszenia. Jak zawsze, gdy stary go przechytrył, pomyślał ponuro: poczekaj, aż pojedziemy z Urszulą do Stanów. Dam im obojgu dobrą lekcję. Stary myśli, że dostanie paczki. Gównu dostanie. Wolf pokiwał głową, jak gdyby roztrząsał ten problem.

- Dobra - powiedział.

Wrócili do sypialni, gdzie dał ojcu pięć kartonów papierosów.

- To ostatnie, jakie mogę dać przez parę miesięcy - powiedział Wolf ostrzegawczo.  
- Szykuję duży interes.

- Nie martw się - powiedział ojciec - wystarczy na długo. Moja córka i ja żyjemy jak najoszczędniej, wiesz o tym, Wolfgang.

Wolf pokiwał głową uspokajająco, a jednocześnie z podziwem dla jego silnych nerwów, i pomyślał: ten stary złodziej zbije jeszcze na mnie majątek.

Przed wyjściem z pokoju Wolf wyjął z szuflady biurka ciężki pistolet typu Walter i wsunął go do kieszeni płaszcza. Ta czynność zawsze przyciągała uwagę ojca i budziła jego szacunek, co również cieszyło Wolfa.

Gdy wychodzili razem z pokoju, starszy mężczyzna objął Wolfa ramieniem poufale, po ojcowsku.

- W przyszłym tygodniu dostanę dużą dostawę brązowej i szarej gabardyny. Każę ci uszyć w prezencie piękne ubrania. A gdyby ktoś z twoich przyjaciół chciał kupić, sprzedam im po niższej cenie. Robię to dla ciebie.

Wolf skinął głową z powagą. Gdy wychodził, Urszula zawołała:

- Bądź ostrożny.

Wyszedł z sutereny i wspiął się po kilku schodkach na ulicę. Potem ruszył żwawo w stronę Ratskeller. To tylko piętnaście minut drogi - będzie tam na czas. Idąc zastanawiał

się nad ojcem. Dostawa gabardyny. A tak naprawdę jego gabardyna. I to on miał sprzedawać ją bez prowizji. Załatwi to. Zarobi na tym co nieco. Podrzuci Mosce, Cassinowi i Gordonowi dobrą okazję, może nawet Żydowi, ale mimo to zarobi trochę. Będzie jej mógł dużo sprzedać. Z niezłym zarobkiem. Cóż, to grosze, ale ziarnko do ziarnka.

W Ratskeller, wielkiej podziemnej restauracji, która przed wojną należała do najlepszych restauracji w Niemczech, zastał Eddiego Cassina i Moskę przy stoliku obok ogromnych beczek wina. Wielkie baryłki sięgały do sufitu i rzucały cień na obu mężczyzn, odgradzając ich od oficerów w oliwkowych mundurach i od kilku kobiet, rozrzuconych po rozległej, przepastnej sali. Orkiestra smyczkowa przygrywała cicho, światła były przyćmione, a białe nakryte stoliczki ciągnęły się jak okiem sięgnąć, skupiając się, jak piana w zakolach - w alkowach i małych prywatnych gabinetach.

- Wolf, ty żywe drzewo papierosowe - zawołał Eddie Cassin.

Jego głos wzbił się ponad muzykę, pod niemal niewidoczne sklepienie wysoko w górze i tam zginął. Nikt na to nie zwrócił uwagi. Eddie pochylił się nad stołem i szepnął:

- Coście zaplanowali na dzisiaj, wy dwaj oszuści?

Wolf usiadł.

- Przejdziemy się trochę po mieście. Zobaczymy, czy uda się zrobić jakiś interes. Przestań trwonić fajki na dziwki, to ci dam zarobić parę groszy.

Mimo że żartował, Wolf był zaniepokojony. Widział, że Mosca był niemal tak samo pijany jak Eddie, co go zdziwiło. Nigdy go przedtem nie widział pijanego. Zastanawiał się, czy nie odwołać całej operacji. Ale wszystko było przygotowane: tej nocy po raz pierwszy mieli spotkać się z ważnymi ludźmi na czarnym rynku, a może nawet dostać cynk, kto ma forszę. Wolf zamówił alkohol i obserwował Moskę, by sprawdzić, czy będzie w porządku.

Mosca zauważył to i uśmiechnął się.

- Będzie dobrze, tylko parę minut świeżego powietrza. Będę OK.

Starał się wymawiać słowa wyraźnie, lecz wychodziło to belkotliwie. Wolf potrząsnął głową niecierpliwie i z odrazą, której nie potrafił ukryć.

Eddie potrząsnął głową przedrzeźniając go po pijanemu.

- Cały kłopot polega na tym, Wolf, że uważasz, że jesteś mądry. Chcesz być

milionerem. Nigdy ci się nie uda, Wolf. Nawet za milion lat. Po pierwsze, nie masz rozumu, tylko trochę sprytu. Po drugie, wcale nie jesteś twardziel. Potrafisz tylko bić szkopskich jeńców, ale to wszystko. To wszystko, to wszystko.

- Jak możesz wytrzymać z tym dziwkarzem? - zapytał Wolf Moskę tonem wyrachowanie spokojnym, obraźliwym. - Tyle pań mu siedzi na głowie, że mózg mu całkiem zmiękł.

Eddie zerwał się ze złością i wykrzyknął.

- Ty wszawy handlarzu fajkami...

Mosca pociągnął go z powrotem na krzesło. Niektórzy ludzie przy sąsiednich stolikach odwrócili się.

- Spokojnie, Eddie, on tylko żartuje. Ty też się uspokój, Wolf. On jest pijany. Gdy jest pijany, nienawidzi wszystkich. A poza tym, żona mu napisała, że przyjeżdża tu z dzieckiem z Anglii, a on nie może się rozstać ze swoimi paniami.

Eddie zwrócił się ku Mosce i powiedział z pijackim wyrzutem:

- To nie tak, Walterze, naprawdę wyrządziłem jej wiele krzywd. - Potrząsnął głową ze smutkiem.

Mosca odezwał się, by go rozweselić:

- Opowiedz Wolfowi o twoim gorylu.

Wolf wypił whisky i zaczął mu wracać dobry humor. Uśmiechnął się do Eddiego Cassina.

Eddie powiedział poważnie, niemal z szacunkiem:

- Pieprzę goryla. - Czekał na reakcję Wolfa.

- Nic dziwnego - powiedział Wolf i roześmiał się wraz z Moską. - Co to za historia?

- Pieprzę prawdziwego, najprawdziwszego goryla - upierał się Eddie.

Wolf spojrzał pytająco na Moskę.

- To pewna kobieta - powiedział Mosca - on utrzymuje, że wygląda jak goryl, taka jest brzydka.

Eddie spojrzał na stół, a potem zwrócił się z powagą do Moski.

- Muszę ci wyznać, Walterze, ona jest naprawdę gorylem, wstydzilem się do tego przyznać. Jest naprawdę gorylem. Kłamałem. Mieszka tuż obok bazy i pracuje dla władz

okupacyjnych. Jest tłumaczką.

Uśmiechnął się do nich, a Wolf, który znów był w dobrym humorze, wybuchnął tak serdecznym śmiechem, że ludzie przy sąsiednich stolikach znowu się odwrócili.

- A może byś ją tu przyprowadził dla rozrywki? - zapytał Wolf żartobliwym tonem.

Eddie wzdrygnął się.

- O Boże, nigdy z nią nie wychodzę nawet na ulicę. Wślizguję się do jej domu po zmroku.

- Musimy już iść, Walterze - powiedział Wolf energicznie. - To dla nas ważna noc, i będzie to długa noc.

Mosca pochylił się nad Eddiem i zapytał:

- Nic ci nie jest? Będziesz mógł wrócić do domu?

Eddie wymamrotał, że tak, a gdy szli do drzwi, słyszeli, jak wołał do kelnera, by mu przyniósł coś do picia.

Wolf puścił Moskę przed siebie. Zauważył, że idzie niepewnie. Wspinając się po schodach Wolf nie mógł sobie odmówić uwagi:

- Ale sobie wybrałeś noc, żeby się zalać.

Chłodne zimowe powietrze przeniknęło przez policzki Moski, mroząc czerwony miąższ dziąseł i podniebienia, obolały od nadmiaru alkoholu i papierosów. Zapalił papierosa, by ogrzać usta i gardło, myśląc przy tym:

- Pieprzę cię, Wolf... Jeśli ten sukinsyn znowu sobie zażartuje, palnę go albo sobie pójdę.

Czuł, jak zimno przenika mu pod płaszcz, jak marzną mu kolana i uda, jak tułów zaczyna go swędzić z chłodu, jakby pokrywał go szron. Poczul mdłości, gdy mroźne powietrze dotarło do kwaśniejacej whisky w żołądku, która natychmiast uderzyła mu do głowy. Zbierało mu się na wymioty, lecz zacisnął mięśnie żołądka i stłumił odruch, gdyż nie chciał, by Wolf go widział w takim stanie. Wiedział, że Wolf ma rację, że akurat tej nocy nie powinien był się zalać. Po raz pierwszy wszakże pokłócił się naprawdę z Hellą; nie była to sprzeczka, po której czuł się wściekły lub obrażony, ale kłótnia, w której jedno nie rozumiało drugiego. Przygnębiona i smutna.

Wolf i Mosca szli ulicą prowadzącą w dół Ratskeller, obok oświetlonego miejsca przed Klubem Czerwonego Krzyża, skąd dobiegała muzyka wlokąca się za nimi przez



ruiny niczym duch. Minęli budynek policji z reflektorem, który zatrzymywał jeepy w białym, oślepiającym kręgu światła wyciętym z otaczającej ciemności. Schodząc ze wzgórza, stromeego niczym studnia, pozostawili za sobą centrum miasta i wtopili się w czarną noc; musieli iść jakiś czas, lecz Mosca miał wrażenie, że trwało to tylko chwilę. Wolf zapukał do drzwi i zaraz prosto z zimna znaleźli się wewnątrz jakiegoś domu.

W pokoju znajdował się duży stół z czterema krzesłami. Były to jedyne meble. Pod ścianami znajdowały się stosy towarów, na które zarzucono pospiesznie brązowe wojskowe koce. Nie było okien, a pokój czerniał od dymu.

Mosca słyszał, jak Wolf coś mówi, przedstawiając go małemu, karzełkowatemu Niemcowi. Mimo że zaduch panujący w pokoju wywołał mdłości, zmusił się do słuchania i rejestrowania, co się działo wokół.

- Wiesz, co go interesuje - mówił Wolf. - Pieniądze, tylko pieniądze. Amerykańskie papiery.

Niemiec potrząsnął głową.

- Pytałem, pytałem wszystkich dookoła. Nikt nie ma takiej sumy. To wiem na pewno. Mogę kupić kilkaset dolarów, ale to wszystko.

Mosca wtrącił się, wymawiając powoli to, czego się nauczył.

- Interesuje mnie jednorazowa sprzedaż dużej ilości. Minimum pięć tysięcy kartonów.

Mały Niemiec spojrział na niego z szacunkiem i podziwem, a w głosie jego zabrzmiała zawistna zachłanność.

- Pięć tysięcy kartonów. OCH, OCH, OCH. - Rozmarzył się, a potem powiedział energicznie i rzeczowo: - Będę jednak tego pilnował, proszę się nie obawiać. Może się panowie napiją? Friedl - zawołał.

Kobieta otworzyła drzwi i zajrzała do pokoju.

- Sznaps - zawołał Niemiec, jak gdyby wołał na psa, komenderując: „do nogi”.

Kobieta zniknęła i pojawiła się znowu po paru minutach z wysoką, białą butelką i trzema szklaneczkami. Za nią weszli chłopczyk i dziewczynka, o złotych włosach, lecz z brudnymi, na czerwono umorusanymi twarzami.

Wolf przykucnął.

- Ach, jakie śliczne dzieci - wykrzyknął. Wyciągnął z teczki cztery tabliczki

czekolady i podał po dwie każdemu z dzieci.

Ojciec wkroczył pomiędzy niego i dzieci i wyciągnąwszy rękę zabrał czekoladę.

- Nie - powiedział - za późno na słodycze. - Podeszedł do szafki przy ścianie, a gdy odwrócił się, ręce miał puste. - Jutro, dzieci - powiedział.

Chłopiec i dziewczynka odwrócili się markotnie. Gdy Wolf i Mosca podnieśli szklaneczki, kobieta powiedziała coś ostro w dialekcie, którego nie zrozumieli. Mężczyzna spojrział na nią ostrzegawczo i groźnie:

- Jutro, powiedziałem. Jutro.

Mosca i Wolf wyszli; na ciemnej ulicy, oświetlonej tylko przez jedno żółte okno, słyszeli ostre głosy mężczyzny i kobiety, podniesione głosy wyrażające gniew, strach i nienawiść.

Białe, pędzony w domu z ziemniaków sznaps, niemal tak samo mocny i czysty jak spirytus, rozgrzał Moskę, a zarazem pogłębił czerń zimowej nocy. Mosca szedł niepewnie i często się potykał. Wreszcie Wolf zatrzymał się, ujął go za ramię i zapytał z troską w głosie:

- Chcesz to odwołać i wrócić do domu?

Mosca potrząsnął głową patrząc w ziemistoblada twarz Wolfa, świetlistą i śmiertelnie zimną w ciemności. Ruszyli przed siebie znowu. Wolf nieco z przodu, Mosca za nim, zmagając się z zimnym wiatrem i mdłościami. Pomyślał, że Hella powiedziała to samo do niego po południu.

Miała na sobie jedną z sukienek, które podarował jej na ostatnie Boże Narodzenie. Ann Middleton pozwoliła mu wykorzystać jej kartki na ubranie na zakupy w sklepie wojskowym. Hella przyglądała się, jak wyjmował z szafy mały węgierski pistolet i wsuwał do kieszeni kurtki. Potem zapytała go spokojnie:

- Czy nie chcesz wrócić do domu?

Wiedział, co miała na myśli. Na kilka dni przed świętami zniesiono zakaz małżeństw z Niemkami, lecz mimo że upłynął miesiąc, nie złożył papierów, by uzyskać zezwolenie. Wiedziała, iż powodem tego była konieczność opuszczenia Niemiec i powrotu do Stanów po ślubie. Odpowiedział:

- Nie, jeszcze nie teraz; moja umowa o pracę kończy się za sześć miesięcy.

Wydawała się niepewna, niemal przestraszona, a gdy podeszła, by go pocałować na

pożegnanie, jak to zawsze robiła, gdy rozstawał się z nią, choćby tylko na kilka godzin, odezwała się:

- Dlaczego nie czytasz listów od rodziny? Dlaczego odpisujesz im tylko parę zdań?

Czuł przy sobie lekką wypukłość jej zaokrąglonego brzucha i nabrzmiąte piersi.

- Musimy stąd kiedyś wyjechać - powiedziała.

Wiedział, że miała rację. Nie mógł jej jednak powiedzieć, dlaczego nie może teraz wracać do domu. Że nie dba o matkę i Alfa, a czytanie ich listów to jakby wysłuchiwanie ich oburzonych głosów. Że lubi widok zrujnowanego miasta, ziejące rany pozostawione na ulicach przez zburzone domy, postrzępioną i poszarpaną sylwetkę miasta, jak gdyby ogromny wyszczerbiony topór odrąbał wierzch jego czaszki. Że gdy wróci do domu, solidne, bezkresne, ciągnące się nieprzerwanie ulice, nie zniszczone i bezpieczne, wywołają w nim uczucie gniewu i niepokoju.

- Mamy czas - powiedział. - Gdy w czerwcu urodzi się dziecko, złożymy papiery i się pobierzemy.

Hella cofnęła się.

- Tym się nie martwię. Ale nie powinienes w ten sposób traktować swojej rodziny, powinienes przynajmniej czytać ich listy.

Wybuchnął gniewem i powiedział:

- Słuchaj, nie próbuj mnie zmusić do robienia rzeczy, na które nie mam ochoty.

Pocałowała go i powiedziała:

- Uważaj na siebie dziś w nocy.

Wiedział, że będzie na niego czekała, choć powiedział jej, żeby poszła spać.

Usłyszał głos Wolfa:

- Jesteśmy na miejscu.

Ujrzał przed sobą jego białą twarz. Stali przed wysokim tarasem, w kręgu światła rzucanego przez żarówkę przytwierdzoną do ściany domu. Jej żółte światło słabo znaczyło tkaninę nocy. Mosca wspiał się z wysiłkiem po schodach, trzymając się mocno żelaznej poręczy.

- To niezbyt ważny facet - powiedział Wolf naciskając dzwonek. - Ale chcę, żebyś go poznał. Jest jubilerem, i jeśli potrzebujesz czegoś dla swojej dziewczyny, to akurat właściwy facet.

Otworzyło się okno w górze, ponad nie osłoniętą żarówką. Wolf podniósł głowę i odezwał się:

- Dobry wieczór, Herr Furstenberg.

- Proszę poczekać chwileczkę, Herr Wolfgang. - Głos brzmiał miękko, był w nim smutek i starość, i rozpacz.

Otworzyły się drzwi. W progu powitał ich niski, łysy mężczyzna, ciemny, z ogromnymi czarnymi oczyma. Gdy Wolf przedstawił Moskę, Niemiec strzelił obcasami i uklonił się.

- Proszę na górę - powiedział.

Wspięli się po schodach i weszli do dużego salonu, w którym stała duża ilość mebli, między innymi dwie duże sofy, trzy czy cztery wyściełane fotele oraz fortepian. Pośrodku pokoju znajdował się duży stół, a pod ścianami kilka mniejszych. Na jednej z sof siedziały dwie najwyżej szesnastoletnie dziewczęta, a pomiędzy nimi pozostało puste miejsce. Herr Furstenberg usiadł na tym miejscu.

- Proszę usiąść - powiedział wskazując puste krzesła obok.

Wolf i Mosca usiedli.

- Chciałem, żeby pan poznał człowieka, o którym panu mówiłem - powiedział Wolf. - Jest to mój bliski przyjaciel i wiem, że potraktuje go pan dobrze, gdyby kiedyś potrzebował pańskiej pomocy.

Herr Furstenberg, obejmując dziewczyny, skłonił uprzejmie łusą głowę i odezwał się równie urzędowo i poważnie:

- Bez wątplenia. - Następnie, zwracając swe wielkie, czarne, puste oczy bezpośrednio ku Mosce, dodał: - Proszę zwrócić się do mnie, jeśli tylko będzie pan potrzebował.

Mosca skinął głową i zagłębił się w wygodnym fotelu czując, że nogi drżą mu ze zmęczenia. Mglisto i leniwie jego znużony umysł zauważył, że obie młode dziewczyny wyglądały świeżo, nie miały makijażu i nosiły grube wełniane pończochy. Siedziały statecznie, jak córki, obok Herr Furstenberga; jedna z nich miała plecione warkocze, długie złote sznury, które spływały na jej kolana, na szorstką wełnianą spódnicę, i zwiły się w oczekującej dłoni Herr Furstenberga.

- Jeśli chodzi o tę drugą sprawę - powiedział Niemiec zwracając się ponownie do

Wolfa - przykro mi, lecz nie potrafię panu pomóc. Żaden z moich przyjaciół o tym nie słyszał, o tej kradzieży miliona dolarów w papierach. To całkiem fantastyczna historia. - Uśmiechnął się do nich uprzejmie.

- Nie - powiedział stanowczo Wolf - ta historia jest prawdziwa. - Wstał i wyciągnął rękę. - Przykro mi, że przeszkodziłem panu o tak późnej porze. Proszę mnie zawiadomić, jeśli otrzyma pan jakieś informacje.

- Oczywiście - powiedział Herr Furstenberg. Wstał, skłonił się Mosce i uściśnął mu dłoń mówiąc: - Proszę się do mnie zgłosić.

Dziewczęta podniosły się z sofy. Herr Furstenberg objął je ramionami niczym czuły ojciec, po czym wszyscy troje odprowadzili Moskę i Wolfa do schodów. Jedna z dziewcząt, nie ta z długimi włosami, zbiegła po schodach i wypuściła ich na zewnątrz. Usłyszeli za sobą odgłos zamykanych na zasuwę drzwi. Potem żarówka nad tarasem zgasła i znaleźli się w całkowitej ciemności.

Mosca, śmiertelnie zmęczony, zły, że opuścili wygodny pokój, zapytał szorstko Wolfa:

- Myślisz, że znajdziemy tych drani?

- Dziś szukam tylko tropów - powiedział Wolf - poznaję cię z ludźmi. O to właśnie chodzi.

Na zaciemnionych ulicach mijali teraz inne spieszące postaci, widzieli jeepy zaparkowane przed zdawałoby się opuszczonymi domami.

- Wszyscy dziś wyszli na łowy - powiedział Wolf. Odczekał chwilę, a potem zapytał: - Jak ci się podobał Furstenberg?

Wiatr ustał, więc mogli swobodnie rozmawiać.

- Wygląda na miłego faceta - powiedział Mosca.

- Cholernie miły, zwłaszcza jak na Żyda - powiedział Wolf. - Bez obrazy dla twojego kumpla. - Czekał, czy Mosca się odezwie, po czym ciągnął. - Furstenburg siedział w obozie koncentracyjnym. Jego żona i dzieci są w Ameryce. Myślał, że do nich pojedzie, ale ma taką gruźlicę, że go nie wpuszczą. Dostał jej w obozie. Zabawne, co? - Mosca nie odpowiedział.

Przecięli oświetloną aleję, powracając do centrum miasta.

- Trochę mu odbiło - Wolf niemal to wykrzyczał.

Wiatr zerwał się znowu, dał im w twarzę, gdy szli, potykając się o rumowisko. Skręcili za róg i wiatr ponownie ustał.

- Widziałeś te dziewczęta? Sprowadza je sobie prosto ze wsi, mniej więcej co miesiąc nowe. Jego agent mi o tym opowiedział - robimy razem interesy. Furstenberg mieszka z dziewczynami przez kilka tygodni; mają oddzielny pokój. A potem, po okresie traktowania ich jak córki, trach, jednego wieczora przychodzi do ich pokoju i je rżnie. Następnego dnia odsyła je z cennymi prezentami, a za tydzień sprowadza sobie nowe. Te są nowe, nigdy ich nie widziałem. Musi to ładnie wyglądać, gdy się do nich dobiera. Niezła heca. Jak facet, który goni kurczaki, żeby im odrąbać głowy.

Jeszcze jeden, pomyślał Mosca. Wszyscy fiksują. On sam nie był lepszy. A więc nie chcą wpuścić tego biedaka, bo ma gruźlicę. Takie jest prawo. Rozsądne, wszystkie prawa są rozsądne. Ale zawsze dają komuś wycisk. A niech go cholera, tego sukinsyna Furstenberga, strzelającego obcasami kutasa. Miał swoje własne zmartwienia. O tym właśnie chciał powiedzieć Helli po południu. Że każdego dnia łamie prawo. Mieszkając z nią na kwaterze, kupując jej ubrania na wojskowe kartki Middletona, śpiąc z nią, że może pójść do więzienia za to, że ją kocha. Nie skarżył się, taki już jest świat, nie oburzał się. Ale kiedy przy okazji wyciągali tamto gówno i próbowali ci wmówić, żebyś się wstydził, i próbowali ci wmówić, że to słuszne i sprawiedliwe, to właśnie było gównem. Gdy chcieli, żeby postępował tak, jak gdyby wszystko było tak, jak mu się mówi, wówczas mówił sobie: a ja was pieprzę. Nie mógł słuchać matki, Alfa i Glorii. Nie mógł czytać gazet, chciało mu się rzygać. Dzisiaj, mówiły, że jesteś dobry, a następnego dnia przekonywały cię, że jesteś zły, morderca, dzikie zwierzę, a ty wierzyłeś w to i pomagałeś im osaczać samego siebie. Upiekłoby mu się, gdyby zamordował Fryca, ale mogą wsadzić go do więzienia za to, że zaopiekował się kobietą, której pragnął. Tydzień temu widział, jak rozstrzelali pod ścianą Polaków, na boisku do piłki ręcznej za bazą lotniczą, trzech dzielnych Polaków, którzy wymordowali małą niemiecką wioskę, mężczyzn, kobiety i dzieci. Ci biedni Polacy popełnili błąd: zamordowali Niemców tuż po rozpoczęciu okupacji, a nie kilka dni wcześniej, toteż zamiast wpiąć im medale za odwagę, owinięto ich od pasa w górę w brązowe worki i przywiązano do drewnianych słupków wbitych w szczeliny betonu, a pluton egzekucyjny stał im nad głową, strzelając w dół, z odległości paru metrów, w osuwające się ciała. Można było o tym mówić rozmaicie, można było

udowodnić milion razy w tę i we w tę, że to było konieczne, ten mord, a w ogóle to gównogogo to obchodziło. Czyż nie zjadł dużego śniadania po obejrzeniu Polaków?

Nie umiał jednak powiedzieć Helli, dlaczego właściwie nienawidzi matki, swojej dziewczyny, brata, i dlaczego ją kocha. Może dlatego, że tak samo się bała, jak on się bał, że tak samo obawiała się śmierci jak on, a może tak naprawdę dlatego, że straciła wszystko tak samo jak on, tylko że on stracił wszystko w sobie samym, a ona nie. Że nienawidzi tych wszystkich matek i ojców, sióstr i braci, narzeczonych i żon, które oglądał w gazetach, w kronikach filmowych, w kolorowych magazynach, jak przyjmują medale przyznane poległym synom, poległym bohaterom, te dumne uśmiechy, dumny płacz, dzielny ubiór na tę okazję, demonstrujący żal, bolesny lecz rozkoszny, gdyż wyzwalaający ból, i te poważne twarze wręczających medale dygnitarzy w olśniewająco białych koszulach i czarnych krawatach; wyobrażał sobie, jak robią to wszędzie na świecie, także rodziny nieprzyjaciół, jak przyjmują takie same medale przyznane poległym synom i bohaterom, jak płaczą i uśmiechają się dzielnie, jak przyjmują w zamian metalowe krążki ze wstążeczkami w wyścielonych satyną pudełkach - i nagle w jego pulsujący mózg wśliznął się obraz potwornie obżartych robaków, które podnoszą mięsiste głowy, by skłonić się z podziękowaniem dygnitarzom, matkom, ojcom, braciom, narzeczonym.

Nie można jednak mieć im tego za złe, gdyż nasza sprawa była słuszna; to prawda, pomyślał, ale co z Frycem? To był przypadek, naprawdę przypadek. Każdy mu wybaczy, dygnitarze jego kraju, matka, Alf i Gloria. Powiedzą: nie mogłeś inaczej postąpić. Robaki mu wybaczą. Hella płakała, lecz nie odrzuciła go, gdyż nie mogła nic innego zrobić. On nie mógł mieć im za złe, ale nie próbuj mnie pouczać, co jest złe, nie mów, że powinienem czytać ich listy, nie mów, że świat nie może zginąć, bo ludzie są święci i mają nieśmiertelne dusze, nie mów, że powinienem się uśmiechać i być uprzejmym dla każdego sukinsyna, który łaskawie mówi mi „cześć”. Te wszystkie uwagi Helli, żebym był miłszy dla Frau Meyer i Jergena, i moich przyjaciół i żebym czytał listy od rodziny, i odpisywał na nie. To wszystko takie pokręcone, nie ma niczyjej winy, dlaczego mieć im za złe, że żyją?

Musiał przystanąć; czuł się bardzo słaby, w głowie mu się kręciło, nie mógł poruszać nogami. Wolf trzymał go za rękę, on zaś oparł się na ramieniu Wolfa, póki nie wróciła mu na tyle przytomność, by mógł iść dalej.

Białe smugi i cienie przecinały noc. Patrząc na nie Mosca podniósł głowę i po raz pierwszy ujrzał zimny i odległy zimowy księżyc. Spostrzegł, że znajdują się w parku na skarpie i okrążają jezioro. Lodowata poświata księżycy lśniła na jeziorze i spowijała czarne drzewa matowym światłem. W tym samym momencie ogromne granatowe cienie przemknęły po niebie i zakryły księżyc, tak że nic już nie widział. Potem Wolf odezwał się do niego:

- Wyglądasz naprawdę niedobrze - wytrzymaj jeszcze parę minut, a zrobimy sobie postój i doprowadzę cię do porządku.

Znaleźli się nagle w centrum miasta, na placu, na niewielkim wzniesieniu. W jednym rogu stał kościół, którego wielkie drewniane wrota zaryglowano. Wolf poprowadził go do bocznego wejścia i wąskimi schodami wspięli się na wieżę; równo z ostatnim stopniem znajdowały się drzwi, które zdawały się być wycięte w ścianie. Wolf zapukał, a Mosca zdumiał się, pomimo mdłości, że to był Jergen. Pomyślał: Wolf wie, że Jergen nie uwierzy, że mam papierosy. Czuł się jednak zbyt słaby, by się tym przejąć.

W pokoju było duszno, więc oparł się o ścianę. Potem Jergen podawał mu zieloną pigułkę i gorącą kawę, wpychał mu pigułkę do ust i podtykał do warg gorącą filiżankę.

Zobaczył wyraźnie pokój, Jergena i Wolfa. Ustąpiły mdłości, czuł na ciele zimny pot, który spływał mu po udach. Wolf i Jergen przyglądali mu się z uśmiechem zrozumienia, a Jergen poklepał go po ramieniu i powiedział życzliwie:

- Dobrze się czujesz, co?

Pokój był zimny, duży, kwadratowy, z niskim sufitem. W jednym rogu ustawiono drewniane przepierzenie pomalowane na różowo i oklejone ilustracjami wyciętymi z książki z bajkami.

- Tam śpi moja córka - powiedział Jergen, a za chwilę usłyszeli, że dziewczynka jęczy.

Potem się zbudziła i zaczęła popłakiwać cicho, jak gdyby była sama i przerażała ją dźwięk jej własnego strachu. Jergen poszedł za przepierzenie i wrócił niosąc córeczkę w ramionach. Była owinięta w amerykański koc wojskowy i spoglądała na nich poważnie wilgotnymi oczyma. Miała kruczoczarne włosy i smutną, dojrzałą twarzyczkę.

Jergen usiadł na kanapie pod ścianą, Wolf obok niego. Mosca wziął sobie jedyne w pokoju krzesło.



- Czy możesz wyjść z nami dziś w nocy? - zapytał Wolf. - Idziemy do mieszkania Honny'ego. To człowiek, na którego liczę.

Jergen potrząsnął głową.

- Dziś nie mogę. - Potarł policzek o mokry policzek córeczki. - Moja dziewczynka bardzo przestraszyła się dziś wieczór. Ktoś nadszedł i stukał do drzwi, a ona wiedziała, że to nie ja, bo mamy własny sygnał. Muszę ją często zostawiać samą, a kobieta, która się nią opiekuje, idzie do domu o siódmej. Gdy przyszedłem, była tak przerażona i w takim szoku, że musiałem dać jej pigułkę.

Wolf potrząsnął głową.

- Jest za mała. Nie można tego często robić. Nie myślisz chyba, że to my przyszliśmy. Wiesz, że respektuję twoje życzenia i przychodzę tylko umówiony.

Jergen przytulał do siebie córkę.

- Wiem, Wolfgang, wiem, że na pana można polegać. Wiem także, że nie powinienem jej dawać środków uspokajających. Była jednak w takim stanie, że się przestraszyłem.

Mosca zdziwił się widząc na dumnej twarzy Jergena wyraz miłości, smutku i rozpacz.

- Myślisz, że Honny ma już jakieś wiadomości? - zapytał Wolf.

Jergen potrząsnął głową.

- Nie sądzę, ale chciałbym coś jeszcze powiedzieć. Wiem, że pan i Honny jesteście przyjaciółmi. Jeśli jednak ma wiadomości, to zapewne nie ujawni ich natychmiast.

Wolf uśmiechnął się.

- Wiem. Dlatego przyprowadzam do niego Moskę, żeby go przekonać, że mam człowieka z pięcioma tysiącami kartonów.

Jergen spojrzał Mosce w oczy, ten zaś po raz pierwszy uświadomił sobie, że Jergen jest ich współnikiem i partnerem. Dostrzegł w oczach Jergena wyraz strachu i fascynacji, jak gdyby patrzył na kogoś, kto na pewno dokona morderstwa. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z roli, do jakiej przeznaczyli go partnerzy. Spojrzał w oczy Jergena, aż ten pochylił głowę.

Wyszli. Na ulicy czerń nocy rozrzedziła się, jak gdyby księżyc rozlał się po niebie i

rozjaśnił cienie nie dając przy tym światła. Mosca był świeży i czujny, a zimny wiatr otrzeźwił go. Kroczył rześko obok Wolfa. Zapalił papierosa, dym smakował przyjemnie i rozgrzewał język. Milczeli. Wolf odezwał się tylko raz, powiedział:

- To długi spacer, lecz to ostatni przystanek dzisiejszej nocy. Będziemy dobrze przyjęci. Połączymy interes z przyjemnością.

Poszli na skróty przez zburzone budynki, toteż Mosca wkrótce stracił orientację, po czym nagle znaleźli się na ulicy jakby odciętej od reszty miasta, w wiosce otoczonej pustynią gruzów. Wolf zatrzymał się przed ostatnim domem na końcu ulicy i zapukał szybko kilka razy do drzwi.

Drzwi otworzyły się i stanął przed nimi niski blondyn, z przodu zupełnie łyśy, ze złotymi włosami pokrywającymi czubek i tył głowy jak obcisła czapka. Ubrany był bardzo starannie.

Niemiec pochwycił dłoń Wolfa i powiedział:

- Wolfgang, w sam raz na przekąskę o północy. - Wpuścił ich i zamknął drzwi na zasuwę. Objął Wolfa ramieniem i uścisnął go. - Ach, jak to miło, że przyszedłeś. Chodź.

Weszli do salonu urządzonego zbytkownie, z serwantką pełną kryształów i zastawy stołowej, z podłogą zasłaną kosztownymi, ciemnoczerwonymi dywanami. Jedną ścianę wypełniały książki, paliły się żółte lampy, stały miękkie fotele, a w jednym z nich, ze stopami na żółtym podnóżku, siedziała gruba kobieta z grubymi wargami, o jaskrawo rudych włosach. Czytała amerykański magazyn poświęcony modzie, w krzyczącej okładce. Blondyn odezwał się do niej:

- Oto Wolfgang i ten jego przyjaciel, o którym nam opowiadał.

Wyciągnęła ku nim miękką dłoń. Upuściła magazyn na podłogę.

Wolf zdjął płaszcz i postawił teczkę na krześle obok.

- No więc - odezwał się do blondyna - udało się coś, Honny?

- Ach - powiedziała kobieta - chyba sobie z nas żartujesz. Nie byliśmy w stanie niczego się dowiedzieć.

Mówiła do Wolfa, lecz patrzyła na Moskę. Jej głos brzmiał szczególnie słodko, łagodząc znaczenie jej słów. Mosca zapalił papierosa, czując, że twarz ma napiętą z pożądania, które w nim wzbudziła spojrzeniem, całkowitą szczerością swych oczu i wspomnieniem rozpalonej dłoni. Teraz jednak, podniósłszy wzrok i przyglądając się jej

poprzez dym papierosowy, spostrzegł, że jest brzydka; staranny makijaż nie mógł ukryć żarłocznych ust i okrutnych, maleńkich niebieskich oczek.

- To prawdziwa historia - mówił Wolf. - Wiem na pewno. Potrzebuję się tylko skontaktować z właściwymi ludźmi. Kto mi pomoże nawiązać kontakt, nieźle na tym zarobi.

- A to jest naprawdę ten twój bogaty przyjaciel? - zapytał z uśmiechem blondyn.

Mosca zauważył, że twarz miał pokrytą dużymi piegami, co nadawało mu chłopięcy wygląd.

Wolf roześmiał się i powiedział:

- Ten oto człowiek ma pięć tysięcy kartonów - jakby parodiując, lecz w jego głosie brzmiała zazdrość.

Mosca, który się dobrze bawił, uśmiechnął się do dwojga Niemców, jak gdyby miał przed domem ciężarówkę wyładowaną papierosami. Odpowiedzieli mu śmiechem. Pomyślał: będziecie się śmiać później, szkopy.

Otworzyły się rozsuwane drzwi do drugiego pokoju i ukazał się inny Niemiec, drobny, w ciemnym garniturze. Poza nim Mosca ujrzał stół nakryty śnieżnobiałym obrusem i serwetkami, zastawiony połyskującym srebrem i wysokimi, pięknie szlifowanymi kieliszkami.

Blondyn odezwał się:

- Proszę zjeść z nami późną kolację. W twoim interesie, Wolfgang, nie mogę nic pomóc. Ale z pewnością z człowiekiem z takim majątkiem w papierosach jak twój przyjaciel można zrobić również jakiś inny interesik, nie tylko z papierami.

Mosca powiedział poważnie:

- To całkiem możliwe. - Uśmiechnął się a inni roześmiali się, jak gdyby opowiedział dowcip.

Przeszli do jadalni.

Służący przyniósł półmisek z wielką, ciemnoczerwoną szynką, jaką sprzedawano w amerykańskich wojskowych kantynach. Na srebrnej tacy leżały równo pokrojone kromki świeżego, białego, amerykańskiego chleba. Był jeszcze ciepły. Wolf posmarował masłem kawałek, uniósł brwi z pełnym uznaniem i zdziwieniem i powiedział:

- Widzę, że dostarczają go wam, zanim trafi do amerykańskiej kantyny.

Blondyn śmiejąc się skinął głową z zadowoleniem. Służący przyniósł kilka butelek wina. Mosca, spragniony po długim marszu i czując się znacznie lepiej, wypił kieliszek jednym łykiem. Blondyna to ubawiło; udawał, że mu się to podoba.

- Ach - powiedział - lubię takich ludzi. Nie taki jak ty, Wolfgang, ostrożny w picciu i pracuś. Teraz wiesz, dlaczego on ma pięć tysięcy kartonów, a ty nie.

Wolf odpowiedział mu uśmiechem i odezwał się przekornie:

- Powierzchowna psychologia, przyjacielu, bardzo powierzchowna. Zapominasz, jak jem. - I zaczął nabierać sobie szynki, a potem z długiego półmiska, na którym leżało z tuzin kawałków różnych gatunków *Wurst*. Wziął sporo z półmiska z serami i sałatką, po czym spojrzał na blondyna i powiedział: - No, Honny, a co teraz myślisz? Co teraz powiesz?

Honny, którego niebieskie oczy błyszczały z radości w piegowatej twarzy, niemal zawołał z rozbawieniem:

- Mogę powiedzieć tylko jedno. Smacznego.

Ruda kobieta roześmiała się, podobnie jak pozostali, i pochyliła się, by nakarmić ogromnego psa, który leżał pod stołem. Dała mu duży kawałek szynki, a potem wzięła od służącego wielką drewnianą miskę i wlała do niej cały litr mleka. Pochylając się przesunęła niedbale ręką po nodze Moski, a potem oparła się na jego udzie, by się podnieść. Zrobiła to obojętnie, nie usiłując niczego ukryć.

- Zbyt lubisz tego psa - powiedział Honny. - Potrzeba ci dzieci. Zajęłabyś się nimi.

- Drogi Honny - powiedziała patrząc mu prosto w twarz - w takim razie musiałbyś zmienić swe gusta w miłości. - Słodycz w jej głosie przytłumiła słowa.

Honny mruknął:

- To zbyt wysoka cena. - Mrugnął na Wolfa. - Każdy ma swoje gusta, co Wolfgang?

Wolf skinął głową, żując ogromną kanapkę, którą sobie zrobił.

Jedli i pili. Mosca miał się na baczności, jadł dużo, pił mniej. Czuł się dobrze. Milczeli długo, aż wreszcie kobieta, otrząsnąwszy się z melancholijnego nastroju, powiedziała z nagłym ożywieniem:

- Honny, pokażmy im nasz skarb. Dobrze?

Twarz Wolfa czujnie i zabawnie wychyliła się spoza kanapki. Honny roześmiał się

i powiedział:

- Nie, nie, Wolfgang, to nie żaden interes. A poza tym jest bardzo późno i pewnie jesteście zbyt zmęczeni.

Wolf powiedział ostrożnie, usiłując ukryć zainteresowanie:

- Powiedz nam, co to jest.

Blondyn uśmiechnął się do niego.

- To nie dla zysku. To tylko ciekawostka. Urządzam ogródek na podwórku za domem. Dom po drugiej stronie ulicy jest zburzony i jego część zwała się na mój teren. Zacząłem to usuwać i spodobała mi się ta praca. Potem odkryłem coś bardzo dziwnego. Odkryłem dziurę w rumowisku, a pod spodem nietkniętą piwnicę, do której zawała się reszta domu. To bardzo interesujące. Jakimś cudem belki upadły tak, że podtrzymują budynek i tworzą ogromny pokój pod spodem. - Uśmiechnął się, a czerwone piegi zaznaczyły się na jego twarzy wyraźnie jak krew. - Zapewniam cię, że to niezwykle. Chcielibyście tam pójść?

- Oczywiście - powiedział Mosca, a Wolf skinął głową zgadzając się obojętnie.

- Nie potrzebujecie płaszczy. To tuż za ogrodem, a tam na dole jest bardzo ciepło.

Jednakże Wolf i Mosca zabrali swoje rzeczy z pokoju, nie chcąc wychodzić bez broni i nie chcąc, by Honny zorientował się, że ją posiadają. Honny wzruszył ramionami.

- Poczekajcie, wezmę latarkę i świece. Idziesz, Erda? - zapytał kobietę.

- Oczywiście - odpowiedziała.

Cała czwórka przemierzyła przestrzeń, która miała kiedyś stać się ogrodem, a blondyn latarką oświetlał drogę. Ów ogród był kwadratem ubitej ziemi otoczonym murkiem z cegły tak niskim, iż z łatwością mogli go przekroczyć. Wspięli się na pagórek gruzów i mogliby oglądać widok rozciągający się poza zostawionym z tyłu za nimi domem, gdyby nie chmura wisząca niczym welon na księżycu, która sprawiała, iż miasto w dole było niewidoczne. Zeszli w dolinę utworzoną przez dwa kopce łupku i potłuczonej cegły i dotarli do ściany podtrzymującej i odgradzającej jeszcze jedną kupę gruzów.

Blondyn przykucnął.

- Tędy - powiedział wskazując dziurę w murze, ciemną i nieprzejrzystą jak głęboki cień.

Weszli po kolei, najpierw blondyn, potem kobieta, Wolf i Mosca.

Po kilku krokach, całkiem nieoczekiwanie, zaczęli schodzić po schodach. Honny głośno ich o tym uprzedził.

Zaczekał na nich u podnóża schodów. Kobieta zapaliła dwie świece i jedną podała Mosce.

W żółtym świetle świec ujrzeli poniżej ogromną podziemną salę, jak gdyby oderwaną od betonu, na którym stali. Sprawiała wrażenie morza odbijającego się od skał, a świece oświetlały ją tak, jak latarnia morska oświetla ocean, pozostawiając wielkie obszary cienia. Podłoga była przesunięta, ściany stanowiły pochyłe sterty gruzu. Pośrodku wznosiły się inne schody i znikwały, przywalone rumowiskiem, tak jakby ktoś zbudował schody kończące się ślepo w suficie.

- To była kwatera SS, kiedy trafiły ją wasze bombowce. Tuż przed końcem wojny - powiedział Honny. - Pochowani są tutaj od przeszło roku. Wspaniale.

- Może jest tu coś cennego - powiedział Wolf - szukałeś?

- Nie - odpowiedział Honny.

Zeskoczyli z krawędzi, a ich stopy zaczęły grzęznąć w podłożu. Kobieta pozostała przy ścianie, oparłszy się o kraniec ogromnej belki, który po upadku zarył się w podłozie, podczas gdy drugi wbił się w sufit. Trzymała świecę wysoko, a trzech mężczyźni rozpierzchli się po ogromnej sali.

Poruszali się ostrożnie, krocząc po zdradliwej warstwie szkła, pyłu i sproszkowanej cegły, jak ludzie brodzący w bystrym strumieniu. Gdy natrafiali na miękkie miejsce i zapadali się niebezpiecznie w rumowisko, wygrzebywali się gorączkowo, jak z wody.

Mosca ujrzął przed sobą błyszczący, czarny but. Podniósł go; był zaskakująco ciężki. Uświadomił sobie, że wewnątrz znajdowała się noga, pod szczelną pokrywą ubitej cegły i kamienia sklejonych krwią i szpikiem zmiażdżonej kości. Upuścił but i poszedł w najdalszy kąt, zapadając się czasem w rumowisku po kolana. Pod ścianą potknął się o długi tułów pozbawiony głowy, szyi, nóg i ramion. Dotknął go palcami. Czarnego materiału nie można było rozpoznać, zaś wewnątrz wyczuł ciało, z którego olbrzymi ciężar zwałonego budynku wycisnął tłuszcz i krew. Ciało szczelnie przylegało do kości, lecz pod spodem czuł twardą jak kość skałę. Oba krańce tułowia były zaklejone podobnie jak but.

W tych ludzkich resztkach nie było nic strasznego. Nie było krwi ani ciała. Były tak zmiażdżone, iż ubranie zostało wtłoczone w skórę. Krew wsiąkła w tony cegieł

zamienionych we wchłaniający wszystko pył. Mosca pogrzebał trochę w rumowisku, lecz gdy jego noga zaczęła w nim grzęznąć, wycofał się pospiesznie. Wolf był zajęty w odległym kącie, bez światła, prawie niewidoczny.

Mosca poczuł nagle nieprzyjemne ciepło. W powietrze wzbił się gorący pył, z którego dobiegł dziwny zapach, jakby spalonego ciała, jak gdyby pod pochyłą podłogą w całym mieście płonęły podziemne ognie, przysłonięte przez podobne ruiny.

- Dajcie mi światło - odezwał się Wolf z kąta. Głos jego zabrzmiał jak głośny, głuchy szept.

Mosca cisnął mu swoją świecę. Przeleciała wielkim łukiem żółtego płomienia i upadła obok Wolfa. Nie podniósł jej.

Ujrzeni, że Wolf grzebie przy tułowiu. Honny odezwał się swobodnie spokojnym głosem:

- To dziwne, że te ciała nie mają głów. Znalazłem chyba sześć czy siedem. Niektóre mają nogę lub ramię, ale żadne nie ma głowy. I dlaczego nie uległy rozkładowi?

- Aha - odezwał się Wolf, którego głos rozległ się z odległego kąta - znalazłem coś.  
- Podniósł skórzaną kaburę z pistoletem. Wyciągnął z niej broń, która rozleciała się i spadła w gruz na podłodze. Wolf odrzucił kaburę i znowu zaczął grzebać rozmawiając jednocześnie z blondynem.

- Jak mumie, jak stare mumie - powiedział. - Całkiem sprasowane. Może byli tu szczelnie zamknięci, a potem budynek się przesunął, tak że mogliśmy wejść. A ich głowy zostały roztrzaskane o podłogę, w drobne kawałeczki, na strzępy, są częścią tej podłogi, po której chodzimy. Już to kiedyś widziałem. - Oddalił się od świecy w sam kąt; odezwał się znowu: - Dajcie mi światło.

Kobieta przy ścianie podniosła świecę wysoko, a Wolf uniósł coś w górę, tak by padł nań wąty żółty płomyk. Jednocześnie blondyn skierował na niego swą latarkę.

Krzyk Wolfa zabrzmiał krótko, wyrażał raczej zdziwienie, kobiety zaś histerycznie, przechodząc w łkanie. W świetle latarki i świecy ukazała się szara dłoń z niezmiernie wydłużonymi palcami pokrytymi patyną kurzu jak farbą. Światło świecy ześliznęło się z niej w tej samej chwili, gdy Wolf ją odrzucił. Milczeli, odczuwając panujący tu upał i duchotę biorącą się z pyłu, który wzbili z podłogi. Mosca powiedział do Wolfa złośliwie:

- Nie wstyd ci?

Blondyn roześmiał się cicho, lecz jego śmiech odbił się echem w sali. Wolf usprawiedliwił się.

- Myślałem, że to cholera to szczur.

Kobieta stojąca przy krawędzi odezwała się:

- Chodźmy stąd szybko, brakuje mi powietrza.

Gdy Mosca skierował się ku niej i ku światłu, przesunęła się ściana.

Ruch rumowiska zwałił go z nóg. Głową upadł na jeden z tułowi. Dotknął go wargami i stwierdził dotykiem, że na ciele nie było ubrania, tylko sama skóra, spalona i zwęglona. Ciało pod skórą było gorące, jak gdyby już smażyło się w piekle. Odepchnął się rękami, a gdy próbował wstać, chlusnął mu z ust ogromny, czarny strumień wymiocin. Usłyszał, że tamci nadchodzą, by mu pomóc, więc prawie krzyknął:

- Nie zbliżajcie się. Nie zbliżajcie.

Ukląkł i ściskając w dłoniach ostre kawałki szkła, cegły i kości zwymiotował wszystko, strawiony pokarm i alkohol zamieniony w żółć. Czuł, że palą go dłonie, ranione ściszanym gruzem.

Miał pustkę w środku, wstał. Kobieta pomogła mu wejść na wystającą krawędź. W świetle trzymanej przez nią świecy ujrzał na jej twarzy dziwny wyraz podniecenia i przyjemności. Gdy szli w górę, trzymała się kurtki Moski.

Wyszli na zewnątrz na zimne powietrze i odetchnęli głęboko.

- Jak dobrze żyć - odezwał się blondyn. - Tam, w dole, jest to, co po śmierci.

Z wąwozu, w którym się znajdowali, wspięli się na pagórek gruzu. Księżyc wyszedł zza chmur i oświetlał miasto, które wyglądało jak szary, wymarły krajobraz z bajki, przeplatany pasemkami mgły i pyłu tworzącymi pajęczynę niczym pokój nad ziemią, jak gdyby wszyscy spali żyjąc w śmierci. Na zboczu wzgórza, na którym stał *Polizeihaus*, dostrzegli żółte światelko wspinającego się powoli tramwaju i usłyszeli rozbrzmiewający w zimowym powietrzu cichy, przytłumiony dźwięk jego dzwonka, zimny i kryształowo czysty. Mosca uświadomił sobie, że muszą się znajdować w pobliżu jego kwatery na Metzger Strasse, często bowiem widział w nocy ten tramwaj wspinający się na to wzgórze i słyszał ten sam dzwonek.

Gdy stali tak na rumowisku, kobieta przytuliła się do blondyna i zapytała:

- Może wstąpić się czegoś napić?



- Nie - powiedział Mosca i zwrócił się do Wolfa: - Chodźmy do domu.

Czuł się samotny i bał się, bał się ludzi, z którymi przebywał, Wolfa nie wyłączając, bał się, że coś się stało Helli, pozostawionej samej na kwaterze. Był teraz całkiem trzeźwy i wydawało mu się, że bardzo dawno zostawił pijanego Eddiego Cassina w Ratskeller i rozpoczął z Wolfem długą wędrówkę po ulicach.

Zastanawiał się, czy Eddie wrócił cało do domu, która to była godzina, na pewno dawno po północy. A Hella z pewnością na niego czeka, sama, czytając na kanapie. Po raz pierwszy pomyślał z przypiływem uczucia o matce, Alfie i Glorii, o ich listach, których nie przeczytał. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nie czuli się bezpieczni, jak to sobie wyobrażał; śnili swój własny strach. Poczuł nagle, że znajdują się w niebezpieczeństwie; wszyscy ci, których znał, i że on nic na to nie może poradzić. Przypomniał sobie, jak matka szła do kościoła i wiedział już, co jej chce powiedzieć - coś, co by wszystko wyjaśniło i pomogło mu przyjąć wszystko dlatego, że było prawdziwe. „Nie jesteśmy uczynieni na podobieństwo Boże”, tyle mógł powiedzieć. Teraz mógł żyć dalej, usiłując być szczęśliwy i uczynić Hellę szczęśliwą.

Zmęczenie kazało mu o wszystkim zapomnieć. Ruszył w dół z pagórka gruzów, chowając brodę w kołnierzu kurtki, czując zimno i ból w kościach. Gdy szli z Wolfem ulicami, blada poświata księżyca obnażała rany miasta równie okrutnie jak słońce, lecz obojętnie, bez zabarwienia czy współczucia; jak gdyby było to światło rzucane przez martwy, metalowy przedmiot, który odbijał się na ziemi, wraz z wyschłymi kraterami i martwymi bliznami.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jasne słońce wiosennego poranka skąpało zburzone miasto w żywych barwach zółcieni i złota, połyskując na pokierszowanych czerwonych ceglanych murach; jasnoniebieskie niebo osłoniło okaleczone i oszpecone budynki na horyzoncie.

Córka Jergena popychała kremowy wózek dziecinny, a jej smutna twarzyczka wyrażała dumę i szczęście, a zarazem niepokój; jej śliczna niebieska sukienka była koloru nieba. Jergen szedł obok, obserwując ją i ciesząc się z jej szczęścia, czując, że wielkie miasto powraca do życia po długiej i strasznej zimie.

Podwójne *Strassenbahnen* dzwoniły głośno jadąc ulicami, wypełniając złociste powietrze poranka dźwiękiem swych dzwonek. Skręciwszy w Metzer Strasse Jergen spostrzegł Moskę z przyjaciółmi zajętych przy jeepie. Potem zobaczył Helle, która stała pod drzewem. Zbliżywszy się ujrzał, że Mosca, Leo i Eddie ładują do jeepa rzeczy Moski. Były tam walizki i torby z ubraniami, drewniana skrzynka z konserwami i węglowy piecyk, który on, Jergen, zdobył dla nich.

Jergen dotknął ramienia córeczki.

- Giselle, podjedź im z wózkiem pod sam nos, zaskocz ich.

Dziewczynka uśmiechnęła się radośnie i ruszyła szybciej. Hella dostrzegła ich pierwsza, a Jergen usłyszał jej okrzyk radości, zanim zrobiła kilka szybkich, niezdarnych kroków w ich kierunku.

- Jak się pani podoba? - zapytał Jergen z dumą. - Czyż nie jest taki, jak obiecałem?

- Och, Jergen, jest wspaniały, jest piękny - zawołała Hella.

Jej szczupła, pogodna twarz wyrażała taką radość, iż Jergen naprawdę się wzruszył. Spojrzał ponownie na wózek i spostrzegł, że istotnie był piękny, o niskim zawieszaniu, z paskami jak samochód wyścigowy, a jego śliczny kremowy kolor kontrastował z zieloną ziemią i jasnoniebieskim niebem w górze.

- To moja córka, Giselle - powiedział Jergen - chciała go sama dostarczyć.

Nieśmiała dziewczynka skinęła w ukłonie głową. Hella ukłękła z trudem, a luźny, okrywający ją płaszcz sięgnął do ziemi.

- Dziękuję ci - powiedziała i pocałowała dziewczynkę w policzek. - Czy pomożesz mi zawieźć go do mojego nowego domu?

Dziecko skinęło głową.

Mosca podszedł do nich. Ubrany był w stary, wygnieciony mundur khaki.

- Zapłacę ci później, Jergen - powiedział, ledwie spojrzawszy na wózek. - Przeprowadzamy się na Kurfürsten Allee. Może przeszedłbyś się tam z Hellą i wózkiem. Pojedziemy tam, gdy tylko się zapakujemy.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział Jergen. Był w dobrym humorze. Uchylił kapelusza i odezwał się do Helli po niemiecku: - Szanowna pani, czy mogę pani towarzyszyć?

Uśmiechnęła się i przyjęła jego ramię. Ruszyli, a dziecko szło na przedzie.

Szli w lekkim wiosennym wietrze pachnącym kwiatami i trawą. Hella zapięła płaszcz. Jergen zauważył, że opina się ciasno na brzuchu, i odczuł dziwne zadowolenie połączone ze smutkiem. Jego żona nie żyła, córka nie miała matki. Idąc teraz obok kochanki wroga pomyślał, jak by to było dobrze, gdyby Hella należała do niego, obdarzała miłością i czułością jego i jego dziecko i nosiła w sobie nowe życie, które należałoby do nich obojga. Jak by to było pięknie w ten piękny poranek, jak pozbyłby się smutku i lęku i jak Giselle byłaby bezpieczna. Gdy tak rozmyślał, Giselle odwróciła głowę i uśmiechnęła się do nich.

- Wygląda znacznie lepiej - powiedziała Hella.

Jergen potrząsnął głową.

- Dziś ją wywożę na wieś. Na miesiąc. Za radą lekarza. - Jergen zwolnił, aby Giselle nie słyszała, co mówi. - Myślę, że jest bardzo chora. Bardzo źle przeszła zimę.

Giselle wyprzedzała ich znacznie, popychając wózek przez długie pasmo słońca. Hella ponownie ujęła Jergena pod ramię. Odezwał się:

- Muszę ją wywieźć z tych ruin, od wszystkiego, co przypomina jej o śmierci matki, wywieźć z Niemiec. - Zawahał się, po czym dodał rzeczowo, obojętnie, jak gdyby powtarzał coś, w co zupełnie nie wierzy: - Lekarz mówi, że może zwariować.

Giselle czekała na nich w miejscu, gdzie zaczynał się cień, jak gdyby bała się sama wejść w cień drzewa. Hella wysunęła się przed Jergena, pierwsza podeszła do dziewczynki i powiedziała wesoło:

- Chcesz się przejechać w wózku?

Giselle skinęła głową. Jergen pomógł jej wejść do środka; jej długie nogi zwisały z jednej strony. Hella popchnęła wózek mówiąc:

- Ale mam duże dziecko - i polechtała ją pod brodą.

Potem usiłowała pobiec, ale wyszło to jej niezgrabnie. Giselle się nie śmiała, lecz uśmiechała i wydawała ciche dźwięki, które brzmiały jak cienie śmiechu.

Dotarli do długiego szeregu białych kamiennych domów nanizanych na Kurfürsten Allee. Hella zatrzymała się przy pierwszym domu, przy furtce odgradzającej wybetonowaną ścieżkę wiodącą do drzwi. Zawołała:

- Frau Saunders.

W otwartym oknie pojawiła się kobieta. Miała smutną, surową twarz i gładko zaczesane włosy. Zobaczyli, że ubrana była w prostą czarną sukienkę.

- Proszę mi wybaczyć, że zawołałam - powiedziała Hella z uśmiechem. - Trudno mi teraz chodzić. Proszę mi rzucić klucz, będę tu za kilka minut.

Kobieta zniknęła, pojawiła się za chwilę ponownie i rzuciła klucz Jergenowi do ręki. Potem znowu zniknęła w głębi domu.

- Oho - odezwał się Jergen - może tu pani mieć kłopoty. Wygląda na bardzo porządną.

Zorientowawszy się, co powiedział, urwał zmieszany, lecz Hella roześmiała się i powiedziała.

- Jest bardzo miła, zrozumie. Ostatnio straciła męża, który umarł na raka. To dlatego ma dwa puste pokoje. Mieli specjalne przywileje ze względu na jego chorobę.

- A w jaki to szczęśliwy sposób je pani odkryła? - zapytał Jergen.

- Poszłam do dzielnicowego oficera od kwaterunku i zapytałam - powiedziała Hella. - Ale przedtem wręczyłam mu drobny prezent, pięć paczek papierosów.

Uśmiechnęli się do siebie.

Jergen spostrzegł nadjeżdżającego wyładowanego jeepa. Leo zaparkował jak zawsze, uderzając w drzewo na chodniku. Mosca zeskoczył, a Eddie i Leo wysiedli. Zaczęli znosić rzeczy do domu. Hella zaprowadziła ich do środka. Gdy wyszła z domu, niosła dużą brązową paczkę, którą wręczyła Jergenowi.

- Dziesięć kartonów - powiedziała - tak miało być?

Jergen skinął głową. Hella podeszła do Giselle opierającej się o wózek. Wyjęła z kieszeni płaszcz garść batoników i wręczyła je dziecku mówiąc:

- Dziękuję za taki piękny wózek. Przyjdiesz mnie odwiedzić, kiedy urodzi się

dziecko?

Giselle skinęła głową i dała czekoladki Jergenowi. Wziął jedną i połamał ją na kawałki, by mogła jedząc schować je w dłoni. Hella patrzyła za nimi, jak szli Kurfürsten Allee. Ujrzała, że Jergen zatrzymał się i wziął na ręce córkę, a ta oparła brązową paczkę na jego ramieniu. Hella weszła do domu i wspięła się po schodach na piętro.

Na piętrze znajdowało się mieszkanie z czterema pomieszczeniami: sypialnią, bawialnią, drugą sypialnią i pokoikiem, który mieli przerobić na kuchnię. Umówili się, że Mosca i Hella mieli zająć małą sypialnię i kuchnię, a bawialni mogli używać na specjalne okazje. Frau Saunders zajmowała sypialnię, a w bawialni miała kuchenkę do gotowania.

Mosca, Leo i Eddie czekali na Helle. Na stoliku stały dwie butelki coca-coli i dwie szklanki whisky. Sypialnia zavalona była walizkami i przywiezionymi rzeczami. Hella zauważyła, że Frau Saunders zawiesiła na obu oknach śliczne zasłony w niebieskie kwiaty.

Mosca uniósł szklankę, Hella i Leo - butelki coli. Eddie już zaczął popijać swoją whisky, lecz przerwał czekając na nich.

- Za nasz nowy dom - powiedziała Hella.

Wypili razem. Eddie Cassin obserwował Helle, która łyknęła trochę coli, po czym otworzyła walizki i zaczęła chować ubrania do wielkiej mahoniowej szafy.

Nigdy nie starał się zdobyć Helli, choć wielokrotnie przebywał z nią sam na sam w pokoju Moski. Zastanawiał się, dlaczego tak się stało, i doszedł do wniosku, że nigdy nie dała mu okazji. Nigdy nie zbliżyła się do niego, nie zachęciła go słowem ani czynem. Nie było w niej kokieterii. Miała naturalny sposób bycia, który nie prowokował. Uświadomił sobie, że częściowo powodem był jego lęk przed Moską. Próbując zgłębić ten lęk stwierdził, że brał się z wiedzy o jego obojętności i z opowieści zasłyszanych od ludzi w zespole, o bójce, jaką stoczył z pewnym sierżantem, za co go przeniesiono do żandarmerii i za co omal nie stanął przed sądem wojennym. Sierżant tak ucierpiał, że odesłano go do szpitala w Stanach. Była to dziwna historia, zatuszowana, właściwie tylko pogłoski. Głównie chodziło o jego obojętność, zupełny brak zainteresowania, który budził przerażenie. Jego przyjaciele - pomyślał Eddie - ja, Leo, Wolf, Gordon, myślimy, że jesteśmy jego kumplami. Gdybyśmy jutro zginęli, nic by go to nie obeszło.

- Wózek - zawołała nagle Hella - gdzie postawiłeś wózek?

Wybuchnęli śmiechem. Leo chwycił się za głowę i powiedział po niemiecku:

- O Boże, zostawiłem wózek na ulicy.

Lecz Mosca powiedział szybko:

- Jest w małym pokoju, w kuchni.

Eddie Cassin pomyślał: nie może znieść, żeby ją denerwować choćby dla żartu.

Hella poszła do drugiego pokoju. Leo skończył swoją colę.

- W przyszłym tygodniu jadę do Norymbergii - powiedział. - Chcę, żebyś złożył zeznania o ludziach, którzy byli strażnikami i funkcjonariuszami w Buchenwaldzie. Najpierw odmówiłem, ale potem powiedzieli mi, że wśród oskarżonych jest pewien lekarz. To ten, który nam powtarzał: „Nie jestem tu po to, żeby leczyć wasze dolegliwości. Nie jestem tu nawet po to, żeby was utrzymywać przy życiu. Moim zadaniem jest dopilnować, żebyście byli codziennie zdolni do pracy”. Przeciwno temu draniowi będę zeznawać.

Mosca ponownie napełnił szklanki i podał Leo nową butelkę coli.

- Na twoim miejscu miałbym ochotę zabić tych drani.

Leo wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Czuję tylko pogardę, nie czuję już nienawiści. Nie wiem dlaczego. Po prostu chcę się stąd wyrwać. - Pociągnął długi łyk coli.

- Będzie nam ciebie brakowało na kwaterze - powiedział Eddie. - Jak myślisz, Walterze, spodoba ci się życie po szkopsku?

Mosca wzruszył ramionami.

- To to samo. - Napełnił szklankę Eddiego, po czym powiedział: - Spływaj, Eddie, po tej kolejce. Nie chcę, żebyś wystraszył naszą gospodynię. Koniec picia.

- Zmieniłem obyczaje - powiedział Eddie Cassin. - Moja żona przyjeżdża z dzieckiem z Anglii. - Spojrzał na nich udając dumę. - Moja rodzina do mnie przyjeżdża.

Mosca potrząsnął głową.

- Biedna kobieta, myślałem, że to sobie wybiła z głowy, gdy byłeś w wojsku. No, a co na to twoje dziwki?

- Poradzą sobie - powiedział Eddie. - Nie bój się, zawsze sobie poradzą. - Rozzłościł się nagle nie wiadomo dlaczego. - Najchętniej dałbym im wszystkim kopa w dupę. - Wziął kurtkę i wyszedł.

Eddie Cassin szedł powoli przez Kurfürsten Allee. Skręcająca łagodnie, cieniasta

aleja była bardzo przyjemna w ciepłe, wiosenne popołudnie. Postanowił, że po powrocie na kwatere weźmie prysznic, a potem pójdzie na kolację do Ratskeller. Nim skręcił w Metzer Strasse, spojrzął na drugą stronę ulicy, gdyż uwagę jego przyciągnęła barwna plama. Spostrzegł młodą dziewczynę stojącą pod rozłożystym, zielonym drzewem; wokół niej tańczyła czwórka dzieci. Poprzez szeroką ulicę widział delikatne rysy jej twarzy, pełne młodzieńczej czystości. Gdy się jej tak przyglądał, zwróciła twarz ku złotemu światłu popołudniowego słońca, po czym odwróciła się od dzieci i spojrzała prosto na Eddiego Cassina.

Dostrzegł na jej twarzy ów uśmiech, niewinny, a zarazem instynktownie świadomy władzy zmysłowej, który go zawsze podniecał. Uśmiech młodości - pomyślał Eddie - uśmiech, którym się uśmiechają, gdy im się pochlebia, lecz jednak niewinny, ciekawy, niepewny władzy, jaką posiadają, a zarazem skrywający odrobinę podniecenia. Dla Eddiego oznaczał on czystość, czystość umysłu i czystość ciała, lecz głównie niewinność duchową, jaką widywał i niszczył, przy czym walka i uwodzenie były dla niego znacznie przyjemniejsze niż ostateczne zwycięstwo.

Patrząc teraz przez ulicę odczuł przyjemny smutek oraz zdziwienie, że ta młoda dziewczyna w białej bluzce tak mogła go podniecić. Nie zdecydował się do niej podejść; był nieogolony, brudny, czuł woń swego potu. Cholera, nie mogę ich wszystkich przelecieć - pomyślał, zdając sobie sprawę, że z drugiej strony szerokiej alei, pomimo jasnego słońca, mogła dostrzec jedynie delikatność jego rysów, lecz nie widziała subtelnych zmarszczek, tego, co potraktowałaby jako starość i ruinę.

Odwróciła się do dzieci, a wdzięczny, młodzieńczy ruch jej głowy i ciała, obraz całej grupy siedzącej na zielonym dywanie trawy, zapadły mu głęboko w pamięć. Pod ciemnozielonym drzewem młoda dziewczyna w białej koszuli, z rękawami podwiniętymi niemal do barków, dwie wypukłości białego materiału w miejscach, gdzie były piersi, złocista głowa pochylona ku siedzącym dzieciom - nie mógł tego znieść. Ruszył szybko w Metzer Strasse w kierunku kwatery.

Eddie wziął prysznic, ogolił się, a choć się spieszył, znalazł dość czasu, by obficie posypać twarz i ciało talkiem o słodkim zapachu. Starannie zaczesał włosy, żalując, że siwieją po bokach, a potem w swym pokoju włożył oliwkowozielony mundur oficerski z cywilną naszywką, wiedząc, że w mundurze nie wyda się jej tak stary jak w cywilnym

ubraniu.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Frau Meyer. Miała na sobie szlafrok kąpielowy. Był to jej stary numer. Gdy wiedziała, że Eddie się kąpie, również brała kąpiel, a potem, pachnąc słodko perfumami, przychodziła do jego pokoju, gdy się ubierał. Numer zwykle działał.

- Masz dla mnie papierosa, Eddie? - zapytała, usiadła na łóżku i założyła nogę na nogę.

Eddie, który zawiązywał sznurowadła, wskazał na stół ruchem głowy. Wzięła papierosa, zapaliła i z powrotem usiadła na łóżku.

- Ładnie wyglądasz, umówiłeś się z kimś?

Eddie przerwał sznurowanie, przyjrzał się niemal doskonałemu ciału i miłej twarzy o wystających zębach. Wiedziała. Podniósł ją z łóżka, wyniósł z pokoju i postawił na korytarzu.

- Nie dzisiaj, mała - powiedział, zbiegł po schodach i wyszedł z budynku.

Odczuwał ogromne podniecenie i uniesienie, serce mu biło. Puścił się biegiem przez Metzger Strasse, zwolnił do szybkiego marszu na rogu i lekko dysząc skręcił w Kurfürsten Allee.

Wszystkie drzewa przy alei, jak okiem sięgnąć, stały samotne, nie było pod nimi żadnych dzieci. Pas trawy ciągnął się zieloną linią, nad nim drzewa, i żadne obce ciało nie zakłócało harmonii. Jego wzrok spoczął w miejscu w rzędzie drzew naprzeciwko. Było jak obraz wiszący na ścianie, znajomy, oglądany co dzień, z którego postaci ludzkie zniknęły w czarodziejski sposób. Eddie Cassin przeszedł na drugą stronę alei i wszedł do najbliższego domu. Zapukał do drzwi i łamaną niemiecką zapytał o dziewczynę opiekującą się czwórką dzieci, lecz nikt nic o niej nie wiedział, ani w tym domu, ani w następnych. W ostatnim domu znajdowała się kwatera dla amerykańskich cywilów, a mężczyznę, który otworzył drzwi, Eddie znał z widzenia z Ratskeller.

- Nie - powiedział mężczyzna - ona nie jest z tej ulicy. Faceci stąd śpią z wszystkimi dziewczynami w okolicy, więc znam każdą z nich. Sam miałem ochotę wyjść. Masz pecha, koleś. - I uśmiechnął się współczująco do Eddiego Cassina.

Stał pośrodku alei, nie wiedząc, dokąd pójść. Zapadł wiosenny wieczór, świeży wietrzyk przegonił popołudniowy upał. Po drugiej stronie alei i dalej poza nią widział



ogrody z kielkującą zielenią, równe grządki i pstrokate brązowe chatki z drzewa i papieru, w których ogrodnicy trzymali narzędzia i gdzie czasem mieszkali. Widział mężczyzn pracujących na tej niedużej przestrzeni przypominającej gospodarstwo wiejskie i czuł zapach rzeki za wzgórzem wznoszącym się nad ogrodami. Tu i ówdzie wśród rumowiska i przy ścianach zburzonych domów dostrzegał nieregularne pasemka ciemnej zieleni. Wiedział, że nigdy nie zobaczy tej dziewczyny, a nawet gdyby ją zobaczył, nie rozpoznałby jej. Mimo to ożywienie wróciło. Ruszył na długi spacer wzdłuż całej Kurfürsten Allee, aż do miejsca, gdzie kończyło się miasto. Ujrzał nietknięty krajobraz wiejski, lekko falujące, spokojne wzgórza pokryte wilgotną wiosenną zielenią niczym świeżą skórą; piękna dnia nie szpeciły tam plamy szarych i poczerniałych ruin.

Tego wieczora Hella powiesiła na ścianach drzeworyty przedstawiające bajki. Kupiła je dla mającego się urodzić dziecka, lecz Mosca czuł, że był w tym pewien przesąd, coś w rodzaju czarów, które sprawią, że wszystko będzie dobrze. Gdy skończyła, odezwała się:

- Myślę, że powinniśmy odwiedzić Frau Saunders.

- Boże, jestem dziś zbyt zmęczony - powiedział Mosca. - odwaliliśmy cholerny kawał roboty.

Hella siedziała nieruchomo na łóżku, ze złożonymi rękami, oglądając niemal kwadratowy pokój. Kremowy wózek dziecinny stał przy jednej jasnoniebieskiej zasłonie w kwiaty, co wyglądało jak obrazek na ścianie. Okrągły stoliczek nakryty był niebieską serwetą, a dwa krzesła miały jasnoszare obicia. Podłogę pokrywał brązowy dywan, wypłwiała ze starości. Łóżko i komoda były mahoniowe, a na każdej ścianie znajdował się mały obrazek przedstawiający wiejski krajobraz w jasnych zieleniach, fioletach, błękitach i ze srebrzystobiałymi strumieniami. Odczuła ogromny przypływ radości. Potem spostrzegła nieruchomą, napiętą twarz Moski i zrozumiała, że czuje się nieswojo. Ujęła jego dłoń i położyła na swych kolanach.

- Wygląda na to, że teraz zawsze będziemy razem.

- Chodźmy złożyć uszanowanie gospodyni - powiedział Mosca.

Wszystkie pokoje otwierały się na korytarz, który miał drzwi odcinające piętro od schodów. By przejść z jednego pokoju do drugiego musieli wyjść na korytarz i zastukać do

drzwi bawialni. Usłyszeli głos, który zapraszał ich do środka.

Frau Saunders siedziała na kanapie czytając gazetę. Wstała, gdy Hella się jej przedstawiła, i uścisnęła rękę Moski. Spostrzegł, że nie była tak stara, jak sądził na pierwszy rzut oka. Włosy miała gładko zaczesane i twarz pomarszczoną, lecz ruchy jej kościstego ciała odzianego w surową czerń były dziwnie młodzieńcze.

- Proszę korzystać z bawialni, gdy tylko będą państwo mieli ochotę - powiedziała Frau Saunders. Miała cichy, miły głos, lecz powiedziała to tylko z uprzejmości.

- Dziękujemy - powiedziała Hella. - Chciałam podziękować pani za zasłony i wszystkie dodatkowe rzeczy w pokojach. Proszę nam powiedzieć, w czym możemy pani pomóc.

Frau Saunders zawahała się. - Mam nadzieję, że nie będzie żadnych kłopotów z władzami. - Spojrzała na Moskę z powątpiewaniem, jak gdyby chciała powiedzieć coś innego.

Hella domyśliła się.

- Jesteśmy spokojnymi ludźmi, on nie jest z tych Amerykanów, którzy ciągle rządzą przyjęciami. - Uśmiechnęła się do Moski, który jednak nie odpowiedział jej uśmiechem. - Przyszliśmy tylko na kilka minut - ciągnęła Hella - mieliśmy ciężki dzień, więc... - Wstała i powiedzieli sobie niezręcznie dobranoc.

Mosca uśmiechnął się uprzejmie, Frau Saunders odwzajemniła się takim samym uśmiechem. Mosca zorientował się wówczas, że ta kobieta, pomimo swego wieku, jest nieśmiała i trochę przerażona myślą, że wróg będzie mieszkał w jej domu.

Gdy się rozbierali w swoim pokoju, Mosca powiedział Helli nowinę, o której niemal zapomniał.

- Nadeszły wreszcie rozkazy, by odesłać Middletonów z powrotem do Stanów. Wyjeżdżają w przyszłym tygodniu.

Hella zdziwiła się.

- Och, jaka szkoda.

- Nie martw się - powiedział Mosca - mogę dostać kartki od innych osób, więc będziemy mogli handlować na wsi jak prawdziwi Niemcy.

W łóżku Hella powiedziała:

- Więc to dlatego byłeś dzisiaj taki zmartwiony.

Mosca nie odpowiedział. Gdy zasnęła, długo jeszcze leżał nie mogąc zasnąć.

Czuł się dziwnie, gdy teraz żył jak jeden z wrogów, wszystko bowiem zdawało się prowadzić do tego celu. Dom był pełen Niemców, podobnie jak domy wokół; także w jego łóżku była Niemka, nosząca jego dziecko. Brakowało mu odgłosów zabaw, jakie urządzano na kwaterze, warkotu silników jeepów, radioodbiorników nastawionych na stacje wojskowe, które nadawały amerykańską muzykę. Tutaj było spokojnie. Z łazienki w korytarzu dobiegł nagle hałas spuszczonej wody. Frau Saunders - pomyślał, a potem on sam musiał wstać i wyjść, odczekawszy chwilę, by kobieta mogła wrócić do swego pokoju. A potem stał przy zasłoniętym oknie, paląc papierosa, usiłując przejrzeć ciemność za oknem. Próbował przypomnieć sobie, kiedy dano mu pierwszą broń, pierwszy stalowy hełm, kiedy wysłuchał pierwszego wykładu o tym, jak bronić się przed wrogiem. Wszystko to wydało mu się teraz nierzeczywiste i nieistotne. Rzeczywisty był ten pokój, wózek, rzeczywista kobieta w łóżku.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W przeddzień wyjazdu Middletonów z Niemiec Hella i Mosca poszli wieczorem na spacer po mieście przed udaniem się do nich z wizytą. Wyszedszy z domu przy Kurfürsten Allee Hella zatrzymała się, by pozdrowić kobiety stojące w progu domów. Mosca stał cierpliwie obok, z uprzejmym uśmiechem na twarzy.

Zaczęli iść w kierunku śródmieścia.

- Kupmy dla Frau Saunders lody w Klubie Czerwonego Krzyża - odezwała się Hella.

Mosca spojrzał na nią.

- Bardzoście się zaprzyjaźniły w ciągu tygodnia - powiedział. - Co jest? Wiem, że odstępujesz jej część posiłków i trochę naszego cukru i kawy. Będziesz musiała stać się skąpa, kochanie, gdy Middletonowie wyjadą. Trudno będzie o takie rzeczy.

Uśmiechnęła się do niego z rozbawieniem.

- Gdybym sądziła, że ci na tym zależy, nie robiłabym tego. Wiem, że chciałbyś, żebym miała wszystko. Ale nie potrafię, Walterze. Gdy gotuję mięso, pachnie na cały korytarz, i wtedy myślę o tym, że ona w bawialni je tylko suche ziemniaki. Poza tym jestem za gruba. Spójrz na mnie.

- To nie z jedzenia - powiedział Mosca.

Roześmiała się i dała mu kuksańca. Uśmiechnął się i dodał:

- Ale naprawdę jesteś gruba. Nie możesz teraz nosić moich koszul.

Miała na sobie niebieską sukienkę ciążową, którą podarowała jej Ann Middleton.

Szli dalej, a Mosca podtrzymywał ją za ramię, gdy musieli przechodzić po rumowisku zalegającym na chodniku. Drzewa miały już dużo liści, toteż promienie zachodzącego słońca rzadko ich muskały. Hella powiedziała z powagą:

- Frau Saunders jest naprawdę wspaniała. Trudno to poznać z jej wyglądu, ale świetnie się z nią rozmawia, a poza tym robi za mnie prawie wszystko. I to nie dlatego, że jej coś daję, po prostu chce pomóc. Kupisz dla niej lody?

Mosca roześmiał się i powiedział:

- Oczywiście.

Musiała poczekać na zewnątrz, gdy on wszedł do Klubu Czerwonego Krzyża. Wracając poszli obok *Polizeihaus*, a na obrzeżach parku na skarpie zatrzymał ich tłumek

sluchający mężczyzny stojącego na ławce. Przemawiał wymachując ramionami i wykrzykując. Przystanęli. Mosca przełożył zimne pudełko z lodami do prawej ręki, a Hella oparła się na jego ramieniu.

- Wina ciąży na każdym z nas - krzyczał mężczyzna. - To bezbożny czas, bezbożny kraj. Kto myśli o Chrystusie, o Jezusie? Przyjmujemy Jego krew jako zbawienie i nie wierzymy. Ale powiadam wam, powiadam wam, Jego krew zmyła już tyle grzechów, że jest zmęczona, Pan Bóg jest zmęczony naszym postępowaniem. Jak długo jeszcze będzie cierpliwy? Jak długo jeszcze krew Jezusowa będzie nas zbawiać? - Zamilkł, a potem głos jego zabrzmiał łagodnie, błagalnie. - Miłość Jezusowa już nie wystarcza, krew Jezusowa już nie wystarcza. Uwierzcie mi. Zbawcie siebie, i mnie, i wasze dzieci, i wasze żony, wasze matki, waszych ojców, siostry, braci i nasz kraj. - Jego głos brzmiał teraz spokojnie, rzeczowo, rozsądnie, jego ciało się odprężyło. Mówił teraz zwyczajnie.

- Widzicie ten kraj w ruinie, ten kontynent, ale Chrystus widzi dalej niż my, widzi zniszczenie duszy wszechświata, triumfujące zło. Szatana, który spogląda na świat z radością, ogląda bowiem roześmianym wzrokiem śmierć człowieka i to wszystko, co człowiek uczynił od początku świata.

W górze przeleciał samolot kierując się do bazy. Huk silnika zmusił go do przerwania przemówienia. Był niskim mężczyzną, z piersią jak u gołębia gardłacza, co podkreślał ruch, jakim odrzucał do tyłu głowę, by spoglądać niespokojnymi, błyszczącymi jak u ptaka oczyma. Mówił dalej.

- Wyobraźcie sobie świat bez życia. W regionach polarnych wszędzie śnieg i lód, nietknięty, nieskalany. W Afryce, w dżungli, gdzie słońce rodzi, z woli Boga, niezliczone i rozmaite formy stworzenia, wszystko jest nieruchome. - Głos jego brzmiał teraz szaleńczo, retorycznie, pompatycznie, a wyłupiaste oczy błyszczały w małej twarzy. - Ścierwa padłych zwierząt leżą rozkładając się wśród gnijącej roślinności. Na chińskich równinach, nad żyznymi rzekami, nawet krokodyl nie podnosi głowy z wyszczerzonymi zębami, by odpowiedzieć wzrokiem Szatanowi. A w naszych miastach, w sercu tego, co zwiemy cywilizacją, nie ma nic prócz ruin. Góry kamienia, z których nigdy nie wyrosnie życie, gleba z potłuczonego szkła. Na wieczność.

Urwał i czekał na znak aprobaty, lecz zamiast niego z różnych stron tłumu podniosły się nieoczekiwane okrzyki.

- Masz pozwolenie? Masz pozwolenie od władz wojskowych? - Wołały trzy lub cztery męskie głosy.

Kaznodzieję zatkało.

Hella i Mosca stali teraz niemal w samym środku tłumu, poza nimi zgromadziła się masa ludzi. Po lewej stał młody mężczyzna w niebieskiej, spranej koszuli i grubych roboczych spodniach. Trzymał w ramionach śliczną sześć- lub siedmioletnią dziewczynkę o dziwnie nieruchomych oczach; rękaw od ich strony był przypięty do jej sukni w kwiaty. Po prawej stał stary robotnik pykający krótką, grubą fajkę. Młody mężczyzna krzyczał wraz z innymi:

- Masz pozwolenie? Masz pozwolenie od władz wojskowych? - Następnie zwrócił się do Moski i do starego robotnika i powiedział: - Teraz, kiedy przegraliśmy, każdy na nas wykrzykuje, nawet taka świnia.

Mosca, ubrany po cywilnemu, uśmiechnął się do Helli, ubawiony tym, że go wzięto za Niemca.

Kaznodzieja powoli wskazał ręką ku niebu i powiedział głośno i poważnie.

- Mam pozwolenie od Stwórcy.

Słońce, rozczzerwienione swym gasnącym ogniem, skapało wzniesioną dłoń w szkarłatnym blasku. Zaczęło pograżać się za horyzontem, a wówczas w łagodnym letnim zmierzchu ukazały się ich oczom na widnokręgu szare ruiny miasta, niczym wielki najeżony krąg włóczni. Kaznodzieja pochylił głowę dziękując.

Potem podniósł głowę ku niebu. Ruchem ramion objął wszystkich.

- Powróćcie do Jezusa Chrystusa - zawołał - powróćcie do Jezusa Chrystusa. PORZUĆCIE GRZECHY, PORZUĆCIE ROZPUSTĘ, WYRZECZCIE SIĘ HAZARDU, PYCHY Z ZIEMSKICH SUKCESÓW. UWIERZCIE W JEZUSA I BĄDŹCIE ZBAWIENI. PONIEŚLIŚCIE KARĘ ZA WASZE GRZECHY. TĘ KARĘ WIDZICIE PRZED WASZYMI OZAMI. ŻAŁUJCIE, PÓKI NIE JEST ZA PÓŹNO. NIE GRZESZCIE WIĘCEJ.

Ogłuszający głos umilkł, by zaczerpnąć tchu. Zdumiony tłum cofnął się słysząc tak potężne dźwięki wydawane przez małego człowieczka. On zaś zaczął ponownie krzyczeć, zwykłym głosem.

- Pomyślcie wszyscy o tym, jak żyliście przed wojną; czyż nie możecie uwierzyć,

że to cierpienie, to zniszczenie, które widzicie, to kara boska za popełnione wówczas grzechy?

Teraz młode dziewczęta cudzołożą z żołnierzami nieprzyjaciela, a młodzi mężczyźni zebrzą o papierosy. Puf puf - z maniacką nienawiścią udał, że wydmuchuje dym. - W szabat ludzie jadą na wieś, żeby kraść lub kupować żywność. Dom Pański jest pusty. Sami narażamy się na zgubę. Żałujcie, powiadam. Żałujcie. Żałujcie. - Zaczął wykrzykiwać bez ustanku, histerycznie. - Uwierzcie w Pana Jezusa Chrystusa, uwierzcie w Pana Jednego i jedyne Boga, uwierzcie w jedyne Pana, uwierzcie w Chrystusa.

Urwał, a potem zawołał do nich groźnie i karcąco. Surowo. Oskarżająco:

- Wszyscy jesteście grzesznikami, wszyscy jesteście skazani na wieczne piekło. Widzę, że niektórzy z was się uśmiechają. Użalacie się nad sobą. Czemu Bóg kazał nam tak cierpieć? Pytacie tak?

Ktoś w tłumie zawołał szyderczo:

- To nie Bóg, to amerykańskie bombowce.

Tłum wybuchnął śmiechem. Człowiek na ławce poczekał, aż się uspokoił, po czym, wypatrując w gęstniejącym mroku, okrutnie i mściwie, wskazał na kobietę w czerni.

- Ty, kobieto, śmiejesz się z Boga? Gdzie jest twój mąż, twoje dzieci? - Wskazał na młodego mężczyznę obok Moski. - Spójrzcie - powiedział do tłumu, a wszyscy odwrócili się idąc wzrokiem za jego wskazującym palcem. - Jeszcze jeden szyderca, młody mężczyzna, nadzieja Niemiec. To za JEGO grzechy dziecko zostało kaleką, a on się śmieje z gniewu Bożego. Poczekaj, szyderco, w twarzy twojego dziecka widzę jeszcze jedną karę. Poczekaj. Patrz na twoje dziecko i czekaj. - Ze złością i złośliwością wskazywał na innych ludzi w tłumie.

Młody mężczyzna postawił dziecko na ziemi i powiedział do Helli.

- Proszę jej popilnować.

Widzieli potem, jak przepycha się do miejsca, gdzie kaznodzieja stał na ławce i jak wychodzi na otwartą przestrzeń. Jednym gwałtownym ciosem powalił drobnego kaznodzieję na ziemię. Ukląkł mu na piersi, chwycił za włosy i uderzył ptasią głową w betonowy chodnik. Potem wstał.

Tłum się rozpierzchł. Młody człowiek podniósł dziecko i poszedł do parku na skarpie. Większość ludzi zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kaznodzieja

leżał nieruchomo i samotnie w gęstniejącym mroku.

Podniosło go kilku mężczyzn. Z gęstych kędzierzawych włosów ciekła krew; liczne strużki spływały mu po czole tworząc na twarzy czerwoną maskę. Hella odwróciła się. Mosca wziął ją za ramię i poprowadził ulicą. Spostrzegł, że źle wygląda; to widok krwi - pomyślał. - Lepiej zostań dziś w domu z Frau Saunders. - A potem, jak gdyby chciał się usprawiedliwić, że nie interweniował, dodał:

- To nie nasza sprawa.

Mosca, Leo i Eddie Cassin siedzieli w saloniku Middletonów. Meble należały do zarekwirowanego domu, toteż można było jeszcze usiąść na krzesłach, wszystkie inne rzeczy zapakowano w drewniane skrzynie i ustawiono pod ścianą.

- A więc jedziesz jutro na proces norymberski? - Gordon skierował pytanie do Leo.  
- Kiedy wyjeżdżasz?

- Och, wieczorem - powiedział Leo. - Wolę jechać nocą.

- Przyłóż tym draniom - powiedziała Ann Middleton. - Kłam, jeśli trzeba, byle tylko dostali to, na co zasługują.

- Nie muszę kłamać - powiedział Leo. - Mam dobrą pamięć.

- Chciałbym przeprosić za moje zachowanie ostatnim razem - powiedział Gordon Middleton. - Byłem chyba bardzo niegrzeczny.

Leo machnął ręką.

- Nie, rozumiem to. Mój ojciec był więźniem politycznym, komunistą. Moja matka była Żydówką - to dlatego posłano mnie do obozu. Ale ojciec był politycznym. Oczywiście, stracił w nich wiarę po układzie między Stalinem i Hitlerem. Uświadomił sobie, że jeden był wart drugiego.

Profesor, który siedział w kącie przy szachownicy z uprzejmym uśmiechem zainteresowania na twarzy, przeraził się usłyszawszy tę nietaktowną uwagę. Z przestrawieniem i zażenowaniem spostrzegł, że w Gordonie Middletonie wzbiera gniew, a nie chciał być świadkiem kłótni. Wszelka gwałtowność wprawiała go w przygnębienie.

- Muszę już iść - odezwał się. - Jestem umówiony na lekcję. - Pożegnał się z Gordonem i Ann. - Proszę przyjąć życzenia pomyślnej podróży do Ameryki oraz powodzenia. Bardzo się cieszę, że państwa poznałem.



Gordon odprowadził go do drzwi i powiedział poważnie:

- Mam nadzieję, że nie zapomni pan do mnie pisać, profesorze. Chciałbym, aby mi pan donosił o tym, co się dzieje w Niemczech.

Profesor skinął głową.

- Oczywiście, oczywiście.

Postanowił już, że w żadnym wypadku nie będzie się kontaktować z Gordonem Middletonem. Jakikolwiek związek z komunistą, choćby całkiem niewinny, mógłby mu bardzo zaszkodzić w przyszłości.

- Chwileczkę, chwileczkę - Gordon zaprowadził profesora z powrotem do pokoju. - Leo, właśnie sobie przypomniałem, że profesor jedzie do Norymbergi w końcu tygodnia. Możesz go zabrać, czy to byłoby niezgodne z waszymi przepisami?

- Nie, nie - powiedział niezmiernie poruszony profesor. - To naprawdę nie jest konieczne.

- Żaden kłopot - powiedział Leo.

- Nie - powtórzył profesor, niemal na granicy histerycznego strachu. - Mam już bilety kolejowe, wszystko załatwione. Naprawdę, wiem, że to sprawiłoby zbyt wiele kłopotu.

- W porządku, profesorze - powiedział Gordon uspokajająco i odprowadził go do drzwi.

Gdy Gordon wrócił, Mosca zapytał:

- Dlaczego się tak cholernie zdenerwował?

Gordon spojrzał na Leo.

- To człowiek bardzo zasadniczy. Jego syn przebywa w areszcie oskarżony o pomniejsze zbrodnie wojenne. Nie wiem dokładnie o co, ale stanie przed sądem niemieckim, nie przed okupacyjnym, a więc pewnie nie jest tak źle. Myślę, że się przestraszył, że Leo może się o tym dowiedzieć i pomyśleć, że to ma coś wspólnego z obozami koncentracyjnymi, ale przecież to niemożliwe. Przeszkadza ci to, Leo?

- Nie - powiedział Leo.

- Wiesz co - powiedział Gordon. - Pójdę do niego jutro - mam czas. Powiem mu, że przyjedziesz po niego jutro wieczór. Gdy się dowie, że wiesz, chętnie się zgodzi. Dobrze?

- Jasne - powiedział Leo - to miło, że tak się troszczysz o tego starszego człowieka.

Ann Middleton spojrzała na niego uważnie, lecz na jastrzębiej twarzy Leo nie było śladu ironii. Mówił serio. Uśmiechnęła się.

- Gordon zawsze się troszczy o nawróconych - powiedziała.

- Nie nawróciłem go, Ann - powiedział Gordon powoli, jednostajnym tonem - ale chyba dałem mu trochę do myślenia. On umie słuchać. - Urwał, po czym dodał spokojnie, tonem łagodnej wymówki: - Nie sądzę, aby „nawrócony” to było właściwe słowo.

Wszyscy milczeli.

- Jak myślisz, kiedy wrócisz - zapytał Mosca Leo.

Leo uśmiechnął się.

- Nie martw się, zdążę.

- Na co zdążysz? - spytała Ann Middleton.

- Mam być ojcem chrzestnym - powiedział Leo. - Mam już nawet prezent.

- Jaka szkoda, że mnie tu nie będzie, kiedy się dziecko urodzi - powiedziała Ann. - Szkoda też, że Hella nie mogła dziś przyjść. Chyba nie czuje się bardzo źle?

- Nie - powiedział Mosca. - Po prostu poszła wieczorem na długi spacer. Chciała przyjść, ale powiedziałem jej, żeby lepiej została w domu.

- W końcu nie jesteśmy tak ważni, Walterze - powiedziała Ann żartem, lecz z nutką złośliwości.

Siedzący w fotelu w kącie Eddie Cassin otworzył oczy. Zdrzemnął się. Nie znosił odwiedzin w domach ludzi żonatych. Nie cierpiał żon w towarzystwie mężów i w ich własnych domach. Nie lubił też Ann Middleton. Była nieładna, miała silny charakter i traktowała go pogardliwie.

Mosca uśmiechał się do niej.

- Świetnie wiesz, że mówię prawdę.

- Ją po prostu irytuje to, że nie dbasz o innych - powiedział Gordon. - Chciałbym czasem być taki jak ty.

Mosca powiedział:

- Może mówię coś nie tak, ale spróbuję. Wszyscy w bazie wiedzą, że odsyłają cię do domu za to, że byłeś członkiem Partii Komunistycznej. Nic się nie znam na polityce. Byłem smarkaczem, kiedy poszedłem do wojska. Chyba jeszcze nim jestem w pewnym sensie. Chcę powiedzieć, że bardzo cię szanuję za to, że masz charakter. Wiesz, że

wszędzie jest burdel. Myślę, że nie masz racji, bo ja nie ufałbym nikomu, kto by mnie zmuszał, żebym postępował tak, jak on chce, bez względu na jego powody. To się odnosi do Armii USA, Partii Komunistycznej, Rosji, tego tłustego drania pułkownika i wszystkich z góry na dół. - Zwrócił się do Eddiego Cassina. - Co ja chcę powiedzieć, do cholery?

Eddie powiedział oschle:

- Że go lubisz, chociaż nie pozwoliłeś Helli przyjść.

Wszyscy się roześmiali.

Wszyscy oprócz Gordona. Powiedział do Moski z obojętnością na swej długiej twarzy Jankesa:

- Ponieważ to powiedziałeś, może ja też powiem, co zawsze ci chciałem powiedzieć, Walterze. - Przerwał na chwilę, potarł duże, kościste dłonie. - Wiem, co czujesz, albo tak mi się wydaje, a może nie potrafisz inaczej. Mówisz, że nie mam racji, ale ja mam wiarę, przy której mogę trwać bez względu na to, co się stanie. Wierzę w rodzaj ludzki, wierzę, że życie na ziemi może być niezmiernie piękne. Wierzę, iż można to osiągnąć dzięki Partii Komunistycznej. Ty budujesz wszystko na kilku osobach, na których ci zależy. Uwierz mi, że to błędny sposób na życie.

- Tak? Dlaczego? - Mosca pochylił głowę, a gdy ją podniósł, by spojrzeć na Gordona, widniały na niej ciemnoczerwone plamy gniewu.

- Ponieważ nad tymi ludźmi i nad tobą samym władzę sprawują siły, z którymi nie chcesz mieć nic do czynienia. Nie działasz zgodnie ze swą wolną wolą, gdy walczysz na własnym poziomie, w swoim wąskim kręgu, na małej osobistej arenie. Gdy tak czynisz, wystawiasz tych ludzi, na których ci zależy, na ogromne niebezpieczeństwo.

Mosca powiedział:

- To całe gadanie o siłach, które wywierają wpływ na moje życie. Boże, chyba nie myślisz, że o tym nie wiem? Nie wierzę, że można cokolwiek na to poradzić. Ale nikt mi nie będzie rozkazywać, kazać mi myśleć tak jednego dnia, a potem nagle, trach, przechodzimy na drugą stronę. Każdego dnia jakiś szkop w bazie lotniczej, albo na kwaterze, albo ktoś pracujący w Ratskeller opowiada mi, jaki będzie szczęśliwy, gdy pomaszerujemy razem przeciw Rosjanom i oczekuje, że dam mu za to papierosa. I chyba po tamtej stronie jest tak samo. Wiesz, z czego się cieszę? - Pochylił się nad stołem w stronę Gordona, z twarzą zarumienioną z podniecenia i alkoholu. - Z tego, że tym razem

jest szansa, że wszystko pójdzie z dymem. Wszyscy dostaną w dupę.

- Hej, hej - zawołała Ann Middleton, klaszcząc w ręce.

Eddie Cassin śmiał się i powiedział:

- Jezu Chryste, co za mowa.

Leo robił wrażenie zdumionego. Mosca wybuchnął śmiechem i powiedział do Gordona:

- Popatrz, do czego mnie zmusiłeś.

Gordon także się uśmiechał. Myślał o tym, iż zawsze zapominał, że Mosca jest taki młody, a potem zaskakiwało go, gdy ta młodzieńcza, niedorośła powaga przebijała spoza jego zwykłej rezerwy. Chcąc mu pomóc, zapytał:

- Co w takim razie z Hellą, co z dzieckiem?

Mosca nie odpowiedział. Ann wstała, żeby napełnić szklanki. Leo odezwał się:

- On wcale tak nie myśli.

Mosca, jak gdyby nie słyszał tego, powiedział do Gordona:

- Ja jestem odpowiedzialny.

Tylko Eddie Cassin zrozumiał, że wypowiedział te słowa jak coś w rodzaju dogmatu, coś, według czego będzie musiał żyć. Mosca uśmiechnął się do nich i powtórzył tym razem żartobliwym tonem:

- Ja jestem odpowiedzialny. - Potrząsnął głową. - Czegóż jeszcze potrzeba?

- A dlaczego ty tak tego nie odbierasz - zapytała Leo Ann Middleton.

- Nie wiem - powiedział Leo. - Poszedłem do Buchenwaldu, gdy byłem całkiem młody, spotkałem tam mego ojca i byliśmy długo razem. Ludzie są różni. Poza tym Walter się zmienia. Przyłapałem go na tym, jak się kłaniał, naprawdę kłaniał na dobranoc niemieckim sąsiadom.

Inni się roześmiali, lecz Mosca powiedział niecierpliwie:

- Nigdy nie zrozumiem, jak można spędzić osiem lat w obozie koncentracyjnym i wyjść z niego takim jak ty. Gdybym był na twoim miejscu i jakiś szkop spojrzał na mnie krzywo, posłałbym go do szpitala. I za każdym razem, gdyby mi odpowiedział nie tak, jak mi się podoba, dałbym mu kopniaka w jaja.

- No, no - powiedziała Ann udając przerażenie.

- Przepraszam cię - powiedział Mosca uśmiechając się do niej.

Używała gorszych słów klnąc czarnorynkowych handlarzy, którzy ją oszukali.

Leo powiedział powoli:

- Zapominasz, że jestem pół-Niemcem. Niemcy zrobili to, co zrobili, nie dlatego, że są Niemcami, lecz dlatego, że są ludźmi. Mój ojciec mi to powiedział. A teraz jest mi dobrze, żyję nowym życiem; zatruliem to życie, gdybym był okrutny dla innych.

- Masz rację, Leo - powiedział Gordon. - Potrzebne jest bardziej intelektualne podejście, nie reakcje emocjonalne. Musimy rozumować, zmieniać świat przez logiczne działanie. Partia Komunistyczna w to wierzy.

Jego szczerość i czystość przekonań nie ulegały wątpliwości.

Leo przyjrzał mu się uważnie.

- Jedno wiem o komunizmie. Mój ojciec był komunistą. Obozy nie mogły go złamać. Gdy do obozu dotarła wiadomość, że Hitler i Stalin podpisali układ, mój ojciec zaraz potem umarł.

- A jeśli ten układ był konieczny, żeby uratować Związek Radziecki? - zapytał Gordon. - Jeśli ten układ był konieczny, żeby uratować świat przed hitlerowcami?

Leo pochylił głowę i przyłożył dłonie do twarzy, by przytrzymać mięśnie i zapobiec tikowi.

- Nie - powiedział - jeśli mój ojciec musiał umrzeć w ten sposób, świat nie jest tego wart. Wiem, że to reakcja emocjonalna, a nie podejście intelektualne, jakie preferuje twoja partia.

W ciszy, jaka nastąpiła, usłyszeli, że na górze płacze dziecko.

- Pójdę go przewinąć - powiedział Gordon.

Żona uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Gdy wyszedł, Ann powiedziała do Leo:

- Nie zwracaj na niego uwagi. - Ton jej głosu był obojętny, aby nie pomyśleli, że jest niełojalna względem męża. Wyszła do kuchni zrobić kawę.

Na zakończenie wieczoru wszyscy pożegnali się podając sobie ręce.

Ann odezwała się:

- Wpadnę jutro pożegnać się z Hellą.

A Gordon powiedział do Leo:

- Nie zapomnij o profesorze, dobrze? - Leo skinął głową. Gordon dodał powoli i

szczerze: - Życzę ci szczęścia.

Gordon zamknął za nimi drzwi i wrócił do saloniku. Ann siedziała zamyślona.

- Chcę z tobą porozmawiać, Gordonie - powiedziała.

Gordon uśmiechnął się do niej.

- A więc proszę, mów. - Poczł ostre ukłucie strachu. Mógł jednak rozmawiać z Ann bez gniewu, gdy dyskutowali o polityce, mimo że nigdy się z nim nie zgadzała.

Ann wstała i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. Gordon obserwował jej twarz. Kochał jej szerokie, szczere płaszczyzny, krótki nos i bladoniebieskie oczy. Była czystym typem anglosaskim - pomyślał - a jednak wygląd miała niemal słowiański. Ciekawe, czy istniały jakieś powiązania. Będzie musiał o tym poczytać.

Jej słowa ugodziły go. Powiedziała:

- Będiesz musiał z tym skończyć, po prostu będziesz musiał z tym skończyć.

- Z czym skończyć? - zapytał Gordon naiwnie.

- Wiesz z czym - odpowiedziała.

Szok, gdy zrozumiał, ból, że mogła coś takiego powiedzieć, były tak wielkie, że nie odczuł gniewu, a jedynie mdłości w żołądku i rozpaczliwą beznadziejność. Ujrawszy jego twarz podeszła i uklękła obok jego krzesła; tylko gdy byli sami, wyzbywała się swej siły, okazywała czułość, prosiła. Odezwała się:

- Nie gniewam się, że straciłeś pracę, bo jesteś komunistą. Ale co teraz zrobimy? Musimy myśleć o dziecku. Musisz pracować i zarabiać. I zawsze odstręczasz przyjaciół, gdy się podniecasz mówiąc o polityce. Nie możemy tak żyć, kochanie, po prostu nie możemy.

Gordon wstał i odsunął się od niej. Był głęboko poruszony, nie tyle tym, że mogła coś takiego powiedzieć, lecz tym, iż ona, najbliższy mu człowiek, tak mało go znała. Że mogła pomyśleć, że porzuci partię, tak jak ktoś mógłby rzucić palenie czy jakąś potrawę. Musiał jej jednak odpowiedzieć.

- Myślę o naszym dziecku - powiedział Gordon. - Dlatego właśnie jestem komunistą. Czy chciałabyś, żeby wyrósł i cierpiał to, co Leo, albo stał się kimś takim jak Mosca, który nie dba o innych ludzi? Nie podobało mi się, jak mówił w twojej obecności. Jemu wszystko jedno, mimo że sądzi, iż mnie lubi. Chcę, aby nasz syn wyrósł w zdrowym społeczeństwie, które nie wyśle go na wojnę ani do obozu koncentracyjnego. O to właśnie

walczę. Wiesz, że nasze społeczeństwo jest zepsute, wiesz o tym, Ann.

Ann wstała patrząc mu w oczy. Nie była już czuła ani nie prosiła. Mówiła do niego rzeczowo.

- Nie wierzysz w nic z tego, co napisano o Rosji. Ja wierzę w niektóre rzeczy, i to wystarczy. Oni nie zapewnią bezpieczeństwa mojemu synowi. Wierzę w mój kraj, tak samo jak ludzie wierzą w swych braci i siostry. Zawsze mówisz, że to nacjonalizm. Nie wiem. Jesteś gotów ponieść ofiary w imię tego, w co wierzysz, ale ja nie pozwolę, by nasze dziecko cierpiało za twoje przekonania. Poza tym, gdybym sądziła, że pasujesz do nich, nie próbowałabym cię od nich odwozić. Ale stanie się z tobą to samo, co z ojcem Leo. Czułam to, gdy nam to powiedział, i czułam, że właśnie dlatego nam to powiedział, żeby cię ostrzec. Albo jeszcze gorzej, ty sam poddasz się zepsuciu. Musisz wystąpić, po prostu musisz wystąpić. - Jej szeroka twarz wyrażała upór, który, jak dobrze wiedział, był nieugięty.

- Przekonajmy się, czy się rozumiemy - powiedział Gordon powoli. - Chcesz, żebym dostał dobrą pracę, żył jak dobry obywatel z klasy średniej i nie narażał swej przyszłości pozostając w partii. Czy o to chodzi?

Nie odpowiedziała, więc mówił dalej:

- Wiem, że twoje motywy są bez zarzutu. W zasadzie się zgadzamy. Chcemy najlepszej przyszłości dla naszego syna. Nie zgadzamy się co do metody. Bezpieczeństwo, którego ty dla niego pragniesz, jest tylko przejściowe, to bezpieczeństwo z łaski rządzących krajem kapitalistów. Natomiast my walczymy o trwałe bezpieczeństwo, którego nie zniszczy kilku członków rządzącej klasy. Nie rozumiesz tego?

- Będziesz musiał z tym skończyć - powiedziała Ann z uporem. - Po prostu będziesz musiał z tym skończyć.

- A jeśli nie mogę?

- Jeśli mi nie przyrzekniesz, że z tym skończysz - Ann urwała i opanowała się, by dokończyć - wrócę z dzieckiem do Anglii zamiast pojechać do Ameryki.

To, co powiedziała, przeraziło ich oboje; po chwili Ann podjęła cicho, na granicy łez.

- Wiem, że dotrzymasz obietnicy. Widzisz, ufam ci.

Po raz pierwszy, odkąd byli razem, Gordon odczuł prawdziwy gniew, wiedział

bowiem, iż jej wiara była uzasadniona; nigdy jej nie okłamał, zawsze dotrzymywał obietnicy. Jego purytańskie sumienie zawsze regulowało ich osobiste stosunki. Teraz ona użyła jego uczciwości, by schwytać go w pułapkę.

- Wyjaśnijmy to - powiedział Gordon z rozwagą. - Jeśli nie obiecuję ci, że wystąpię z partii, zabierzesz naszego syna i pojedziesz do Anglii. Zostawisz mnie. - W jego głosie nie było ani bólu, ani gniewu. - Jeśli ci obiecuję, pojedziesz ze mną do Stanów.

Ann skinęła głową.

- Wiesz, że to nie jest uczciwe - powiedział Gordon nie mogąc ukryć bólu.

Podszedł do krzesła i usiadł. Spokojnie i cierpliwie rozważał wszystko. Wiedział, że Ann zrobi to, co powiedziała. Wiedział, że nie może się wyrzec partii, że znienawidziłby ją, gdyby się partii wyrzekł, lecz wiedział również, że nie może się wyrzec jej i dziecka, może jej tak, lecz na pewno nie dziecka.

- Obiecuję - powiedział wiedząc, że kłamie.

Gdy podeszła z twarzą zalaną łzami ulgi i uklękła kładąc mu głowę na kolanach, czuł dla niej litość i współczucie, a także lęk z powodu tego, co uczynił. Zdawał sobie bowiem jasno sprawę, że w Ameryce nie tak łatwo odkryje oszustwo, a gdy je odkryje, nie będzie miała ani pieniędzy, ani silnej woli, by wrócić do Anglii. Zbyt będą ze sobą zrosnięci. Wiedział, że oboje odczuwać będą nienawiść, nieufność i pogardę, i że będą ze sobą walczyć przez resztę życia. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Gładził jej szorstkie i ciężkie włosy, które go zawsze podniecały, tak samo jak jej krzepkie, chłopskie ciało. Uniósł jej grubo ciosaną, niemal słowiańską twarz, by ją ucałować poprzez spływające łzy.

Pomyślał:

- Nic na to nie mogę poradzić - i całując ją odczuł ból.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

O zmierzchu ruiny Norymbergi odznaczały się spokojną majestatycznością, jak gdyby zniszczenie miało miejsce dawno i spowodowane było przez siły natury - ogień, trzęsienia ziemi, stulecia deszczu i spiekoty; niektóre z nich były smolistoczarne, jak gdyby ziemia się wykrwawiła, a zastygła lava utworzyła ogromne usypiska.

Leo prowadził samochód pośród nich i po raz pierwszy odczuwał przyjemność na widok takiego zniszczenia. Na przedmieściach zatrzymał się przed kwadratowym, na biało pomalowanym domkiem, takim samym jak otaczające go domki. Miał nadzieję, że profesor jest gotów; chciał jak najszybciej opuścić Norymbergę, szczęśliwy, że ma za sobą rozprawę sądową. Złożył zeznania uczciwie i rzeczowo przeciwko znanym mu strażnikom i kapo. Spotkał się z dawnymi przyjaciółmi, dawnymi więźniami, i wraz z nimi odczuwał ponure zadowolenie z zemsty, która wreszcie tamtych doścignęła. Jednakże niechętnie przebywał z dawnymi towarzyszami, jak gdyby nie byli ofiarami, lecz jakby wszyscy uczestniczyli w czymś wstydliwym, za co teraz czują się równie winni. Próbował to wszystko rozważyć i doszedł do wniosku, że nie chce przebywać z ludźmi, którzy pamiętali poniżenie i również go doświadczali, podobnie jak strach i beznadziejną nędzę życia. Każda twarz, która mu się kojarzyła z tym życiem, czyniła je na nowo rzeczywistym. Nacisnął klakson, przerywając wieczorną ciszę.

Prawie natychmiast ujrzał, jak mała, drobna postać profesora wychodzi z domu i zbliża się ścieżką do jeepa. Leo pomyślał ponuro, że ma małą niespodziankę dla profesora, ale usiłował być uprzejmy.

- Czy odwiedziny u syna dobrze wypadły? - zapytał.

- Tak, tak - powiedział profesor - to były miłe odwiedziny. - Powiedział to uprzejmie i obojętnie. Wyglądał na chorego, miał podkrążone oczy, niemal bezkrwiste wargi i szarą skórę.

Leo prowadził powoli, by mogli rozmawiać, a lekki powiew przyjemnie muskał mu twarz. Później przyciśnie gaz do dechy i wówczas szybki pęd nocnego powietrza uniemożliwi rozmowę. Prawą ręką wyjął paczkę papierosów z kieszeni bluzy, lewą ręką trzymając kierownicę. Podał papierosa profesorowi, który zapalił zapalną, osłonił dłonią i pochylał się, by podać ogień Leo, po czym zapalił swojego papierosa. Zaciągnąwszy się kilka razy Leo odezwał się:

- Wiem o pańskim synu, jeden z moich przyjaciół zeznawał przeciwko niemu w zeszłym miesiącu. - Zauważył, że dłoń profesora drżała, gdy podnosił papierosa do ust, nie odezwał się jednak.

- Gdybym o tym wiedział, nigdy bym pana tu nie przywiózł - powiedział Leo, zastanawiając się, dlaczego w takim razie odwozi go do Bremy.

Profesor powiedział nerwowo, z podnieceniem, trzymając się mocno brzegu jeepa:

- Nie chciałem, by pan mi pomagał. Wiedziałem, że to niewłaściwe. Ale Herr Middleton powiedział, że wszystko panu wyjaśnił, że pan rozumie.

- Kiedy wykonają egzekucję pańskiego syna? - zapytał Leo z okrucieństwem i zaraz potem odczuł wstyd.

- Za kilka tygodni - powiedział profesor. Zgubił papierosa i wykonywał rękami spazmatyczne ruchy. - To były moje ostatnie odwiedziny. - Siedział oczekując współczucia, mając nadzieję, iż Leo nie będzie go więcej wypytywać.

Leo milczał. Znajdowali się wśród pól, zapach świeżej trawy i młodych drzew nie zalatywał pyłem. Jeep jechał bardzo powoli. Leo odwrócił głowę ku starcowi. Powiedział powoli:

- Pańskiego syna skazał niemiecki sąd, za zabicie innego Niemca, nie za zbrodnie, jakie popełnił jako strażnik w obozie. W tym cała ironia. Nie będzie pan mógł w głębi duszy pomyśleć, że zabili go parszywi Żydzi. Ta nienawiść nigdy nie stanie się dla pana pocieszeniem. Jaka szkoda.

Profesor pochylił głowę i przyglądał się swoim dłoniom.

- Nigdy niczego takiego nie pomyślałem - powiedział. - Proszę mi wierzyć, jestem wykształconym człowiekiem.

- Pański syn zasługuje na śmierć - powiedział Leo. - Jest potworem. Jeśli ktokolwiek zasługuje na odebranie mu życia, to na pewno ten potwór. Czy wie pan, co on robił? To zły człowiek, świat będzie lepszy bez niego. Mówię to z czystym sumieniem. Czy wie pan, co on robił?

Nienawiść w jego głosie i sercu zmusiła go do zatrzymania jeepa na poboczu drogi; zwrócił się w stronę profesora po odpowiedź.

Jednakże profesor nie odpowiedział. Ukrył głowę w ramionach, jak gdyby chciał się cały schować, jego ciało drżało. Nie wydał żadnego dźwięku, lecz jego drobne ciało

wiło się bezustannie, bezładnie, jak gdyby odłączone od kierującego nim mózgu.

Leo czekał, aż przestanie, a gdy nienawiść zaczęła ustępować litości i współczuciu, pomyślał: nie, nie. Przywołał w pamięci obraz własnego ojca, wysoką, wynędzniałą postać z ogoloną głową na wyżwirowanej ścieżce i siebie samego w pasiaku idącego ku niemu i nie poznającego go, aż ojciec nagle stanął i powiedział: - Co ty tu robisz? - I Leo wówczas przypomniał sobie, jak przypomniał sobie teraz, jak to kiedyś ojciec przyłapał go w *Tiergarten*, gdy powinien być w szkole, i powtarzał tym samym tonem: - *Was machst du hier?* - Tylko że za drugim razem, na wyżwirowanej ścieżce wytyczonej na biało pomalowanymi kamieniami, gdzie cały horyzont dokoła otaczał drut kolczasty, ojciec mówiąc te słowa płakał, pochylał się ku synowi, z czerwonym paskiem więźnia politycznego na piersi, podczas gdy chłopiec nosił zielony skośny pasek oznaczający rasę. Siedząc w jeepie Leo przypomniał sobie to i zdał sobie sprawę dopiero teraz, iż ojciec musiał wówczas cierpieć, dziesięć lat temu; dla tego starca obok siebie, który własnym bólem płacił za ból jego ojca, czuł tylko pogardę. Ten człowiek, wykształcony, odróżniający dobro od zła, ze strachu, tchórzostwa, bezradności nie przyszedł jego ojcu z pomocą. Spał w ciepłym łóżku, dobrze jadł i zasłużył sobie na to, co ma, bezradnym wzruszaniem ramion, łatwą rezygnacją. Leo odwrócił wzrok od profesora i spojrział poprzez drogę na zieloną dolinę czerniejącą w zapadającym mroku. Zrozumiał, że nie może zostać w Niemczech, że nie może mieszkać z tymi ludźmi, nie może ich nawet nienawidzić, tych ludzi, którzy zamknęli jego młodość za drutem kolczastym, wypalili mu na ramieniu numer, który będzie nosił do śmierci, zabili jego ojca, matkę wygnali daleko, pozbawiając ją zmysłu koordynacji potrzebnego do życia, tak że wreszcie umarła, gdyż nie mogła spać, dosłownie nie mogła spać.

A teraz mieszkał spokojnie w tym kraju, z tymi ludźmi, i nie szalał z ogniem i mieczem. Spał z ich córkami, dawał czekoladę ich dzieciom, dawał im papierosy, woził ich po kraju. Przyływ pogardy dla siebie pozbawił Leo resztek współczucia, jakie miał dla starca. Ruszył jeepem pełnym gazem, chcąc powrócić szybko do Bremy. Profesor wytarł twarz chusteczką i siedział obojętnie, wsparłszy stopy o podłogę, z wyprostowanym ciałem, opierając się zarzucaniu jeepa.

Nad ranem, gdy krajobraz zaczął majaczyć w pierwszych przebłyskach światła, Leo zatrzymał się w jednym z barów, które Amerykanie wybudowali przy *Autobahn*.

Wziął ze sobą profesora i usiedli razem przy długim drewnianym stole. Spało przy nim kilku żołnierzy - kierowców ciężarówek - z głowami opartymi na ramionach.

Pierwszą filiżankę kawy wypili w milczeniu, lecz kiedy Leo powrócił z ponownie napełnionymi filiżankami i z pączkami, profesor zaczął mówić, najpierw powoli, potem szybciej, a jego dłonie drżały, gdy pospiesznie łykał kawę.

- Pan jeszcze nie wie, jak się czuje ojciec, panie Leo ojciec jest bezradny. Wiem wszystko o moim synu, poza tym on wyznał mi coś jeszcze. Kiedy jego matka była umierająca, walczył na froncie rosyjskim, a mnie się udało uzyskać dla niego urlop - był bohaterem, wykazał się odwagą, miał wiele odznaczeń - ale nie przyjechał. Napisał, że cofnięto mu urlop. Teraz powiedział mi wszystko, że pojechał wtedy do Paryża. Że chciał się zabawić. Wyjaśnił mi, że nie odczuwał ani współczucia, ani miłości do matki. A potem sprawy potoczyły się źle i on zaczął robić te wszystkie straszne rzeczy. Jednakże - profesor urwał, jak gdyby zdumiony, po czym dodał z przejęciem - jednakże jak to może być, że syn nie płacze po śmierci matki? Nigdy nie odbiegał od normy, był jak inni chłopcy, może bardziej przystojny i inteligentny. Uczyłem go wielkoduszności, dzielenia się wszystkim z towarzyszami zabaw, wiary w Boga. Oboje kochaliśmy go, matka i ja, nigdy go nie rozpieszczaliśmy. Był dobrym synem. Nawet teraz nie mogę uwierzyć w to, co zrobił, ale przyznał się, przyznał się do tego przede mną. - Podkrążone oczy wypełniły się łzami. - Powiedział mi wszystko, a wczoraj wieczór płakał w moich ramionach i powtarzał: „Tato, chcę umrzeć, chcę umrzeć”. Przez cały tydzień rozmawialiśmy o naszym wspólnym życiu, a wczoraj wieczór płakał jak wtedy, gdy był dzieckiem. - Profesor urwał nagle, a Leo zdał sobie sprawę, że jego własna twarz wyraża mieszaninę obrzydzenia i współczucia.

Profesor podjął znowu, lecz jego głos był teraz spokojny, rozsądny, brzmiał w nim ton przepraszający, jak gdyby uznał wyrażanie smutku za coś w bardzo złym guście. Mówił powoli.

- Myślę o naszym wspólnym życiu i próbuję odnaleźć moment, kiedy się zaczęło. Nie potrafię. Niczego nie dostrzegam. Tak się po prostu złożyło, że stał się potworem. To przerażające. To poraża. Tak go pan nazwał, i to prawda. Pański syn też może stać się potworem. - Profesor uśmiechnął się, by podkreślić, że powiedział to bezosobowo, teoretycznie, lecz uśmiech ten wyglądał tak okropnie na jego wyrażającej smutek twarzy, iż Leo musiał pochylić głowę nad kawą, by tego nie widzieć.

Włożywszy całą energię w ten uśmiech, starzec zaczął mówić z jeszcze większym podnieceniem.

- Mówię to panu, ponieważ jest pan ofiarą. Mój syn i ja, ja także, wyrządziliśmy panu krzywdę. Cóż mogę powiedzieć? Że to był wypadek, tak jakbym prowadząc nieostrożnie samochód przejechał pana. Bez żadnej złośliwości. Mój syn nabawił się okropnej gorączki, jak gdyby żył na bagnach, rozumie pan? Musi teraz umrzeć z tej choroby. Wierzę jednak, że pomimo wszystko jest dobry - wierzę, że jest dobry. - Profesor zaczął płakać i powiedział głośno, histerycznie: - Boże, miej nad nim litość, Boże, miej nad nim litość.

Jeden z żołnierzy uniósł głowę znad stołu i odezwał się:

- Zamknij się, na litość boską.

Profesor zamilkł.

Leo powiedział:

- Niech się pan trochę prześpi, a potem pojedziemy dalej; niech pan najpierw zapali.

Gdy skończyli palić, oparli głowy na ramionach i profesor natychmiast zasnął, Leo jednak nie mógł zasnąć.

Podniósł głowę i spojrzał na brązowe pączki rozrzucone na brudnym stole. Czarna kałuża kawy w blaszance odbijała złotymi refleksami światło słabych żółtych żarówek. Nie czuł litości dla tego starego człowieka, nie potrafił. Jego własne cierpienie wezbrało we krwi jak odtrutka. Wiedział teraz, jak okrutnie cierpieli z jego powodu jego matka i ojciec. Pomyślał sennie o niezliczonych złoczyńcach straconych jak najbardziej sprawiedliwie, których śmierć rozlała się niczym choroba na jeszcze więcej niewinnych ludzi. Nie było innego sposobu, lecz zanim głowa osunęła mu się na stół, zamajaczyło mu mgliście cudowne rozwiązanie, że przy każdej egzekucji należy podawać lekarstwo tym, których kochamy, lekarstwo zapomnienia, a zapadłszy głęboko w sen zanurzył wielką stalową igłę w czarnej kałuży kawy, wciągnął w strzykawkę wraz z czarnym płynem złote refleksy, po czym wbił igłę w tył głowy profesora i w mięsisty kark, aż stal trafiła w kość, on zaś patrzył, jak strzykawka się opróżnia. Profesor zwrócił ku niemu twarz pokornie, z wdzięcznością.

Prawie świtało, gdy się obudzili. Długą podróż do Bremy odbyli prawie nie rozmawiając. Popołudniowe słońce zaczęło wędrówkę na zachód, gdy wjechali na przedmieście Bremy. Leo zatrzymał jeepa przed domem, gdzie profesor wynajmował pokój.

Leo przyspieszył obroty silnika, by zagłuszyć uprzejme wyrazy wdzięczności. Odjechał szybko. Było mu zimno, czuł się zmęczony, lecz nie miał ochoty na sen. Jechał przez miasto, obok *Polizeihaus* i przez Schwachhauser, po czym skręcił w Kurfürsten Allee. Jechał powoli długą, krętą, wysadzaną drzewami aleją, a słońce i ciepły popołudniowy wietrzyk przywracały mu siły. Zbliżając się do domu Moski zdjął nogę z gazu i wskoczył na krawężnik. Jeep się przechylił, jadąc jedną stroną po jezdni, drugą po chodniku. Odbił w kierunku drzewa, by zatrzymać toczący się powoli samochód, lecz ponieważ jechał szybciej niż mu się zdawało, wstrząs od zderzenia odrzucił mu głowę do tyłu. Zaklął, oparł się plecami o fotel i zapalił papierosa, a potem zatrąbił klaksonem trzy razy.

Okno otworzyło się szybko, lecz zamiast Helli ukazała się Frau Saunders. Zawołała do niego:

- Frau Moski nie ma. Zabrano ją rano do szpitala. Dziecko urodziło się wcześniej.

Leo zerwał się na równe nogi w podnieceniu.

- Czy... czy wszystko w porządku?

- Czuje się dobrze - powiedziała Frau Saunder. - To chłopiec. Wszystko poszło dobrze. Herr Mosca jest tam teraz.

Leo nie miał ochoty z nią rozmawiać. Uruchomił z rykiem jeepa i zawrócił w kierunku miejskiego szpitala. Zatrzymał się po drodze w klubie oficerskim i dał niemieckiej sprzątaczkę paczkę papierosów za ogromny bukiet kwiatów.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mosca usłyszał, że Inge woła go do telefonu w sekretariacie. Podszedł, podniósł słuchawkę i powiedział: „Halo”. Kobięcy głos odezwał się po niemiecku.

- Herr Mosca, mówi Frau Saunders. Pańską żonę zabrali do szpitala przed godziną. To chyba dziecko.

Mosca nie odpowiadał przez chwilę, patrząc na Inge i Eddiego, jak gdyby mogli usłyszeć głos w słuchawce. Oboje byli zajęci, pochyleni nad biurkami.

- Ale to o dwa tygodnie za wcześnie - powiedział Mosca i spostrzegł, iż Eddie podniósł wzrok, a Inge odwróciła się w jego stronę.

- To chyba dziecko - powtórzyła Frau Saunders. - Dostała bólów rano po pana wyjściu. Zadzwońłam do szpitala i przysłali karetkę.

- W porządku - powiedział Mosca. - Zaraz tam będę.

- Czy zatelefonuje pan do mnie, gdy będzie pan wiedział? - zapytała Frau Saunders.

- Dobrze - powiedział Mosca.

Zanim odłożył słuchawkę, usłyszał, że Frau Saunders mówi:

- Prosiła mnie, żebym powiedziała panu, żeby się pan nie martwił.

Gdy Mosca oznajmił mu nowinę, Eddie Cassin uniósł brwi. Podniósł słuchawkę i wezwał samochód z parku maszynowego.

Gdy jeep podjechał, Eddie odezwał się:

- Spotkajmy się w Ratskeller na kolacji, o ile będziesz mógł. Zadzwoń, jeśli coś będzie.

- To może wcale nie jest dziecko - powiedział Mosca. - Nie jest zbyt silna.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział Eddie uspokajająco. - To na pewno dziecko. Rodzą się albo wcześniej, albo później. Już mam to za sobą. - Wyciągnął rękę, uściskał dłoń Moski i powiedział: - Życzę szczęścia.

Jadąc do miasta Mosca poczuł niepokój. Ogarnęła go nagle ogromna fala strachu, tak potężna, iż był pewien, że Hella jest chora. Powiedział do kierowcy:

- Jedź szybciej.

Kierowca odrzekł:

- Mam rozkazy, są przepisy.

Mosca cisnął na kolana Niemca pół paczki papierosów. Jeep pomknął przed siebie.

Szpital miejski zajmował kilka budynków z czerwonej cegły rozrzuconych na dużej przestrzeni pośród ocienionych drzewami alejek i zielonych trawników, a wszystko otaczało żelazne ogrodzenie, po którym piał się bluszcz, by ukryć ostro zakończone sztachety. W ogrodzeniu znajdowały się małe żelazne furtki. Jednakże główne wejście dla odwiedzających było przez ogromną bramę dla pojazdów i pieszych. Jeep przejechał przez nią, poruszając się powoli pośród strumieni Niemców i Niemek.

- Znajdź oddział położniczy - powiedział Mosca.

Jeep zatrzymał się. Kierowca wychylił się i zagadnął przechodzącą pielęgniarkę, po czym uruchomił wóz. Mosca oparł się o siedzenie i rozluźnił podczas powolnej jazdy po terenie szpitala.

Znajdował się teraz w świecie niemieckim. Nie było tu widać mundurów ani pojazdów wojskowych, z wyjątkiem tego, którym jechał. Ludzie wokół niego byli z obozu wroga: ich ubiór, mowa, ich chód, cała tutejsza atmosfera. Podczas jazdy od czasu do czasu dostrzegał żelazne włócznie zamykające ten świat. Budynek położniczy znajdował się niedaleko ogrodzenia.

Mosca wszedł i trafił do niedużego pokoju, w którym siedziała starsza wiekiem pielęgniarka. Przy ścianie stało dwóch mężczyzn w amerykańskich mundurach lecz w czapkach z daszkiem z Wehrmachtu. Byli to kierowcy karetek.

- Szukam kobiety nazwiskiem Hella Broda, przyjęto ją dziś rano - powiedział Mosca.

Pielęgniarka zajrzała do leżącej na biurku książki przyjęć. Mosca odczuł przez chwilę strach, iż zaprzeczy, a wówczas sprawdzą się jego złe przeczucia.

- Proszę poczekać, zadzwonię i się dowiem.

Podczas gdy rozmawiała przez telefon, jeden z kierowców odezwał się do Moski:

- Myśmy ją tu przywieźli.

Obaj uśmiechnęli się do niego. Odpowiedział im uprzejmym uśmiechem, po czym zorientował się, że spodziewali się w nagrodę papierosów. Sięgnął do kieszeni; ostatnią paczkę dał swemu kierowcy. Wzruszył ramionami i czekał, aż pielęgniarka skończy rozmowę.

Odwiesiła słuchawkę.



- Ma pan syna - oznajmiła.

Mosca powiedział niecierpliwie:

- Czy żona czuje się dobrze? - Potem zdał sobie sprawę, że użył słowa „żona”.

- Tak, oczywiście - powiedziała pielęgniarka. - Jeśli pan sobie życzy, może pan zaczekać i zobaczyć się z nią za mniej więcej godzinę. Teraz śpi.

- Poczekam - powiedział Mosca.

Wyszedł i usiadł na drewnianej ławce przed spowitym w bluszcz budynkiem.

Czuł zapach kwiatów z pobliskiego ogrodu, palącą słodycz zmieszaną z czerwonym światłem palącego południowego słońca. Obok przechodzili lekarze i pielęgniarki w białych ubraniach, przecinali zielone trawniki i wchodzili do krwistoczerwonych budynków z cegły, umieszczonych pewnie i bez widocznych blizn w świeżej, żywej ziemi. Powietrze wypełniały przytłumione odgłosy wydawane przez owady i pisklęta. Odczuwał całkowity spokój, ukojenie, jak gdyby żelazne ogrodzenie stanowiło barierę dla hałasu, ruin i kurzu miasta po jego drugiej stronie.

Dwaj kierowcy karetek wyszli z budynku i usiedli obok. Te dranie nigdy się nie odzepią - pomyślał Mosca. Jemu też bardzo się chciało zapalić. Zwrócił się do jednego z mężczyzn i zapytał:

- Masz papierosa?

Zaskoczyło to ich; ten bliżej rozdziawił usta ze zdumienia. Mosca uśmiechnął się.

- Nie mam nic przy sobie. Zostawię dla was kilka paczek następnym razem.

Mężczyzna siedzący bliżej niego wyjął ciemną paczkę niemieckich papierosów i podał ją Mosce mówiąc:

- Jeśli pan naprawdę chce zapalić takiego...

Mosca zapalił i zakrzuszył się przy pierwszym zaciągnięciu. Obaj kierowcy wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich powiedział:

- Trzeba się do nich przyzwyczaić.

Ale po tym pierwszym zaciągnięciu się papieros zaczął smakować. Mosca położył się na ławce i wypoczywał wystawiając twarz na popołudniowe słońce. Czuł zmęczenie.

- Jak się czuła, kiedyście ją przywieźli? - Mówił z zamkniętymi oczyma.

- Dobrze, jak wszystkie - powiedział kierowca, który dał mu papierosa. Jego twarz nosiła trwały wyraz dobrego humoru, coś w rodzaju półśmiechu uformowanego przez

budowę kości twarzy. - Mieliliśmy takich setki.

Mosca otworzył oczy, by na niego spojrzeć.

- Niezbyt miła praca, wozić codziennie kobiety, słuchać ich płaczów i wrzasków. -  
Mówiąc to uświadomił sobie, iż czuje urazę do tych mężczyzn o to, że widzieli Helle  
bezbronną, że przez jakiś czas znajdowała się bezradna w ich rękach.

Ten sam kierowca odezwał się:

- To miło wozić ludzi, którzy mogą hałasować. Na wojnie byłem w oddziale  
grzebalnym. Braliśmy ciężarówkę i zbieraliśmy umrzyków. W zimie byli sztywni, trzeba  
ich było układać ostrożnie, jak drzewo na opał, w zgrabne stopy. Czasem można było zgiąć  
im trochę ręce i był taki sposób łączenia rąk w jednej stercie z rękami w drugiej, że można  
ich było układać w wyższe kupy.

Drugi kierowca wstał z ławki i wszedł do budynku.

- On już to nieraz słyszał - ciągnął Niemiec. - On był w Luftwaffe; opróżnili puszkę  
śmiecia i przez parę tygodni śniły im się koszmary. Więc jak mówiłem, w lecie było  
okropnie. Okropnie. Przed wojną pakowałem owoce, może dlatego w wojsku przydzielili  
mnie do oddziału grzebalnego. Pakowałem pomarańcze; czasem były zepsute,  
importujemy je, wie pan, więc musiałem je przepakowywać. Zepsute wciskałem do  
małych pudełek i zabierałem do domu. W lecie to samo było z umarłymi. Byli tacy  
rozmiękli, ugniataliśmy ich. Wyglądało to w ciężarówce jak wielka kupa śmiecia. Ta praca  
tutaj jest dobra. W tamtej, zimą czy latem, nie było żadnych rozmów, nic interesującego,  
rozumie pan. - Uśmiechnął się do Moski szeroko.

Mosca pomyślał: co począć z takim draniem? Facet naprawdę mu się podobał,  
wiedział, że naprawdę był życzliwy.

- Lubię rozmawiać - ciągnął tamten - więc nie podobała mi się praca w wojsku.  
Tutaj to przyjemność. Siedzę sobie z kobietą, a kiedy ona krzyczy, mówię, no, dalej,  
krzycz, nikt nie słyszy. Gdy płaczą, jak pana żona, mówię, płacz, to ci dobrze zrobi. Kto  
ma dzieci, musi się przyzwyczaić do łez. To taki mój żart. Nie zawsze mówię to samo.  
Zwykle wymyślam coś nowego i to prawie zawsze jest prawda. Nie mówię dużo, tyle  
tylko, żeby się nie czuły samotne, tak jak gdybym był ich mężem.

Mosca przymknął oczy.

- Dlaczego moja żona płakała?

- Człowieku, to boli. - Niemiec usiłował spojrzeć na niego z wyrzutem, lecz udało mu się tylko zrobić życzliwy grymas, ponieważ kości twarzy stawiały opór. - Płakała z bólu, ale to nic takiego, bo było widać, że jest bardzo szczęśliwa. Pomyślałem wtedy, jej mąż to szczęściarz. Nic jej nie powiedziałem, nie mogłem niczego wymyśleć. Wytarłem, jej twarz mokrym ręcznikiem, bo się pocila z bólu i bardzo płakała. Ale gdy wyszła z karetki, uśmiechnęła się do mnie. Nie, czuła się dobrze, nic jej nie musiałem mówić.

Pukanie w okno spowodowało, że kierowca odwrócił się; pielęgniarka wzywała go gestem do powrotu. Odszedł, a za chwilę wyszli obaj kierowcy. Niemiec podał rękę Mosce.

- Wszystkiego najlepszego, niech pan nie zapomni o papierosach, jak pan znowu przyjdzie.

Wsiadli do karetki i powoli ruszyli ku głównej bramie.

Mosca zamknął oczy, usiadł wygodnie, a upalne czerwcowe słońce wprawiło go w drzemkę. Wydawało mu się, że spał długo, nawet śnił, a potem nagle się obudził. Z tyłu rozległo się pukanie w szybę. Odwrócił głowę i spostrzegł, że pielęgniarka daje mu znak, by wszedł.

Podawała mu piętro i numer pokoju, on zaś pognął schodami dwa piętra w górę. Gdy znalazł pokój, spostrzegł przed nim długi stół na kółkach, a na stole niemal dwadzieścia małych, białych zawiniątek, skąd dobiegał niesamowity hałas. Jedno z nich mogło być jego, toteż zatrzymał się, by się im przyjrzeć. Z pokoju wyszła pielęgniarka i zaczęła oddalać się ze stołem.

- Może pan wejść - powiedziała.

Otworzył drzwi i wkroczył do dużego, kwadratowego pokoju o zielonych ścianach, w którym znajdowało się sześć wysokich szpitalnych łóżek z kobietami, żadna jednak nie była Hellą. Potem dostrzegł w kącie łóżko tak niskie, iż prawie dotykało podłogi.

Leżała płasko, z otwartymi oczyma, patrząc na niego, piękniejsza niż kiedykolwiek. Jej usta były ciemnoczerwone jak krew, a twarz bardzo biała, z wyjątkiem dwóch szkarłatnych plam na policzkach. Oczy jej błyszczały i gdyby nie jej ciało, dziwnie bezwładne i nieruchome, nie wyglądałaby na to, że przed kilkoma godzinami urodziła dziecko. Świadom obecności innych kobiet, podszedł do niej i pochylił się, by ją pocałować w policzek, lecz odwróciła głowę tak, by ich usta się spotkały.

- Jesteś szczęśliwy? - szepnęła.

Jej głos brzmiał ochryple, jak gdyby była bardzo przeziębiona. Mosca uśmiechnął się do niej i skinął głową.

- To śliczne dziecko, ma takie gęste włosy - szepnęła. - Jak ty.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc stał dziwiąc się, dlaczego ona jest taka szczęśliwa, on natomiast zupełnie obojętny.

Weszła pielęgniarka i powiedziała:

- Proszę wyjść, może pan przyjść jutro, w porze odwiedzin.

Mosca pochylił się ku Helli i powiedział:

- Przyjdę jutro, dobrze?

Skinęła głową i zwróciła ku niemu twarz, by ją znowu pocałował.

Na zewnątrz pielęgniarka zapytała go, czy chciałby zobaczyć dziecko, więc poszedł za nią długim korytarzem aż do znajdującej się na jego końcu szklanej ściany. Kilku mężczyzn patrzyło przez ścianę na dzieci pokazywane po kolei przez małą, obrotną pielęgniarkę, którą najwyraźniej bawiła ta praca oraz błazeństwa młodych ojców. Otworzyła okienko w ścianie, a pielęgniarka, która przysłała z Moską, powiedziała:

- Dziecko o nazwisku Broda.

Tamta pielęgniarka poszła do pokoju za szklaną ścianą i wyszła z małym zawiniątkiem. Odsunęła dziecku pieluszkę z twarzy i podniosła je z dumą.

Mosca doznał wstrząsu na widok brzydoty dziecka. Po raz pierwszy w życiu widział niemowlę. Twarz miało pomarszczoną, pofałdowaną niemilo, czarne oczka niemal zamknięte, lecz zerkające złośliwie na nowy, nieprzyjazny świat, a na głowie, niczym niechlujny szal, wielką czuprynę czarnych włosów nadającą mu zwierzęcy wygląd.

Obok Moski mały, łysy Niemiec zachwycał się innym niemowlęciem trzymanym za szklaną ścianą przez drugą pielęgniarkę. Mosca spostrzegł z ulgą, że to niemowie wyglądało niemal tak samo jak jego własne. Niemiec wykrzykiwał i gruchał:

- Ach, jakie słodkie dzidzi, jakie śliczne dzidzi - cmokając i wykrzywiając twarz w niesamowite grymasy, by dziecko na nie zareagowało.

Mosca przyglądał mu się ze zdziwieniem, po czym popatrzył na swoje dziecko, próbując wzbudzić w sobie jakieś uczucie, a wreszcie dał znak pielęgniarce, by je zabrała. Pielęgniarka obrzuciła go długim, gniewnym spojrzeniem, czekała bowiem niecierpliwie,

by i on odegrał przedstawienie. Mosca pomyślał: pieprzę cię, siostrze.

Zbiegł po schodach i przeszedł przez teren szpitala ku bramie. Spostrzegł Leo, który jechał powoli przebijając się przez tłum wychodzących Niemców. Stanął przed jeepem, wspiął się na maskę i ponad przednią szybą przelazł do wnętrza. Spostrzegł wielki bukiet kwiatów na kolanach Leo, a gdy dobiegł go ich słodki, chłodny zapach, opuściło go napięcie i poczuł się niezmiernie szczęśliwy.

Gdy wreszcie spotkali się z Eddiem w Ratskeller, ten był już pijany. Powiedział:

- Ty sukinsynu, dlaczego nie zadzwoniłeś? Kazałem Inge zatelefonować do szpitala i oni nam powiedzieli. Potem zadzwoniła twoja gospodyni i przekazałem jej nowinę.

- O Boże, zapomniałem - powiedział Mosca z głupim uśmiechem.

Eddie objął go ramieniem.

- Gratulacje. Świętujemy to dzisiaj.

Zjedli kolację, po czym przeszli do stolika w barze.

- Czy my stawiamy, czy Walter? - zapytał Leo, jak gdyby to była bardzo ważna sprawa.

Eddie obrzucił ich rozbawionym, ojcowskim spojrzeniem.

- Dziś ja wszystko stawiam. O ile znam Waltera, nie da nam nawet cygar. Spójrz na tę smutną twarz.

- Boże - powiedział Mosca - jak, do cholery, mogę odgrywać rolę ojca. Nawet nie wzięliśmy ślubu. Nazywali ciągle dzieciaka nazwiskiem Helli. Poczułem się śmiesznie. Chyba złożę papiery o pozwolenie na ślub.

- Chwileczkę - powiedział Eddie. - Trzeba przyjąć na to trzy miesiące. Ale potem w trzydzieści dni po ślubie musisz wracać do Stanów. Chcesz zostawić cały ten szmal?

Mosca pomyślał chwilę.

- Mogę chyba dostać papiery i potem odłożyć trochę ślub. Ale chciałbym mieć wszystko gotowe, na wszelki wypadek.

- Możesz - powiedział Eddie - ale musisz kiedyś wrócić. Zwłaszcza teraz, kiedy Middletonowie wyjechali, nie będziesz mógł zdobyć odpowiedniej żywności dla żony i dziecka. - Obrzucił Moskę dziwnym, przenikliwym spojrzeniem. - Walter, na pewno chcesz dostać te papiery - dojrzałeś do powrotu?

Mosca powiedział do Leo:

- A ty już zdecydowałeś, USA czy Palestyna?

- Dobrze mi tu - powiedział Leo. Pomyślał o profesorze. - Ale wkrótce muszę podjąć decyzję.

- Powinieneś pojechać ze mną - powiedział Mosca. - Mógłbyś zamieszkać ze mną i z Hella, póki się nie urządzisz. To znaczy, jeśli ja znajdę jakieś mieszkanie dla siebie.

Eddie zapytał z ciekawością:

- Co będziesz robił po powrocie do Stanów?

- Nie wiem - powiedział Mosca. - Chyba pójdę do szkoły. Jestem niedokształcony, prosto ze szkoły średniej poszedłem do wojska. - Uśmiechnął się do nich. - Nie uwierzycie, ale byłem kiedyś dobrym uczniem. Ale się zaciągnąłem do wojska, wiesz o tym, Eddie, wyśmiewałeś się ze mnie, kiedy byliśmy żołnierzami. Teraz chcę się uczyć o wszystkim. - Urwał, zastanawiając się jak to wyrazić słowami. - Czasem chcę walczyć jak diabli przeciwko wszystkiemu dokoła, ale nie wiem, z czym walczyć. Tak jakbym nie mógł zejść z prostej linii do zasadzki. Jak teraz. Chcę coś zrobić, ale mi nie wolno. Moje osobiste sprawy. Nie mogę ożenić się ze szkopką i rozumiem, dlaczego armia to utrudnia. Mam gdzieś szkopów, ale to bije we mnie. A ja to pieprzę. - Napił się znowu. - Wiecie, kiedy byłem mały, myślałem, że wszyscy są wspaniali. Miałem jasne poglądy, a teraz nawet ich nie pamiętam. Kiedy byłem mały, w walce ulicznej zawsze walczyłem jak bohater z filmów, zawsze uczciwie, nigdy nie uderzyłem kogoś, kto się potknął albo stracił równowagę. Zupełny frajer. Ale to nie było prawdziwe. Teraz mi się wydaje, że to moje życie przed pójściem do wojska nigdy nie było prawdziwe. Tak samo jak to, że nigdy nie wierzyło się w koniec wojny. Wiedziałeś, że potem pójdziesz do Japonii, a potem znajdą jakiegoś innego wroga, pewnie Rosjan. A potem może ludzi na Marsie. Zawsze kogoś nowego, żebyś nigdy nie wrócił do domu. Teraz po raz pierwszy wierzę, że się to skończyło, że muszę wrócić do tamtego nierealnego życia. Mogę zacząć od pójścia do szkoły.

Leo i Eddie odczuwali zakłopotanie. Po raz pierwszy Mosca rozmawiał z nimi o tym, co czuje. Zdziwiła ich niedorosłość uczuć kryjących się za szczupłą, ponurą, niemal okrutną twarzą. Leo odezwał się:

- Nic się nie martw, Walterze, kiedy będziesz prowadził normalne życie z żoną i

dziećmi, wszystko będzie w porządku.

- A co ty u licha wiesz? - zapytał Eddie z pijacką złością. - Osiem lat w obozie koncentracyjnym bez pań. Co ty u licha wiesz?

Leo odpowiedział ze spokojną pogardą:

- Wiem jedno. Nigdy stąd nie wyjedziesz.

Zdumiało to Eddiego.

- Masz rację - powiedział. - Do licha, masz rację. Napisałem znowu do żony, że musi tu przyjechać z dzieckiem, bo inaczej nigdy nie wyjadę z tej cholernej Europy. W tym cała moja nadzieja. Ale ona kręci z szefem, myśli, że o tym nie wiem. A ja ją już dawno rozgryzłem.

Leo powiedział do Moski:

- Może pojedę z tobą, kto wie, co się wydarzy do tego czasu? Nie mogę tu zostać na zawsze. Może założymy jakiś interes, bez czarnorynkowych korzyści, a ty będziesz także mógł pójść do szkoły, co ty na to?

- Właśnie - powiedział Eddie. - Wejź w interes z Leo, a nie stracisz. - Uśmiechnął się do nich i spostrzegł, że go nie zrozumieli, a może nie dosłyszeli, gdyż alkohol zniekształcał jego słowa, a może dlatego, że zawsze mu ufali. Poczł wstyd. - Marzycie, chłopcy - powiedział i uświadomił sobie, iż złościło go, że snują plany nie włączając go, nie złośliwie, lecz dlatego, iż zakładają, że nigdy stąd nie wyjedzie. Nagle zaniepokoił się o nich. O Leo, gdyż nie znał prawdziwego świata, i o Moskę, gdyż wyczuwał, że jego pozornie obojętna, ponura, dumna twarz skrywa nieustanną walkę, walkę, by trzymać się życia za pomocą jednej cienkiej nitki. Ogarnęło go też pijackie rozczulenie nad samym sobą. Ku zdumieniu Leo i Moski oparł głowę na stole i zaczął płakać. A potem zasnął.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Otyle ciało Wolfa zstąpiło po schodach wiodących do sutereny; westchnął znużony, szczęśliwy, że umknął z gorącego letniego słońca. Był zmęczony, miał bowiem dużo zaległej roboty po miesiącu wakacji. Pojechał z żoną odwiedzić jej siostrę w Bawarii, z ostatnią wizytą przed wyjazdem do Stanów. Poszedł prosto do kuchni, gdzie Urszula przygotowywała kolację.

- Urodził im się chłopiec - powiedział.

Urszula odwróciła się i wykrzyknęła radośnie:

- Cudownie, tego właśnie pragnęła! Muszę ją odwiedzić.

- To się stało w dzień po naszym wyjeździe - powiedział Wolf. - Dziecko urodziło się przedwcześnie. Dlatego jest w domu już od trzech tygodni.

Pomyślał, że ledwie się znały, a jednak Urszula się cieszy. Narodziny dzieci zawsze i jego wzruszały. Chciał mieć dzieci, kiedy się tylko urządzi. Tego naprawdę pragnął. Chciał nauczyć je, jak mają sobie radzić. To będą najbystrzejsze dzieci w całej okolicy; będą mocno stały na ziemi.

- Słyszałeś coś o naszym zezwoleniu na ślub? - zapytała Urszula.

- Jeszcze nie nadeszło z Frankfurtu - powiedział Wolf.

Kłamał. Pozwolenie leżało teraz w jego biurku w bazie lotniczej. Lecz gdyby Urszula o tym wiedziała, nalegałaby na natychmiastowy ślub, a wówczas musiałby opuścić Niemcy w ciągu trzydziestu dni po tej ceremonii. Chciał pozostać jeszcze kilka miesięcy i przeprowadzić parę interesów.

Z tyłu odezwał się ojciec Urszuli.

- Och, Wolfgang, nareszcie w domu. - Wolf odwrócił się. - Był do ciebie telefon. Musisz się natychmiast skontaktować z człowiekiem, który nazywa się Honny.

Ojciec wyszedł właśnie ze spiżarni niosąc ogromną szynkę, którą teraz położył na stole. Wziął duży nóż i z czułością zaczął kroić średniej grubości plasterki, do smażenia z ziemniakami.

Przynajmniej - pomyślał kwaśno Wolf - stary zawsze się przydaje w domu. Zapytał:

- Czy ten człowiek mówił coś jeszcze?

- Nie - powiedział ojciec Urszuli - ale powtarzał, że to bardzo ważne.



Wolf poszedł do sypialni i wykręcił numer. Gdy ktoś podniósł słuchawkę i powiedział „halo”, rozpoznał po głosie, że to Honny, więc odezwał się.

- Wolfgang przy telefonie.

Honny powiedział podnieconym głosem, brzmiącym kobieco w wyższych rejestrach:

- Dobrze, że zadzwoniłeś tak szybko. Ten kontakt, którego szukałeś w zimie. Mam go.

- Jesteś pewien? - zapytał Wolf.

Głos tamtego zabrzmiał niżej, ostrożniej.

- Widziałem dostatecznie dużo dowodów. - Podkreślił słowo „dowodów”.

- Ach tak - powiedział Wolf - doskonale. Będę za jakąś godzinę. Czy możesz go tam ściągnąć?

- Za dwie godziny - powiedział Honny.

- Dobra - powiedział Wolf i odłożył słuchawkę.

Zawołał do Urszuli, że nie będzie jadł kolacji i wyszedł pośpiesznie z domu. Zanim zamknął drzwi, usłyszał jej okrzyk zdziwienia i niezadowolenia. Ruszył szybko ulicą i dotarł na przystanek, akurat żeby złapać odjeżdżający *Strassenbahn*.

Wolf był podniecony. Stracił już nadzieję na ten interes, nie myślał nawet o nim od kilku miesięcy, chyba tylko wtedy, gdy Mosca z niego żartował. A teraz właśnie wszystko zaczynało się dobrze układać. Pozwolenie na ślub było gotowe, mógł zdobyć bilety na samolot, do diabła z darmowym przelotem. I w ten sposób załatwi starego. Urszula i jej ojciec zawracali mu dupę, żeby zabrać starego do Stanów, on zaś niemal śmiał się im w twarz. Ale kobietom trzeba kłamać; obiecał Urszuli, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby stary był sprawny. Ale ojcu spuszczone niezłanie, gdy usiłował oszukać kilku handlarzy czarnorynkowych. Przez tydzień dochodził do siebie w szpitalu. Odtąd żył w suterenie niczym kret, zjadając dziesięciokilową szynkę w niespełna tydzień, trzy lub cztery kaczki za jednym razem i niemal całą gęś w ciągu niedzieli. W dwa miesiące utył jakieś dwadzieścia kilogramów. Fałdy jego skóry wypełniły się pokładami tłuszczu, toteż wyciągnął z szafy przedwojenne ubrania, by schować w nich swój wielki, nowy brzuch.

Wolf pomyślał, że to na pewno jedyny gruby szkop w Bremie, jedyny, który może

pozować do plakatów i turystycznych prospektów ukazujących ogromnego, jowialnego Niemca symbolizującego dobrobyt tego kraju. Trzymał w swojej suterenie najgrubszego szkopa w całych Niemczech. Cholerny kanibal. Dziesięciokilowa szynka w trzy dni. Rany boskie.

Wolf wyskoczył ze *Strassenbahn* u wylotu Kurfürsten Allee i ruszył szybko mijając Metzger Strasse w kierunku białego kamiennego domu, w którym mieszkał Mosca. Mimo że słońce zachodziło, powietrze nadal było upalne, toteż Wolf trzymał się cienia rzucanego przez rosnące w alei drzewa. Miał nadzieję, że Mosca jest w domu, lecz jeśli nie, miał jeszcze czas złapać go w Ratskeller czy w klubie. To nie była sprawa na telefon.

Wolf otworzył bramę oddzielającą ścieżkę od chodnika. Wszedł po schodkach i zapukał do drzwi. Otworzył mu Mosca. Ubrany był tylko w szorty i koszulkę; był boso. W ręku trzymał puszkę piwa z kantyny.

- Wejdz, Wolf - powiedział Mosca.

Przeszli przez korytarz do bawialni. Frau Saunders siedziała w rogu kanapy czytając czasopismo. Hella kołysała kremowy wózek, który teraz służył za kołyskę. Dziecko płakało.

Wolf pozdrowił kobiety, a choć się niecierpliwił, spojrzął na dziecko i pochwalił jego urodę. Potem odezwał się do Moski:

- Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać sam na sam?

- Jasne - powiedział Mosca.

Trzymając nadal puszkę piwa, zaprowadził Wolfa do sypialni.

- Posłuchaj, Walterze - powiedział Wolf z podnieceniem - nareszcie go mam, ten kontakt w interesie z papierami. Mam się teraz spotkać z tym facetem i ustalić szczegóły. Chcę, żebyś ze mną poszedł, na wypadek, gdyby wszystko poszło szybko. Dobra?

Mosca łyknął piwa. Z drugiego pokoju dobiegał szmer głosów Frau Saunders i Helli, a od czasu do czasu słabe, żalodne kwilenie dziecka. Mosca był zdziwiony i nieprzyjemnie zaskoczony. Spisał już cały interes na straty i nie miał teraz na niego ochoty.

- Nie wchodzę w to, Wolf - powiedział Mosca. - Będziesz musiał znaleźć sobie innego współnika.

Wolf, który skierował się już ku drzwiom sypialni, odwrócił się do niego

zdumiony, a jego blada twarz wyrażała gniew i niedowierzenie.

- Cholera, cóż to za bzdury? - powiedział. - Zapierdalały przez całą zimę, a teraz, kiedy wszystko jest gotowe, ty się wycofujesz. To nie w porządku, Walterze. Tak nie można.

Mosca uśmiechnął się widząc złość i podniecenie Wolfa. Miał wymówkę, by się nie wstydzić, że się wycofuje. Wiedział, że robi Wolfowi świństwo. Ale był zadowolony, że blady drań zaczyna mieć kłopoty.

- Cholera - powiedział - nie jesteśmy gangsterami. To był pewien pomysł. Pewnie poszedłbym na to sześć miesięcy temu. Teraz muszę się troszczyć o kobietę i dziecko. Co się z nimi stanie, jeśli coś zawalimy? Poza tym moje zezwolenie na ślub przyjdzie za kilka miesięcy. Nie potrzebuję takich dużych pieniędzy.

Wolf powściągnął wzbierający gniew.

- Posłuchaj, Walterze - powiedział przyjaznym, rozsądnym tonem - za trzy lub cztery miesiące wracasz do Stanów. Być może zaoszczędziłeś tutaj tysiąc dolarów, być może zarobiłeś drugi tysiąc na czarnym rynku. To ja pomogłem ci zarobić ten tysiąc, Walterze. W Stanach musisz urządzić dom, poszukać pracy, i tym podobne bzdury. Będzie ci potrzebna forsa. - Potem dodał poważnie, a w jego głosie zabrzmiała uraza: - Nie postępujesz względem mnie uczciwie. Ja też na tym tracę. Nie mogę teraz uganiać się za innym współnikiem. Potrzebuję faceta, któremu mogę zaufać. No, Walterze, to będzie proste - nie musisz się obawiać glin, nie mogą nas zapudłować. A od kiedy się boisz paru parszywych szkopów?

- Nie ma mowy - powiedział Mosca i znowu łyknął piwa z puszką.

Wolną ręką powachlował koszulkę i odezwał się:

- Ale gorąco.

- Boże - Wolf uderzył dłonią w drzwi. - Łażenie z tym złotym Żydem i tym dziwką Eddiem odebrało ci cały fart? Myślałem, że jesteś lepszy.

Mosca odstawił puszkę z piwem na komodę.

- Słuchaj, Wolf, zostaw moich przyjaciół w spokoju. Nie wspominaj o nich. A co do tego interesu, Wolf, ty sprytny bucu, wiem, że masz już pozwolenie na ślub; możesz wobec tego zrobić ten interes i wynieść się do Stanów. A tymczasem ja tu będę siedział trzy lub cztery miesiące. Nie boję się szkopów, ale nie mam zamiaru chodzić po Bremie po

odstawieniu takiego numeru. Jeśli mamy to zrobić, to musimy natychmiast wynieść się z Bremy albo wykończyć tych facetów, gdy tylko dostaniemy pieniądze. Teraz nie mogę zrobić ani jednego, ani drugiego. I nie mam zamiaru oglądać się za siebie przez całe lato, nawet za milion dolców. - Urwał, a potem dodał szczerze. - Nie dam się zrobić, Wolf, przykro mi.

Wolf spoglądał na podłogę potrząsając głową, jak gdyby rozważał coś, co już wiedział. Potem, przypomniawszy sobie scenę w klubie oficerskim, gdy adiutant zmusił Moskę do spuszczenia z tonu, odezwał się:

- Wiesz, że mógłbym wam to wszystko rozwalić, tobie i Helli. Wystarczy tylko napisać doniesienie do bazy i do policji wojskowej. Łamiesz prawo okupacyjne mieszkając w niemieckiej kwaterze. Jest też jeszcze parę innych rzeczy, które mógłbym rozgłosić po mieście.

Ku jego zdumieniu i wściekłości, Mosca wybuchnął śmiechem i powiedział:

- Wolf, na litość boską, napij się piwa albo wynoś się do cholery. Nie mam nic przeciwko zabawie w gangstera, ale na litość boską nie gadaj w ten sposób. Nie jestem jednym z tych szkopskich jeńców, których tak straszyleś, że srali w portki.

Wolf uniósł głowę i usiłował spojrzeć na niego groźnie, lecz w lekko odzianym ciele była taka siła, tyle energii i pewności siebie w szczupłej twarzy i wąskich ustach oraz w ciemnych, poważnych oczach, iż tylko westchnął i uśmiechnął się blade.

- Och, ty sukinsynu - powiedział Wolf z rezygnacją - daj mi piwo. - I dodał żałośnie, potrząsając głową: - Puszka piwa za pięć kawałków.

Pijąc myślał o tym, jakby odplacić Mosce za wycofanie się. Doszedł do wniosku, że nie mógł mu nic zrobić. Gdyby zakablował na Moskę do policji wojskowej, a potem wyjechał do Stanów, i tak by nie mógł zrobić interesu, nie byłoby z tego żadnej korzyści, natomiast istniała możliwość odwetu. Nie, był dość zamożny. Posiadał niezłą fortunę w brylantach i sporo gotówki. Czemu miałyby się narażać na jakieś niepowodzenie?

Westchnął, łyknął piwa. Trudno było zrezygnować z takiej okazji. Wiedział, że sam nigdy by się na to nie odważył. No cóż, zbierze papierosów ile można, będzie handlował w bazie, kupował tanio i sprzedawał drogo. Może zarobić tysiąc dolców.

Wolf wyciągnął rękę do Moski.

- Bez urazy - powiedział. Ogarnął go teraz niepokój, że Mosca może poważnie

potraktować jego pogroźki, a nie chciał rozglądać się na wszystkie strony przez kilka ostatnich tygodni pobytu w Niemczech. - Przepraszam, że usiłowałem grać twardo, ale strata takiej forsy... Zapomnijmy o tym, co powiedziałem. - Uścisnęli sobie ręce.

- W porządku - powiedział Mosca. Odprowadził Wolfa do drzwi i dodał: - Może będziesz mógł coś sam załatwić.

Gdy Mosca wszedł do bawialni, obie kobiety spojrzały na niego pytająco, słyszały bowiem złość w donośnym głosie Wolfa. Dziecko już nie płakało, spało w wózek.

- Pański przyjaciel poszedł tak szybko - odezwała się Frau Saunders.

- Chciał mi tylko coś powiedzieć - powiedział Mosca. Potem zwrócił się do Helli, która robiła na drutach czytając jednocześnie. - Wolf wkrótce się żeni, dostał pozwolenie.

Hella podniosła wzrok znad książki i powiedziała z roztargnieniem:

- Tak? - Pochyliła chudą, bladą twarz z powrotem nad książką szepcząc: - Mam nadzieję, że nasze pozwolenie wkrótce nadejdzie.

Mosca poszedł do sypialni po następną puszkę piwa i puszkę orzeszków. Przyniósł je do bawialni i podał otwartą puszkę kobietom. Wzięły po garści orzeszków.

- Na pewno nie chcecie piwa?

Obie potrząsnęły głowami i czytały dalej.

Siedzieli wszyscy jedząc orzeszki. Mosca pił piwo, kobiety czytały, Hella ponadto robiła na drutach. Miała włosy krótko obcięte na lato, a kruche kości twarzy ledwo kryły się za cienką osłoną skóry i mięśni; drobna niebieska żyłka biegła po jej policzku ku wargom. Pokój wypełniała ciepła, spokojna cisza letniego wieczora, lekki chłodny wietrzyk wpadł przez otwarte okno, marszcząc kwiecistą zasłonę.

Mosca przyglądał się obu kobietom. Jedna mogłaby być jego matką, druga była matką jego dziecka, a dziecko w wózku było jego. Uporządkował to sobie w myśli w bardzo prosty sposób, gdyż czuł się senny po piwie. Wszystko mu się jednak pomieszało.

Pewnego dnia, dawno temu, włożył stalowy hełm, wziął karabin i statkiem, ciężarówką, na pancerzu czołgu zaczął podróż po Północnej Afryce, Anglii, Francji, Belgii, Holandii w poszukiwaniu wroga, by go uśmiercić. Nawet teraz nie wydawało mu się to niesłuszne, głupie czy absurdalne. Wydawało się tylko dziwne. Cholerna sprawa - pomyślał - cholerna sprawa. Dziwił się myśląc o tym. Wziął następną garść orzeszków i

ledwo trafił do ust, a parę orzeszków stoczyło się na podłogę. Poczł się bardzo senny, więc podszedł do okna, by wietrzyk przeniknął przez przewiewną bawelną koszulkę do ciepłego ciała. Zbliżył się chwiejnie do wózka, przyjrzał się dziecku i odezwał się głośno i uroczyście:

- Cholerna sprawa.

Kobiety uśmiechnęły się.

- Chyba będę musiała położyć cię do łóżka - powiedziała Hella do Moski. Potem zwróciła się do Frau Saunders: - Po raz pierwszy spojrział na dziecko. Nie wierzysz, Walterze, że jesteś ojcem?

- Lepiej sobie poradzi z następnym - powiedziała Frau Saunders.

Mosca nadal przyglądał się dziecku. Nie było już brzydkie: zmarszczki na twarzy wypełniły się tworząc czystą, białą maskę. Kobiety znowu czytały. Mosca wrócił do okna.

- Nie bądź taki nerwowy - powiedziała Hella nie podnosząc głowy znad książki.

- Nie jestem nerwowy - powiedział Mosca.

Była to prawda. Człł się tak, jakby odkrywał pokój, naprawdę po raz pierwszy mu się przyglądał. Ponownie podszedł do wózka i obserwował śpiące dziecko. Zaczyna wyglądać jak człowiek - pomyślał. Potem odezwał się do Helli:

- Może poszlibyśmy jutro do klubu za miastem? Posiedzimy na trawie z wózkiem, a ja ci przyniosę kielbaski i lody z baru. Posłuchamy też orkiestry.

Hella skinęła głową, nadal czytając. Mosca zwrócił się do Frau Saunders:

- Może wybrałaby się pani razem z nami?

Frau Saunders podniosła głowę i powiedziała:

- Och, nie, będę miała gości.

Hella uśmiechnęła się do niej.

- On naprawdę tak myśli, w przeciwnym razie nie zaprosiłby pani. Będzie się mogła pani objeść lodami.

- Nie, naprawdę - powiedziała Frau Saunders. Powróciła do czytania.

Mosca zrozumiał, że nie chce iść z nimi, gdyż jest zbyt nieśmiała, że naprawdę myśli, iż zaprosił ją z uprzejmości.

- Serio - powiedział.

Frau Saunders uśmiechnęła się.

- Przynieście mi lody powiedziała.

Mosca przyniósł następną puszkę piwa z sypialni; wszystko w porządku - pomyślał.

- Ponieważ jesteś taki miły - odezwała się Hella - mam do ciebie prośbę. Frau Saunders ma wujka w Ameryce i chciałaby wysłać do niego list twoją pocztą wojskową.

- Jasne - powiedział Mosca.

To było normalne. Wszyscy Niemcy pisali do krewnych w Ameryce prosząc o paczki. Frau Saunders powiedziała:

- Dziękuję. - I dodała z ironicznym uśmiechem: - Wszyscy troszczymy się teraz o naszych kochanych wujków w Ameryce.

Hella i Mosca wybuchnęli śmiechem. Mosca nie mógł przestać i zaczął się krztusić piwem, które miał zamiar połknąć.

Kobiety podjęły czytanie, więc Mosca rzucił okiem na leżący na stole egzemplarz „Stars and Stripes” i powiedział:

- Może Leo wróci jutro z Hamburga i wybierze się z nami do klubu.

Hella podniosła głowę.

- Tym razem długo jest w podróży. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Mosca poszedł po jeszcze jedną puszkę piwa.

- Naprawdę nie chcecie się napić? - Potrząsnęły głowami. Stał przy oknie. - Myślę, że Leo chce tam spędzić weekend. Inaczej wróciłby wczoraj.

Hella odłożyła książkę na stół i powiedziała do Frau Saunders:

- Skończyłam. Bardzo dobra.

Frau Saunders powiedziała:

- Mam jeszcze inne w swoim pokoju, których pani nie czytała. Proszę je obejrzeć.

- Nie dzisiaj - odrzekła Hella.

Podeszła do okna, stanęła obok Moski i objęła go w pasie wsunawszy mu ramię pod koszulkę. Oboje patrzyli w ciemność, chłodzeni powiewem pachnącego drzewami wiatru. Czuli zapach ogrodów warzywnych i płynącej dalej rzeki; letnia noc tylko lekko zalatywała gryzącą wonią ruin. Chmury zakrywały księżyc w pełni, a w spokojnej ciemności Mosca słyszał rozmowy po niemiecku i śmiech dobiegający z pobliskich domów. Radio nastawione na stację w Bremie grało cichą muzykę smyczkową. Poczul

nagle ogromną ochotę, by pójść do Ratskeller lub do klubu, zagrać w kości lub napić się z Eddiem i Wolfem.

- Och, pijesz za dużo piwa - powiedziała Hella. - Mam nadzieję, że będziesz mógł sam pójść do łóżka.

Mosca pogładził ją po włosach mówiąc:

- Nie martw się o mnie, wszystko w porządku.

Przytuliła się do niego.

- Dobrze się dziś czuję - powiedziała. - Wiesz czego bym chciała? - Powiedziała to cicho, aby Frau Saunders nie usłyszała.

- Czego? - zapytał Mosca, a ona uśmiechnęła się do niego i podniosła głowę, by go pocałować w usta.

- Jesteś pewna, że można? - zapytał równie cicho jak ona. - Uplłynął tylko miesiąc. - Eddie Cassin powiedział mu, że powinien poczekać przynajmniej dwa miesiące.

- Ze mną już wszystko w porządku - powiedziała - nie martw się o mnie. Czuję się dziś wspaniale, jak stara mężatka, jak gdybyśmy byli razem od wielu lat.

Stali tak jeszcze przez chwilę, słuchając odgłosów miasta i nocy, po czym Mosca odwrócił się i powiedział do Frau Saunders:

- Dobranoc.

Przytrzymał drzwi bawialni, aby Hella mogła wyprowadzić wózek do sypialni. Idąc za nią sprawdził, czy drzwi do mieszkania są zamknięte.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Mosca siedział w cieniu rzucanym przez ogromny, pomalowany na biało dom, zarekwirowany klub na wsi. Przed nim rozciągał się tor łuczniczy z tablicami strzelniczymi w niebieskie i czerwone koła, obok siedziała Hella w niskim, wygodnym fotelu. Na rozległym trawniku rozsiedli się żołnierze i ich żony w otoczeniu wózków dziecięcych.

Wszystko spowijał spokój późnego niedzielnego popołudnia. Wieczór zapadał nieco szybciej niż zwykle. Mosca pomyślał: jesień blisko, w tym roku przychodzi wcześniej. Zieleń murawy pstrzyły plamy brązu, a liście ogromnych wiązów ocieniających pole golfowe miały czerwony odcień.

Spostrzegł Eddiego Cassina, który zbliżał się ku nim, obchodząc z daleka łuczników. Eddie usiadł na trawie i poklepał stopę Helli mówiąc:

- Cześć, dziecinko.

Hella uśmiechnęła się do niego i nadal czytała „Stars and Stripes” poruszając wargami.

- Dostałem list od żony - powiedział Eddie Cassin. - Nie przyjeżdża. - Milczał przez chwilę. - Coś na ostatek - powiedział i uśmiechnął się poważnie wykrzywiając delikatne usta. - Wychodzi za mąż za szefa. Powiedziałem ci, Walterze, że się z nim pieprzy. Nic wtedy nie wiedziałem. Po prostu intuicja. Jak ci się podoba taka intuicja, Walterze?

Mosca spostrzegł, że Eddie był już nieźle podpity.

- Do licha, Eddie, przecież nie jesteś typem żonkosia.

- Ale mogłem być - powiedział Eddie Cassin. - Mógłbym spróbować. - Wskazał ręką na kremowy wózek, który pięknie wyglądał na zielonym kobiercu trawy, z wystającym z niego niebieskim wełnianym kocykiem. - Ty nie jesteś żonkosiem, ale próbujesz.

Mosca roześmiał się.

- Uczę się - powiedział. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. - Może byście przyszli wieczorem do Ratskeller? - zapytał Eddie.

- Nie - powiedział Mosca. - Mamy jedzenie w domu. Może byś do nas wpadł?

- Muszę iść. - Eddie wstał. - Nie mogę siedzieć u was przez cały wieczór. -

Odszedł, przesuając się pomiędzy łucznikami i tablicami strzelniczymi.

Mosca oparł się o nogi Helli i wystawił twarz na blade promienie zachodzącego słońca. Zapomniiał zapytać Eddiego o zezwolenie na ślub. Powinno już nadejść.

Pomyślał o powrocie do domu, o przybyciu do domu matki wraz z żoną i dzieckiem. Gloria wyszła za mąż (uśmiechnął się), więc kłopot z głowy. Ale dziwnie było wracać na stałe, choć łatwiejsze to teraz niż dawniej.

Przyglądając się łucznikom niezdarnie napinającym cięciwy i wypuszczających strzały przypomniał sobie starszego żołnierza w wiejskim domu za linią frontu, używanym do pokazywania filmów oddziałom odwodowym. Wysoko ułożone drewna na podpałkę służyły za siedzenia, a ten stary żołnierz, musiał mieć około czterdziestki - pomyślał Mosca - trzymał jedno z trojga francuskich dzieciaków, sześciolatniego chłopca, pomiędzy kolanami i ostrożnie cesał mu niesforne, splątane włosy, robiąc równy przedziałek i zmierzwiając grzywkę z przodu. Potem, starannie, delikatnymi i sprawnymi ruchami uczesał dwoje pozostałych dzieci, dziewczynkę i drugiego chłopca, odwracając ich, by zrobić równy przedziałek. Skończywszy, stary żołnierz dał każdemu dziecku tabliczkę czekolady, a potem wziął karabin oparty o ścianę i trzymał go między kolanami.

Siedząc teraz na zielonej trawie usianej wózkami dziecinnymi, uznał za ważne powrócić pamięcią do przeszłości i przypomniał sobie czarnoskórego żołnierza, który wyrzucał z ciężarówki wielkie puszki soku ananasowego znużonym oddziałom posuwającym się powoli z plaży w kierunku odgłosu ciężkich dział, które nakazywały im gotowość, podobnie jak dźwięk, dzwonów kościelnych w niedzielę wzbudza w duszy ochotę. Odgłos dział wzrastał w miarę, jak się zbliżali, nabierał rezonansu, odgłos dział stawał się bardziej zwarty, a salwy lżejszej broni brzmiały jak minorowe akordy; a przed ostatecznym wejściem, ostatecznym aktem wejścia, gdy odprawiali rytuał ciała i umysłu, jak gdyby wchodzili do kościoła - tu jego pamięć się urwała i powróciła do słodkiego chłodu soku ananasowego z puszki, postoju przy drodze, podawania puszki z ust do ust. A z tej drogi do drogi skąpanej w świetle księżyca, do francuskiej wioski składającej się z kamiennych domków, zaciemnionych, na tle których widać jednak było wyraźnie zaparkowane ciężarówki, jeepy i olbrzymie lawety. Przy końcu uliczki stał czołg, na którym rozwieszono świeżo wypraną odzież, by wyschła w świetle księżyca.

Brzdęk cięciwy i odgłos uderzenia o cel jak gdyby wzbudziły chłodny wieczorny

powiew. Hella podniosła wzrok znad lektury, a Mosca powstał.

- Czy zjadłabyś coś przed powrotem? - zapytał.

- Nie - powiedziała Hella. - Jestem najedzona. Obawiam się, że żąb znów mnie zaczyna boleć.

Mosca dostrzegł na jej szczęce małe sine zgrubienie.

- Powiem Eddiemu, żeby cię zabrał do dentysty w bazie lotniczej.

Zebraли rzeczy z fotela i trawy i włożyli do wózka. Dziecko nadal spało. Wyszli z ogrodów w kierunku przystanku tramwajowego. Gdy tramwaj nadjechał, Mosca długimi ramionami wniósł wózek na tylny pomost.

Dziecko zaczęło płakać, więc Hella wzięła je na ręce. Konduktor czekał, by zapłacili za bilety, lecz Mosca powiedział po niemiecku:

- Jesteśmy Amerykanami.

Konduktor przyjrzał mu się, ale nic nie powiedział.

Kilka przystanków dalej wsiadły dwie dziewczyny z Korpusu Kobiecego. Jedna z nich zauważyła dziecko w ramionach Helli i odezwała się do drugiej:

- Jakie fajne niemieckie maleństwo.

Druga dziewczyna pochyliła się, by mu się przyjrzeć i powtórzyła głośno kilkakrotnie:

- Och, jakie śliczne maleństwo. - A spojrzawszy na Helle, czy zrozumiała, powiedziała: - *Schön, schön*.

Helia uśmiechnęła się i spojrzała na Moskę, lecz ten nie zareagował. Jedna z dziewcząt wyjęła z torebki tabliczkę czekolady, a gdy dojechali do przystanku, szybko wcisnęła ją dziecku. Hella nie zdążyła zaprotestować, gdyż natychmiast wysiadły i oddaliły się.

Mosca najpierw odczuwał rozbawienie, lecz teraz się rozłościł. Wziął czekoladę i wyrzucił ją na ulicę.

Gdy wysiedli z tramwaju i szli do domu, Hella odezwała się:

- Nie denerwuj się tym, że wzięły nas za Niemców.

Było to jednak coś więcej. Przestraszył się, jak gdyby naprawdę byli Niemcami, zdani na dobroczynność i upokorzenie, tak jak pokonani.

- Wkrótce stąd wyjedziemy - powiedział. - Pomówię jutro z Eddiem o

przyspieszeniu pozwolenia. - Po raz pierwszy poczuł, że mu się spieszy.

Eddie Cassin opuścił klub na wsi nie wiedząc, gdzie ma iść. Widok Moski sprawiał mu ból, Moski, który siedział na trawie, z głową opartą na kolanach Helli, z jedną ręką na kole kremowego wózka. Złapawszy tramwaj pomyślał:

- Odwiedzę goryla.

Ta myśl rozweseliła go na tyle, że przyglądał się dziewczętom idącym do śródmieścia. Dotarłszy do śródmieścia poszedł w kierunku rzeki, przeszedł mostem nad Wezerą i złapał inny tramwaj jadący do Neustadt. Wsiadł na ostatnim przystanku przed odcinkiem torów wiodącym do bazy lotniczej.

Stał tu rząd nietkniętych budynków. Wszedł do jednego z nich, wspiał się po schodach na trzecie piętro i zapukał. Usłyszał głos Elfreidy:

- Chwileczkę. - Po chwili otworzyła drzwi.

Eddie Cassin zawsze doznawał wstrząsu na jej widok. Delikatne kształty, pełne, a w rzeczywistości pełniejsze niż się wydawały, zgrabne nogi i biodra, a potem ta monstrualna głowa z subtelnymi fiołkowymi oczyma, czerwono podkrążonymi jak u królika.

Eddie Cassin wszedł i usiadł na kanapie pod ścianą.

- Daj mi coś do picia, kochanie - powiedział.

Trzymał u niej zapas alkoholu; mógł sobie na to bezpiecznie pozwolić. Wiedział, że Elfreida nigdy go nie tknęła, chyba że w jego obecności. Gdy przyrządzała mu drinka, przyglądał się zafascynowany ruchom jej głowy.

Była za duża w stosunku do ciała, a włosy wyglądały jak sterta kolców z miedzianego drutu. Skórę miała starą, wyglądającą jak skóra kurczaka, z żółtym, tłustym połyskiem i ogromnymi porami. Nos był spłaszczony, jak gdyby rozwalony okrutnymi ciosami, a jej wargi, póki ich nie umalowała, co zawsze robiła, gdy przychodził Eddie, wyglądały jak dwie nabrzmiałe pręgi koloru cielęciny. Miała obwisły podbródek i opadającą szczękę. Lecz gdy poruszała się po pokoju rozmawiając z nim, jej głos brzmiał miękko i melodyjnie, wibrowała w nim nuta dawno utraconej młodości. Mówiła bardzo dobrze po angielsku, miała zdolności do języków i zarabiała na życie jako tłumaczka. Czasem dawała Eddiemu lekcje niemieckiego.

Eddie czuł się tu wygodnie i bezpiecznie. Zawsze zapalała w pokoju świece, a Eddie myślał, chichocząc, że pewnie używała ich także do innych celów. Pod przeciwległą ścianą stało łóżko, a obok, przy ścianie naprzeciwko okna, biurko z fotografią jej męża, przystojnego faceta, pokazującego nierówne zęby w sympatycznym uśmiechu.

- Nie oczekiwałam cię dzisiaj - powiedziała Elfreida.

Podawała mu drinka i usiadła na kanapie w pewnej odległości. Przekonała się, że jeśli uczyni jakiś gest wyrażający uczucie lub pożądanie, Eddie wyjdzie, lecz jeśli poczeka, aż się upije, wówczas zgasi świece i zaciągnie ją siłą do łóżka, ona zaś będzie musiała udawać, że nie ma na to ochoty.

Eddie siedział rozparty na kanapie, pijąc i przypatrując się fotografii. Mąż zginął pod Stalingradem, a Elfreida często mu opowiadała, jak wraz z innymi kobietami w wyznaczonym dniu włożyła żałobę, by uczcić Niemców, których tylu tam zginęło, że teraz sama nazwa Stalingrad brzmiała dla kobiet straszliwie.

- Ciągle myślę, że był gnomem - powiedział Eddie Cassin. - Dlaczego się z tobą ożenił?

Przyglądał się jej wzburzeniu i rozpacz; zawsze ją do tego doprowadzał, gdy był w złym humorze.

- Powiedz mi, czy się z tobą kochał? - zapytał Eddie Cassin.

- Tak - odpowiedziała cicho Elfreida.

- Jak często?

Nie odpowiedziała.

- Raz na tydzień?

- Częściej - powiedziała.

- No, może nie całkiem był gnomem - powiedział Eddie sentencjonalnie. - Ale jedno ci powiem, zdradzał cię.

- Nie - powiedziała, a on zauważył z zadowoleniem, że zaczęła już płakać.

Eddie wstał.

- Jeśli będziesz się tak zachowywać, nie chcąc nawet ze mną rozmawiać, to lepiej sobie pójdę.

Wiedziała, że grał, lecz wiedziała również, jak ma zareagować. Upadła na kolana i objęła jego nogi ramionami.

- Proszę ci, Eddie, nie odchodź. Proszę, nie odchodź.

- Powiedz, że twój mąż był gnomem, powiedz mi prawdę.

- Nie - powiedziała podnosząc się i płacząc ze złości. - Nie powtarzaj tego. Był poetą.

Eddie napił się znowu i powiedział uroczyście:

- Widzisz, od razu wiedziałem. Wszyscy poeci to gnomy. Rozumiesz? Poza tym, mogę to poznać po jego zębach. - Uśmiechnął się do niej chytrze.

Płakała histerycznie z wściekłości i bólu.

- Możesz iść - zawołała - idź sobie, ty bydlę, wstrętne, obrzydliwe bydlę.

Gdy się zamierzył i uderzył ją w twarz, a potem zaciągnął i cisnął na łóżko, uświadomiła sobie, że wpadła w pułapkę, że ją celowo rozzłościł, by się podniecić. Kiedy rzucił się na nią, próbowała nie reagować, lecz wkrótce poddała się jego szalowi i jak zawsze dała się ponieść swojemu własnemu pożądaniu. Jednakże tego wieczoru było gorzej niż zwykle. Zapadli się głębiej w łóżko i we własną namiętność. Zmusił ją do picia whisky z butelki i upokarzał ją w rozmaity sposób. Zmusił ją do pełzania na czworakach i błagania z otwartymi ustami. Zmusił ją do galopu po pokoju w ciemności, każąc zmieniać tempo na rozkaz. Wreszcie zlitował się nad nią i powiedział: Prrr. - Zatrzymała się, a wówczas pozwolił jej przyjść do łóżka i wziął ją w ramiona.

- Powiedz, że twój mąż był gnomem. - Szykował się już do ponownego wypchnięcia jej z łóżka.

Dziecinnie i pijacko powtórzyła za nim:

- Mój mąż był gnomem.

Potem umilkła i leżała na wznak na łóżku. Zmusił ją, by usiadła, gdyż chciał patrzeć na cień rzucany przez jej długie, stożkowate piersi. Jak piłki, prawie całkiem jak piłki. Eddie dziwił się. W ubraniu wydawała się pospolita. Doświadczył ogromnej rozkoszy, gdy po raz pierwszy odkrył taki skarb.

- Niedobrze mi, Eddie - powiedziała. - Muszę pójść do łazienki.

Pomógł jej i posadził ją nagą na sedesie. Potem nalał sobie drinka i położył się na łóżku.

- Biedna Elfreida - pomyślał Eddie Cassin - biedna Elfreida. Zrobi wszystko dla sztywnego kutasa.

Gdy ją po raz pierwszy zobaczył w tramwaju, domyślił się wszystkiego z szybkiego spojrzenia, którym go obrzuciła. Nasyciwszy żądze, wyzbywszy się namiętności i nienawiści, zastanawiał się teraz, nie żałując niczego, nad swym okrucieństwem wobec niej i nad rozmyślnym niszczeniem pamięci jej męża. Cóż to był za facet, żeby się ożenić z kobietą z taką głową? Z tego, co mu Elfreida mówiła na początku, wynikało, że facet szalał za nią, a jeśli się ma takie ciało jak ona, można darować wiele rzeczy. Ale nie taką głowę - pomyślał Eddie.

Zrobił sobie następnego drinka i wrócił do łóżka. A więc miała szczęście, że znalazła jedyne w świecie faceta, który dostrzegł duszę pod maską, jaką jej dała natura, a z tego, co mówiła, i ze zdjęcia wynikało, że był to świetny facet. On zaś niszczył pamięć o nim.

Słyszał, jak Elfreida wymiotuje w łazience. Było mu jej żal, gdyż terroryzował ją, by uśmierzyć własny strach. Teraz jego życie ostatecznie i nieodwołalnie utraciło wszelkie podstawy. Nie mógł winić za to żony. Nigdy nie potrafił ukryć obrzydzenia, gdy było jej niedobrze. W ciąży była brzydka, cały czas wymiotowała jak Elfreida teraz. Nigdy jej wtedy nie dotknął.

Eddie napił się jeszcze. Maciło mu się w głowie, nadal jednak myślał o żonie, jak gdyby stała obok, z rozstawionymi szeroko nogami; przyszła mu na myśl stara lodówka, którą kiedyś miała matka, przypomniał sobie, jak schodził codziennie do piwnicy węglarza i przynosił w ciężkim drewnianym wiaderku oszroniony kawał lodu, a potem opróżniał duży pojemnik pod lodówką, do którego spływała woda w miarę topnienia lodu. Gdy każdego ranka wypróżniał ten pojemnik, w ciemnej wodzie pływały resztki zepsutego jedzenia, skrawki gazet, wilgotne kłębki brudu i zdechłe karaluchy, dziesięć, czasem trzydzieści, pływały na twardych brązowych skorupach, z cienkimi jak nitki czułkami rozpląszczonymi na wodzie jak strużki wodnistej krwi. Wyobrażał sobie teraz, że żona stoi obok z szeroko rozstawionymi nogami, a między jej stopami spoczywa na podłodze duży emaliowany pojemnik. Z jej ciała wypadają powoli resztki zepsutego jedzenia, kłębki kurzu i zdechłe karaluchy o brązowych skorupach, wypadają jeden za drugim.

Podniósł się i zawołał:

- Elfreida.

Nie odpowiedziała. Poszedł do łazienki i znalazł ją na podłodze; jej ciężkie piersi

przyciśnięte były do posadzki. Podniósł ją i zaniósł do łóżka, i tam dopiero zobaczył, że płacze cicho i bezradnie. Wydało mu się nagle, że stoi gdzieś daleko, patrząc na nią i na Eddiego Cassina. Dostrzegł własną twarz odbijającą się w świecach i w letniej nocy; ciało jego przeszło grot strachu. Zawołał w myśli.

- Boże, Boże, pomóż mi. Proszę Cię, pomóż mi.

Całował jej twarz, duże usta, nos i żółte policzki.

- Przestań płakać - powiedział - proszę cię, przestań płakać. Twój mąż był wspaniałym człowiekiem, nie był wcale gnOMEM. To był tylko żart.

W myśli ujrzał siebie jako chłopca, dawno temu, jak słucha kogoś czytającego mgliście zapamiętane bajki. To słowo, bajki, było kiedyś takie piękne, a teraz, jak wszystko niegdyś niewinne, przeżarte zepsuciem. Głos czytał:

- Zagubiona, zagubiona, zagubiona w lesie. Biada zagubionej księżniczce.

Ujrzał w myśli teraz, podobnie jak kiedyś gdy był chłopcem, obraz niewinnego dziewczęcia w koronie i w białym koronkowym welonie, o delikatnych rysach anioła i wiotkim ciele niedorosłej dziewczynki bez żadnych okrągłości w okolicy bioder i piersi, bez żadnych cech dorosłości, które mogłyby skazić czystość jej kształtów. Wówczas (było to w szkole czy w domu, w sypialni?) wyglądając przez okno, patrząc zażawionymi oczyma na kamienny las, płakał cicho i bezradnie, a poza nim powtarzał błagalnym tonem:

- Biada zagubionej królownie.

Tego wieczoru Hella i Mosca zostawili dziecko z Frau Saunders i poszli na Metzer Strasse, gdzie Mosca miał nadal oficjalną kwaterę. Mosca niósł niebieski worek sportowy z ręcznikami i czystą bielizną.

Oboje byli spoceni i brudni i mieli ochotę na długą kąpiel. W domu Frau Saunders nie było bojlera z ciepłą wodą.

Przed budynkiem stała Frau Meyer. Miała na sobie białe spodnie i białą bluzkę, prezenty od Eddiego Cassina. Paliła amerykańskiego papierosa i wydawała się bardzo z siebie zadowolona.

- Cześć - powiedziała. - Nie byliście u nas od bardzo dawna.

- Nie próbuj mi wmówić, że jesteś samotna - powiedział Mosca.

Frau Meyer zaśmiała się ukazując wystające zęby.



- Nie, ja nigdy nie jestem samotna. Na pewno nie w domu pełnym mężczyzn.

Helia zapytała:

- Frau Meyer, nie wie pani, czy Leo wrócił z Hamburga?

Frau Meyer spojrzała na nich ze zdziwieniem:

- Przecież wrócił w piątek. Nie pokazał się u was?

- Nie - powiedział Mosca - i nie widziałem, żeby jadał w Ratskeller czy w klubie.

Wyraz zadowolenia powrócił na twarz Frau Meyer.

- Jest w swoim pokoju i ma wspaniale podbite oko. Dokuczałam mu z tego powodu, ale był wyraźnie zły, więc dałam mu spokój.

- Mam nadzieję, że nie jest chory - powiedziała Hella.

Weszli po schodach i zapukali do drzwi pokoju Leo. Mosca zapukał głośniejsze, lecz nie było odpowiedzi. Spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte.

- Ta Meyer musiała coś przegapić - powiedział Mosca - chyba wyszedł.

Poszli do jego pokoju, gdzie Mosca się rozebrał i poszedł do łazienki na końcu korytarza. Leżał w wannie tak długo, ile trzeba na wypalenie jednego papierosa, po czym umył się szybko. Gdy wrócił do pokoju, Hella odpoczywała na łóżku z dłońmi przyciśniętymi do policzka.

- Co się stało? - zapytał Mosca.

- Boli mnie ząb - powiedziała Hella - po tych cukierkach i lodach, które dzisiaj zjadłam.

- Zabiorę cię jutro do dentysty - powiedział Mosca.

- Nie, to przejdzie - powiedziała Hella. - Już raz tak było.

Podczas gdy Mosca się ubierał, ona się rozebrała, włożyła wilgotny płaszcz kąpielowy i wyszła na korytarz.

Mosca zawiązywał sznurowadła, gdy usłyszał, że ktoś się porusza w pokoju Leo. Przez chwilę pomyślał, że to może niemiecki służący kradnie, toteż zawołał ostro:

- Leo?

Odczekał, a wkrótce usłyszał głos Leo przez ścianę:

- To ja.

Mosca wyszedł z pokoju, a Leo otworzył drzwi. Gdy wszedł, Leo już się oddalał w kierunku łóżka.

- Dlaczego do nas nie wpadłeś? - zapytał Mosca.

Leo wszedł do łóżka, a gdy się odwrócił, by się położyć na wznak, Mosca ujrzał jego twarz. Pod jednym okiem widniała ciemnosiną plama i guz na czole. Twarz miała nabrzmiałą i spuchniętą.

Mosca przyglądał mu się przez chwilę, a potem podszedł do stołu i usiadł przy nim. Zapalił cygaro. Wiedział, co się stało, gdyż widział wczoraj nagłówki w „Stars and Stripes”. Nie dotarło to wówczas do niego z powodu dużej ilości wypitego piwa.

Było tam zdjęcie statku, który wpłynął do portu w Hamburgu. Statek był czarny od ludzi. Pod zdjęciem był artykuł o tym, jak ten statek próbował dotrzeć do Palestyny wioząc na pokładzie byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Brytyjczycy zatrzymali statek i zawrócili go do Hamburga. Ludzie odmówili opuszczenia statku i zostali do tego zmuszeni przez uzbrojone oddziały.

Mosca zapytał spokojnie:

- Widziałeś to zdarzenie w Hamburgu, prawda?

Leo skinął głową. Mosca myślał przez chwilę, paląc, układając wszystkie fakty, to, że Leo nie przyszedł do nich, nie odpowiedział na pukanie do drzwi.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał Mosca.

Leo potrząsnął głową.

- Nie - powiedział. - Zostań trochę.

- Kto cię pobił, Angole?

Leo skinął głową.

- Usiłowałem powstrzymać ich od bicia człowieka, którego zabrali ze statku. I dostałem to. - Wskazał na twarz.

Mosca zauważył, że jego tik zniknął, jak gdyby szok sparaliżował mięśnie.

- Jak to było?

Leo powiedział wymijająco:

- Nie czytałeś gazet?

Mosca niecierpliwie machnął ręką.

- Co się stało?

Leo siedział na łóżku milcząc, a potem nagle łzy popłynęły mu po twarzy. Tik szarpnął jednym policzkiem, więc przyłożył dłoń, by przytrzymać mięśnie. Wybuchnął:

- Mój ojciec się mylił. Mój ojciec się mylił.

Mosca nie odezwał się, a po chwili Leo opuścił ręce. Tik się uspokoił. Leo powiedział:

- Widziałem, jak biją tego człowieka, którego zwlekli po trapie. Powiedziałem: „Przestańcie”, byłem zdumiony i po prostu odepchnąłem jednego z nich. Drugi powiedział: „Dobra, ty śmierdzący Żydzie, to dla ciebie”. - Leo świetnie naśladował londyński dialekt. - Gdy leżałem na ziemi, zobaczyłem, że niemieccy dokerzy śmieją się ze mnie, z nas wszystkich. Wtedy pomyślałem o moim ojcu. Nie pomyślałem, że się mylił. Po prostu pomyślałem o nim, co by powiedział, widząc swego syna w takiej sytuacji. Co by wtedy pomyślał?

Mosca powiedział powoli:

- Mówię ci od dawna, to nie jest miejsce dla ciebie. Słuchaj, wracam do Stanów, gdy tylko nadejdzie pozwolenie na ślub. Krążą pogłoski, że baza lotnicza będzie zamknięta, więc i tak zostanę bez roboty. Czemu nie pojedziesz z nami?

Leo pochylił głowę. Propozycja nie poruszyła go, nie wzbudziła chęci przyjęcia jej ani przychylności dla Moski, ani uczucia przyjaźni.

- Żydzi są całkiem bezpieczni w Ameryce? - zapytał Leo z goryczą.

- Tak mi się zdaje - powiedział Mosca.

- Tak ci się zdaje?

- Nigdy nie ma pewności - powiedział Mosca.

Leo nie odezwał się. Pomyślał o angielskich żołnierzach w szorstkich wełnianych mundurach, tych samych, którzy płakali, gdy wyzwalałi jego i innych więźniów, zdjęli własne ubrania, opróżnili własne ciężarówki z żywności; wówczas wierzył swemu ojcu; ludzie są dobrzy, człowiek łatwo lituje się nad innymi, częściej kocha niż nienawidzi.

- Nie - odezwał się do Moski. - Nie mogę pojechać z wami. Załatwiłem wyjazd do Palestyny. Wyjeżdżam za kilka tygodni. - Po czym, czując, że powinien swą decyzję nieco wyjaśnić, dodał: - Czuję się teraz bezpieczny tylko wśród moich współziomków.

Mówiąc to zdał sobie sprawę, że czyni mu wyrzuty, że stosunek Moski do niego jest bardzo osobisty, że w razie niebezpieczeństwa Mosca broniłby jego, Leo, lecz nie broniłby Żyda, którego by nie znał i który by go nie obchodził. Jednakże ta przyjaźń już mu nie wystarczała, nie mogła mu zapewnić bezpieczeństwa. Nigdy nie czułby się

bezpieczny, nawet w Ameryce, bez względu na osiągnięty sukces materialny. Gdzieś w głębi czaiłby się strach, iż może utracić bezpieczeństwo, bez żadnej możliwości przeciwdziałania temu, i że nawet tacy przyjaciele jak Mosca nie oponowaliby. Twarz wyzwoliciela i prześladowcy była jedną twarzą, zlaną w jedno, przyjaciel i wróg był już tylko wrogiem. Przypomniawszy sobie dziewczynę, z którą żył tuż po wyjściu z Buchenwaldu, szczupłą i wesołą Niemkę o radosnym i niemal złośliwym uśmiechu. Pojechał kiedyś na wieś i wrócił z gęsią i parą kurczaków. Gdy jej powiedział, jak mało za nie dał, spojrzała na niego i powiedziała niepokojącym tonem, uśmiechając się:

- A więc jesteś taki dobry w interesach.

Mimo to teraz, kiedy sobie uświadomił, jakie przekonanie kryło się pod tymi słowami, odczuwał tylko nieco goryczy. Była dla niego czuła i kochająca, zależało jej na nim, traktowała go z szacunkiem i uczciwie, poza tym jednym wypadkiem. Jednakże to ona i inni jej podobni wypalili mu na ramieniu niebieskie cyfry, które będzie nosić do śmierci. Gdzie mógłby się schronić przed takimi ludźmi? Nie w Ameryce, na pewno nie w Niemczech. Gdzie mógłby pojechać?

- Ojcie, ojcie - wołał w myślach - nigdy mi nie powiedziałeś, że każdy człowiek nosi swój własny drut kolczasty, swoje piece, swoje laski do bicia, gdziekolwiek by nie poszedł; nie nauczyłeś mnie nienawiści ani niszczenia, a teraz, kiedy mnie upokarzają, wysmiewają się ze mnie, czuję tylko wstyd, nawet nie gniew, jak gdybym zasługiwał na każdy cios, na każdą zniewagę, więc gdzie mam pojechać? W Palestynie zastanę drut kolczasty tak samo jak w niebie czy piekle.

Po czym po prostu pomyślał, jak gdyby wiedział to po kryjomu od dawna, że również ojciec był jego wrogiem.

Nie miał już o czym myśleć. Spostrzegł, że Mosca milczy, paląc cygaro.

- Wyjeżdżam chyba za dwa tygodnie, do Palestyny, lecz Bremę opuszczam za kilka dni.

Mosca odezwał się powoli:

- Chyba masz rację. Odwiedź nas przed wyjazdem.

- Nie - powiedział Leo - nie z przyczyn osobistych. Nie chcę się z nikim widzieć.

Mosca zrozumiał. Wstał i wyciągnął rękę.

- Dobra, Leo, na szczęście.

Podali sobie ręce. Usłyszeli, że Hella otwiera drzwi do pokoju obok.

- Nie chcę się z nią widzieć - powiedział Leo.

- W porządku - powiedział Mosca i wyszedł.

Helia ubierała się.

- Gdzie byłeś? - zapytała.

- U Leo, wrócił.

- Świetnie, zawołaj go.

Mosca zastanawiał się przez chwilę.

- Nie chce się teraz z nikim widzieć. Miał drobny wypadek i uszkodził sobie twarz.

Myszę, że nie chce, żebyś go widziała w takim stanie.

- To niemądre - powiedziała Hella.

Gdy się ubrała, wyszła z pokoju i zapukała do drzwi Leo. Mosca został w swoim pokoju, odpoczywając na łóżku. Słyszał, jak Leo otwiera drzwi Helli, i słyszał, jak rozmawiają, a ich głosy dobiegały jak niewyraźne szepty. Nie chciał tam wejść; nic więcej nie mógł zrobić.

Mosca zdrzemnął się, a gdy się obudził, zdał sobie sprawę, że jest bardzo późno, gdyż w pokoju było całkiem ciemno. Usłyszał, że Leo i Hella nadal rozmawiają w pokoju obok. Odczekał kilka minut, po czym zawołał:

- Hej, a może by tak zjeść coś, zanim zamkną Czerwony Krzyż?

Głosy umilkły, a za chwilę odezwały się ponownie. Potem usłyszał, że otwierają się drzwi, a po chwili weszła Hella i zapaliła światło.

- Jestem gotowa - powiedziała - chodźmy.

Spostrzegł, że zagryza wargi, by się powstrzymać od płaczu.

Mosca wziął niebieski sportowy worek, do którego uprzednio wepchnął mokre ręczniki i brudną bieliznę. Zeszli po schodach i wyszli z budynku. Frau Meyer nadal stała na schodach.

- Widzieliście się z naszym przyjacielem? - zapytała.

W jej głosie brzmiał nieco protekcyjny i rozbawiony ton.

- Tak - powiedziała sucho Hella.

Idąc przez Kurfürsten Allee Mosca zapytał:

- Powiedział ci wszystko?

- Tak - powiedziała Hella.

- O czym tak długo rozmawialiście, do licha?

Nie odezwała się przez chwilę.

- O tym, kiedy byliśmy dziećmi. On wychował się w dużym mieście, ja dorastałam na wsi, ale oboje mieliśmy podobne doświadczenia. Gdy byliśmy dziećmi, dobrze było mieszkać w Niemczech.

- Wszyscy wyjeżdżają - powiedział Mosca. - Najpierw Middleton, teraz Leo, a wkrótce Wolf. Zostajemy tylko my i Eddie. Będę musiał uważać na ciebie i Eddiego.

Helia spojrzała na niego bez uśmiechu. Twarz miała zmęczoną, oczy jej były bladoszare. Sine zgrubienie rozrosło się w długą pręgę wzdłuż szczęki.

- Chcę wyjechać jak najszybciej - powiedziała. - Nie lubię Eddiego, nie chcę, żebyś z nim przebywał. Wiem, że jest dobrym przyjacielem, dużo dla nas robi. Ale boję się go. Nie ze względu na mnie, ale na ciebie.

- Nie martw się - powiedział Mosca. - Nasze pozwolenie na ślub wkrótce nadejdzie. Wyjedziemy z Niemiec w październiku.

Gdy zbliżali się do domu, Hella zapytała ze znużeniem w głosie:

- Walterze, czy myślisz, że świat będzie lepszy dla bezbronnych ludzi?

- Nie wiem - powiedział - ale nie martw się, nie jesteśmy bezbronni.

Potem, żeby ją rozweselić, dodał:

- Napisałem o tym wszystkim do matki. Jest naprawdę szczęśliwa, zwłaszcza, że wracam do domu. Ma nadzieję, że znalazłem dobrą dziewczynę.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Myślę, że jestem dobra - powiedziała ze smutkiem Hella. - Zastanawiam się, co pomyśleliby o mnie mój ojciec i matka, gdyby żyli. Nie byłiby szczęśliwi. - Zamilkła na chwilę. - Chyba nie uważaliby mnie za dobrą dziewczynę.

- Próbujemy być dobrzy, kochanie - powiedział Mosca - próbujemy jak cholera. To zupełnie inny świat.

Skreślili na ścieżkę wiodącą do domu, idąc do drzwi za snopem księżycowego światła. Przez ściany kamiennego domu dobiegł płacz dziecka, nie rozpaczliwy, lecz domagający się uwagi. Hella uśmiechnęła się do Moski.

- Co za smarkacz - powiedziała, lecz wyprzedzając go wbiegła po schodach.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Helia przysłała do bazy lotniczej po raz pierwszy, toteż Mosca wyszedł jej na spotkanie poza ogrodzenie, by ją przeprowadzić obok strażników. Wyglądała zgrabnie i elegancko w kostiumie uszytym z różowego wojskowego materiału. Kupił ten materiał w wojskowym sklepie na kartkę Ann Middleton. Do kostiumu włożyła białą bluzkę i biały kapelusz z woalką. Woalka zakrywała spuchnięty policzek. Wchodząc przez bramę bazy Hella trzymała się ramienia Moski.

W Wydziale Personelu Cywilnego Inge wstała od biurka, by przywitać się z Hellą. Podały sobie ręce i wyszeptaly nazwiska. Herr Topp, główny referent, przyszedł z sekretariatu z papierami do podpisu dla Eddiego Cassina. Uśmiechał się i przymilał.

- Mamy w bazie świetnego dentystę; amerykańscy dentyści są najlepsi - zapewnił Hellę Herr Topp.

- Załatwisz to z kapitanem Adlockiem? - zapytał Mosca Eddiego.

Eddie skinął głową, po czym zwrócił się grzecznie do Helli:

- Jak się czujesz?

- Trochę boli - powiedziała Hella.

Czuła wyraźnie, jaką władzę mieli Mosca i Eddie nad tymi ludźmi, jaki szacunek okazywali Herr Topp i Inge, tutaj bowiem role zwycięzcy i zwyciężonego były wyraźnie określone, nie zamazane przez pleć czy osobiste przysługi. Onieśmieliło ją to w stosunku do Eddiego, a nawet do Moski, więc powiedziała niemal się usprawiedliwiając:

- Niemieccy dentyści nic na to nie mogli poradzić.

- Mamy lekarstwa, których oni nie mają - zapewnił Eddie. - Kapitan Adlock cię wyleczy. - Zwrócił się do Moski. - Możesz ją tam teraz zaprowadzić.

Helia i Mosca wyszli z Wydziału Personelu Cywilnego. Niemieccy urzędnicy w sekretariacie przerwali pracę, jak gdyby zaciekawieni i zaskoczeni faktem, że brzydki Amerykanin o oschłym sposobie bycia i okrutnej twarzy wybrał sobie taką nieśmiałą, uroczą dziewczynę, szczupłą i wysoką, zupełnie inną niż mogliby się po nim spodziewać.

Udali się do centrum bazy, przecinając drogi wiodące do hangarów, pól startowych, budynku administracji, aż wreszcie dotarli do długiego niskiego baraku pełniącego funkcję apteki i szpitala.

Fotel dentystryczny z czarnej skóry był pusty, podobnie gabinet o białych ścianach.

Po chwili wszedł niemiecki lekarz w białym fartuchu. Odezwał się:

- Kapitan Adlock polecił mi panią przyjąć. Jest w tej chwili zajęty. Proszę bardzo. -  
Wskazał Helli fotel.

Zdjęła kapelusz z woalką i podała Mosce. Przyłożyła dłoń do spuchniętego policzka, jakby go chciała zasłonić, po czym usiadła w fotelu. Mosca stał obok, ona zaś wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię. Dentysta zmrużył oczy na widok jej spuchniętego policzka. Pomógł jej otworzyć usta, rozsuwając szczęki łagodnie lecz stanowczo. Przyglądał się przez chwilę. Potem zwrócił się do Moski:

- Nic nie możemy zrobić, póki infekcja nie ustąpi. Objęła cały korzeń, aż do kości. Pani potrzebna jest penicylina i gorące okłady. Gdy opuchlizna ustąpi, będę mógł usunąć korzeń.

Mosca zapytał:

- Czy może jej pan dać zastrzyki?

Dentysta wzruszył ramionami.

- Nie mogę. Penicylina jest pod zamknięciem i tylko lekarze amerykańscy mają prawo ją wydawać. Czy mam poprosić kapitana Adlocka?

Mosca skinął głową. Niemiec wyszedł z pokoju.

Helia podniosła głowę i uśmiechnęła się do Moski, jakby przepraszając za kłopot, którego jest przyczyną. Tylko jedna strona jej twarzy drgnęła w uśmiechu. Mosca odpowiedział uśmiechem i odezwał się:

- W porządku.

Położył na krześle jej kapelusz z woalką.

Czekali długo. Wreszcie przyszedł kapitan Adlock. Był to tęgi, młody, sympatyczny mężczyzna, który nosił mundur z niedbałością rekruta; krawat niedbale zawiązany i poluzowany pod rozpiętym kołnierzykiem, rozpięta bluza.

- No, zobaczymy - powiedział wesoło i wsunął obojętnie palce w usta Helli, by je otworzyć. - Tak, niestety, mój chłopiec ma rację. - Skinął w stronę starszego niemieckiego dentysty, który właśnie wszedł do gabinetu. - Musi wziąć zastrzyki z penicyliny i okłady. Gdy opuchlizna ustąpi, zajmiemy się nią bez problemu.

Mosca wiedział, jaką otrzyma odpowiedź, musiał jednak zapytać:

- Czy może jej pan dać penicylinę?



Uświadomił sobie, że jego głos brzmiał gniewnie i gburowato, że źle sformułował pytanie. Poczuł, że Hella ściska mu ramię.

- Przykro mi - kapitan Adlock potrząsnął głową. - Wiesz, jak to jest. Nie mam nic przeciwko łamaniu przepisów, ale jeśli to zrobię dla ciebie, każdy żołnierz przyprowadzi swoją dziewczynę. A z penicyliny trzeba się ściśle wyliczać.

- Złożyłem podanie o ślub - powiedział Mosca. - Czy to nie zmienia sprawy?

- Przykro mi - powiedział kapitan Adlock. Mosca spostrzegł, że naprawdę jest mu przykro. Kapitan zastanowił się. - Słuchaj, jeśli tylko dostaniesz z Frankfurtu pozwolenie, daj mi znać, a ja poddam ją leczeniu. Nie musimy czekać, aż się pobierzecie. Nie chciałbym czekać i igrać z taką infekcją.

Helia włożyła kapelusz z woalką. Podziękowała szeptem kapitanowi, który poklepał ją po ramieniu mówiąc:

- Proszę dawać jej okłady na policzek. Może opuchlizna po nich zejdzie. Jeśli się pogorszy, zawieź ją do niemieckiego szpitala.

Gdy wychodzili, Mosca dostrzegł powątpiewanie w twarzy starszego niemieckiego dentysty, jak gdyby całą sprawę potraktowano zbyt lekceważąco.

W Wydziale Personelu opowiedział Eddiemu, co się stało. Hella siedziała na krześle przy biurku Moski i wydawała się spokojna, nie zdenerwowana.

Eddie cmoknął ze współczuciem. Powiedział:

- Może byś poszedł do biura adiutanta i dowiedział się, czy nie może pogonić Frankfurtu z tym pozwoleniem.

Mosca zwrócił się do Helli:

- Możesz tu chwilę poczekać, czy wolisz już iść do domu?

- Poczekaam - powiedziała - ale nie bądź tam długo. - Uścisnęła mu rękę, a jej dłoń była wilgotna od potu.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytał.

Skinęła głową. Mosca wyszedł.

Adiutant rozmawiał przez telefon, jego głos brzmiał uprzejmie, a grzeczna, prostoduszna twarz wyrażała układową dbałość wobec martwego przedmiotu. Uniósł brwi, dając znak, że wkrótce skończy. Odwiesiwszy słuchawkę zapytał energicznie:

- Słucham?

Mosca nie mógł znaleźć słów, czuł się zakłopotany i onieśmielony. Powiedział wreszcie:

- Chciałem się zapytać, czy coś wiadomo o moim pozwoleniu na ślub?

- Nie, jeszcze nie - odpowiedział uprzejmie adiutant i zaczął przeglądać oprawiony tom przepisów wojskowych.

Mosca zawahał się i zapytał znowu:

- Czy jest jakiś sposób, żeby to przyspieszyć?

Adiutant nie podniósł wzroku.

- Nie - powiedział.

Mosca stłumił w sobie odruch, by się odwrócić i wyjść.

- Czy sądzi pan, że można by coś załatwić, gdybym pojechał do Frankfurtu? Może mógłby mi pan powiedzieć, z kim rozmawiać?

Adiutant zamknął gruby, oprawny tom i spojrzał na Moskę po raz pierwszy. Jego głos brzmiał obojętnie lecz sucho.

- Słuchaj, Mosca - powiedział - żyłeś z tą dziewczyną od roku; złożyłeś podanie o pozwolenie na ślub dopiero sześć miesięcy po uchyleniu zakazu. Teraz nagle strasznie ci się spieszy. Nie mogę ci zakazać jechać do Frankfurtu, ale zapewniam cię, że to nie pomoże. Wiesz, co myślę o działaniach poza oficjalnymi kanałami.

Mosca nie czuł gniewu, a jedynie zakłopotanie i wstyd. Adiutant ciągnął łagodniejszym tonem.

- Skoro tylko papiery przyjdą, dam ci znać, dobrze?

Tak odprawiony Mosca wyszedł.

Wracając do Wydziału Personelu usiłował nie martwić się ani niepokoić, wiedział bowiem, że Hella pozna to z jego twarzy. Jednakże Hella i Inge piły kawę i rozmawiały. Hella zdjęła kapelusz z woalką i mogła popijać kawę tylko małymi łykami, lecz po jej błyszczących oczach poznał, że opowiadała Inge o dziecku. Eddie siedział rozparty w krześle, przysłuchiwał się z uśmiechem, a zobaczywszy Moskę zapytał:

- Jak poszło?

Mosca powiedział:

- Dobrze, zrobi co będzie mógł.

Uśmiechnął się do Helli. Później powie Eddiemu prawdę.

Helia włożyła kapelusz z woalką i pożegnała się z Inge. Pożegnała się z Eddiem, po czym ujęła ramię Moski.

Kiedy opuścili biuro i przeszli przez bramę bazy, Mosca odezwał się:

- Przepraszam, kochanie.

Zwróciła ku niemu osłoniętą woalką twarz i ścisnęła mu ramię. Odwrócił głowę, jak gdyby nie mógł wytrzymać jej wzroku.

Nad ranem, przed świtem, Mosca obudził się i usłyszał, że Hella płacze cicho, szlochając w poduszkę. Przyciągnął ją do siebie, by mogła oprzeć głowę na jego nagim ramieniu.

- Tak bardzo boli? - szepnął.

Odpowiedziała:

- Taka jestem chora, Walterze, taka jestem chora. - Słowa te wyraźnie ją przestraszyły, gdyż wybuchnęła niepohamowanym płaczem, niczym przerażone dziecko.

W ciemności ból zapanował nad nią, rozlewając się w jej krwi i we wszystkich narządach jej ciała. Na wspomnienie bezradności Moski w bazie lotniczej ogarnęło ją przerażenie, nie mogła powstrzymać łez. Powtórzyła:

- Taka jestem chora.

Mosca z trudem zrozumiał jej słowa, gdyż mowę miała dziwnie zniekształconą.

- Zrobię ci nowy okład - powiedział i zapalił nocną lampkę przy łóżku.

Przeraził się na jej widok. W nikłym żółtym świetle dostrzegł, że jedna strona jej twarzy jest nabrzmiąta, a oko niemal zamknięte. Kości twarzy miały dziwny obrys, co nadawało jej mongoloidalny wygląd. Zakryła twarz dłońmi, on zaś poszedł do kuchni po wodę na okład.

Ruiny miasta wdarły się na dwóch promieniach porannego słońca prosto w zdumione oczy córki Jergena. Siedziała na dużym kamieniu maczając palce w otwartej puszcze mirabelek. Z ziemi wzbijała się charakterystyczna woń rumowiska. Dziewczynka spokojnie wydobywała żółte, woskowate kulki owoców i zlizywała z palców lepki sok. Jergen siedział obok na kamieniu. Zabrał ją do tej ustronnej doliny wśród ruin, by mogła

zjeść rzadki smakołyk i nie musiała dzielić się z Niemką, która opiekowała się nią w ciągu dnia.

Jergen obserwował twarz córki z miłością i smutkiem. Jej oczy wskazywały wyraźnie na powolną dezintegrację i fragmentaryzację jej dziecięcego umysłu. Lekarz powiedział mu, że istnieje jedyna nadzieja: wywiezienie jej z Niemiec lub z Europy. Jergen potrząsnął głową. Wszystkie pieniądze, jakie zarabiał na czarnym rynku, szły na wznoszenie muru pomiędzy dzieckiem a cierpieniem i nieszczęściem otaczającego świata. Jednakże lekarz uświadomił mu, iż to nie wystarczało. Że cierpienie mimo to przedostawało się przez ten mur.

W tej chwili podjął decyzję. Kupi sobie fałszywe papiery i osiedli się w Szwajcarii. Będzie to wymagało wielomiesięcznych przygotowań i masę pieniędzy. Wyleczy ją, a ona wyrośnie i będzie szczęśliwa.

Uniosła lśniąca mirabelkę, bladożółtą i połyskującą w syropowej polewie, więc chcąc sprawić jej przyjemność, otworzył usta, by ją zjeść. Uśmiechnęła się do niego, a on dotknął ręką jej twarzy, w opiekuńczym geście miłości, bowiem w tej dolinie ruin córka wydawała się rośliną, bez cech ludzkich, jej oczy były puste, a uśmiech był tylko skurczem mięśni.

Poranne powietrze było zimne; jesień osłabiła siłę wschodzącego słońca i zmieniła barwę ziemi, nadając rumowisku odcień szary, upstrzony zwiędłą brunatną trawą.

Jergen odezwał się łagodnie:

- Giselle, chodź, muszę cię odprowadzić do domu, muszę iść do pracy.

Dziecko wypuściło z ręki puszkę mirabelek; wylał się z niej gęsty syrop, zastygając na kawałkach cegły i kamienia. Zaczęła płakać.

Jergen podniósł ją z dużego kamienia, na którym siedziała, i trzymał w objęciach, przyciskając do siebie jej głowę.

- Wrócę dziś wcześniej do domu, nie martw się, i przyniosę ci prezent, coś do ubrania. - Wiedział jednak, że nie przestanie płakać, póki jej nie zanieśie po schodach w kościele do ich mieszkania na wieży.

Na tle bladego nieba Jergen dostrzegł mężczyznę, który wspinał się na pagórek gruzów, po czym zniknął, a następnie pojawiał się na następnym pagórku, zbliżając się ciągle, nadchodząc ze słońca. Jergen postawił dziewczynkę na ziemi, a ona przylgnęła do

jego nóg. Postać wspięła się na ostatni oddzielający ich pagórek. Jergen zorientował się ze zdziwieniem, że był to Mosca.

Miał na sobie zielony mundur wojskowy z białą cywilną naszywką. W porannym słońcu jego ciemna cera miała szary odcień, a zmarszczki zmęczenia przecinały twarz, co sprawiało, że jego rysy stały się bardzo wyraziste.

- Szukałem cię wszędzie - powiedział Mosca.

Jergen pogładził głowę córeczki. Żadne z nich nie patrzyło na Moskę. Jergen zaniepokoił się, że tak łatwo ich odnalazł. Mosca najwyraźniej to wyczuł.

- Twoja gospodyni powiedziała mi, że zwykle tu chodzicie rankiem.

Dzień był już jasny i Jergen słyszał dzwonek tramwaju. Zapytał powoli, nieufnie:

- Dlaczego pan mnie szukał?

Na jednym z otaczających ich zboczy przemieściło się i obsunęło rumowisko, mała lawina, która wzbijała chmurę pyłu. Mosca przestąpił z nogi na nogę czując, że zapada się w zdradliwym podłożu. Odezwał się:

- Potrzebuję morfiny lub kodeiny i penicyliny dla Helli. Wiesz, że boli ją ząb. Jest bardzo chora. - Umilkł zakłopotany. - Potrzebuję tego dzisiaj, morfina, bardzo ją boli. Zapłacę każdą cenę.

Jergen podniósł córeczkę i ruszył między ruinami. Mosca szedł obok niego.

- To będzie bardzo trudne - powiedział Jergen, lecz w myśli wszystko już sobie ułożył. Za jednym zamachem zbliży się do Szwajcarii o trzy miesiące. - Cena będzie strasznie wysoka.

Mosca zatrzymał się, choć poranne słońce nie grzało silnie. Jergen dostrzegł, że twarz ma zlaną potem, a zarazem maluje się na niej ulga.

- Boże - powiedział Mosca - bałem się, że nie będziesz mógł tego załatwić. Nie obchodzi mnie, ile zapłacę, możesz mnie obdrzeć ze skóry. Zdobądź tylko dzisiaj te lekarstwa.

Stali teraz na ostatnim pagórku, a przed nimi rozciągała się ta część miasta, która nie była całkiem zniszczona, z kościołem, w którym mieszkał Jergen.

- Proszę przyjść do mnie o północy - powiedział Jergen. - Proszę nie przychodzić wieczorem, moja córka będzie sama, a jest bardzo chora, nie można jej straszyć.

Odczekał, by Mosca wyraził współczucie, a gdy to nie nastąpiło, odczuł gniewną

gorycz. Czemu ten Amerykanin, tak zatroskany o swoją kochankę, nie zabierze jej do Ameryki, gdzie będzie bezpieczna? Świadomość faktu, że Mosca mógł uczynić dla ukochanej osoby to, czego on nie mógł uczynić dla córki, wzmogła jeszcze uczucie goryczy. Odezwał się niemal z zawziętością:

- Jeśli przyjdzie pan przed północą, nic nie będę mógł dla pana zrobić.

Mosca stał na szczycie pagórka patrząc, jak Jergen ześlizguje się w dół, trzymając dziecko w objęciach. Zawołał za nim.

- Pamiętaj, zapłacę każdą cenę za lekarstwa.

Jergen odwrócił się i skinął głową, a twarz dziecka w jego ramionach spoglądała prosto w górę ku jesiennemu niebu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Eddie Cassin i Mosca opuścili budynek Wydziału Personelu Cywilnego i ruszyli w szarym jesiennym zmierzchu w kierunku hangarów i pasa startowego.

- Jeszcze jeden ze starej bandy wyjeżdża - powiedział Eddie Cassin. - Najpierw Middleton, Leo, teraz Wolf. Chyba ty będziesz następny, Walterze.

Mosca nie odpowiedział. Poruszali się pod prąd fali pracowników wychodzących z bazy, niemieckich robotników i mechaników podążających do strzeżonych przejść. Nagle ziemia się zatrzęsa i usłyszeli ryk potężnych silników. Okrążywszy budynek administracji ujrzeli wielki srebrzysty samolot.

Późne popołudniowe słońce znajdowało się daleko nad horyzontem. Mosca i Eddie czekali paląc papierosy. Wreszcie dostrzegli jeepa, który minął hangary i wjechał na pole startowe. Ruszyli w dół po pochylni w kierunku samolotu i dotarli do niego w tej samej chwili, gdy jeep, okrążywszy ogon z lotkami, zatrzymał się przed nim.

Z jeepa wysiedli Wolf, Urszula i jej ojciec, który natychmiast zaczął wyładowywać ciężkie walizy. Wolf uśmiechnął się szeroko i wesoło do przyjaciół.

- To cholernie miło z waszej strony, że mnie odprowadzacie - powiedział ściskając im dłonie, po czym przedstawił ich ojcu.

Urszulę znali.

Śmigła wzbijały ogromne podmuchy wiatru, który niemal całkowicie zagłuszał słowa. Ojciec podszedł do samolotu, dotknął dłońmi jego szarej powłoki, a potem zaczął go obchodzić niczym głodne zwierzę.

Eddie Cassin zażartował do Wolfa:

- Ma zamiar się przeszmużlować?

Wolf roześmiał się i powiedział:

- Nie może się przeszmużlować na „Quenn Elizabeth”.

Urszula nie rozumiała. Szybkim spojrzeniem obrzuciła wnoszony do samolotu bagaż, a potem położyła dłoń na ramieniu Wolfa.

Wolf ponownie podał rękę Mosce i Eddiemu mówiąc:

- No, żegnajcie, chłopcy. Miło mi było, nie żartuję. Odnajdźcie mnie po powrocie do Stanów. Masz mój adres, Eddie.

- Oczywiście - powiedział chłodno Eddie.

Wolf spojrział Mosce w oczy i powiedział:

- Powodzenia, Walterze. Szkoda, że nam ten interes nie wyszedł, choć teraz wydaje mi się, że miałeś rację.

Mosca uśmiechnął się i powiedział:

- Powodzenia, Wolf.

Wolf zawahał się. Potem powiedział:

- Ostatnia rada. Nie zwlekaj zbyt długo z wyjazdem, Walterze. Wracaj do Stanów jak najszybciej. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Mosca ponownie się uśmiechnął i powiedział:

- Dzięki, Wolf, tak zrobię.

Ojciec przyczłapał od dziobu samolotu. Zbliżył się do Wolfa z wyciągniętymi ramionami.

- Wolfgang, Wolfgang - zawołał wzburzony - nie zostawisz mnie tutaj, Wolfgang?  
- Omal się nie rozplakał.

Wolf poklepał go po ramieniu, a gruby staruszek objął go ramionami:

- Jesteś dla mnie jak syn - powiedział. - Będzie mi ciebie brakować.

Mosca spostrzegł, że Wolfa to drażni i nudzi, niecierpliwił się, chcąc już wyjechać. Ojciec wziął Urszulę w ramiona.

- Urszula, córko, moja córeczko, mam cię tylko jedną, nie zapomnisz o starym ojcu, nie zostawisz go samego w tym okropnym kraju, co? Moja mała Urszula tak nie postąpi?

Córka pocałowała go i szepnęła uspokajająco:

- Tato, nie martw się. Przyjedziesz, skoro tylko załatwimy papiery. Proszę, nie martw się.

Wolf stał z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Dotknął ramienia Urszuli i powiedział po niemiecku:

- Już czas.

Gruby staruszek zaczął zawodzić:

- Urszula, Urszula.

Jednakże dziewczyna, czując się winna a zarazem rozgniewana jego niestosownym smutkiem z okazji jej szczęśliwego losu, wyrwała mu się z objęć i wbiegła po schodkach



do samolotu.

Wolf ujął dłoń staruszka.

- Zdenerwowałeś ją. Obiecuję ci. Wyjedziesz stąd. Spędzisz resztę swego życia w Ameryce z córką i wnukami. Obiecuję ci to.

Staruszek skinął głową.

- Jesteś dobry, Wolfgang, jesteś bardzo dobry.

Wolf zasalutował z zakłopotaniem Eddiemu i Mosce, po czym szybko wszedł po schodkach do samolotu.

W jednym z okien ukazała się twarz Urszuli, która mimiką przekazywała pożegnanie ojcu poprzez zabrudzone szkło. On ponownie wybuchnął płaczem i pomachał do niej dużą białą chustką. Silniki znowu zawyły. Ludzie z obsługi naziemnej odholowali przenośne schodki. Wielki srebrzysty samolot ruszył powoli polem startowym. Wykonał powolny skręt pod wiatr i toczył się coraz szybciej, aż opornie, jak gdyby zmagając się z jakąś złowrogą siłą, rozstał się z ziemią i poleciał ku ciemnemu jesiennemu niebu.

Mosca śledził wzrokiem samolot, póki nie zniknął. Usłyszał, jak Eddie mówi:

- Misja zakończona, człowiek sukcesu wyjeżdża z Europy. - W jego głosie brzmiała tylko lekka nuta gorzkości.

Stali wszyscy trzej spoglądając w milczeniu na niebo, a ich cienie zlały się w jeden duży cień, gdy słońce wynurzyło się spoza jesiennych chmur, zanim zapadło poza horyzont. Mosca spojrział na grubego mężczyznę, który już nigdy nie zobaczy córki, nigdy nie wyjedzie z Europy. Duża, mięsista twarz wpatrywała się niemo w puste niebo, jak gdyby szukając w nim nadziei czy obietnicy, po czym małe szparki oczu spoczęły na Mosce, a pełen nienawiści i rozpaczony głos powiedział:

- Ach, przyjaciele, odleciał.

Mosca zanurzył lnianą szmatkę w garnku z gorącą wodą i wycisnąwszy ją przyłożył do twarzy Helli. Ta leżała na kanapie, ze łzami bólu w oczach, a opuchlizna zniekształciła jej nos i wykrzywiła wargi z jednej strony, co groteskowo zdeformowało lewe oko. W fotelu obok kanapy siedziała Frau Saunders trzymając dziecko i przechylając butelkę ze smoczką, by łatwiej nakarmić niemowlę.

Zmieniając okłady, Mosca mówił do Helli łagodnie i uspokajająco.

- Wytrwamy tak kilka dni i wszystko będzie dobrze - tylko spokojnie.

Siedzieli tak przez całe popołudnie i opuchlizna trochę się cofnęła. Dziecko w ramionach Frau Saunders zaczęło płakać, więc Hella usiadła i wyciągnęła po nie ręce. Ściągnęła okład i powiedziała do Moski:

- Już nie mogę dłużej.

Wzięła dziecko od Frau Saunders. Przytuliła zdrową stronę twarzy do główki niemowlęcia i zakwiliła cicho:

- Biedne maleństwo, twoja matka nie może się tobą opiekować. - Drżącymi rękami zaczęła zmieniać pieluszki, a Frau Saunders jej pomagała.

Mosca przyglądał się jej. Widział, że w ciągu tygodnia nieustający ból i brak snu bardzo ją osłabiły. Niemieccy lekarze w szpitalu orzekli, iż jej przypadek nie był wystarczająco poważny, by zastosować penicylinę. Jediną nadzieję upatrywał w tym, że Jergen dostarczy mu lekarstwa dziś o północy. Przez ostatnie dwa dni Jergen go zawiódł.

Gdy Hella skończyła przewijać dziecko, Mosca wziął je od niej. Kołysał je w ramionach. Spostrzegł, że Hella, kładąc się ponownie na kanapie, usiłowała się do niego uśmiechnąć. Spostrzegł też, że jej oczy wypełniły się łzami bólu, a ona odwróciła twarz. Usłyszał ciche, niepoohamowane łkanie.

Mosca starał się to znosić, lecz nie wytrzymał i położył dziecko z powrotem do wózka.

- Idę zobaczyć, czy Jergen ma już lekarstwo - powiedział.

Było jeszcze daleko do północy, ale miał to gdzieś. Może zastanie Jergena w domu. Dochodziła ósma, czas kolacji w Niemczech. Pochylił się, by pocałować Helle, która uniosła dłoń dotykając jego twarzy.

- Wrócę jak najprędzej.

Pierwszy zimowy chłód zmroził Kurfürsten Allee; słyszał w ciemności, jak spadłe liście przesuwają się po ziemi, by zniknąć w ruinach miasta. Złapał tramwaj jadący w kierunku kościoła, gdzie mieszkał Jergen. Boczne wejście było otwarte, więc wbiegł po schodach na wieżę. Stojąc o stopień poniżej wyciętych w ścianie drzwi zapukał jak mógł najgłośniejszym. Czekał - nie było odpowiedzi, spoza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Próbował pukać w rozmaity sposób, w nadziei, że przez przypadek trafi na sygnał Jergena, dziecko otworzy mu drzwi i będzie mógł ją zapytać. Jednak nie zawołał. Czekał znowu

przez chwilę, a potem usłyszał dziwny zwierzęcy dźwięk, jednostajny, na jednej, przeraźliwej nucie; zdał sobie sprawę, że dziecko za drzwiami płacze i że przerażone nie otworzy drzwi. Zszedł po schodach i czekał przed kościołem na Jergena.

Czekał długo. Wiatr stał się zimniejszy, noc ciemniejsza, szelest drzew i spadających liści głośniejszy i bardziej poświstliwy. Gdy tak czekał, wzbierało w nim poczucie nadchodzącej i straszliwej katastrofy. Usiłował pozostać w miejscu, lecz nagle zaczął się oddalać od kościoła idąc Kurfürsten Allee.

Po odejściu spod kościoła i kilkuminutowym marszu strach go opuścił. Potem zatrzymał się pomyślawszy o nieuchronnym i bezradnym przyglądaniu się bólowi i łzom. Całe zmęczenie i napięcie, wszystkie upokorzenia i odmowy w ostatnim tygodniu, odprawienie przez doktora Adlocka, upomnienie przez adiutanta, zbycie go w szpitalu przez niemieckich lekarzy oraz niemożność przeciwstawienia się im - wszystko to było ponad jego siły. Tak bardzo chciał się napić, trzy lub cztery kolejki, że aż sam się zdumiał. Nigdy nie musiał pić alkoholu. Lecz teraz, bez wahania, zawrócił i ruszył ku alei prowadzącej do Klubu Oficerskiego. Przez chwilę odczuwał wstyd, że nie wraca do domu.

W klubie było spokojnie. Przy barze siedziało trochę oficerów, ale nie było muzyki ani tańców, obecnych było tylko kilka kobiet. Mosca wypił szybko trzy kolejki whisky. Zdziałała błyskawicznie. Poczuł, że znikają napięcie i strach, że spostrzega wszystko we właściwych proporcjach, że Hellę tylko boli ząb i że ludzie, którzy wydawali się nieprzejednanymi wrogami, działali kierując się prawami ustanowionymi przez innych.

Jeden z oficerów przy barze odezwał się do niego:

- Twój przyjaciel Eddie gra na górze w kości.

Mosca podziękował skinieniem głowy, a drugi oficer powiedział z uśmiechem:

- Twój inny kumpel, adiutant, też tam jest. Świątuje awans na majora.

- Muszę się napić z tej okazji - powiedział Mosca, a oni się roześmiali.

Mosca rozpiął bluzę, zapalił cygaro i napił się jeszcze kilka kolejek. Było mu ciepło i miał pewność, że wszystko dobrze się ułoży. Do cholery, to tylko ból zęba, a poza tym wiedział, że Hella była bardzo wrażliwa na ból. Pomyślał, że to śmieszne, że taka była zawsze dzielna, z wyjątkiem fizycznego bólu. Jeśli o to chodzi, była wielkim tchórzem. Nie tchórzem, poczuł nagły przyptyw gniewu, że mógł pomyśleć o takim słowie w związku z nią. Ale łatwo płakała. Nie było mu już tak ciepło. W wewnętrznej kieszeni

rozpiętej bluzy dostrzegł coś białego i przypomniał sobie, że kilka dni temu Hella napisała pierwszy list do jego matki, a on zapomniał go wysłać. Matka napisała prosząc o list i fotografie dziecka. Mosca wyszedł z baru i wrzucił list do skrzynki w westybulu. Zawahał się przez chwilę; coś go ostrzegało, by nie szedł na górę, lecz przytłumiła to whisky. Wszedł po schodach do sali gier.

Eddie siedział w rogu stołu z wiązką jednodolarowych papierów wojskowych w ręce. Naprzeciwko niego siedział adiutant, który wyglądał trochę dziwnie. Jego szczera twarz była zaczerwieniona i skrzywiona w chytrym grymasie. Mosca doznał wstrząsu. Boże, facet był zalany. Pomyślał przez chwilę, by się odwrócić i wyjść. Jednakże ciekawość skłoniła go do podejścia do stołu. Pomyślał: zobaczymy, czy ten drań staje się ludzki po pijanemu.

Eddie zapytał:

- Jak tam twoja dziewczyna?

Mosca odpowiedział:

- W porządku.

Do sali wszedł kelner z tacą pełną kieliszków.

Gra toczyła się powoli - zabawa, a nie hazard. Mosce się to podobało tym razem. Stawiał nisko, rozmawiając niedbale z Eddiem.

Tylko adiutant grał z zapalem. Próbował wszystkiego, by nakłonić graczy do wyższych stawek. Gdy przyszła kolej na jego rzut, postawił trzydzieści dolarów. Postawiono zakłady tylko przeciwko dziesięciu. Proponował rozmaite zakłady, lecz gracze, jak gdyby z przekory, nie chcieli się podniecać i stawiali tylko po jednym dolarze lub po pięć.

Mosca poczuł się trochę winny. Pomyślał:

- Mógłbym pójść stąd do domu, zobaczyć, jak się czuje Hella, a potem pójść do Jergena. - lecz za godzinę zamkną klub. Postanowił zostać.

Adiutant, który szukał wrażeń i nie miał już nadziei, że je znajdzie w grze, odezwał się do Moski:

- Słyszałem, że przyprowadziłeś swoją Fraülein do bazy na darmowe leczenie. Nie powinienes być taki głupi, Walterze. - Po raz pierwszy użył imienia Moski.

Jeden z oficerów powiedział:

- Odpręż się, na litość boską, nie mów w klubie o sprawach służbowych.

W tym momencie Mosca uświadomił sobie, dlaczego został, dlaczego przyszedł do klubu. Usiłował zmusić się teraz do wyjścia, usiłował zmusić ciało do odejścia od stołu, usiłował zdjąć dłonie z zielonego sukna. Jednakże wzbierało w nim okrutne zadowolenie, opanowując umysł i tłumiąc rozsądek. Wszystkie upokorzenia i porażki ostatniego tygodnia zatrwały mu krew, naczynia w jego mózgu. Pomyślał:

- Dobra, ty sukinsynu, dobra, dobra.

Lecz głos jego zabrzmiał obojętnie:

- Pomyślałem, że doktor pomoże. - Trochę to zabrzmiało nerwowo.

Dostawał w dupę przez cały tydzień, jeszcze trochę już nie zaszkodzi.

- Takie rzeczy się nie zdarzają, gdy ja tu rządzę - powiedział adiutant. - A kiedy się zdarzają, a ja się dowiem, ktoś dostaje w dupę. A ja się zwykle dowiaduję.

- Nie jestem bucem - ciągnął poważnym tonem adiutant. - Wierzę w uczciwą grę. Ale jeśliby zaczął leczyć twoją Fraülein, wszyscy żołnierze zaczęliby przyprowadzać swoje francowate Fraüleiny na zastrzyki. Do tego nie mogę dopuścić.

Na prostodusznej twarzy adiutanta pojawił się chłopięcy, szczęśliwy uśmiech. Uniósł szklanekę i pociągnął z niej.

Mosca spoglądał na kości, na zielone sukno na stole. Eddie coś mówił, ale jego słowa brzmiały niewyraźnie. Mosca z wysiłkiem uniósł głowę. Powiedział spokojnie:

- Stawiam dwa dolary.

Adiutant odstawił szklanekę na parapet okienny z tyłu, po czym rzucił na stół dziesięciodolarowy banknot.

- Mam cię - powiedział.

Mosca podniósł banknot i cisnął w stronę adiutanta.

- Niech mnie pan nie przebija.

Powiedział to zimnym, spokojnym tonem. Jeden z oficerów rzucił pieniądze na stół, więc Mosca zaczął potrząsać kości.

- Bardzo jesteś przewrażliwiony na punkcie tej Fraülein - powiedział adiutant. Był w dobrym humorze, nie czuł gęstniejącego napięcia. - Może sobie myślicie, że te Fraüleiny darzą czystą, bezinteresowną miłością wasze szpetne gęby. Gdyby to ode mnie zależało, nie pozwoliłbym się żadnemu durniowi tutaj ożenić.

Mosca upuścił kości na stół.

- To dlatego zatrzymałeś moje papiery, ty wredny draniu?

Adiutant uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Zmuszony jestem temu zaprzeczyć, a ponadto zapytać, skąd masz taką informację. - Powiedział to chłodno i urzędowo, groźnym i rozkazującym tonem.

Mosca podniósł kości. Nic już nie myślał, na niczym mu już nie zależało. Czekał tylko, by adiutant się do niego zbliżył.

- Skąd masz taką informację? - zapytał adiutant. Jego układna twarz była poważna, widniał na niej znajomy wyraz młodzieńczej surowości. - Skąd masz taką informację?

Mosca potrząsnął kośćmi i rzucił je niedbale. Powiedział do adiutanta:

- Ty głupi bucu, strasz sobie szkopów.

Wtrącił się Eddie Cassin:

- Ja mu powiedziałem, a jeśli pułkownik zechce, opowiem mu całą historię. Że przetrzymał pan papiery przez dwa tygodnie, zanim je pan wysłał do Frankfurtu. - Zwrócił się do Moski: - Chodź, Walterze, spływamy stąd.

Adiutant siedział po drugiej stronie stołu, mając za sobą ścianę i okno. Mosca chciał, by wyszedł stamtąd, by precyzyjnie się za róg stołu. Pomyślał przez chwilę, po czym powiedział:

- Myślisz, że temu chujowi ujdzie to dzisiaj na sucho?

W ułamku sekundy adiutant uświadomił sobie jego groźbę. Zawołał gniewnie:

- Zobaczymy, czy ci się to uda - i zaczął okręzać stół.

Mosca odczekał, aż znajdzie się w rogu, który ograniczy swobodę jego ruchów. Wtedy uderzył z całej siły w twarz z profilu. Cios ześliznął się po policzku i czaszce adiutanta, nie czyniąc mu krzywdy, lecz zwalając go z nóg. Mosca ze złością wymierzył kopniaka pod stół. Poczul, że obcas łąduje twardo na kości. Potem jeden z oficerów i Eddie zaczęli go odciągać. Adiutanta, który teraz ucierpiał, dźwignięto na nogi. Mosca ulegle dał się Eddiemu i oficerowi odepchnąć ku drzwiom. Nagle zawrócił i pobiegł w drugi koniec sali. Adiutant stał wyprostowany. Biegając, uderzył z całej siły adiutanta w bok i obaj upadli na podłogę. Adiutant wrzasnął z bólu. Wyraz twarzy Moski i zaatakowanie przez niego bezbronnyego człowieka tak przeraziły pozostałych, że przez sekundę wszyscy ani drgnęli. Potem trzech oficerów rzuciło się na Moskę, który włożył adiutantowi palce do

ucha usiłując je oderwać. Jeden z nich wymierzył Mosce oszłamiający cios w skroń, po czym wypchnęli go na schody i z klubu. Nie było w tym żadnej żądy odwetu, Eddie też im pomagał. Mosca oprzytomniał pod wpływem chłodnego nocnego powietrza.

On i Eddie pozostali sami.

- Ten ostatni cios zepsuł wszystko - powiedział Eddie. - Czemu, do cholery, nie miałeś dosyć.

Mosca powiedział:

- Chciałem tylko zabić tego drania.

Zapał jego zaczął jednak stygnąć. Nie mógł opanować drżenia rąk, gdy zapalał papierosa, a całe ciało miał zlane zimnym potem. Boże - pomyślał usiłując uspokoić dłonie - i to z powodu parszywej bójkki na pięści.

Stali razem na ciemnej ulicy.

- Spróbuję to załatwić - powiedział Eddie - ale w wojsku jesteś skończony. Rozumiesz to? Nie czekaj, pędź jutro do Frankfurtu i spróbuj dostać to pozwolenie na ślub. Będę cię tu kryć. Niczym się nie martw, tylko zdobądź te papiery.

Mosca zastanawiał się przez chwilę.

- Dobra. Dziękuję, Eddie. - Podał mu rękę wiedząc, że Eddie zrobi wszystko, by mu pomóc.

- Idziesz teraz do domu? - zapytał Eddie.

- Nie - powiedział Mosca - muszę zobaczyć się z Jergenem. - Odwrócił się i zaczął się oddalać, a potem zawołał odwróciwszy głowę: - Zatelefonuję do ciebie z Frankfurtu.

Zimny, jesienny księżyc oświetlał mu drogę do kościoła. Wbiegł po schodach, lecz zanim zdążył zapukać, Jergen otworzył drzwi.

- Proszę być cicho - powiedział Jergen - moja córka z trudem właśnie zasnęła.

Weszli do pokoju. Spoza drewnianego przepierzenia dobiegał ciężki oddech dziecka. Mosca zauważył, że był dziwnie urywany. Spostrzegł, że Jergen jest w złym, prawie wojowniczym nastroju.

- Czy był pan tu wcześniej wieczorem? - zapytał Jergen.

- Nie - skłamał Mosca.

Zawahał się jednak przez ułamek sekundy, a Jergen zrozumiał, że kłamie.

- Mam dla pana lekarstwa - powiedział Jergen. Był zadowolony, że Mosca

przestraszył jego dziecko, ośmielając go w ten sposób do tego, co musi zrobić. - Mam ampułki penicyliny i tabletki kodeiny, ale kosztują bardzo dużo.

Wyjął z kieszeni małe tekturowe pudełko i otworzył, by pokazać cztery ciemnobrązowe ampułki i kwadratowe pudełko dużych tabletek kodeiny w czerwonej polewie. Nawet teraz miał ochotę powiedzieć, że penicylina kosztowała tylko część normalnej czarnorynkowej ceny, toteż mogła być do niczego; miał ochotę zażądać rozsądnej ceny za lekarstwa. Jednakże w tej chwili wahania córka z ogromnym trudem złapała oddech, po czym w pokoju zaległa cisza. Spostrzegł, że Mosca spogląda na drewniane przepierzenie, a potem, zanim którykolwiek z nich się poruszył, oddech rozległ się znowu, tym razem regularny, w głębokim rytmie snu. Jergen odprężył się.

- Będzie to kosztowało pięćdziesiąt kartonów papierosów.

Spostrzegł, że małe ciemne błyski w oczach Moski skupiają się na nim z nagłą i okrutną intuicją i zrozumieniem.

- W porządku - powiedział Mosca. - Nie zależy mi, ile zapłacę. Pewny jesteś, że jest dobrej jakości?

Jergen zastanowił się tylko przez chwilę, lecz wiele myśli przebiegło mu przez głowę.

Potrzebował jak największej ilości papierosów, potem będzie mógł ubić planowany duży interes i za miesiąc wyjechać z Niemiec. Przypuszczalnie Hella naprawdę nie potrzebuje penicyliny; lekarze w Bremie, wiedząc, że dziewczyna jest przyjaciółką Amerykanina, zawsze proszą o penicylinę, żeby trochę zostawić dla siebie. Znowu pomyślał o swej córce - ona jest najważniejsza.

- Może pan być pewien. Gwarantuję - powiedział Jergen. - To źródło nigdy mnie nie zawiodło. - Dotknął ręką piersi. - Ponoszę całą odpowiedzialność.

- W porządku - powiedział Mosca. - Posłuchaj. Mam dwadzieścia kartonów, może zdobędę jeszcze parę. Jeśli nie, zapłacę ci po kursie pięć dolarów za karton w wojskowych papierach albo czekami American Express. Tak będzie dobrze?

Wiedział, że to uczciwa propozycja, a Jergen zdiera z niego skórę, ale nadal był pod wpływem starcia z adiutantem. Odczuwał ogromne zmęczenie, rozpacz i osamotnienie. W myśli kłonił się przed małym Niemcem, błagał o litość, o łaskę. Wyczuwając to Jergen stawał się zuchwały.



- Muszę zapłacić papierosami - powiedział. - Chyba będzie pan musiał dać mi papierosy.

Za drewnianym przepierzeniem dziewczynka zajęczała przez sen. Mosca przypomniał sobie Helle łkającą z bólu; powinien był już dawno wrócić do domu.

Spróbował po raz ostatni.

- Muszę mieć lekarstwa dzisiaj w nocy.

Jergen powiedział:

- Muszę mieć papierosy dzisiaj w nocy.

Tym razem w jego głosie brzmiała nieświadomie złośliwa, triumfalna nuta, nie zdawał sobie sprawy, że tak to powiedział, że zawsze nienawidził tego Amerykanina.

Mosca zmusił się do obojętności, powstrzymał od działania. Czuł teraz wstyd i strach na myśl, co się stanie z powodu bijatyki w klubie. Musiał uważać, żeby nie popełniać błędów. Poważnie, bez gniewu czy pogroźki, wziął tekturowe pudełko i wsunął do kieszeni bluzy. Odezwał się uprzejmie i rozważnie:

- Chodź ze mną do domu, a ja dam ci dzisiaj dwadzieścia kartonów i pieniądze. Postaram się zdobyć resztę papierosów w ciągu paru dni, a wtedy oddasz mi pieniądze.

Jergen zrozumiał, że Mosca uparł się wyjść z lekarstwami. Przez chwilę poczuł strach, odpływ krwi. Nie był tchórzem, lecz zawsze się bał, że jego córka może zostać sama w krainie ruin. Poszedł za przepierzenie, by poprawić koce śpiącemu dziecku, a potem za drugie przepierzenie po płaszcz i kapelusz. Przez całą drogę do domu Moski nie zamienili ani słowa.

Mosca kazał Jergenowi poczekać, aż poda Helli tabletkę kodeiny. Jeszcze nie spała, a w ciemności dostrzegł biały zarys spuchniętej szczęki.

- No i jak? - zapytał cicho, niemal szeptem, by nie obudzić dziecka w wózeku.

Szepnęła:

- Bardzo boli.

- Masz tu coś na ból.

Dał jej jedną z dużych tabletek kodeiny w czerwonej polewie. Wepchnęła ją palcem do gardła, po czym popiła wodą ze szklanki, którą jej przytknął do warg.

- Zaraz wrócę - powiedział.

Zapakował kartony papierosów, robiąc z nich dużą i nieforemną paczkę. Zaniósł ją

do drzwi i dał Jergenowi, po czym wyjął z portfela czeki American Express, podpisał i wsunął cienki niebieski papierek do kieszeni Jergena. Zapytał z uprzejmości, czując wyrzuty sumienia:

- Czy będziesz mieć kłopoty z powodu godziny policyjnej? A może mam cię odprowadzić?

- Nie, mam przepustkę - powiedział Jergen, po czym dodał śmiejąc się cicho, rozweselony dużą paczką papierosów pod pachą - jestem poważnym człowiekiem interesów.

Mosca wypuścił go, zamknął drzwi i wrócił do sypialni. Hella nadal nie spała. Położył się obok niej nie rozbierając się. Powiedział jej, co się zdarzyło w klubie, a także, iż następnego dnia musi jechać do Frankfurtu.

- Dostanę te papiery i za miesiąc już tu nas nie będzie, będziemy w samolocie do Stanów - szepnął.

Opowiadał jej o matce i Alfie, o tym, jak bardzo będą szczęśliwi, gdy przyjedzie. Mówił tak, jakby to było łatwe i oczywiste, nieuchronne. Czuł, że ona rozgrzewa się i zaczyna być senna, lecz nagle zapytała:

- Czy mogę dostać jeszcze jedną tabletkę?

Wstał, by ją jej dać i znowu przytknął jej wodę do ust. Zanim zasnęła, powiedział jej o penicylinie, że nazajutrz ma pójść do lekarza na zastrzyk.

- Będę codziennie wieczorem telefonować z Frankfurtu - powiedział. - To nie zajmie nawet trzech dni.

Kiedy zapadła w sen, w którym zdawała się nawet nie oddychać, wypalił kilka papierosów siedząc na krześle przy oknie, przyglądając się ruinom miasta, które wyglądały czysto i świeżo w świetle jesiennego księżyca. Potem zapalił światło w kuchni i zapakował do niebieskiego sportowego worka kilka rzeczy potrzebnych w podróży. Zrobił sobie jajka i herbatę, mając nadzieję, że uśnie po jedzeniu. Ponownie położył się obok Helli i czekał na świt.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Poprzez zasłonę głębokiego snu, znużenia i kodeiny Hella dosłyszała urywane, gniewne kwilenie z głodu. Obudziwszy się, odczuła miły przyływ zatroskania płynący z wiedzy, że łatwo może uspokoić niemowlę; słuchała przez chwilę, po czym wstała, żeby przygotować butelkę.

Była osłabiona, choć dwie ostatnie noce dobrze spała. Zażywanie kodeiny odniosło skutek, toteż ból w głowie i w ustach przeszedł w odrętwienie. Podniosła rękę i zdziwiła się, że tak szybko dotknęła palcami policzka. Twarz jej spuchła jeszcze bardziej w ciągu nocy, lecz nie czuła bólu. Czekając, aż się mleko dla dziecka zagrzeje, zażyła następną tabletkę kodeiny, wpychając ją do gardła palcem. Z trudem już przełykała ślinę. Potem zaniosła dziecku butelkę, a w pokoju zapanowała cisza.

Była bardzo zmęczona, więc znowu wyciągnęła się na łóżku. Słyszała, jak Frau Saunders porusza się za ścianą sprzątajac w swych dwóch pokojach i we wspólnej bawialni. Mieli szczęście, jeśli chodzi o Frau Saunders. Nawet Walter ją lubił. Miała nadzieję, że przywiezie pozwolenie na ślub, aby mogli wyjechać z Niemiec. Stale się teraz bała, najwięcej o dziecko. Że jeśli dziecko zachoruje, nie będą mogli dostać amerykańskich lekarstw. W takim wypadku nie mogliby ryzykować zakupów na czarnym rynku.

Poczuwszy się nieco lepiej, Hella wstała z łóżka i sprzątnęła swoje dwa pokoje. Potem poszła do bawialni. Frau Saunders siedziała przy żelaznym piecyku pijąc kawę. Napelniona filiżanka czekała na Helle.

- Kiedy wraca pani mąż? - zapytała Frau Saunders. - Czy nie miał wrócić dziś rano?

- Musi zostać jeszcze kilka dni - powiedziała Hella. - Dowiem się, kiedy zadzwoni dziś wieczór. Wie pani, jak to z dokumentami bywa.

- Powiedziała mu pani o penicylinie? - spytała Frau Saunders.

Helia potrząsnęła głową.

- Sądziłam, że ten Jergen jest waszym przyjacielem - powiedziała Frau Saunders. - Jak on mógł zrobić coś takiego?

- To chyba nie jego wina - powiedziała Hella. - Lekarz powiedział mi, że nie można jej użyć, bo nieodpowiednio ją przechowywano. Ale to była penicylina. Jergen nie mógł o

tym wiedzieć.

- Musiał wiedzieć - powiedziała Frau Saunders. I dodała oschle: - Nie będzie się długo cieszył zyskiem, gdy odwiedzi go Herr Mosca.

W sąsiednim pokoju zaczęło płakać dziecko, więc Hella po nie poszła. Frau Saunders odezwała się:

- Proszę mi go dać.

Hella dała jej dziecko i poszła po czyste pieluszki.

Gdy wróciła ze świeżymi pieluszkami, Frau Saunders powiedziała:

- Proszę mi je dać, ja go przewinę.

Był to rytuał, który odprawiały każdego ranka. Hella wzięła puste żelazne wiadro stojące obok piecyka i powiedziała:

- Zejdę na dół po brykiety.

- Jest pani jeszcze na to za słaba - powiedziała Frau Saunders.

Zajęta była laskotaniem dziecka, więc powiedziała to bez głębszego zastanowienia.

Poranne powietrze przesycone było jesienią, a usychające, skapane w słońcu drzewa i spadłe liście połyskiwały ciemnobrunatnym i czerwonym ogniem. Skądś dobiegał mocny, kwaśny zapach spadłych jabłek; spoza łagodnych, pokrytych ogrodami wzgórz napływała świeża woń Wezery splukanej jesiennymi deszczami. Po drugiej stronie Kurfürsten Allee Hella dostrzegła młodą, śliczną dziewczynę z czwórką dzieci, które bawiły się pod drzewami kopiąc martwe brunatne liście zgarnięte w wysokie sterty niczym zaspy śniegu. Zrobiło jej się zimno, więc weszła z powrotem do domu.

Zeszła po schodach do piwnicy i otworzyła drzwi z drucianej siatki oddzielające jej schowek. Napełniła wiadro podłużnymi brykietami. Spróbowała podnieść wiadro i zdziwiła się, że nie może. Spróbowała jeszcze raz. Nie miała jednak siły i poczuła, że robi się jej słabo. Na chwilę ogarnął ją strach. Przytrzymała się drucianego ogrodzenia i zawrót głowy minął. Wzięła trzy brykiety i włożyła do fartucha, przytrzymując jego brzegi. Wolną ręką zatrzasnęła kłódkę i zaczęła wspinać się po schodach.

W połowie ostatniej kondygnacji schodów nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przez chwilę stała zdziwiona, nie rozumiejąc, co się dzieje. Ciałem jej wstrząsnął straszliwy dreszcz. Pękła wielka żyła, a ból przeszył jej mózg niczym żelazne ostrze, toteż nie słyszała, że węgiel wysliznął się z fartucha i runął ze schodów. Gdy przerażona zaczęła

spadać, ujrzała niewyraźną Frau Saunders, która wychylała się przez poręcz schodów, trzymając dziecko w ramionach, widziała mgliście, lecz bardzo blisko. Wyciągnęła do nich ramiona krzyżąc, a potem zaczęła spadać w dół, oddalając się od przerażonej twarzy Frau Saunders i dziecka w białych powijakach, i nadal krzyżąc spadała oddalając się od własnego krzyku, którego nie słyszała.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Eddie Cassin chodził tam i z powrotem po pokoju w Wydziale Personelu Cywilnego. Inge cierpliwie wyjaśniała komuś po drugiej stronie telefonu, że koniecznie musi otrzymać informacje. Potem przełączyła się na inny numer i zaczynała wyjaśniać od początku.

Dała znak, by Eddie podszedł do telefonu.

- Słucham - powiedział Eddie do słuchawki.

Głos mężczyzny, bardzo urzędowy, odezwał się nienaganną angielszczyzną:

- Przykro mi, nie udzielamy informacji przez telefon.

Eddie zorientował się, że nie było sensu spierać się z tym głosem. Dobrze znał ten ton. Brzmiała w nim pewność człowieka ściśle przestrzegającego praw i zasad rządzących jego małym, lecz samowystarczalnym światem. Odezwał się:

- Chciałbym zapytać o jedno. Tak kobieta, która jest u was w szpitalu, otóż jej mąż, albo kochanek, jak pan woli, przebywa we Frankfurcie. Czy jest to na tyle poważne, że mam mu powiedzieć, żeby wracał natychmiast?

Poważny głos powiedział:

- Radziłbym to panu.

Eddie Cassin odezwał się:

- On załatwia ważne sprawy. Nie powinien wracać, o ile nie jest to absolutnie konieczne.

Zapadło milczenie. Po chwili głos powiedział nieoczekiwanie łagodnie:

- Sądzę, że powinien pan mu powiedzieć, żeby koniecznie wrócił.

Eddie odwiesił słuchawkę. Spostrzegł, że Inge go obserwuje, z szeroko otwartymi oczami. Powiedział:

- Daj mi czystą szklankę.

Kiedy wyszła podniósł słuchawkę i poprosił wojskowego telefonistę, by go połączył z Frankfurtem. Nadal czekał na połączenie, gdy wróciła Inge ze szklanką. Dał jej słuchawkę, a sam przyrządził sobie mocnego drinka nalewając ginu i soku grejpfrutowego, które trzymał w biurku. Potem znowu wziął słuchawkę.

Gdy się połączył z Frankfurtem, poprosił o Wydział Adiutantury w dowództwie. Rozmawiał z trzema oficerami, zanim się dowiedział, że Mosca był tam poprzedniego

dnia, a teraz jest prawdopodobnie w Wydziale Prawnym. Gdy się połączył z Wydziałem Prawnym, powiedziano mu, że Mosca wyszedł przed godziną. Nie mieli pojęcia, gdzie może być teraz. Eddie odłożył słuchawkę i dokończył drinka. Zrobił sobie następny, po czym znowu podniósł słuchawkę. Pomyślał przez chwilę, a kiedy dostał połączenie z Frankfurtem, poprosił o ośrodek informacyjny w budynku I.G. Farben. Odezwał się sierżant, któremu wyjaśnił zwięźle, dlaczego musi znaleźć Moskę, i poprosił o ogłoszenie przez megafon, by Mosca zgłosił się do telefonu. Sierżant kazał mu poczekać. Potem wrócił i powiedział, że ogłoszenie będzie nadane i żeby się nie rozłączał.

Eddie czekał długo. Skończył drugiego drinka. Nagle w telefonie odezwał się głos Moski:

- Hallo, kto mówi? - W głosie nie było niepokoju, tylko zdziwienie.

Eddie milczał przez chwilę. Potem powiedział:

- Mówi Eddie. Jak ci idzie?

Mosca powiedział:

- Nie wiem jeszcze, przeganiają mnie z pokoju do pokoju. Czy coś się stało?

Eddie chrząknął. Mówił swobodnie.

- Chyba będziesz musiał odłożyć to na razie, Walterze. Wasza gospodyni zawiadomiła Meyer, że Hellę zabrano do szpitala. Meyer wysłała posłańca do bazy, a ja zadzwoniłem do szpitala. Nie chcieli udzielić żadnej informacji przez telefon, ale to chyba coś poważnego.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym w słuchawce odezwał się głos Moski, niezdecydowany, jak gdyby szukał słów.

- Naprawdę nic więcej nie wiesz?

- Przysięgam na Boga - powiedział Eddie. - Ale lepiej wracaj.

Zapadło jeszcze dłuższe milczenie. Potem Mosca powiedział:

- Złapię nocny pociąg o szóstej. Wyjdź po mnie na stację, Eddie. Chyba przyjadę o czwartej rano.

- Oczywiście - powiedział Eddie. - Gdy tylko skończymy rozmowę, idę do szpitala.

Dobrze?

- Dobrze. Dziękuję, Eddie.

Usłyszawszy trzask na linii, Eddie odłożył słuchawkę.

Przyrzucił sobie jeszcze jednego szybkiego drinka. Powiedział do Inge:

- Nie wrócę już dzisiaj.

Włożył butelkę i sok do teczki i opuścił bazę.

Brema pogrążona była w ciemności, gdy Mosca wysiadł z pociągu z Frankfurtu. Dochodziła czwarta rano. Na placu przed dworcem czekał ledwo widoczny, oliwkowy wojskowy autobus. Plac oświetlało kilka słabych lamp, które rozsiewały drobne blizny światła poza narożniki ulic biegnących od stacji.

Mosca zajrzał do poczekalni, lecz nie było tam Eddiego Cassina. Rozejrzał się po ulicy, ale nie czekał żaden jeep.

Przez chwilę stał niezdecydowany, a potem poszedł wzdłuż torów tramwajowych przez Schwachhauser Heer Strasse i skręcił w długą, krętą Kurfürsten Allee; nieświadom, że niesie niebieski sportowy worek, ostrożnie kroczył pośród ruin upiornego miasta. Nie mógł pojąć później, dlaczego nie poszedł prosto do szpitala.

Zbliżając się do domu Mosca dostrzegł w ciemności spowijającej miasto jedno jedyne światło; wiedział, że to świeci się w jego mieszkaniu. Skręcił na wyżwirowaną ścieżkę. Biegąc na górę po schodach słyszał, że dziecko płacze.

Otworzywszy drzwi do bawialni ujrzał siedzącą na kanapie Frau Saunders, na wprost niego, wpatrzoną w drzwi i popychającą dziecinny wózek tam i z powrotem po dywanie. Płacz niemowlęcia był cierpliwy, rozpaczliwy, jak gdyby nic go nie mogło utulić czy uspokoić. Mosca spostrzegł, iż twarz Frau Saunders jest blada i zmęczona, a zwykle schludnie i gładko szczesane w tył włosy zwisają teraz luźno i bezładnie.

Stał w drzwiach czekając, aż się odezwie, zrozumiał jednak, iż zbyt się boi, by przemówić pierwsza.

Zapytał:

- Jak się czuje?

- Jest w szpitalu - powiedziała Frau Saunders.

- Wiem. Jak się czuje?

Frau Saunders nie odpowiedziała. Przestała poruszać wózkiem i zakryła twarz dłońmi. Kwilenie dziecka się wzmoгло. Ciało Frau Saunders zaczęło się kołysać miarowo.

- Och, jak krzyczała - odezwała się - och, jak krzyczała. - Mosca czekał. - Spadła ze



schodów i krzyczała - powiedziała z płaczem Frau Saunders.

Opuściła ręce, jak gdyby nie mogła dłużej kryć żalu. Znowu zaczęła popychać wózek. Dziecko ucichło. Frau Saunders spojrzała na Moskę, który czekał cierpliwie w drzwiach.

- Nie żyje, umarła wieczorem. Czekałam na pana.

Spostrzegła, że Mosca nadal czeka cierpliwie, jak gdyby nic nie powiedziała, jak gdyby nadal czekał, że się odezwie.

Odczuwał jedynie odrętwienie, niby szczelną, kruchą skorupę chroniącą przed bólem i światłem. Słyszał, jak Frau Saunders powtarza:

- Umarła wieczorem.

Wierzył jej, lecz nie mógł zaakceptować tej prawdy. Wyszedł z domu i ruszył ciemnymi ulicami. Dotarłszy do szpitala podążył wzdłuż łuku ogrodzenia do głównej bramy.

Mosca poszedł do budynku administracji. Przy dyżurnym stoliku siedziała zakonnica w dużym, białym czepcu swego pielęgniarskiego zakonu. Później na ławce pod ścianą zobaczył Eddiego Cassina.

Eddie podniósł się i stał zakłopotany. Skinął zakownicy głową. Dała znak Mosce, by poszedł za nią.

Mosca podążył za dużym, białym czepcem przez długie, ciche korytarze. W ciszy słyszał utrudzone oddechy śpiących pacjentów. Na końcu korytarza prześliznęli się pomiędzy ubranymi na czarno sprzątaczkami, które na klęczkach szorowały do białości kafelki podłogi.

Skręcili w inny korytarz. Zakonnica otworzyła drzwi małego pokoiku, a on wszedł za nią. Odsunęła się na bok i zamknęła drzwi.

Mosca posunął się krok do przodu. W rogu, na białej poduszce, ujrzął twarz Helli, której ciało aż po szyję zakrywało białe prześcieradło. Nie widział wyraźnie, więc zbliżył się jeszcze o krok.

Oczy miała zamknięte, a policzek nie był już spuchnięty, jak gdyby trucizna i życie jednocześnie opuściły jej ciało. Usta były bezbarwne, niemal białe. Nigdzie nie było ani śladu czerwieni. Na twarzy nie było zmarszczek, wyglądała młodziej niż kiedykolwiek; jednakże twarz jej była pusta, a wielkie doły zamkniętych oczu sprawiały, iż wydawała się

ślepa.

Mosca podszedł bliżej i stanął przy łóżku. Na parapecie zasłoniętego okna, którego nie było widać, stał duży wazon białych kwiatów. Spojrzał na Helle, zdezorientowany; wiedział, że musi przyjąć do wiadomości fakt jej śmierci, lecz nie wiedział, co robić, nie był w stanie ani myśleć, ani czuć. Nie była mu obca śmierć w gwałtownej formie, lecz teraz, gdy ujrzał, jak nadeszła niespodziewanie, gdy zobaczył po raz pierwszy, że ktoś, kogo całował i kochał, stał się zupełnie obcy, odczuł nagle niechęć do tego martwego kształtu, widział bowiem, co się dzieje z ciałem po śmierci. Wsunął rękę, by dotknąć ślepych oczu i dotknął zimnej twarzy, a potem położył dłoń na białym prześcieradle zakrywającym ciało. Usłyszał dziwny szelest, toteż odsunął nieco prześcieradło.

Jej ciało otulał całun z grubego brązowego papieru pakunkowego; spostrzegł, że pod spodem nie miała ubrania. Zakonnica z tyłu szepnęła:

- Wielu tak sobie życzy, potrzebują ubrania.

Odsunął prześcieradło pewien siebie, wierząc, że uzbroił się przeciwko żalowi, mając nadzieję, że wesprze go pamięć kilku straszliwych lat. Pomyślał jednak: ma dosyć ubrań, by ją w nich pochować, przynajmniej to mogę dla niej zrobić. Nagle tabuny wrogów zatętniły w jego krwi, żółć wezbrała mu w gardle, olbrzymia dłoń ścisnęła bicie serca, zaćmiewając wszystko. Nie wiedząc jak znalazł się na zewnątrz, wsparty o ścianę korytarza.

Zakonnica czekała cierpliwie. Wreszcie Mosca odezwał się do niej:

- Przyniosę jakieś ubranie, czy siostra ją ubierze?

Zakonnica skinęła głową.

Opuścił szpital i zaczął iść wzdłuż obwodu ogrodzenia. Mimo że nie było jeszcze jasno, uświadomił sobie, że kursują tramwaje i ludzie mijają go na ulicy. Skończyła się godzina policyjna. Skręcał w opustoszałe ulice, lecz gdy się w nie zapuszczał, ludzie zdawali się wyskakiwać z rumowiska i zasypanych pomieszczeń. Potem ukazało się chłodne, zimowe słońce rzucające na ziemię blade światło, a on znalazł się na obrzeżach miasta i szedł w kierunku pól. Powietrze było lodowate. Mosca zatrzymał się.

Pogodził się teraz ze wszystkim, nie dziwiło go, że tak się to źle skończyło. Pozostało w nim tylko znużenie i rozpacz, a gdzieś w głębi wstydlive poczucie winy.

Pomyślał o tym, co musi zrobić: zanieść do szpitala ciemną sukienkę dla Helli do

trumny, załatwić pogrzeb. Eddie mu pomoże, załatwi wszystko. Zawrócił i poczuł nagle coś na ramieniu. Spojrzał i spostrzegł, iż nadal ma niebieski sportowy worek. Był bardzo zmęczony i czekała go daleka droga, więc upuścił go w głęboką, wilgotną trawę. Podniósł oczy na mroźne poranne słońce i zaczął wracać do miasta.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Mały konwój minął wielką główną bramę z czarnego żelaza, opuścił teren szpitala i wjechał do miasta. Szare światło wczesnego poranka otulało ruiny upiornymi płachtami oparów.

Na czele jechała karetka z trumną Helli. Podążał za nią powoli otwarty jeep, a w nim Eddie i Mosca skuleni przed zimnym wiatrem. Siedząca samotnie na tylnym siedzeniu Frau Saunders owinięta była w brązowy wojskowy koc, który zakrywał jej żalobę. Za jeepem jechał mały opel z silnikiem na drzewo i małym kominem. Siedział w nim pastor kościoła, do którego należała Frau Saunders.

Konwój jechał pod prąd wszystkiego, co podążało do centrum miasta; dzwoniące tramwaje wypchane robotnikami, oliwkowe wojskowe autobusy; ludzie, których rytm życia przerywały tylko odpoczynek i sen. Przenikliwy chłód późnej jesieni, wczesny, niespodziewany i zaskakujący chłód, bardziej przenikliwy niż chłód zimowy, ziębił metal jeepa i paraliżował ciało i umysł. Mosca pochylił się do Eddiego:

- Wiesz, gdzie jest cmentarz?

Eddie skinął głową. Mosca powiedział obojętnie:

- Jedźmy tam.

Eddie odbił jeepem w lewo i pomknął do przodu, pędząc szeroką aleją wijącą się łagodnie przez miasto ku przedmieściom. Potem skręcił w boczną uliczkę, przejechał przez otwartą drewnianą bramę i wreszcie zatrzymał się powoli na niedużym trawniku przed długimi, głębokimi rzędami nagrobków.

Siedzieli w jeepie czekając. Frau Saunders odsunęła koc. Ubrana była w czarny płaszcz, kapelusz z woalką i czarne pończochy. Twarz jej była tak szara jak zimowe światło sączące się z niskiego nieba. Eddie i Mosca mieli na sobie ciemnozielone mundury oficerskie.

Karetka nadjechała powoli wyboistą uliczką i przekroczyła bramę cmentarną. Zatrzymała się, a kierowca z pomocnikiem wysiedli. Eddie i Mosca podeszli, by im pomóc. Mosca spostrzegł, że byli to ci sami ludzie, którzy przywieźli Hellę do szpitala na poród. Otworzyli podwójne tylne drzwi karetki, a gdy wysunęli czarną trumnę, Mosca i Eddie złapali za uchwyty z bliższego im końca.

Trumna była z surowego drzewa, pomalowana niedbale na czarno, uchwyty z

matowego, chropowatego żelaza, koloru nieba. Dwaj mężczyźni z karetki stali naprzeciw Moski nad trumną, lecz udawali, że go nie znają. Odwrócili trumnę w taki sposób, by znajdować się na przedzie. Była bardzo lekka. Ruszyli ścieżką pośród uszkodzonych i zniszczonych nagrobków, aż wreszcie dotarli do otwartego dołu. Dwóch małych, zgarbionych Niemców w czapkach i ciemnych marynarkach czekało wsparłszy się na ciemnych, sercowatych łopatach, patrząc, jak stawiają trumnę blisko wykopanej przez nich dziury. Za nimi znajdowała się ogromna sterta surowej, brunatnej ziemi.

Mały opel przejechał przez bramę, a jego komin wydzielał w niebo sznur żałobnego dymu. Pastor wysiadł. Był wysoki i chudy, o surowej, nieregularnej twarzy. Szedł powoli, nieco pochylony, wlokąc długą, czarną szatę po wilgotnej ziemi. Powiedział kilka słów do Frau Saunders, a potem do Moski. Mosca patrzył w ziemię. Nie rozumiał jego bawarskiej wymowy.

Ciszę powietrza przerwała jednostajna, gardłowa modlitwa pastora. Mosca słyszał słowa kochać i modlić się, a niemieckie słowo modlić się brzmiało tak jak żebrać, słyszał głos, który mówił: przebacz, przebacz, i: przyjmij, przyjmij, przyjmij, i jeszcze coś o mądrości, łasce i miłości Bożej. Ktoś podał mu garść ziemi; rzucił ją przed siebie, usłyszał, że uderza o drewno, potem usłyszał inne pacnięcia. Potem słyszał, jak duże skiby uderzają niczym potężne, powolne, równomierne uderzenia serca, stają się coraz cichsze, aż wreszcie były to już tylko ledwie dosłyszalne westchnienia ziemi padającej na ziemię. Poprzez uderzenia krwi do głowy Mosca słyszał, jak Frau Saunders płacze.

Wreszcie odgłosy ucichły. Słyszał, jak tamci odchodzą. Usłyszał warkot silnika, potem drugi, a potem jeepa.

Mosca podniósł głowę. Mgła z miasta, którą zostawili za sobą, przekradła się pośród grobów i kamieni. Podniósł wzrok ku nieprzejrystemu niebu bez słońca, tak jak ludzie podnoszą wzrok do modlitwy. Wykrzyknął w głębi serca, z nienawiścią, z bezsilnym gniewem:

- Wierzę, wierzę.

Krzyczał, że wierzy w prawdziwego Boga, że widzi wyraźnie, że widzi prawdziwego despotycznego Ojca, bezlitosnego, niemiłosiernego, skąpanego we krwi, tonącego w strachu, bólu i winie, zżeranego i trawionego przez swą szaleńczą nienawiść do ludzkości. W jego sercu i myśli otwały się szczeliny, by przyjąć takiego Boga, jakiego

widział, a potem na zasłoniętym chmurami niebie pojawiło się bladozłote słońce, zmuszając go do spuszczenia wzroku ku ziemi.

Na ciągnącej się ku miastu równinie widział pustą karetkę i opla, które podskakiwały na wyboistej drodze. Dwaj mężczyźni z czarnymi łopatami zniknęli. Frau Saunders i Eddie siedzieli w jeepie czekając na niego. Frau Saunders owineła się kocem, skrywając żalobę. Było bardzo zimno. Dał im znak, żeby odjechali, po czym patrzył, jak oliwkowy jeep powoli przejeżdża przez bramę. Frau Saunders odwróciła się, by spojrzeć po raz ostatni, lecz nie mógł dostrzec jej twarzy. Czarna, gęsta woalka zasłaniała jej oczy.

Zostawszy po raz pierwszy sam, Mosca mógł spojrzeć na grób Helli, na kopczyk ziemi, surowy, brunatny piach, który wypchnęło jej ciało. Nie czuł smutku, a jedynie zdumienie i zagubienie, jak gdyby nie było już niczego, czego by chciał, i żadnego miejsca na świecie, gdzie mógłby pójść. Spojrzał poprzez pola w kierunku miasta, pod którego ruinami spoczywało więcej kości, niż można by pomieścić na tym specjalnie przygotowanym poświęconym miejscu. Martwe zimowe słońce, spowite w chmury, rzucało blade, żółte światło. Mosca usiłował spojrzeć poprzez pola na swe własne życie, na wszystko, co czuł i znał. Spróbował przenieść się ponad tym ogromnym kontynentem grobów ku zabawom swego dzieciństwa, ulicom, którymi chodził jako chłopiec, miłości swej matki i twarzy dawno zmarłego ojca, do pierwszego pożegnania. Pamiętał jak matka mawiała:

- Nie masz ojca, ale Bóg jest twoim ojcem. - I mówiła jeszcze: - Musisz być szczególnie dobry, bo nie masz ojca, ale Bóg jest twoim ojcem.

Próbował przenieść się w przeszłość i odnaleźć odczuwaną wówczas miłość, przyływy współczucia i litości, które drażyły studnie dla łez.

Poszukując bólu pomyślał o Helli, o jej twarzy tak delikatnie kruchej, że odsłaniała niebieskie żyły, nie osłaniając ich ciałem przed śmiercią i przed światem. Pomyślał o jej nieświadomej miłości, która cudownie wytryskała z jej serca, o tym, jakie to było fatalne, taka słabość, która na tym świecie jest straszną i śmiertelną chorobą, niczym niekrzepliwość krwi.

Ruszył wąską ścieżką, mijając obtłuczone, uszkodzone, chwiejące się nagrobki, okaleczone przez wojnę. Przeszedł przez bramę cmentarną. Idąc w kierunku miasta, przywoływał w pamięci obrazy Helli, jak wyglądała, gdy wrócił, miłość, jaką mu

podarowała, a której potrzebował, żeby żyć, swą ogromną ulgę, gdy tak się stało; wydawało mu się teraz, iż nawet wówczas wiedział, że przywiedzie ją do śmierci i do tego grobu.

Potrząsnął głową. Pech, po prostu pech - pomyślał. Przypomniawszy sobie te wieczory, kiedy wróciwszy na kolację zastawał ją śpiącą na kanapie; kładł ją wówczas do łóżka i wychodził, a kiedy wracał, spała nadal, głębokim snem, w którym była bezpieczna aż do rana. Pech - pomyślał znowu, lecz bez nadziei, przypomniał sobie, jak okrutna była jej śmierć, gdy została całkiem sama, bez ostrzeżenia, bez możliwości ujrzenia czy dotknięcia tych kilku osób, które kochała.

Zanim dotarł do miasta, próbował dotrzeć do innego Boga, przywołać Go z innego świata, tego świata, w którym żyła jego matka, świata uczciwych domów, szczęśliwych, dobrze odżywionych dzieci, cnotliwych kobiet bezpiecznie zakotwiczonych w życiu z sympatycznymi mężami i złotymi obrączkami. Próbował dotrzeć do świata obfitującego w lekarstwa łagodzące każde niemal cierpienie, przywołać ogromne, głębokie cienie bezbolesnych wspomnień, które mogły go teraz uratować.

Gdyby mógł ujrzyć przed sobą nietknięte miasto, z niepokaleczoną kamienną skórą, z jędrnym ciałem; gdyby świeciło słońce, a żelazne niebo czerwieniło się od światła; gdyby odczuwał coś w rodzaju miłości w stosunku do ludzi błądzących pośród spowitych zimową mgłą ruin; wówczas może przywołałby tego Boga, który osłaniał swą prawdziwą twarz maską cierpliwego miłosierdzia.

Mosca zszedł z łagodnego wzgórza ku początkowi brukowanej ulicy. Nie mógł już skupić myśli na żadnym prawdziwym obrazie Helli. Tylko raz na spowitej mgłą ulicy pomyślał jasno i wyraźnie:

- Skończyło się.

Ale nawet to uleciało mu z pamięci, zanim potrafił pomyśleć, co to naprawdę znaczy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Dał Frau Saunders pieniądze na opiekę nad dzieckiem i przeprowadził się na kwatere przy Metzer Strasse. Wieczorem wcześniej kładł się spać. Zaczynały się wtedy przyjęcia, muzyka i śmiech w pokojach obok i na dole. On zaś spał wówczas. Jednakże w nocy, gdy umilkła zabawa, a kwatery pogrążona była w ciszy i ciemności, budził się. Spoglądał na zegarek leżący na nocnej szafce, który zawsze wskazywał pierwszą lub drugą godzinę. Leżał wówczas nieruchomo, bojąc się zapalić lampkę, która rzucała przygnębiające, słabe, żółte światło. Tuż przed świtem zasypiał ponownie i przesympiał bieganinę ludzi wstających i wychodzących do pracy. Co noc powtarzało się to samo. Obudziwszy się podnosił zegarek i trzymał blisko twarzy kółeczko żółtych oczek, mając nadzieję, że obwieści mu godzinę bliską poranka i światła. Zawsze musiał zapalić papierosa i siadał wsparty o drewnianą ramę łóżka, przygotowując się na długie nocne godziny bezsenności. Słuchał bulgotania rur, oddechów mężczyzny i kobiety w przyległym pokoju, ich sennych pojękiwań i pochrząkiwań, podobnych do przedśmiertnego rżenia, przytłumionych okrzyków somnambulicznej namiętności, a potem szumu wody w łazience. Słyszał ciche trzaski i skrzywienie podłóg ocierających się o ściany, jakby i one układały się do snu. Czasem dobiegał szept dalekiego radia, a potem ktoś się odzywał i rozlegały się kroki na korytarzu, a potem na ulicy pod oknem rozbrzmiewał tłumiony śmiech opuszczających kwatere kobiet. Potem, z nadejściem świtu, Mosca zasypiał ponownie i budził się w południe w cichym, pustym domu, gdy zimowe słońce barwiło ściany jego pokoju na bladocytrynowy kolor.

Pewnego popołudnia, w dwa tygodnie po pogrzebie, Mosca usłyszał, że ciszę zakłóciły kroki na korytarzu, a potem rozległo się pukanie. Wstał z łóżka i wciągnął spodnie. Podeszedł do drzwi, przekręcił klucz w zamku i otworzył je.

Ujrzał przed sobą twarz, którą widział tylko raz, lecz której nigdy nie zapomni. Honny, z przylizanymi blond włosami, mięsistym nosem i obfитоścią piegów. Honny uśmiechnął się i zapytał:

- Czy mogę wejść?

Mosca usunął się na bok, po czym zamknął drzwi. Honny postawił teczkę na stole, rozejrzał się po pokoju i powiedział uprzejmie:

- Przykro mi, że pana obudziłem.



- Właśnie wstawałem - powiedział Mosca.

Mały blondyn odezwał się powoli:

- Bardzo, bardzo mi przykro z powodu pańskiej żony.

Uśmiechnął się niepewnie.

Mosca odwrócił się i podszedł do łóżka.

- Nie byliśmy małżeństwem - powiedział.

- Ach, tak. - Honny dla nabrania pewności przesunął nerwowo ręką po łysinie z przodu głowy, aż dotknął jedwabistych włosów z tyłu. - Przyszedłem, by powiedzieć panu coś bardzo ważnego.

Mosca wtrącił:

- Nie mam papierosów.

Honny powiedział poważnie:

- Wiem, że nie ma pan papierosów, że nie jest pan kierownikiem kantyny, to wiem, odkąd Wolfgang wyjechał do Ameryki.

Mosca uśmiechnął się do niego:

- No i co z tego?

- Nie rozumie mnie pan - powiedział szybko Honny. - Przyszedłem powiedzieć panu o Jergenie. Penicylinę, którą dał panu, kupił dzięki mnie. Byłem pośrednikiem. - Urwał na chwilę. - Jergen wiedział, że nie była pełnowartościowa, zapłacił tylko małą częśćkę normalnej ceny tej osobie, z którą go skontaktowałem. Rozumie pan?

Mosca musiał usiąść na łóżku. Przyłożył dłoń do bielizny, bolał go żołądek. Dostał nagle potężnego pulsującego bólu głowy. Jergen, Jergen - pomyślał - Jergen, który tyle dla nich uczynił, który uszczęśliwił Helle, którego córkę Hella kochała. Czuł upokorzenie, że dał się w taki sposób oszukać Jergenowi, z tak bolesnym skutkiem. Zakrył twarz dłońmi.

Honny odezwał się znowu, łagodnie.

- Dowiedziałem się, że odmówił pan współdziałania w planie Wolfa. Nie jestem głupi. Oznacza to, że uratował mi pan życie. Proszę mi wierzyć, gdybym wiedział, że Jergen zamierzał dać te lekarstwa panu, powstrzymałbym go. Dowiedziałem się zbyt późno. Jergen zdecydował się poświęcić mnie i zdecydował się poświęcić pańską żonę. - Widział, że Mosca nadal siedzi na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach, toteż powiedział jeszcze ciszej: - Mam dobre wiadomości. Jergen wrócił do Bremy, do dawnego

mieszkania. Pańska gospodyni, Frau Meyer, dała mu znać, że wszystko w porządku, że nie musi się niczego bać.

Mosca wstał z łóżka. Powiedział spokojnie:

- Nie kłamie pan?

- Nie, nie kłamie - powiedział Honny. Twarz mu zbladła śmiertelnie, a piegi uwidaczniały się na skórze niczym plamki tłuszczu. - Jeśli się pan zastanowi, będzie pan wiedział, że nie kłamie.

Mosca podszedł do szafy i otworzył ją. Poruszał się szybko i mimo że bolała go głowa, czuł się niemal szczęśliwy. Wyjął z szafy książeczkę czekową American Express, podpisał pięć czeków. Każdy na sto dolarów. Pokazał je Honny'emu.

- Proszę dziś wieczór przyprowadzić Jergena, a należą do pana.

Honny cofnął się.

- Nie, nie - powiedział - nie mogę tego zrobić. Dlaczego pomyślał pan, że to zrobię?

Mosca wyciągnął przed siebie niebieskie чеки i zbliżył się. Honny cofnął się szepcząc:

- Nie, nie mogę tego zrobić.

Mosca zrozumiał, że tego nie zrobi. Wziął jego teczkę ze stołu i podał mu.

- W każdym razie dziękuję, że mi pan to powiedział - rzekł.

Zostawszy sam stał chwilę pośrodku pokoju. W głowie mu huczało, jak gdyby duża żyła napełniała się i opróżniała za każdym potężnym uderzeniem jego serca. Było mu trochę słabo, jak gdyby płuca nie mogły oddychać dusznym powietrzem w pokoju. Ubrał się i wyszedł z budynku.

Na ulicy zdziwił się, że słońce tak ciepło grzeje. Wczesna zima, która przedtem wdarła się w jesień, najwyraźniej ustąpiła. Skreślił w Kurfürsten Allee, w kierunku swego dawnego mieszkania, omijając słabe cienie rzucane przez niemal nagie drzewa. Gdyby nie ból głowy, nie czuł się tak dobrze od dawna. Pomyślał: dziś będę mógł spać przez całą noc.

Otworzył drzwi do mieszkania bardzo cicho i stanął przed drzwiami bawialni. Usłyszał skrzypienie dzieciennego wózka, a gdy wszedł, ujrzał, że Frau Saunders popycha wózek tam i z powrotem. Siedziała na kanapie, trzymając książkę w lewej ręce, a prawą na

kremowej obudowie wózka. Siedziała wyprostowana i spokojna, z wyrazem poważnego smutku na silnie pomarszczonej twarzy. Dziecko spało w wózku. Jasnoniebieskie żyły przecinały jego różowe czoło, a drobniejsze żyłki pokrywały jedną drgającą powiekę niczym delikatną membranę liścia.

- Dobrze się czuje? - zapytał Mosca.

Frau Saunders skinęła głową.

- Wszystko w porządku. - Odłożyła książkę, zdjęła rękę z wózka i splótła palce dłoni.

- Czy dostała pani paczkę? - Tydzień temu wysłał jej dużą paczkę z żywnością.

Ponownie skinęła głową. Wyglądała dużo starzej. Mosca spostrzegł coś znajomego w tym, jak siedziała i jak odpowiadała.

Nie patrząc na nią zapytał:

- Czy może pani zatrzymać dziecko na stałe? Zapłacę dobrze, ile pani zechce. - Miał wrażenie, że głowa mu puchnie z bólu, i zastanawiał się, czy ma może aspirynę.

Frau Saunders znowu wzięła książkę do ręki i trzymała nie otwierając. W jej surowej twarzy nie było ani śladu kwaśnego humoru, jakim się zawsze odznaczała.

- Herr Mosca - powiedziała oficjalnym tonem - jeśli wyrazi pan zgodę, spróbuję adoptować pana dziecko jako mojego syna. To by rozwiązało pańskie problemy. - Powiedziała to bardzo chłodno, lecz nagle łzy popłynęły jej po twarzy. Upuściła książkę na podłogę, a dłońmi starała się ukryć i powstrzymać łzy.

Mosca zrozumiał, co wydawało mu się tak znajome: zachowywała się tak jak jego matka, gdy sprawiał jej ból.

Ponieważ nie była jego matką i nie mogła go wzruszyć, podszedł do kanapy i położył na chwilę dłoń na jej ramieniu.

- O co chodzi, co ja takiego zrobiłem? - Jego głos brzmiał spokojnie, rozsądnie.

Powstrzymała dłońmi łzy i otarła je. Odezwała się spokojnie:

- Nic pan nie dba o dziecko, nie przyszedł pan ani razu przez cały czas. A gdyby ona wiedziała, że tak się pan zachowa? To straszne, to straszne, ona was obu tak kochała. Zawsze mówiła, że jest pan dobry, a gdy spadała ze schodów, wyciągnęła ręce do dziecka. Bardzo cierpiała i krzyczała, ale myślała o dziecku. A teraz pan w ogóle nie dba o dziecko, które ona tak kochała. - Przerwała, by zaczerpnąć tchu, po czym ciągnęła histerycznie: -

Och, jest pan strasznym człowiekiem, oszukał ją pan, nie jest pan dobrym człowiekiem. - Odsunęła się od niego i oparła obie dłonie na wózku.

Mosca cofnął się. Odezwał się, by jej ułatwić:

- Co według pani miałbym zrobić?

- Wiem, czego by ona pragnęła. Żeby zabrał pan dziecko do Ameryki, zapewnił mu bezpieczne i szczęśliwe życie, póki nie dorośnie.

Mosca powiedział po prostu:

- Nie byliśmy małżeństwem i wobec tego dziecko jest Niemcem. To trwałoby bardzo długo.

- A więc - powiedziała skwapliwie - mogę się nim zaopiekować do tego czasu.

Zrobi pan to?

- Chyba nie mogę - powiedział. Miał ochotę szybko wyjść. Znowu odczuwał ból głowy.

Frau Saunders odezwała się chłodnym tonem:

- Czy chce pan, żebym go adoptowała?

Spojrzał na śpiące dziecko. Niczego nie czuł. Wyjął z kieszeni podpisane czek American Express i położył na stole.

- Nie wiem, co się może zdarzyć - powiedział.

Skierował się ku drzwiom.

- Kiedy przyjdzie pan znów zobaczyć syna? - Głos Frau Saunders brzmiał gniewnie.

Jej twarz wyrażała pogardę. Mosca odwrócił się ku niej.

Ból potężnie pulsował mu w głowie i chciał wyjść, nie mógł jednak znieść tego spojrzenia.

- Dlaczego nie powie pani prawdy, dlaczego nie powie pani tego, co pani myśli? - Nie zdając sobie sprawy, że podnosi głos, ciągnął: - Myśli pani, że to moja wina, myśli pani, że umarła dlatego, że nie zrobiłem wszystkiego, by ją uratować. Proszę mi powiedzieć prawdę. To dlatego tak się pani gniewa, patrzy pani na mnie, jak gdybym był zwierzęciem. Myśli pani: „Ten Amerykanin zabił jeszcze jednego Niemca”. Niech pani nie udaje, że gniewa się pani z powodu dziecka, niech pani nie udaje i nie kłamie. Wiem, co pani myśli.

Po raz pierwszy Frau Saunders spojrzała na niego uważnie, prosto w oczy. Wyglądał źle, cerę miał żółtą, oczy podkrążone, na ustach tworzyły się czerwone plamy.

- Nie, nie - powiedziała. - Nigdy tak źle nie myślałam. - Jednakże mówiąc to uświadomiła sobie po raz pierwszy, że w tym, co powiedział, było trochę prawdy.

Opanował się już. Odezwał się spokojnie:

- Udowodnię pani, że to nieprawda. - Odwrócił się i wyszedł, słyszała jak zbiega po schodach.

Na ulicy zapalił papierosa i spojrzał na pokryte chmurami niebo, a potem na Kurfürsten Allee. Wypalił prawie całego papierosa, zanim zaczął iść z powrotem do kwatery na Metzger Strasse. Ból głowy rozprzestrzenił się na oczy i żyły na szyi. Spojrzał na zegarek. Była dopiero trzecia. Zostawało jeszcze dużo czasu, zanim będzie można coś zrobić w sprawie Jergena.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Pokój wypełniały popołudniowe cienie. Zażył aspirynę i położył się na łóżku. Zdziwiło go własne zmęczenie. Zamknął oczy, wydawało mu się, że tylko na chwilę, lecz gdy usłyszał pukanie do drzwi otworzył oczy, otaczała go ciemność. Zapalił lampkę nocną i spojrzął na zegarek. Była dopiero szósta. Pukanie powtórzyło się, potem otworzyły się drzwi i Eddie Cassin wszedł do pokoju. Był schludnie ubrany, ogolony i pachniał talkiem.

- Boże, mógłbyś zamykać drzwi na klucz, kiedy się kładziesz spać - powiedział, a po chwili dodał mimochodem: - Jak się czujesz, obudziłem cię?

Mosca potarł dłońmi twarz.

- W porządku - powiedział.

Przeszedł mu ból głowy, lecz twarz miał gorącą, a wargi suche.

Eddie Cassin rzucił na stół kilka listów.

- Wziąłem twoją pocztę. Masz coś do picia?

Mosca podszedł do szafy i wyciągnął butelkę ginu i dwie szklanki.

- Dziś jest duża zabawa - powiedział Eddie. - Zejdź na dół.

Mosca potrząsnął głową, podał mu szklankę. Obaj wypili. Po chwili odezwał się Eddie:

- Twój rozkaz wyjazdu nadejdzie w ciągu tygodnia. Adiutant próbował go zatrzymać, mówił, że to była jego wina. Pułkownik się nie zgodził. - Pochylił się ku Mosce. - Tylko szepnij słówko, a ja zagubię trochę papierów, dam ci kilka dodatkowych tygodni.

- To nie ma znaczenia - powiedział Mosca.

Wstał z łóżka i wyjrzał przez okno. Na ulicy był jeszcze zmierzch, toteż dostrzegł grupkę dzieci czekających z nie zapalonymi lampionami na całkowitą ciemność. Przypomniał sobie, że słyszał ich pieśń przez kilka ostatnich wieczorów, choć jej cichy ton nie rozrywał delikatnej mgiełki snu chroniącej jego umysł, nie budził go, lecz tylko się przez nią przesączał.

Z tyłu odezwał się Eddie Cassin:

- A co z dzieckiem?

Mosca powiedział:

- Frau Saunders je zatrzyma.

Eddie odezwał się cichym głosem:

- Będę ją odwiedzać. Nie martw się. - Umilkł na chwilę. - Trudno, Walterze. Faceci tacy jak ty i ja mają cholernego pecha. Nie przejmuj się.

Dzieci na ulicy ustawiły się w dwa szeregi, pomaszerowały Metzer Strasse i zniknęły z pola widzenia, niosąc nie zapalone lampiony. Eddie powiedział:

- Te listy są od twojej matki. Wysłałem jej telegram. Przypuszczałem, że nie napiszesz.

Mosca odwrócił się i spojrzał na niego.

- Byłeś dla mnie dobrym przyjacielem - powiedział. - Czy mógłbyś coś jeszcze dla mnie zrobić po raz ostatni?

- Jasne - odparł Eddie.

- Nie powiedziałeś mi, że Jergen wrócił do miasta. Chcę się z nim zobaczyć. Możesz go tu przyprowadzić?

Eddie nalał sobie znowu i przyglądał się Mosce chodzącemu po pokoju. Coś tu nie w porządku - pomyślał. Mosca panował nad swoim głosem, lecz oczy miał niczym czarne zwierciadła, a od czasu do czasu kurcz wykrzywił mu na sekundę twarz w wyrazie wściekłości i nienawiści.

Eddie odezwał się powoli:

- Mam nadzieję, że nie planujesz żadnego głupstwa, Walterze. Facet się pomylił. To nie była jego wina. Cholera, wiesz, że Jergen wszystko robił dla Helli przez cały czas.

Mosca uśmiechnął się:

- Cholera, chcę tylko odebrać papierosy i pieniądze, które zapłaciłem za to lekarstwo. Dlaczego miałbym płacić?

Eddie był tak zdziwiony, a potem tak mu ulżyło, że wydał z siebie okrzyk ulgi i radości.

- Boże, chłopcze, znowu jesteś normalny. Dlaczego, do cholery, miałbyś za to płacić?

Przez głowę przemknęła mu myśl, że to podobne do Moski, żeby się nie dać oszukać, nawet w bólu. Jego ulga była autentyczna. Naprawdę się cieszył, że Mosca wreszcie powrócił do normy.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Chwycił Moskę za ramię.

- Słuchaj - powiedział - posłuchaj mnie. Jadę z Frau Meyer, na tydzień, w góry koło Marburga. Jedź z nami. Znajdę ci dziewczynę, naprawdę miłą dziewczynę. Pośmiejemy się, pokosztujemy wiejskiego jedzenia, alkoholu. No, powiedz kumplowi: „tak”.

Mosca uśmiechnął się do niego.

- Jasne, dobra - powiedział.

Eddie roześmiał się głośno.

- Właśnie, Walterze. Świetnie. Świetnie. - Klepnął go po ramieniu. - Wyjedziemy jutro wieczór. Zobaczysz, jakie to góry. Piękne, naprawdę piękne. - Umilkł na chwilę, po czym czule, niemal po ojcowsku powiedział: - Może wymyślimy jakiś sposób, żebyś mógł zabrać dzieciaka do Stanów. Wiesz, że ona by tego chciała. Tego najbardziej. - Potem dodał z zakłopotanym uśmiechem: - Zejdź na dół. Tylko na jednego.

Mosca powiedział:

- Przyprowadzisz do mnie Jergena?

Eddie spojrzał na niego uważnie. Mosca powiedział:

- Prawda jest taka, Eddie, że jestem splukany. Musiałem zostawić Frau Saunders pieniądze na dziecko. Potrzebuję szmalu, żeby pojechać z wami do Marburga. - Jego głos brzmiał całkiem szczerze. - I potrzebuję pieniędzy na podróż do Stanów. To wszystko. Zapłaciłem temu facetowi niezłą sumę za to lekarstwo.

Eddie dał się przekonać.

- Pewnie, przyprowadzę go - powiedział. - Zaraz pójdę. Potem zejdziesz na dół na zabawę. Dobra?

- Jasne - powiedział Mosca.

Gdy Eddie wyszedł, Mosca rozejrzał się po pustym pokoju. Spozrzegł listy na łóżku, podniósł jeden i usiadł, by go przeczytać. Gdy skończył, zdał sobie sprawę, że nie zrozumiał ani jednego zdania. Przeczytał go raz jeszcze. Starał się łączyć ze sobą słowa, by miały jakieś znaczenie. Docierały chwiejnie do rozkojarzonego umysłu, przesączały się przez odgłosy kwatery.

- Proszę, wróć - pisała matka. - Nie myśl o niczym, tylko przyjedź do domu. Zaopiekuję się dzieckiem. Możesz wrócić do szkoły, masz tylko dwadzieścia trzy lata; zawsze zapominam, jaki jesteś młody, a nie było cię przez sześć lat. Jeśli czujesz teraz



gorycz, módl się do Boga, tylko to pomaga. Twoje życie się dopiero rozpoczyna...

Cisnął listy na podłogę i wyciągnął się na łóżku. Z dołu dobiegały dźwięki rozpoczynającej się zabawy, cicha muzyka i śmiechy. Znowu rozbolała go głowa. Zgasił światło. Małe żółte oczka zegarka powiedziały mu, że jest szósta trzydzieści. Miał mnóstwo czasu. Zamknął oczy.

Pomyślał o tym, jak by to było, powrót do domu, codzienne widywanie się z matką i dzieckiem, znalezienie sobie dziewczyny i stabilizacja. W sobie nosiłby to inne życie, nienawiść do wszystkiego, w co tamci wierzą. Jego życie byłoby kamieniem na grobie tego, co kiedykolwiek widział, zrobił czy czuł. Ze zdziwieniem pomyślał o tym, co krzyczał do Frau Saunders. Wytrysnęło to z niego. Nigdy niczego takiego nie pomyślał. Zrozumiawszy teraz wszystkie swoje pomyłki, zmusił się do myślenia o czymś innym. Obrazy zaczęły się układać sennie w wizerunek Helli znoszącej dziecko ze statku i witającej się z matką. Potem obraz ich wszystkich w bawialni, a potem co rano, co wieczór, wzajemne oglądanie swych twarzy. Zasnął.

Śniło mu się, a może myślał świadomą częścią mózgu, że wraca do domu, że na drzwiach znajduje się napis: „Witaj w domu, Walterze”, że zostawił Hellę żywą w Niemczech i że tylko śniło mu się, co będzie za rok. Że nigdy nie wrócił do Helli, że nie trzymała w dłoniach szarego chleba i nie upuściła go na podłogę, że otworzył te drzwi, a tam Gloria, matka i Alf czekali na niego, że wyszedł do nich z koszmaru, a oni znajdowali się w ogromnym kręgu światła. Ale potem matka trzymała w ręku plik fotografii, a w rogu dostrzegł kołyskę i skulone plecy śpiącego dziecka. Przestraszył się, a potem wszyscy siedzieli i oglądali zdjęcia i matka powiedziała: „Och, co to”, a on spojrzał i zobaczył swoją bluzę wojskową i opończę z koca i siebie uśmiechniętego nad kopczykiem grobu. To moja trzecia ofiara, powiedział i zaczął się śmiać, lecz Alf się rozgniewał i stanął na swojej jedynej długiej nodze i zawołał: Posuwasz się za daleko, Walterze, posuwasz się za daleko. Wszyscy stali, a matka załamywała dłonie. Zobaczył swą twarz, jak mówi: Żegnajcie, żegnajcie, a potem zrobiło się bardzo ciemno. Ale przyszedł Wolf ze świecą, i był z Wolfem w piwnicy, i Wolf trzymał świecę wysoko i powiedział: Tu jej nie ma, Walterze, tu jej nie ma, i poczuł, że rumowisko przesuwają się i wciągają go coraz dalej od świecy, i zaczął krzyczeć.

Obudził się i zorientował, że nie wydał żadnego dźwięku. Pokój był całkiem

ciemny, okna pomalowane na czarno przez noc. Kwatera rozbrzmiewała wybuchami śmiechu. Fale dźwięków, muzyki, głośnych męskich głosów, licznych kroków biegających w górę i w dół po schodach. W sąsiednim pokoju słyszał kochającą się parę. Potem dziewczyna powiedziała:

- A teraz chodźmy na dół. Chcę tańczyć.

Mężczyzna mruczał gniewnie. Znowu głos dziewczyny:

- Proszę, chcę potańczyć.

Odgłos łóżka, gdy wstawali, a potem śmiech dziewczyny na korytarzu. Potem otoczyła go znowu cisza i ciemność.

Eddie Cassin nie mógł sobie odmówić wstąpienia na zabawę przed pójściem po Jergena, ale zdążył się tylko lekko wstawić, gdy spostrzegł dwie młode dziewczęta. Nie miały więcej niż szesnaście lat. Ubrane były jednakowo, niebieskie kapelusiki, niebieskie zakieciki, białe bluzki z jedwabiu ze spadochronów. Oczarowały go. Ich cera i włosy podkreślały kolory ubrania delikatnym różem, kremową bielą i loczkami na czole, które wyglądały jak złote monety. Tańczyły, lecz nie chciały pić i zawsze trzymały się razem, gdy muzyka przestawała grać, jak gdyby czerpały z siebie nawzajem cnotliwą moc.

Eddie przyglądał im się przez pewien czas, z uśmiechem, planując natarcie. Potem podszedł do ładniejszej i poprosił ją do tańca. Jeden z mężczyzn zaprotestował:

- Hej, Eddie, to ja ją tutaj przyprowaździłem.

Eddie powiedział

- Nie martw się, załatwię to.

W tańcu zapytał ją:

- Czy to twoja siostra?

Dziewczyna skinęła głową. Miała zuchwałą twarzyczkę z dobrze mu znanym wyrazem wyniosłości i przest్రachu.

- Czy ona zawsze chodzi za tobą? - zapytał Eddie, a w jego głosie brzmiał komplement dla niej, zachęta do lekkiego lekceważenia siostry.

Dziewczyna uśmiechnęła się z niewinną głupotą, która mu się ogromnie podobała.

- Och, moja siostra jest zbyt nieśmiała - powiedziała.

Płyta się skończyła, więc zapytał:

- Czy chciałybyście, ty i siostra, przekąsić coś w moim pokoju?

Przestraszyła się natychmiast i potrząsnęła głową. Eddie uśmiechnął się do niej swym ojcowskim uśmiechem: jego delikatna twarz wyrażała niemal ojcowskie zrozumienie.

- Och, wiem, co myślisz.

Zaprowadził ją do Frau Meyer, która piła z dwoma mężczyznami.

- Meyer - powiedział - ta dziewczynka mnie się boi. Odrzuciła moje zaproszenie na kolację. Ale jeśli przyjdiesz jako przyzwoitka, myślę, że się zgodzi.

Frau Meyer otoczyła dziewczynę ramieniem:

- Och, nie bój się go. To jedyny dobry człowiek w tym domu. Pójdę z tobą. On ma wspaniałe jedzenie, jakiegoście nie jadły od niemowlęstwa.

Dziewczyna zarumieniła się i poszła zawołać siostrę.

Eddie podszedł do mężczyzny, który przyprowadził dziewczynkę.

- Załatwione - powiedział. - Idź z Meyer do mojego pokoju. Powiedz, że przyjdę później. - Eddie ruszył ku drzwiom. - Zostaw dla mnie trochę - powiedział ze śmiechem. - Wrócę za godzinę.

Mosca patrzył z okna na miasto. Daleko za równiną ruin, w samym środku miasta, spostrzegł długi sznur zielonych i żółtych świateł, strzałę, która zdawała się mierzyć prosto w jarzące się okna Metzger Strasse. Wiedział, że to dzieci z lampionami. Jednakże wybuchy śmiechu, dźwięk muzyki i nierówny krok tańczących, nieśmiałe piski pijanych kobiet zagłuszały pieśń, którą śpiewały.

Zostawiwszy otwarte okno, wziął przybory do golenia i ręcznik i poszedł do łazienki. Zostawił drzwi łazienki otwarte, by słyszeć, czy ktoś nie idzie do jego pokoju.

Umył się dokładnie, chłodząc wodą rozpaloną twarz. Potem ogolił się, przyglądając się gładkim i spokojnym rysom, długiemu, wąskiemu nosowi, długim, wąskimi ustom z niemal bezbarwnymi wargami, głęboko osadzonym czarnym oczom i ciemnej opalonej cerze, poszarzałej teraz ze zmęczenia i poznaczonej rankami od gorączki.

Splukał mydło z twarzy i nadal na nią patrzył. Zdziwiło go, że tak mu się wydawała obca, jak gdyby nigdy jej naprawdę nie widział. Odwrócił głowę, by popatrzeć na oba profile, na cienie rzucane na policzki przez głęboko osadzone oczy. Widział w twarzy

okrucieństwo, czarne błyski w ciemnych oczach, zdecydowany i brutalny podbródek. Cofnął się i wyciągnął rękę, by zasłonić tę twarz w lustrze, lecz opuścił ją zdziwiony, nim dotknęła jego powierzchni. Uśmiechnął się przelotnie.

W pokoju było zimno. W powietrzu słychać było jakiś dziwny szum. Podeszedł do okna i zamknął je. Szum ustał. Zielone i żółte światła poruszające się wśród ruin znajdowały się bliżej. Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Poczul się nagle słaby i rozgorączkowany; mdłości sprawiły, że usiadł na łóżku. Ból, przytłumiony przez aspirynę, odezwał się znowu miarowym rytmem; ogarnęła go rozpacz, jak gdyby stracił ostatnią nadzieję na ratunek, pewien był bowiem, że Jergen nie przyjdzie. Było mu bardzo zimno, więc podeszedł do szafy i włożył starą zieloną bluzę wojskową. Z pustego kartonu po papierosach wyjął węgierski pistolet i wsunął do kieszeni. Włożył wszystkie papierosy do małej walizki, potem przybory do golenia i niemal pełną butelkę ginu. Potem usiadł na łóżku i czekał.

Eddie Cassin zaparkował jeepa przed kościołem. Wszedł bocznym wejściem i wspinał się po schodach na wieżę. Zapukał do drzwi; nie było odpowiedzi. Począł, po czym zapukał znowu. Spoza drzwi nadszpiewanie wyraźnie odezwał się głos Jergena:

- Kto tam?

Eddie powiedział:

- Cassin.

Głos Jergena zapytał:

- Czego pan chce?

Eddie powiedział:

- Frau Meyer przysłała mnie z wiadomością.

Odsunęła się zasława i otworzyły drzwi. Stał w nich Jergen, czekając, aż Cassin wejdzie.

Pokój pograżony był w ciemności, z wyjątkiem lampki na stoliku w kącie, a pod lampą, na kanapce, siedziała córka Jergena trzymając książkę z bajkami. Opierała się o poduszki spiętrzone pod ścianą.

- Tak, o co chodzi? - zapytał Jergen. Wyglądał znacznie starzej, jego drobna postać zeszczipiała, lecz twarz miał nadal pewną siebie i dumną.

Eddie wyciągnął rękę. Jergen ją uściśnął. Eddie odezwał się z uśmiechem:

- No, znamy się od dawna, sporośmy razem wypili. Czy zasługuję na takie traktowanie?

Jergen uśmiechnął się z wahaniem:

- Ach, panie Cassin, byłem innym człowiekiem, gdy pracowałem na Metzer Strasse. Teraz...

Eddie odezwał się powoli, szczerze:

- Znasz mnie, nie mógłbym cię oszukać. Przyszedłem w twojej sprawie. Mój przyjaciel, Mosca, chce odzyskać swoje pieniądze i papierosy. To, co zapłacił za wybrakowane lekarstwa.

Jergen przyjrzał mu się uważnie i powiedział:

- Oczywiście, zwrócę. Ale proszę mu powiedzieć, że nie od razu. Nie mogę.

Eddie odezwał się:

- Chce, żebyś przyszedł do niego dziś wieczór.

- O, nie, nie - powiedział Jergen. - Nie pójdę.

Eddie spojrzał na córkę Jergena leżącą na kanapie. Otworzyła szeroko oczy patrząc obojętnym spojrzeniem. Poczul się nieswojo.

- Słuchaj, Jergen - powiedział - Mosca i ja wyjeżdżamy jutro do Marburga. Gdy wrócimy, on wyjedzie do Stanów. Jeśli nie pójdziesz się z nim zobaczyć dziś wieczór, on przyjdzie tutaj. Jeśli się rozzłości, przestraszy twoją córeczkę kłócąc się z tobą.

Jak przypuszczał, ten ostatni argument poskutkował. Jergen wzruszył ramionami, po czym poszedł po płaszcz. Potem zbliżył się do córki.

Eddie patrzył na nich. Jergen, w ciężkim płaszczu z futrzanym kołnierzem i z gładko zaczesanymi ciemnymi włosami, z wyrazem spokojnego dostojeństwa i powagi, ukląkł pokornie, ze smutkiem, i szeptał córce do ucha. Eddie wiedział, że podaje jej sygnał, aby gdy powróci i zapuka do drzwi, dziewczynka odsunęła żelazną zasuwę. Widział obojętny wzrok dziewczynki zwrócony na niego ponad ramieniem ojca i pomyślał: a co by było, gdyby zapomniała sygnału, co by było, gdyby nie odpowiedziała na pukanie ojca do drzwi.

Jergen wstał, wziął teczkę i wyszli. Jergen zatrzymał się, poczekał, aż spoza drzwi usłyszał odgłos żelaza przesuwającego się po drewnie, aż się upewnił, że córka zamknęła

się przed światem.

Wsiadli do jeepa Eddiego. Jergen odezwał się raz podczas jazdy ciemnymi ulicami:

- Zostanie pan ze mną podczas spotkania?

A Eddie odpowiedział:

- Jasne, nie martw się.

Jednakże zaczął w nim wzbierać nieokreślony niepokój. Wjechali w światła Metzer Strasse. Eddie zaparkował jeepa i wysiedli. Eddie spojrzał w górę. W pokoju Moski nie świeciło się.

- Może jest na zabawie - powiedział.

Weszli do budynku. Na pierwszym podeście schodów Eddie powiedział do Jergena:

- Zaczekaj tutaj.

Wszedł do pokoju, gdzie trwała zabawa, lecz nie było tam ani śladu Moski. Wrócił na korytarz, gdzie czekał Jergen. Spostrzegł, że twarz Jergena jest bardzo blada. Nagle Eddie Cassin uświadomił sobie niebezpieczeństwo. Przez myśl mu przemknęło wszystko, co Mosca powiedział, i wydało mu się to nieprawdziwe. Odezwał się do Jergena:

- Chodź, zawiozę cię do domu, tu go nie ma. Chodź.

- Nie, skończmy tę sprawę - powiedział Jergen. - Nie boję się. Nie bardziej...

Eddie Cassin zaczął go jednak spychać ze schodów. Był teraz pewien, ogarnięty podejrzeniem i strachem. Nagle usłyszał głos Moski na górze, zimny i pełen powściąganej wściekłości:

- Eddie, ty pieprzony gnojku, puść go.

Jergen i Eddie spojrzeli w górę.

Stał na podeście powyżej nich, a w słabym świetle na korytarzu jego twarz była chorobliwie żółta. Jego cienkie usta naznaczone były dwoma dużymi, czerwonymi owrzodzeniami od gorączki. Stał nieruchomo. W zielonej bluzie wojskowej wydawał się znacznie rośniejszy niż był w istocie.

- Chodź na górę, Jergen - powiedział. Jedną rękę trzymał schowaną za plecami.

- Nie - odpowiedział Jergen niepewnym głosem. - Wychodzę z panem Cassinem.

Mosca odezwał się:

- Eddie, zejdziesz mi z drogi. Chodź tu na górę.

Jergen uczeplił si3 ramienia Eddiego.

- Niech mnie pan nie zostawia - powiedział. - Niech pan zostanie.

Eddie uni3ł dłoń w g3rę i powiedział do Moski:

- Walterze, na litość boską, Walterze, nie r3b tego.

Mosca zszedł dwa kroki w d3ł. Eddie usiłował uwolnić si3 od Jergena, lecz ten uczeplił si3 jego ramienia krzycząc:

- Niech mnie pan nie zostawia samego - nie, nie...

Mosca zszedł jeszcze krok niżej. Oczy miał czarne, nieprzejrzyste, czerwone wrzody od gorączki na jego ustach płonęły w świetle korytarza. Nagle w jego dłoni ukazał si3 pistolet. Eddie oderwał si3 od Jergena, który, osamotniony, z rozpaczliwym okrzykiem usiłował si3 odwrócić i zbiec po schodach. Mosca wystrzelił. Jergen, który właśnie zrobił pierwszy krok w d3ł, padł na kolana. Podni3ł głow3, patrząc w g3rę wyblakłymi niebieskimi oczyma. Mosca wystrzelił znowu. Eddie Cassin przebiegł po schodach obok Moski i pognał aż na poddasze.

Mosca włożył broń z powrotem do kieszeni. Ciało leżało rozciągnięte na podeście schod3w, z głow3 zwisając3 na prowadząc3 w d3ł stopnie.

Z pokoi na dole dobiegła fala śmiechu; gramofon zaczął grać głośnie walca, rozległo si3 tupanie i głośnie jodłowanie. Mosca wbiegł szybko po schodach do swego pokoju. Na oknie kładły si3 cienie. Czekał nasłuchując. Podeszedł do okna.

Nikt nie wszczął alarmu, natomiast ruiny miasta, ogromne pag3rki gruzu, roily si3 od jaskrawych g3sienic, kołysząc3 si3 lampion3w, które rozświetlały zapadając3 zimow3 noc długimi smugami zielonego ognia. Pot oblał mu twarz i ciało. Zacz3ł drzeć, otoczyła go wirując3 ciemność, poczuł si3 słabo, otworzył okno i czekał.

Teraz z ulicy w dole dobiegał śpiew dzieci. Lampiony, których nie mógł dostrzec, kołysały si3 w jego myśli i sercu, a gdy ch3r ucichł w dali, poczuł, że opuściły go wszelki strach i napięcie. Owionęło go zimne powietrze, usuwając mdłości i ciemność.

Podni3ł spakowan3 walizk3 i zbiegł po schodach, przeskakując przez ciało Jergena, mijając odgłosy zabawy. Nic si3 nie zmieniło. Wyszedszy z budynku kwatery zaczął iść przez czarn3 równin3 ruin, a po chwili odwrócił si3, by spojrzeć po raz ostatni.

Cztery duże pi3tra światła stanowiły płomienn3 tarcz3 na tle ciemnego miasta i nocy, a z każdego pi3tra dobiegały wielkie fale śmiechu i muzyki. Stał przed tą tarcz3

światła bez wyrzutów sumienia, pomyślał tylko, że już nigdy nie zobaczy swego dziecka ani Eddiego Cassina, ani swego kraju, ani rodziny. Nigdy nie zobaczy gór w okolicy Marburga. Wreszcie stał się wrogiem.

Daleko pośród ruin dostrzegł zielone i czerwone lampiony dzieci, pnące się w górę ku czarnemu, niskiemu, zimowemu niebu, lecz nie słyszał już ich pieśni. Odwrócił się i poszedł w kierunku tramwaju, który miał go zawieźć na dworzec kolejowy.

Takie pożegnanie z czasem, miejscem i pamięcią nie były dla niego nowością, nie czuł smutku ani żalu, że w końcu nie było nikogo, żadnej ludzkiej istoty, która by go pożegnała, poza wiatrem mknącym po zniszczonej krainie, której nigdy już nie opuści. Ujrzał przed sobą okrągłe jasne światło, reflektor tramwaju, i usłyszał zimny, krystaliczny brzęk jego dzwonka. Z przyzwyczajenia zaczął biec objając sobie nogi walizką, lecz zatrzymał się po paru krokach, uświadomił sobie bowiem, że nie ma żadnej różnicy, czy złapie ten tramwaj, czy następny.